



Lisa Jewell



PRZYJACIEL RODZINY

„Chłopcy nie rosną stopniowo. Oni prą do przodu skokami, jak wskazówki dworcowego zegara”.

Cyril Connolly, *Enemies of Promise*, 1938

ŚRODOWY WIECZÓR W BEULAH TAVERN

Bernie wsunęła mikrofon z powrotem w uchwyt stojaka i ukloniła się z uśmiechem, gdy niewielki tłumek zgromadzony w Beulah Tavern klaskał i wiwatował.

Roger wskoczył na scenę i pochylił się do mikrofonu.

— Panie i panowie, ciepłe i serdeczne dzięki gwiazdzie dzisiejszego wieczoru, bardzo pięknej damie o bardzo wielkich *płucach!* Utalentowanej, wspaniałej, niezrównanej pani Bernie London. Będzie tu w następną środę, by śpiewać stare piosenki i wlać w nas trochę świątecznego ducha. Tak więc nie zapomnijcie przyjść!

Bernie znów się uśmiechnęła i skierowała się prosto do baru, gdzie Roger już przygotował dla niej dzin z cytryną. Wyjęła z torebki paczkę papierosów Silk Cuts Ultra i oparła się plecami o ladę baru, dając trochę odpocząć spuchniętym stopom, wymęczonym sandałkami na obcasach. Bernie śpiewała w Beulah Tavern już od niemal trzech lat, czyli od kiedy Roger przejął ten lokal, zdarł stare dywany, wstrętną tapetę i reprodukcje Turnera i zmienił go w „Najbardziej ekscytującą muzyczną knajpę” dzielnicy Crystal Palace. Oczywiście Bernie doskonale zdawała sobie sprawę, że daleko było temu do prawdy — był to po prostu miły, lokalny pub, w którym kilka razy w tygodniu grano muzykę na żywo. Zazwyczaj występowały irlandzkie zespoły o nazwach typu „Celtowie” albo starzy rockandrollowcy w wytartych kostiumach i siwych, przereczonych fryzurach. Bernie śpiewała to, co lubiła nazywać „Repertuarem klubowym”: *Cry Me a River, The Way You Look Tonight, I Say a Little Prayer, Whatever Lola Wants*.

Roger, który wrócił już za bar, podał jej ognia, puścił do niej oko zza swoich wielkich, okrągłych okularów i odwrócił się, żeby obsłużyć kolejnego klienta. Bernie usadowiła się na wysokim stołku. Uwielbiała tę część wieczoru — te piętnaście minut po występie, kiedy siedziała sama ze swoim dzinem z cytryną i papierosem, i była po prostu sobą, kobietą w średnim wieku, w czarnej połyskującej sukni i kolczykach z cyrkonu w kształcie sześciąt, potrafiącą śpiewać na tyle dobrze, by jej za to płacono. Była kobietą mocno zbudowaną o wydatnym biuście i fantastycznych nogach, trochę zbyt obszerną w okolicach talii, ale o gęstych włosach ko-

loru kukurydzy i wyrazistych kościach policzkowych w stylu Geraldine James. Uwielbiała te ulotne chwile samotności, kiedy nie była żoną swojego męża ani matką swoich synów. Bernie zawsze miała wrażenie, że jeśli jej życie miałyby się kiedykolwiek zmienić, to właśnie w takiej chwili, podczas jednego z tych rzadkich momentów otwarcia na nowe możliwości w jej skądinąd całkowicie ułożonej egzystencji. Kiedy skończy drinka i wypali kolejnego papierosa, zadzwoni do Gerry'ego, on po nią przyjdzie i wróci razem do domu, trzymając się za ręce, i jej prawdziwe życie znów się rozpocznie. Bernie kochała swoje prawdziwe życie, ale tych chwil by jej brakowało, gdyby kiedyś miała zostać ich pozbawiona.

Pochyliła się, żeby pomasować swoje delikatne stopy. Odwykła już od noszenia wysokich obcasów, choć przecież kiedy była młodsza, to właściwie z nóg ich nie zdejmowała. Teraz były jedynie na te środowe wieczory tudzież specjalne okazje. Kiedy się prostowała, jej uwagę zwróciła postać po drugiej, odległej stronie pubu. Młody człowiek, cały w czerni. Przystojny? Z takiej odległości nie potrafiła ocenić. Był bardzo blady i Bernie zauważyła blask srebra w jego uszach. Była pewna, że widziała go już tutaj tydzień temu. Siedział przy tym samym stoliku.

I wtedy się do niej uśmiechnął, tym skąpym uśmiechem osób, które nie nawykły do tego, żeby się często uśmiechać. Bernie stwierdziła, że z jakiegoś powodu odwzajemnia jego uśmiech. Zwykle nie miała czasu dla takich facetów, jacy próbowali ją podrywać w pubie. Ale w tym było coś. Ułożenie ramion, kształt głowy, sposób, w jaki się poruszał. Coś uspokajającego. Wziął swojego drinka i przedarł się między stolikami, żeby dołączyć do niej przy barze. Końce palców Bernie natychmiast same znalazły drogę do jej ucha i zaczęły kręcić koniuszki cyrkoniowych kolczyków.

— Piękny głos — powiedział, stawiając swojego drinka na barze obok jej kieliszka.

Z bliska okazał się facetem mogącym mieć równie dobrze dwadzieścia pięć, co czterdzieści lat. Usta miał wąskie, powieki ciężkie, a kruczoczarne włosy obcięte tak, że głowa była prostokątna i zupełnie płaska na czubku. Takiej fryzury nazywanej kiedyś „flat-top”, czyli właśnie „płaski czubek”, Bernie nie widziała od lat pięćdziesiątych. Ubrany był w wytartą skórzaną kurtkę, obcisłe czarne dżinsy i cienki szary podkoszulek z jakimś spranym rysunkiem. Wokół szyi miał wyblakły tatuaż pajęczej sieci, na środkowym palcu pierścień z trupią czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami, błyszczącą klamrę przy pasku i brakowało mu zęba, czego Bernie nie zauważyła, dopóki się do niej nie uśmiechnął, pytając:

— To od jak dawna śpiewasz?

— Dłużej, niż ty jesteś na świecie — odparła ze śmiechem, zaciągając się po raz ostatni i

gasząc papierosa. Bernie miała wrażenie, że powinna się czuć nieswojo, ale wcale tak się nie czuła. Było coś w tym młodym mężczyźnie — coś znajomego, niemal fascynującego — co czyniło z niego faceta stworzonego na taką piętnastominutową przerwę w życiu.

— Wszystko gra, Bernie? — spytał Roger, zjawiając się nagle jak czujna sowa przy jej boku.

— Tak — powiedziała lekko. — W porządku.

— Pozwól, że ci postawię kolejnego drinka — zaproponował nieznajomy.

Bernie spojrzała na zegarek. Mniej więcej teraz właśnie Gerry będzie się spodziewał jej telefonu. Ale z drugiej strony, znając Gerry'ego, jest pewnie tak pochłonięty polerowaniem tego kandelabru, że w ogóle nie zauważył, która godzina.

— Dobra — zgodziła się. — Czemu nie. Poproszę dżin z cytryną.

Przyjrzała się profilowi mężczyzny, kiedy ten czekał, aż Roger przyjmie od niego zamówienie. Na policzkach miał ślady po trądziku i Bernie zobaczyła w nim nagle kostropatego, niezręcznego nastolatka, jakim musiał kiedyś być. Czarna skórzana kurtka i tatuaż, i te ufarbowane włosy, to tylko kostium. To nie jest jakiś twardziel, myślała, tylko po prostu chłopiec, zupełnie jak jej chłopcy, jak *wszyscy* chłopcy. Bernie poczuła w piersiach znajome ukłucie macierzyńskiej troski.

— Widziałam cię tu w zeszłym tygodniu — powiedziała, przyjmując drinka. — Wtedy też byłeś zupełnie sam. Co z tobą? Nie masz kumpli?

Mężczyzna zaśmiał się i poczęstował Bernie papierosem.

— Nie — odparł. — Przynajmniej nie w tych okolicach.

— Niedawno się sprowadziłeś?

— Aha.

— Skąd?

— Z różnych miejsc — przerwał, żeby podać jej ognia, a potem spojrzał jej prosto w oczy. — A ty? Mieszkasz tutaj?

Skinęła głową, chcąc mu powiedzieć, że mieszka tuż za rogiem na Beulah Hill, ale się powstrzymała.

— Sama? Zaśmiała się.

— No nie całkiem. Z Gerrym, moim mężem.

— Dzieci?

— O tak. Trzech chłopaków — zamilkła na chwilę. — To śmieszne. Nigdy tak naprawdę

nie chciałam dziewczynki. Zawsze czułam się swobodniej w towarzystwie mężczyzn.

Skinął głową.

— To w jakim wieku teraz są, ci twoi chłopcy?

— Cóż — zaczęła — Tony jest najstarszy. Ma trzydzieści cztery. Sean jest środkowy. Właśnie skończył trzydzieści. I jest jeszcze Ned, najmłodszy, on ma... zaraz, ile on ma lat? Dwadzieścia sześć? Dwadzieścia siedem? Jaki mamy rok?

— Dwutysięczny pierwszy. Policzyła na palcach.

— W przyszłym miesiącu skończy dwadzieścia siedem — uśmiechnęła się z ulgą. Głupio by było nie znać wieku swojego syna. No, ale przecież minęło sporo czasu, odkąd razem obchodzili jego urodziny.

— Dumna jesteś z nich wszystkich?

Bernie pomyślała o swoich chłopcach. O swoich pięknych chłopcach. Oczywiście, że była z nich dumna. Musiała się powstrzymywać, żeby dosłownie nie pękać z dumy.

Tony odniósł sukces w biznesie, miał swoją własną firmę produkującą kartki z życzeniami. Założył ją w jednym pokoju w swoim mieszkaniu, kiedy miał dwadzieścia jeden lat. Teraz zatrudniał dwadzieścia osób i miał piękny dom w Anerley. No, był to może bardziej apartament, po rozwodzie nie mógł sobie pozwolić na kupno całego domu — ale to piękne miejsce, z widokiem na park i prywatnym parkingiem, i chronione kamerami wideo. Teraz trochę się o niego martwiła. Zdaje się, że nie do końca się pozbiierał po tym rozwodzie. Bernie nie potrafiła dokładnie wskazać, co jest nie tak, po prostu nie był do końca sobą.

No i mały Ned — już oczywiście nie taki mały, ma ponad sześć stóp wzrostu i jest chudy jak tyczka. To on był w rodzinie mądrąłą — poszedł na uniwersytet, zdobył dyplom z historii sztuki, nawet przez chwilę pracował w domu aukcyjnym Sotheby's. Ale potem on i Carly się rozstali — Bernie westchnęła na samą myśl, wciąż to odczuwała jak śmierć — i uciekł do Australii z jakąś dziewczyną, którą poznał w barze sportowym na Leicester Square i od prawie trzech lat go nie widzieli. *Trzy lata*. Pracował teraz w kawiarence internetowej w Sydney, najwyraźniej marnując swoje wykształcenie. Ale któregoś dnia wróci, tego była pewna, wróci do domu, gdzie jego miejsce. I wtedy do czegoś dojdzie. Ten chłopak ma taki potencjał, że to po prostu z niego *emanuje*.

No i jest jeszcze Sean. Klejnot w jej rodzinnej koronie. Nie, żeby przyznała się do tego komukolwiek poza samą sobą. Matkom nie wolno mieć ulubieńców. Przez jakiś czas trochę się o niego martwiła, o swojego Seana, trochę był dziki, trochę nieznośny. Przypuszczała, że środ-

kowe dzieci zawsze są takie. Nie mógł się niczego utrzymać na dłużej, co pięć minut miał nową dziewczynę, a każda była śliczniejsza od poprzedniej (sam był jej najładniejszym dzieckiem, to trzeba przyznać). Ale potem, dwa lata temu, napisał tę książkę. Nikomu nie powiedział, że pisze — no, przynajmniej nikomu z rodziny — i nagle jakiś wydawca wypisał mu czek na pięćdziesiąt tysięcy funtów, i zanim się zorientowali, Sean był już we wszystkich gazetach i wszyscy o nim mówili, o *jej chłopczyku*. Jej malutki Seany! Do tej pory nie mogła w to do końca uwierzyć. Jego książka — *Połowa mężczyzny* — taki ma tytuł, jest o chłopcu, którego brat bliźniak ginie w wypadku samochodowym, a on potem wariuje i zaczyna zabijać ludzi. Nie miała pojęcia, skąd Sean brał swoje pomysły, naprawdę. Nie odziedziczył tego po niej — tego była pewna — ona w ogóle nie miała wyobraźni — a jeśli chodzi o Gerry'ego... W każdym razie to była dobra książka. Pewnego wtorku przywiózł jej na rowerze egzemplarz recenzencki, a ona sobie wzięła wolne z pracy i przeczytała całą za jednym posiedzeniem. Jak na jej gust trochę za dużo tam narkotyków, no i swobodnego używania tego wyrazu na „p”, ale książka jest dobra. W twardej oprawie sprzedawała się jakoś tak chyba w ośmiu tysiącach egzemplarzy, a dodruk w miękkiej okładce wyszedł tego lata i ciągle jeszcze był w pierwszej dwudziestce bestsellerów, choć minęło już trzydzieści tygodni. Teraz Sean był sławny i, o Boże, ależ Bernie była z niego dumna. Nie mogła do końca uwierzyć, czego jej się udało dokonać. Wyprodukowała wziętego pisarza! Ze swego własnego ciała. I czuła się bardziej dumna, niż jakiegokolwiek kobiecie wolno było się czuć.

Bernie nigdy nie wiązała ze swoimi chłopcami jakichś wielkich ambicji, nigdy nie oczekiwała, że pójdą na wyższe studia, że zrobią w życiu coś więcej, niż udało się osiągnąć jej i Gerry'emu. Ładny dom, szczęśliwa rodzina, kilka groszy w banku. Wszystko, czego kiedykolwiek chciała dla swoich chłopców, to żeby byli dobrzy. I jeśli wolno jej się przez chwilę chwalić, to uważa, że zrobiła cholernie dobrą robotę. Oczywiście, każda matka uważa, że jej synowie są idealni, ale jej naprawdę byli. Uczciwie musiała im to przyznać.

Bernie odwróciła się do czarnowłosego mężczyzny i uśmiechnęła się.

— Jestem dumna jak paw — powiedziała ze śmiechem i mrugnęła do niego. — Ale która matka nie jest?

— No, to w takim razie jesteście *szczęśliwą rodziną*, tak?

— Co to za pytanie?

— Bardzo interesujące. Bernie znów się uśmiechnęła.

— Tak. Jesteśmy bardzo szczęśliwą rodziną. Mamy szczęście. Moi synowie to dobre

chłopaki. Bardzo dobre.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

— A ty? — spytała. — Masz dzieci?

— Aha — odparł. — No, w pewnym sensie. Mam syna. Będzie miał teraz chyba szesnaście lat, jak mi się zdaje.

— Straciłeś z nim kontakt? Podrapał się po karku.

— No tak. Już bardzo dawno temu. Jego matka nie chciała mieć ze mną nic wspólnego.

Bernie westchnęła i położyła dłoń na ramieniu mężczyzny.

— Biedaczek.

— Tak... No cóż, człowiek zawsze musi jakoś zapłacić za swoje błędy, prawda?

— Jak mu na imię?

— Charlie.

— Ładne imię.

— Tak myślisz? Ja tego imienia nienawidzę. Czasami myślę, czy teraz w ogóle bym go rozpoznał. Wiesz? Gdybym go tak zobaczył na ulicy, albo coś takiego. Mojego własnego syna. Znow zapadło milczenie.

— Słuchaj — powiedział mężczyzna, podnosząc swojego drinka i osuszając go. — Nie chcę ci się narzucać ani nic takiego. Chciałem ci tylko powiedzieć, jaki wspaniały masz głos. Jesteś bardzo utalentowana.

— Bóg zapłać — powiedziała Bernie. — To bardzo miłe i doceniam to. Zobaczę cię tu w przyszłym tygodniu?

Twarz mężczyzny nagle złagodniała.

— Tak — odparł. — Na mur. Będę. A tak przy okazji, jestem Gerwazy.

Bernie szeroko się uśmiechnęła.

— Nie wyglądasz jak Gerwazy — powiedziała.

— Nie — zgodził się. — Nie wyglądam, prawda? Czasami myślę, że nigdy nie było mi przeznaczone być Gerwazym. No wiesz, w jakiejś rzeczywistości równoległej i tak dalej. Wiesz, o co mi chodzi?

Bernie z uśmiechem potaknęła.

— Dzięki za pogawędkę, Bernie. To do zobaczenia za tydzień, co?

— Tak. Do przyszłego.

Skinął jej głową, rzucił swój niepewny uśmiech, a potem wepchnął dłonie w kieszenie

obcisłych dzinsów i niespiesznie wyszedł z pubu w chłód styczniowej nocy.

GERRY OSWAJA TECHNIKĘ

Od: Gerald London [SMTP: grays@graysantiques.co.uk]

Wysłane: sobota, 17 marca 2001 14: 01

Do: Ned London [SMTP: nedlondon@hotmail.com]

Temat: Niespodzianka dla mamy

Cześć, Ned... Co słyhać? Piszę na komputerze w pracy. Deandra mi pokazuje, jak się to robi, więc mam nadzieję, że nic nie pomylę. W zeszłym tygodniu przeglądałem w domu stare szpargały i znalazłem listy, które z mamą do siebie pisaliśmy, jak jeszcze ze sobą chodziliśmy. Okazuje się, że na pierwszą randkę poszliśmy 26 maja 1961, czterdzieści lat temu. Zabrałem ją do Ritza na koktajl, a potem poszliśmy do kina na Piccadilly. Kosztowało mnie to tygodniowe zarobki. Okazuje się też, że w tym roku 26 maja wypada w sobotę, więc sobie pomyślałem, że zamiast obchodzić jak zawsze rocznicę ślubu, tym razem zorganizuję coś specjalnego, czego się nie będzie spodziewała. Chcę dla niej wydać przyjęcie w Ritzu — i zarezerwować kilka pokoi, żebyśmy wszyscy mogli zostać na noc. Raz w życiu, rozumiesz. Rozmawiałem o tym z twoimi braćmi i obaj się zgadzają. W każdym razie — wiem, że z forszą u ciebie krucho, i mogę ci trochę pomóc, może kilka stów. Tony i Sean powiedzieli, że dołożą resztę. Po prostu obciąż swoją kartę kredytową, a my się już tym na miejscu zajmujemy. I może zostaniesz na trochę — twoja mama byłaby najszcześniejszą kobietą w południowym Londynie! I oczywiście Monicę też zapraszamy, jeśli może sobie sama opłacić przejazd. Zarezerwowałem wam dwuosobowy pokój i byłoby szkoda to zmarnować! No, to już lepiej skończę. Odpisz szybko (albo zadzwoń do mnie do pracy) i daj znać, czy ci się uda przyjechać, ale wiesz dobrze, że bez ciebie to już nie będzie to samo.

Pozdrowienia dla Moniki. Ucałowania dla ciebie. Twój tata.

DROGA MON

Niedziela, 8 kwietnia 2001

Droga Mon,

Kiedy dostaniesz ten list, ja już będę w samolocie w drodze powrotnej do Anglii. Na-

prawdę mi przykro, że tak się zwijam bez porządnego pożegnania, ale jak sama wiesz, te ostatnie tygodnie były dla mnie dosyć stresujące, a im bardziej wszystko się komplikuje, tym bardziej my się kłócimy. Dobiło mnie już do końca to, jak straciłem robotę i naprawdę nie widzę w tej chwili żadnego powodu, żeby tu dłużej zostawać. Nie zbudowałem sobie tutaj takiego życia, na jakie miałem nadzieję. Tylko się zapętliłem, wykonując durne roboty i ciągle się spotykając z tymi samymi ludźmi, i z biegiem czasu coraz bardziej i bardziej mi brakuje mojego domu i starego życia. Tęsknię za mamą i tatą. Tęsknię za braćmi. Tęsknię za tym, żeby sobie po prostu usiąść obok Seana na starej kanapie i pooglądać *Simpsonów*, i brakuje mi wszystkich moich starych przyjaciół. Tyle się tam wydarzyło, odkąd tu z Tobą przyjechałem — Sean napisał i wydał książkę, Tony się rozwiódł, a teraz Mama i Tata będą mieli swoją wielką rocznicę. Nie chcę tego przegapić, no i nie chcę już dłużej być z daleka od mojej rodziny. Brakuje mi też Anglii. Pogody, i telewizji, i ludzi. Wiem, że powinienem był poczekać, aż wrócisz do domu, porozmawiać z Tobą twarzą w twarz, ale już tego wcześniej próbowałem i sama wiesz, jak to się zawsze kończy — Ty się całkowicie psychicznie załamujesz, ja się staram cię pocieszyć, i w końcu dalej zostajemy razem.

Zaczęło się między nami tak cudownie, Mon. Poznanie Ciebie to była jedna z najbardziej ekscytujących rzeczy, jakie mi się przytrafiły, a przyjazd z Tobą do Oz — to była największa przygoda w moim życiu, ale to już skończone. Całkowicie. Nigdy mi się tak naprawdę nie udało Cię uszczęśliwić, Monico — Ty to wiesz, i ja to wiem. Myślę, że się ze mną zgodzisz, kiedy powiem, że nasz związek skończył się wieki temu. Nie wiem, co nas tak długo razem trzymało. To chyba była kombinacja lęku i przyzwyczajenia. Kiedy Cię poznałem, byłaś taką silną osobą, Monico, ale pozwoliłaś na to, że przeze mnie stałaś się słaba. Nie mogę się już dłużej Tobą opiekować. Masz przecież tak wiele — jesteś zabawna i fajna, i mądra. Powstrzymuje Cię tylko Twoje własne poczucie niepewności. No i ja. Możesz naprawdę wiele zdziałać w Oz, wiem, że możesz. Musisz się tylko wydostać z tej swojej skorupy i wyjść na świat, znowu stać się tą osobą, którą poznałem na Leicester Square tyle lat temu.

Kocham Cię, Mo, naprawdę kocham. Jesteś jedną z najbardziej niesamowitych osób, jakie kiedykolwiek w życiu znałem, ale na mnie już czas, żebym wrócił do domu, a na Ciebie, żebyś zaczęła żyć własnym życiem, beze mnie. Życzę Ci szczęścia i powodzenia. Zawsze będę o Tobie myślał, Mon. Trzymaj się.

Ned.

PS: Zostawiam 250\$ na czynsz za przyszły miesiąc. Zostawiłem Ci też moją piłkę i

PlayStation, a bilety na Fatboy Slima są w mojej górnej lewej szufladzie. W tym stoiku na kawę przy telefonie jest trochę haszu. Mój samochód sprzedałem Spencerowi. A jak znajdziesz moje piłki golfowe Titleist, to możesz je sobie zatrzymać.

RADOŚĆ RODZICIELSKA Z POWROTU SYNA MARNOTRAWNEGO

Był idealnie ohydny kwietniowy poniedziałek, kiedy Ned w końcu wrócił do domu. Miasto dyszało ciężko pod grubym, szarym kocem chmur, a powietrze śmierdziało mokrymi ceglami i spalinami.

Londyn, pomyślał Ned, patrząc przez zaparowane okno taksówki na odrapane podwórko starej wypożyczalni samochodów. Patrz. Tylko patrz.

Jest taki piękny...

Taryfa sunęła gładko przez puste ulice południowego Londynu, zatrzymując się niepotrzebnie na wyludnionych skrzyżowaniach, ślizgając się na rondach. Ned uśmiechnął się, kiedy dostrzegł telewizyjny maszt Crystal Palace — od urodzenia był to dla niego symbol powrotu do domu.

We mgle, która wisiała nad Brockwell Park, poruszało się kilka pojedynczych, widmowych postaci; poranni wyprowadzacz psów, pacjenci dochodzący do szpitala Marsden. Mężczyzna w czerwonej, nieprzemakalnej kurtce ćwiczył t'ai chi pod ledwie co pączkującym drzewem kasztanowca. W dół przez Norwood Road, wzdłuż cmentarza West Norwood i w górę na Beulah Hill. I oto jest: numer 114. Jednopiętrowa georgiańska willa, trochę jak dom z dziecięcego rysunku. Schody prowadzące na ganek z szarego kamienia, dębowe drzwi z małymi okienkami po każdej stronie. Dom wyglądał na bardziej zaniedbany niż kiedykolwiek. Kremowy tynk odpadał całymi plastrami, zeszłoroczne jesienne liście wciąż zalegały wysokimi kopcami pod frontową ścianą, którą przecinały gdzieniegdzie strumyczki zielonej pleśni.

Na trawniku przed domem wciąż stał pod wyblakłą od słońca plandeką mały trójkołowy samochodzik z przezroczystym dachem, który Tony kupił sobie za pierwszą wypłatę, kiedy miał siedemnaście lat. Przed zdezelowanym samochodem stała jeszcze vespa Seana, niegdyś jego największy skarb i centrum jego wszechświata, teraz zardzewiała i żalosna maszyna, oparta niedbale o zestaw odrapanych szuflad. Drugą stronę trawnika zajmowały ustawione w stylu Stonehenge stare edwardiańskie, wiktoriańskie i georgiańskie kominy, a między tym wszystkim

pyszniły się wszelkie gatunki bujnych i nader zdrowych chwastów.

Kiedyś Ned zaprosił do domu kolegę z uczelni, który mieszkał w tej samej dzielnicy. Patrzył dosyć niepewnie, jak Ned wchodzi po frontowych schodkach, podzwaniając kluczami.

— Ty tu mieszkasz? — spytał.

— Aha — odparł Ned.

— Kurde, zawsze myślałem, że ten dom to squat.

Teraz, wraz z nowo nabytym obiektywizmem Ned mógł stwierdzić, że rzeczywiście dom tak właśnie wyglądał.

Przerzucił plecak przez ramię i cichutko wszedł na ścieżkę, odkopując po drodze jakąś starą gazetę. Klucz w drzwiach zabrzmiał tak znajomo, jakby słyszał ten dźwięk zaledwie kilka godzin wcześniej. Nawet po tych wszystkich latach pamiętał, że musi przekręcić klucz dokładnie pod pewnym kątem i pchnąć z precyzyjnym naciskiem nadgarstka, i oto drzwi wejściowe stanęły otworem.

Burdel. Totalny, niewiarygodny burdel. Uśmiechnął się kwaśno i przestąpił przez wielkiego, wypchanego królika, wielkości mniej więcej rottweilera, który z jakiegoś nieznanego powodu miał przypiętą skautowską odznakę Tony'ego, a na podolku ułożoną paczkę tytoniu. Wejście do domu Londonów z szarej ulicy było jak skok z monochromatycznego świata w żywioł technicoloru. Wyblakłe zewnętrzne ściany domu maskowały istnienie wnętrza, dla którego słowo „eklektyczny” było określeniem aż nazbyt mizernym.

Bernie i Gerry mieli bardzo pobłażliwy stosunek do kwestii wystroju wnętrza i nie czynili najmniejszego wysiłku, by przejąć jakąkolwiek kontrolę nad swymi materialnymi dobrami. Nie to, żeby mieli zły gust. Tu i ówdzie pojawiały się miejsca z klawi, stylem, jak wyjęte z magazynu „Elle Decoration”. Gerry był handlarzem starego srebra, miał swój od dawna prosperujący punkt na targu staroci Grays przy South Molton Street. Bernie pracowała jako kupiec biżuterii dla Adlera na Clapham Junction. Umieci się poznać na tym, co dobre. Problem polegał na tym, że potrafili też być całkowicie ślepi na rzeczy absolutnie okropne. Jak ten wazon z ciętego kryształu z małym ceramicznym kotkiem siedzącym na brzegu, który był gwiazdkowym podarunkiem od byłych teściów Tony'ego. Wazon zajmował poczesne miejsce na kredensie, mimo że Bernie od początku go nienawidziła i choć możliwość, że ex-teściowie Tony'ego kiedykolwiek jeszcze przestąpią ich próg, była równa zero. Bernie po prostu zapomniiała, że go nienawidzi. Podobnie jak dywanu, który był już w domu, kiedy go kupili, czyli trzydzieści lat temu, i miał klasyczny, brytyjski wzór „zawijasów i rombów” w zabójczych odcieniach musztardy i

dziecięcej kupy. Kominek w dalszym ciągu ozdabiała tapeta udająca prawdziwe cegły, którą położyli, kiedy była „nowoczesna”, czyli w latach siedemdziesiątych, a nad kominkiem wisiało całkiem niezłe późnoedwardiańskie lustro, które jednak wiele lat temu spadło z haka i pękło na dwie części. Inni ludzie by zakrzyknęli o siedmiu latach pecha i pognali z lustrem do lustrzane-
go pogotowia, żeby je naprawić. Bernie i Gerry po prostu je podnieśli i powiesili z powrotem nad kominkiem, a wykoślawione odbicie pokoju stało się odtąd kolejnym aspektem ich domu, do którego przywykli.

Jednakże tym, co odróżniało dom rodziców Neda od innych źle umeblowanych wnętrz, były rupiecie. Nie tylko normalne rodzinne archiwalia, które walają się po domu, oczekując na swoją kolejkę transportu do charytatywnej organizacji Oxfam. Prawdziwe, autentyczne rupiecie. Stare szuflady, połamane krzesła, manekiny sklepowe, pudełka z rdzewiejącymi sztucami, stare kartki świąteczne, rozmaite członki i kawałki lalek, nieokreślonej proveniencji części różnych urządzeń, zaśniedziałe zasłony. Poza tym były tu rzeczy, które zajmowały najzwyczaj-
niej *nie swoje miejsce*. Plastikowa huśtawka w holu. Wózek spacerowy w salonie. Zasłonka do prysznicza oddzielająca toaletę na parterze od kuchni. Calusieńkie drzwi frontowe, wraz z przy-
twierdzoną do nich skrzynką na listy, klamką i numerem 15, wiszące pomiędzy pokojami z tyłu i z frontu parteru. Potwornie stary konik na kiju ze zmatowiałą grzywą i dorysowanymi wąsami pełnił straż u stóp schodów.

Gerry był łowcą skarbów. Nie potrafił przejść spokojnie koło śmietniska, żeby go troszkę nie przekopać i nie wyciągnąć choćby jednego, małego trofeum, czy to starego telefonu, czy kawałka listwy podłogowej. Bernie nie była lepsza. Znosiła do domu dziwaczne eksponaty i dekoracje z magazynu Adlera, rzeczy, które normalnie by wyrzucono. Mówiła, że jej smutno, kiedy myśli o tym, jak przez kilka tygodni te kawałki pomalowanego plastiku piękne były i błyszczące, i przyciągały do sklepu klientów, a potem się ich pozbyto, jak dziecięcych aktorów, gdy wchodzi w wiek dojrzewanania.

Ned przez chwilę chodził od pokoju do pokoju. Wdychał zapachy — politura, wykładzi-
na, psia sierść. Napawał oczy scenografią — rupiecie, tekturowe pudła, sterty gazet, porzucone robótki ręczne. Myślał: oto ja, cały ten bałagan i chaos, te sterty i zwały. To mnie ukształtowało i tutaj przynależę. I dlatego właśnie wcześniej nie zadzwonił, nie powiedział nikomu, że przy-
jeżdża. Chciał zobaczyć dom dokładnie taki, jaki zostawił trzy lata wcześniej, a nie jakąś wy-
sprzątaną na ostatnią chwilę, poukładaną podróbkę, wypełnioną ciociami i wujkami, i sąsia-
dami, i kanapkami z pasztetem z kurczaka i zapiekanką z wieprzowiny pokrojoną na kwadraci-

ki. Bo chciał poczuć zapach łóżka na swoim tacie i zobaczyć talerze z poprzedniego wieczoru wrzucone do kuchennego zlewu.

Usłyszał sapanie i szuranie dochodzące z drugiej strony holu.

— Goldie!

Stareńki, wyliniały golden retriever uniósł nos w powietrze, obrócił się i powoli, acz entuzjastycznie rozpoczął wędrówkę w kierunku Neda, który osunął się na kolana, by go powitać. Goldie miał piętnaście lat i wyglądał tak, jakby jego też znaleziono na śmietniku. Nosił odrapaną obrozę, a nad lewym okiem widniała wygolona łąta spięta czarnymi plastikowymi szwami, oznaczająca kolejny wypadek. Oczy były mętne i prawie zupełnie zaślepione kataraktą. Otwierał i zamykał pysk, jakby naśladował szczekanie, którego już nigdy nie będzie mógł z siebie wydać, odkąd pięć lat temu laryngektomia pozbawiła go głosu. By zrównoważyć brak wokalne komunikacji, merdał ogonem na cały regulator, a jego pysk był rozciągnięty w grymasie, który Ned zawsze uważał za uśmiech.

— Ooo tak, ooo tak, Goldie, piesku, wróciłem! Jestem w domu!

Ned chwycił za sierść, która wystawała spod obroży, i radośnie go podrapał, starając się uprzejmie ignorować fakt, że kochany stary Goldie cuchnie jak wszyscy diabli.

Zdjął buty i cichutko, na palcach wszedł na schody, stopy w skarpetkach instynktownie same omijały trzeszczące miejsca i podstępny „siódmy schodek”, którego nikt nie naprawił od czasu, jak Gerry wpadł w niego wiele lat temu, goniąc za Tonym, na górę, żeby mu dać w skórę.

Zatrzymał się u szczytu schodów, żeby popatrzeć na te wszystkie zdjęcia wiszące na ścianach, pożółkłe i wyblakłe od słońca i starości. Ned, Tony i Sean na plaży w Margate, Bernie w słomkowym kapeluszu, Sean na karuzeli w wesołym miasteczku, Tony i Ned siedzący na stopniach domu w nylonowych szortach, ze spalonymi słońcem nosami, cała ich trójka w strojach od Pierwszej Komunii — dopasowanych, białych krótkich spodenkach, białych wykrochmalonych koszulach i muszkach. Rodzinne podobieństwo było niesamowite. Wszyscy trzej mieli tak samo obcięte brązowe włosy, trójkątne nosy, wyraziste brody, błękitne oczy i odstające uszy. Ned był chudy, jak jego tato; Tony i Sean trochę mocniej zbudowani, jak mama. Ned uśmiechnął się do zdjęć, które tak bardzo były częścią niego, i skierował się na koniec korytarza, do sypialni rodziców.

Sypialnia rodziców była w pewnym sensie sercem domu. Na ich łóżku zbierali się wszyscy w niedzielne poranki, oglądali w telewizji programy dla dzieci i jedli swoje płatki, a Mama

i Tato przeglądali gazety i pili liściastą herbatę, która parzyła się w dzbanku stojącym na nocnym stoliku.

Drzwi były otwarte — w domu Londonów nie istniało coś takiego jak zamknięte drzwi — i odgłos chrapania Bernie był niemal ogłuszający. Ned pchnął drzwi powoli i zajrzał do środka, żeby na nich zerknąć. Ich łóżko było ogromnym, obszytym falbankami i koronkami projektanckim wybrykiem, który Bernie kupiła w latach siedemdziesiątych w Bibie. Miało cztery kolumnienki i baldachim, z którego we wszystkie możliwe strony wylaziły druty. Przez lata Bernie przyczepiała do tych koronek rozmaite rzeczy — jedwabne kwiatki, piórka, rozetki, maleńkie sztuczne ptaszki. Pod tym ukwieconym sklepieniem leżeli teraz jego rodzice. Ned poczuł kulę wzruszenia w gardle, kiedy na nich spojrzął. Ojciec spał skulony na boku z rękami włożonymi pod policzek, jak małe dziecko. Jego głowa miała ten sam kształt co piłka do rugby, a od brody po sam czubek porastały ją śnieżnobiałe, krótko obcięte włosy, z dwoma gołymi miejscami tam, gdzie miał kości policzkowe. Na jego nocnym stoliku leżały okulary i powieść Patricka O'Briana.

Matka Neda leżała płasko na plecach, jej gęste włosy koloru miodu były rozsypane na poduszce, zielona poliestrowa koszula nocna wznosiła się i opadała z każdym potężnym chrapaniem, maseczka na oczy marki Virgin Atlantic utwierdzona była do głowy czarną gumką, a gładkie policzki błyszczały od nocnego kremu. Na jej nocnym stoliku leżały okulary i książka Mayi Angelou.

— Mamo, Tato — wyszeptał całkiem głośno. Tato drgnął, ale dalej głęboko spał.

— Mamo, Tato, to ja. Obudźcie się — szepnął jeszcze głośniejszym głosem i na palcach podszedł do łóżka.

Mama stęknęła i przekreśliła się na bok, a tato znów się poruszył.

Ned potrząsnął ojcem, który się obudził nagle i gwałtownie. Otworzył oczy, spojrzął prosto na Neda, zamruczał coś niezrozumiałego, a potem odwrócił się na drugi bok i pierdnął.

Ned westchnął i zdecydował, że spróbuje później. Poszedł do swojego pokoju.

Jego pokój był jedynym spośród pokoi chłopców, który nie został zalany przez bezwzględną powódź rupieci. Bo on nigdy się nie wyprowadził. Nawet kiedy trzy lata temu wyjeżdżał, to przecież nie *odchodził z domu*. Był całkowicie przekonany, że wróci za sześć miesięcy. Zdawał sobie sprawę, że niektórym mogło się to wydawać dziwaczne, by w jego wieku dobrowolnie wybrać mieszkanie z rodzicami. Ale dlaczego nie? To był kapitalny dom, w świetnym miejscu, jedyne dwadzieścia minut pospiesznym autobusem linii 68 do centrum mia-

sta, jego rodzice byli najfajniejszymi rodzicami pod słońcem i uwielbiał z nimi mieszkać. Po co się spinać na czynsz w jakimś gównianym, wynajętym mieszkaniu, dzielonym z innymi, albo wykrwawiać na spłacanie zabójczych rat za własne?

Nie, dawał sobie czas do trzydziestki, zanim miał zamiar w ogóle zacząć myśleć o wyprowadzeniu się z domu.

Pchnął drzwi swojego pokoju, serce wypełniło mu ciepło i oczekiwanie. Odwrócił się lekko, żeby sięgnąć do włącznika światła, nacisnął go, a potem wrzasnął co sił w płucach, kiedy na jego łóżku nagle usiadł zupełnie prosto kompletnie nieznanego mężczyzna. Bardzo blady mężczyzna z zafarbowanymi na czarno włosami, przystriżonymi na niemal niewyobrażalnie geometryczny, płaski czubek. Facet miał na sobie jedynie cały zestaw kolczyków i tatuaż pajęczej sieci na szyi.

— Jezu, kurwa, Chryste! — jęknął Ned, łapiąc się ręką za serce.

— Urgh? — powiedział facet w łóżku.

— Jezu, kurwa, Chryste, kto ty, kurwa, jesteś?

Mężczyzna przez chwilę patrzył na Neda zmrużonymi oczyma, jedną ręką sięgając równocześnie do popielniczki, stojącej na nocnym stoliku i wyciągając z niej do połowy niedopalonego peta. Włożył go do ust, zapalił zapalniczką Zippo, zaciągnął się, a potem strzelił palcami i się uśmiechnął.

— Ned? — spytał. Głos miał głęboki i zachrypnięty.

— Aha — mruknął Ned wciąż oparty plecami o ścianę, z brwiami uniesionymi hen pod linię włosów.

Facet na łóżku wypuścił dym i zaniósł się bolesnym, duszącym kaszlem palacza. Odłożył peta na popielniczkę i podniósł się z łóżka, wciąż kaszląc. Miał na sobie czarne slipki, był straszliwie blady i nieprawdopodobnie chudy — silne mięśnie pokryte jedynie cieniutką warstwą skóry, co, jak zauważył Ned, upodabniało go do myśliwskiego charta. Miał na sobie więcej tatuaży. Na przedramieniu flagę konfederatów, na drugim ramieniu zarys sylwetki Marilyn, a w poprzek bezwłosej klatki piersiowej biegły słowa „Żyj szybko, umieraj młodo”.

— Dużo o tobie słyszałem — chwycił bezwładną dłoń Neda i potrząsnął. — Jestem Gerwazy — powiedział, a potem wrócił z powrotem do łóżka i do swojego tłącego się ciągle peta. Zaczął kasłać jeszcze mocniej, a potem wytwarzać całą gamę nieokreślonych dźwięków w nozdrzach i gardle.

— Dobra, ale — kim ty jesteś?

— Bernie ci nie powiedziała?

Nedowi nie spodobało się, że wymawia imię „Bernie” z taką poufałością. Pokręcił przecząco głową.

— Jestem lokatorem.

— Lokatorem?

— Aha. No kumas — ja płacić forszę, ja dostać pokój.

— No... ale to jest mój pokój.

— To, Ned — powiedział Gerwazy, kiepując papierosa i niemal równocześnie wyciągając kolejnego z paczki chesterfieldów — pozostaje kwestią negocjacji.

A potem podszedł do umywalki w kącie pokoju, pochylił się i jednym szybkim charknięciem wypluł do niej zawartość swoich płuc.

SCHUDNIJ OD ZARAZ

To był stały scenariusz: Millie — mocne uda zaciśnięte na bokach białego ogiera, gęste kasztanowe włosy płyną w powietrzu, nie kończą się plaża, spienione fale rozbijają się o brzeg. Tony — szczupły, ubrany w biały len, leży na hamaku, obserwuje ją. Może jeszcze jakiś ptak, drozd. Nie był pewien.

Ona zsiada z konia i podchodzi do niego, na jej ustach igra półuśmiech, jedna brew lekko uniesiona. Na policzku ma ślady piasku, który błyszczący jak pokruszone diamenty. On wyciąga dłoń, żeby go zetrzeć, a wtedy ona przytrzymuje jego nadgarstek i uderza go mocno w twarz. A potem, tą samą ręką, którą go uderzyła, sięga do jego spodni i chwyta go. Czuł to tak, jakby trzymała go swoim gardłem, swoim gorącym, czerwonym gardłem. Nie umiał tego inaczej wytłumaczyć. Czuł jej oddech na policzku, jej oczy wpatrywały się w jego twarz, jej ręka-gardło trzymała go mocno, posuwając się w górę i w dół, w górę i w dół. Nachyliła się do jego ucha i wciąż poruszając nim w górę i w dół, w górę i w dół, szepnęła:

— Jesteś bogiem, Anthony. Jesteś *bogiem*.

A potem się obudził. Akurat w momencie, kiedy miał się spuścić. Tak było co noc. Kurwa, co noc. Nie był pewien, czy było to przyjemne czy koszmarnie, piekło czy łaska, ale przynajmniej nie brudził sobie pościeli.

Ciężko zwał się z łóżka i nawykowo skonfrontował się z lustrem. Jeszcze dwa lata temu patrzył w lustro i widział lekko przyciężkiego mężczyznę z rosnącym brzuszkiem i tro-

szeczkę zbyt wydatnymi piersiami, trzydziestokilkulatka, który wyglądał, jakby sobie nie szczędził kilku dobrych drinków czy dodatkowego piwka, ale wyrównywał to na siłowni, albo grając od czasu do czasu w piłkę. Teraz spoglądała na niego okrągła, śnieżnobiała bania z brzuchem tak wielkim, że mógłby pomieścić pięcioletnie dziecko, i smutnymi, lekko obwisłymi piersiami, które były większe od biustu Ness (a tak — zmierzyła je).

Rok temu rzucił palenie i od tej pory nic, tylko jadł. Chodzenie z Ness jeszcze pogarszało sprawę. Ness była sybarytką, obżartuchem, kompletnym pieprzonym prosiakiem. Nigdy nie spotkał kobiety jedzącej tyle, ile ona była w stanie w siebie wepchać. Naprawdę wkurzało go jednak to, że ona miała szybki metabolizm i ciągle wyglądała jak szczapa, za to Tony miał metabolizm ślimaka w chronicznej depresji i teraz był po prostu tłusty. Westchnął, odwrócił się plecami do okrutnej prawdy, jaką było jego trzydziestoczterolatnie ciało, i zaczął się szykować do pracy.

Pod prysznicem znów pomyślał o Millie. Ostatnio myślał o Millie właściwie cały czas. Ale dziwniejsze od myślenia o niej było to, że sobie wyobrażał, iż ona go *obserwuje*. Cokolwiek robił, cokolwiek mówił, widział Millie unoszącą się gdzieś pod sufitem w kącie pokoju, osądzającą go, oceniającą, przyznającą mu punkty. Była wszędzie — w domu, w biurze, w samochodzie. Kiedy zrobił coś głupiego, czerwienił się. Jak zrobił coś fajnego, sapał z dumy. Kiedy był nagi, wciągał brzuch, pod prysznicem śpiewał tylko takie piosenki, do których znał słowa, nie dłubał w nosie, nie pierdział, nawet kiedy był zupełnie sam. No, w każdym razie z pewnością nie głośno.

Spotkał ją tylko raz, tydzień temu, w barze przy Charlotte Street. Przyszła, kiedy on i Ness akurat zbierali się do wyjścia. Rozmawiali nie dłużej niż pięć minut. Ona była ze swoim chłopakiem. Fajnym facetem, ale nie dość dobrym dla niej — przewyższała go o kilka klas. On był chłopcem. Ona *kobietą*.

Jeśli chodzi o kobiety, Tony nigdy nie był specjalistą od szczegółów. Nigdy nie pamiętał takich rzeczy jak kolor oczu (Millie miała oliwkowozielone ze złotymi cętkami), nie zauważał ślubnych obrączek (Millie nosiła trzy srebrne pierścionki na trzech palcach prawej ręki i żadnego na lewej). I nigdy nie potrafił znaleźć słów na opisanie takich detali, jak włosy (Millie miała brązowe włosy w około stu różnych odcieniach miodu, mahoni, kasztana i czerwieni. Były gęste i sztywne, a ona rozmawiając, chwytła je mocno dłonią, jakby im pokazywała, kto tu rządzi) albo ubiór (Millie miała na sobie obcisłą Czerwoną kamizelkę bez rękawów i dżinsy biodrówki, które pokazywały około pół centymetra opalonego brzucha). Jej głos był gardłowy i

lekką zachrypniętą, miała zmarszczki-śmieszki, paznokcie obcięte krótko, na kwadratowo. Jej skóra miała kolor sugerujący jakieś bardzo dalekie egzotyczne pochodzenie, może latynoskie, może środkowowschodnie. Trzymała paczkę marlboro light w tej samej ręce co butelkę Stelli i śmiała się śmiechem, jakiego nigdy wcześniej nie spotkał u kobiety. W świetle pubu widoczne były duże białe zęby, trzy plomby i gardło, różowe i wilgotne.

Camilla, tak miała naprawdę na imię.

— Nikt do mnie nie mówi Camilla — wyjaśniła, kiedy jej chłopak ją przedstawił. — To brzmi tak, jakbym miała butik z pedziowatymi torebkami gdzieś w Chelsea albo coś podobnego. Mów do mnie Millie.

Millie. Millie Millie Millie. *Millie*.

Ręka Tony'ego nieświadomie sama znalazła drogę do jego krocza. Niecierpliwie ją pode-rwał. Nie miał czasu na walenie konia. Już był spóźniony. Wyszedł spod prysznic, wysuszył się, poszedł do garderoby i zaczął ze smutkiem przeglądać te wszystkie ciuchy, których nie mógł już nosić. Koszule, które kupił w zeszłym roku, bo były wygodne i obszerne, koszule, które nosił na wierzch, nie wpuszczone w spodnie, teraz napinały mu się na brzuchu. A w miarę jak jego rozrastające się ciało zmuszało ubrania do naciągania się w poprzek, tym bardziej kurczyły się wzdłuż i teraz spod niemal wszystkich spodni wystawał mu u dołu co najmniej centymetr skarpetek.

Mów mi Millie. Millie Millie Millie.

Uśmiechnęła się do niego, kiedy wychodzili. I nie był to uśmiech w stylu „Dzięki Bogu, że już sobie idą i nareszcie modemy być sami”. To był uśmiech „Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy”. To był uśmiech „Interesujesz mnie”. Coś obiecywał. Coś konkretnego.

Był na tyle przewidujący, żeby zaplanować coś na przyszłość. Dosłownie w ostatniej chwili, kiedy już stali przy drzwiach, zaprosił Millie i jej chłopaka na swój urodzinowy obiad w następnym tygodniu. Powiedzieli, że przyjdą. Oczywiście nie była to sytuacja idealna. Jej chłopak stanowił pewien problem. Podobnie jak fakt, że Tony był gruby i w nie najlepszej formie. Ale obie te rzeczy można było zmienić. Chłopaka mogła rzucić. Tony mógł schudnąć. To był plan długoterminowy. Jeśli tylko będzie miał możliwość, by znów ją zobaczyć, wszystko inne jakoś się ułoży. Był tego pewien.

Tony'ego nie bardzo zaprzętała do tej pory myśl, jakie miejsce w jego planach przypadnie Ness. Na krótką metę pewnie całkiem dobrze się składało, że ma dziewczynę; dawało mu to Kobiecą Gwarancję Jakości. To, że miał dziewczynę, zwłaszcza taką sztukę jak Ness, znaczyło

bowiem „Nie jestem smutnym, grubym rozwodnikiem w drodze do piekła obiadów z mikrofali i wczesnego ataku serca. Jestem facetem, który potrafi funkcjonować w normalnym, zdrowym związku, który regularnie uprawia seks i z którym kobiety lubią przebywać. Jestem Anthony London, świetnie prosperujący biznesmen ze sprawnie funkcjonującą erekcją i fantastycznymi umiejętnościami towarzyskimi. Jestem gotowym materiałem na świetnego męża”.

Ubrał się, zjadł śniadanie i zrobił coś z włosami za pomocą substancji zwanej „serum pogrubiające”, która jednakże nie zdawała się w najmniejszym stopniu działać zgodnie z nazwą, a potem chwycił teczkę i laptopa i wyszedł z mieszkania. Co za wstrętny dzień — tak mokro i ciemno, jakby w nocy ktoś narzucił na cały świat burą plandekę. Podszedł do swojego samochodu, jasnoczerwonego MX5. Babski wóz. On chciał starego mercedesa albo porschaka — za te sześćdziesiąt tysięcy, które miał do wydania, można było dostać coś całkiem seksownego — ale z jakiegoś powodu pozwolił Ness, żeby go przekonała właśnie do tego auta. Zasilanie kierownicy, tak powiedziała. Dobre ogrzewanie. Łatwo się otwiera dach. *Niezawodny*. No i miała rację. Samochód był w porządku, tylko po prostu nie był dla *niego*. I żeby być zupełnie szczerym, trochę w nim było ciasno — to był japoński wóz, zaprojektowany dla *małych* Japończyków, którzy się żywili wodorostami, a nie dla dorodnych angielskich facetów łykających guinnessa.

Zatrzymał się, żeby wyjąć coś zza wycieraczki — małą zieloną karteczkę.

Schudnij od zaraz! Szukamy 100 osób z nadwagą, mieszkających w okolicy. Proszę dzwonić do Wendy na 07978245542

Westchnął, wyrzucił kartkę do rynsztoka, pochylił się i wsiadł do swego malutkiego samochodu, starając się zignorować wrażenie, że przypomina to wciskanie kołdry do szuflady. Ruszył do biura.

Kwadrans później był już na Clapham Pavement. Wysiadł z samochodu i umykając na bok przed przerażającą grupą dziewczynek w szkolnych mundurkach, niemal zderzył się z metalowym stojakiem reklamowym, którego z całą pewnością nie było tu poprzedniego dnia.

Zrobił to dla Millie. Lodowatym wzrokiem przyjrzał się reklamie, z której spoglądał na niego potwornie gruby mężczyzna z co najmniej dwunastoma podbródkami, ubrany w obszerny T-shirt.

Masz nadwagę? Chcesz zrzucić kilka funtów? Schudnij szybko w naturalny sposób. Pierwsza lekcja darmowa.

Co jest? — pomyślał Tony. Co się dzieje? Czy to jakaś zmowa?

Bryan stracił 31 funtów zaledwie w osiem tygodni.

Te słowa zaprowadziły go do kolejnego zdjęcia „Bryana”. Tym razem miał na sobie jaskrawe kwieciste spodenki do surfingu, przykucał na desce na falach i dumnie przeżył mięśnie. Akurat, myślał Tony, patrząc to na pierwsze, to na drugie zdjęcie. Nie ma takiej możliwości, żeby to był ten sam koleżka. Po pierwsze wyglądał o jakieś dziesięć lat młodziej. Ale to jednak jest Bryan, pomyślał, przyglądając się z bliska. To naprawdę ten sam. Cholera jasna, świetnie wygląda. Tony nieświadomie pomacał się dłońmi po brzuchu i starał się zwizualizować prężne mięśnie ukryte gdzieś głęboko pod miękkim tłuszczem.

Proszę wziąć ulotkę

Tony rozejrzał się ukradkiem, czy nikt nie patrzy, chwycił ulotkę i wcisnął ją szybko do kieszeni płaszcza. Potem zaczął iść niesamowicie szybkim krokiem w kierunku swojego biura.

STARSZA KOBIETA SEANA

Sean został obudzony o dziesiątej trzydzięci przez grubego kota, który nagle wskoczył na łóżko i w akcie jakiegoś autodestrukcyjnego kociego szaleństwa kotłował się na plecach i tylnymi łapami walił sam siebie po pyszczku.

— Błazen — powiedział Sean, przecierając dłońmi twarz. — Jesteś totalnym kocim błaznem.

Nie był to bynajmniej jego kot. To był jej kot. Jego Starszej Kobiety. Mieszkanie też było jej.

Poznał ją przed dwoma miesiącami w restauracji w Covent Garden, tę swoją straszą kobietę. On jadł akurat lunch ze swoim agentem, a ona jadła lunch sama. Pokonywała wielką miskę rokietty, którą wpychała sobie do ust widelcem, w drugiej ręce trzymając gazetę — kiedy po raz pierwszy na nią spojrzał, akurat z ust zwisał jej kawałek sałaty, kropla sosu wisiała na brodzie, a ona starała się wpakować ten zwisający kawałek zieleniny palcem do swych idealnych ust. Podobało mu się, że tak się opycha. I to, że je lunch zupełnie sama. I podobało mu się, że za każdym razem, kiedy na nią spoglądał, miał wrażenie, jakby patrzył prosto w oczy swojej przyszłości.

Była starsza niż te, z którymi się zwykle zadawał. Pomyślał, że pewnie jest w jego wieku, może ciut starsza. Zaskoczyło go, kiedy się później dowiedział, że jest starsza aż o sześć lat.

Jego ostatnia dziewczyna miała dwadzieścia dwa lata. A przedostatnia — dwadzieścia. Najstarsza kobieta, z którą do tej pory był, miała lat dwadzieścia osiem. Zwykle wybierał blondynki. Ta była szatynką. Jego dziewczyny zwykle ubierały się konwencjonalnie. Jej styl miał coś z cyganerii, bluzka w starym stylu, duże koła kolczyków w uszach.

Jego agent zauważył, że Sean nie bardzo skupia się na rozmowie.

— Co jest? — spytał, idąc za wzrokiem Seana, by sprawdzić, co go tak rozprasza. Kiedy ją zauważył, pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Aha — mruknął. — Kapuję. Może jej pošlesz kieliszek szampana?

Na początku Seana odstręczył taki pomysł. Łatwe i oklepane. Tak robili inni mężczyźni. To było nie w jego stylu. Ale przecież, pomyślał po chwili, ona też nie była. Jednakże agent miał absolutną rację, bo okazało się, że ona jest dokładnie taką kobietą, która umie docenić szampana przesłanego przez nieznanego mężczyznę — to szło w parze z jej awanturniczym duchem. Jego agent dyskretnie się wycofał z restauracji, a ona podeszła i usiadła przy jego stoliku. Z bliska wyglądała jeszcze atrakcyjniej niż z daleka. Miała inteligentną urodę, gładką oliwkową skórę, piękny zapach, zaraźliwy śmiech. Namówił ją, żeby na resztę dnia urwała się z pracy, i pili razem szampana, zanim nie pojawili się pierwsi wieczorni goście. A potem poszli do niej i od tamtego dnia niemal nie opuszczał jej mieszkania. I kto mógł go winić? Miejsce było oszałamiające. Olbrzymie mieszkanie z jedną sypialnią, urządzone w jednym z tych wielkich, ozdobionych sztukaterią kamienic w Paddington. Sufity wysokie na dwanaście stóp, drewniane podłogi, okiennice, wielkie okna. Stylowy wystrój odzwierciedlał jej pracę — była wykładowcą projektowania wnętrz w London College of Art and Design. Teraz znów rozglądał się po jej sypialni, podziwiając stare, stylowe narzuty, miękkie aksamitne poduszki, obrazki w pozłacanych ramkach i ozdobne lustra. Było to stylowe, ale nie pretensjonalne, bogate, ale nie wystawne, proste, lecz dekoracyjne. Sean w zasadzie nie znał się na wnętrzach, nie zwracał uwagi na to, co do czego pasuje. Wolał raczej meble. Uważał, że człowiekowi potrzebne jest po prostu kilka mebli, i może jakaś lampa albo dwie. Ale to mieszkanie uwielbiał. Bawiło go i otulało, dawało mu poczucie, że należy do jakiegoś zaczarowanego świata — zupełnie jak ona.

Wygospodarowała dla niego niewielkie miejsce do pracy w sypialni, przy oknie. Znalazła mu biurko z pokrytym skórą blatem i stare, skórzane, obrotowe krzesło. Bardzo ją cieszyła myśl, że on właśnie tutaj pisze, w jej mieszkaniu, że szukając inspiracji, patrzy przez okno na jej ulicę. Nie było w tym jednak nic w stylu „Och, mam w swojej sypialni słynnego pisarza, tworzącego swe kolejne dzieło”, ale raczej zadowolenie, że może być pomocna. Uwielbiała być

przydatna. Nic nie czyniło jej szczęśliwszą.

Jakże więc mógł jej powiedzieć, że od dnia, kiedy pierwszy raz ją zobaczył, nie napisał ani słowa? Jak mógł jej powiedzieć, że to krzesło i lampa, i widok na Sussex Gardens w ogóle go nie inspirują, że gdy ona wychodzi co rano do pracy, on znów zasypia albo ogląda telewizję?

Jego wzrok padł na uśpionego laptopa, tego laptopa za całe tysiąc dwieście funtów, którego kupił sobie zaledwie siedem miesięcy temu z wynoszącej pięćdziesiąt kawałków zaliczki, jaką wydawca zapłacił mu szesnaście miesięcy temu za jego drugą powieść. Powieść, którą miał dostarczyć za dwa miesiące, a która zgodnie ze statystyką wyrazów na komputerze składała się obecnie z zaledwie 12 345 słów.

Jezu, myślał, obracając się na drugi bok, ta pieprzona książka go prześladowuje. Za każdym razem, kiedy był szczęśliwy, za każdym razem, kiedy czuł, że jego życie jest idealne, przypominał sobie o „książce” — o tym gargantuicznym zadaniu, które musi wykonać, o tej niezdobytej górze, na którą musi się wspiąć. I nagle uświadamiał sobie, jak niepewne jest naprawdę owo „szczęście”, które osiągnął. Wisiało na cienkim włosku osiągniętego sukcesu, bycia na fali. A być na fali to coś innego, niż być wysokim czy być mężczyzną. Sukcesu nikt ci nie zapewniał na zawsze. Sukces mógł ci zostać odebrany w jednej chwili — albo raczej sam się *ulotnić*. A kimże Sean byłby bez swojego „sukcesu”, bez tej aury, którą osiągnięte powodzenie roztaczało wokół jego osoby? Byłby znowu niechlujnym, nieodpowiedzialnym Seanem. I co, na Boga, miałby wtedy do zaoferowania swojej *starszej kobiecie*? Temu niezwykłemu stworzeniu, które dopiero co spotkał, które nigdy nie znało go jako Seana Londona, kierowcy z Office Supplies. Kobiecie, która znała go tylko jako Seana Londona, zdobywcę Nagrody Literackiej „Guardiana” za Debiut Roku.

Zwłóknął się z łóżka i zdecydował, że dzisiaj już nawet nie ma co próbować. Stwierdził, że próbowanie dziś tylko by pogorszyło sprawę. Poza tym jutro przypadała „dwumiesięcznica” ich spotkania i Sean musiał wyjść, kupić jej coś naprawdę wyjątkowego. Sean zazwyczaj nie przywiązywał wagi do spraw typu „dwumiesięcznice”, ale też nigdy przedtem nie żywił do nikogo takich uczuć. Chciał święcić każdą chwilę, kiedy są razem, kupować jej prezenty tylko za to, że co rano otwiera oczy, że bawi się kolczykiem, że kicha, że oddycha, że istnieje. I z całą pewnością — tłumaczył sobie — bycie pisarzem oznacza, iż sprawy sercowe winny być dla niego najważniejsze. Jak można się spodziewać, że będzie umiał pisać o życiu, jeśli codziennie, głęboko, każdą swoją komórką nie będzie doświadczał wszelakich jego aspektów?

Ubrał się, wyszedł z mieszkania i skierował się w dół Bayswater Road w stronę Marble Arch. Potem bocznymi uliczkami ruszył w kierunku Bond Street, mijając Mayfair z domami z czerwonej cegły.

Jak bogatym — zastanawiał się, idąc — jak bogatym trzeba faktycznie być, żeby sobie pozwolić na mieszkanie tutaj? W Catford, gdzie mieszkał, wśród ściśniętych posesji z maleńkimi tarasami Sean czuł się całkiem nieźle nadziany. Duża pięciocyfrowa kwota spoczywała na jego koncie, co kilka tygodni napływały czeki od jego agenta — tysiączek tutaj, tysiączek tam, prawa autorskie na Polskę, na Katalonię, na Brazylię, gadzety, które sobie pokupował, jak nowe łóżko, nowy rower, nowa lodówka marki Smeg do kuchni, a wszystko opłacone gotówką, to właśnie sprawiało, że czuł się bogaty, nie do pomyślenia bogaty. W kontekście tego, gdzie mieszkał, kogo znał i skąd pochodził, Sean był bogatszy, niż kiedykolwiek wyobrażał sobie, że mógłby być. Jednak tutaj, w Mayfair, między klubami dla dżentelmenów, zagranicznymi ambasadami i wartymi miliony garsonierami anonimowych międzynarodowych biznesmenów był kompletnym parweniuszem. Jak to możliwe, zastanawiał się Sean, żeby jedna osoba nagromadziła aż takie bogactwo? Jak na ironię trudniej mu było to sobie wyobrazić z pozycji jego obecnego względnego dobrobytu, niż kiedy w ogóle nie miał pieniędzy.

Krążył po tych elitarnych ulicach, mijał antykwariaty i sklepy z bronią, i galerie sztuki pełne mdłych pejzaży, aż znalazł się tam, gdzie chciał dojść — na Bond Street. Przed sklepem Tiffany'ego.

Sean nigdy dotąd nie był u Tiffany'ego, ale w tej samej chwili, w której znalazł się w środku, stwierdził, że bardzo mu się tu podoba. Podobał mu się sposób, w jaki odzwierny uśmiechnął się do niego przy wejściu, jakby był autentycznym dorosłym mężczyzną, choć wciąż czuł się jak nastolatek. Podobała mu się elegancka, nie przeładowana ekspozycja, symetryczne ustawienie witryn, sposób, w jaki górne światła wydobywały każdy niuans metali i drogich kamieni.

Podobał mu się nawet zapach.

Kiedy z bliska przyjrzał się wystawionej biżuterii, stwierdził, że najbardziej gustuje w szlifowanych diamentach oprawnych w platynę. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu stwierdził również, że podobają mu się nawet dołączone do eksponatów ceny, które były uspokajająco wysokie, ale nie bestialsko zdziercze. Podobała mu się również dziewczyna, która go obsługiwała. Podobał mu się sposób, w jaki jej małe dłonie zanurzały się w kolejnych witrynach i zawisały nad pierścionkami, podczas gdy ona obserwowała jego twarz, by sprawdzić, czy może

jest w pobliżu czegoś odpowiedniego, jak chwytiała pierścionki i podawała mu z uśmiechem, który mówił, że sprzedając każdy z nich, cieszy się tak samo, jak on cieszy się, kupując

I podobało mu się, że nie nazywają ich pierścionkami, ale „brylantami”, a także to, jak „brylant”, który wybrał, został delikatnie wyjęty z jego dłoni, jak nowo narodzone dziecko, by w chwilę później zostać mu zwrócony w bezpiecznym schronieniu błyszczącego pudełeczka w kształcie kaczego jaja, i wręczony jak wspaniała nagroda.

Podobał mu się sposób, w jaki odzwierni powiedział: „Do widzenia panu”, jakby torba z pudełeczkiem w kształcie kaczego jaja nadawała mu członkostwo jakiegoś ekskluzywnego klubu, a już bardziej niż cokolwiek innego podobało mu się uczucie, kiedy kroczył po Bond Street w słoneczne kwietniowe popołudnie z zaręczynowym pierścionkiem dla Millie, huśtającym się w przód i w tył w firmowej torbie.

Sean zdawał sobie sprawę z tego, że przyspiesza bieg wydarzeń. Znał Millie dopiero od dwóch miesięcy, ale przecież zaręczyny nie oznaczały, że muszą się koniecznie pobrać, a przynajmniej nie tak od razu. Mogą mieć długie narzeczeństwo, znaleźć wspólne mieszkanie, nie spieszyć się, zobaczyć, jak im się układa. Może za rok mogą zacząć myśleć o ślubie... albo i za dwa lata. Ale tymczasem Sean chciał czuć, że podjął wobec Millie zobowiązanie większe niż kolejny telefon czy randka. Chciał całkowicie ujawnić swoje uczucia, żeby nie było żadnych nieporozumień.

Co prawda analogia do przedpłaty była okrutnie nieromantyczna, a jednak w umyśle Seana kupno zaręczynowego pierścionka dla Millie było jak wpłacenie depozytu na bardzo drogie i długo wyczekiwane wakacje albo na nowiutki upragniony samochód. Jak wpłata pierwszej raty za dom swoich marzeń. Albo, patrząc kategoriami jego rodziców, jak rezerwacja najseksowniejszej, najzabawniejszej, najbardziej odlotowej i najpiękniejszej kobiety na świecie.

PORZĄDNE ŚNIADANIE

— Proszę bardzo, aniołku. — Bernie postawiła przed Nedom wielki talerz tostów, fasolki i bekonu, radośnie się do niego uśmiechając. — Założę się, że od dawna nie jadłeś porządnego śniadania, co?

Ned pomyślał o swoim ostatnim śniadaniu, złożonym z domowej roboty chleba focaccia i słonecznie żółtych jajek z kiełbaskami chorizo, posypanych świeżo zerwaną kolendrą; o śniadaniu, które zjadł, siedząc w samych szortach na wychodzącym na morze tarasie kafeterii Bondi.

— Święta racja — powiedział, zabierając się do pałaszowania.

— A gdzie moje? — spytał Gerry, zerkając z pożądaniem na śniadanie Neda znad strony „Guardiana”.

— A tutaj — odparła Bernie, wskazując na wielkie pudło żytnich płatków, i odwróciła się, by znów się uśmiechnąć do Neda. — Chcesz do tego ketchupu?

— Tak, proszę.

Podawała mu plastikowego pomidora z restauracji Wimpy, którego przywiozła do domu ukrytego w dziecięcym wózku, kiedy Sean miał dwa lata, i do którego z religijnym oddaniem po dzień dzisiejszy przelewała ketchup.

— No, więc — powiedziała Bernie, splatając ręce.

— *Co?*

— *Więc?*

— *Co?*

— Historia. Co jest grane. Cały pakiet. No gadaj.

— Sam nie wiem — mruknął, odwracając plastikowego pomidora i wyciskając z niego ketchup po całym talerzu. — Po prostu chciałem wrócić do domu.

Bernie zacisnęła usta i rzuciła mu wymowne spojrzenie.

— Miałem zwyczajnie dosyć. To wszystko. Tęskniłem za twoją kuchnią. — Wyszczерzył się, próbując podejść ją komplementem, ale Bernie tylko zacisnęła usta jeszcze mocniej.

— W każdym razie — powiedział zaczepnie — nie ja tutaj powinienem się tłumaczyć. To raczej wy oboje musicie mi chyba coś wyjaśnić. Mówię o tym facecie. Tym facecie w mojej sypialni. Powiedzcie mi o Gerwazym. — Ned założył ręce na piersi i spojrzał na matkę ze swej pozycji moralnej wyższości.

— Ty pierwszy — stwierdziła Bernie — a *potem* pogadamy o Gerwazym.

Ned westchnął.

— Skończone. Z Monicą.

— Co to znaczy skończone? Co się stało?

Ned zamilkł. Chciał powiedzieć mamie i tacie całą prawdę, ale to by oznaczało przyznanie się nie tylko do zakończenia związku z dziewczyną, dla której złamał serce Carly, ale również do zakończenia go w najbardziej tchórzliwy sposób, jaki można sobie wyobrazić — a tego Mama by mu nigdy nie wybaczyła.

— Rzuciła mnie — powiedział.

— Ona ciebie *rzuciła*? — spytała Bernie z niedowierzaniem. — Ale *dlaczego*?

— No nie wiem. Zresztą chodziło nie tylko o to. Już nadszedł czas, żeby wrócić do domu — powiedział cicho, lekko łamiącym się głosem. — To wszystko. — Ned spojrzał na matkę, potem na ojca, odchrząknął i wbił widelec w kawałek bekonu.

Monica była niepodobna do nikogo, kogo Ned wcześniej znał. Była jak facet. Miała muskuły. I silną szczękę. I nogi jak sekwoje. Uprawiała sporty i piła piwo, i miała własny zestaw perkusyjny. Dużo krzyczała i jadła jak koń, i rzucała obleśne komentarze o piersiach innych kobiet.

— Ned — syczała, szturchając go lekko pod żebro. — Patrz tylko na toto.

Jej oczy wskazywały mu dziewczynę w obcisłym lycrowym topie albo sukience z dużym dekoltem.

— Patrz, jakie toto ma cycki. Niesamowite.

Wyzywała ludzi od pizd i skurwysynów i wdawała się w bójki. Potrafiła osiągnąć orgazm dokładnie w trzydzieści sekund, a zaraz potem głęboko zasypiała, leżąc na plecach i chrapiąc jak traktor.

— Jadę do Australii — powiedziała pięć minut po tym, jak zaczęli swoją pierwszą w życiu rozmowę, w barze sportowym przy Leicester Square.

— O — powiedział Ned. — Fajnie.

— Jadę w przyszłym miesiącu. Czyli za dwa tygodnie. Więc nie ma sensu mnie podrywać.

— Wcale cię nie podrywam.

— A właśnie, że tak.

— Nie.

— Podrywasz, kurwa.

— Nie, mam dziewczynę.

— Akurat, jakby to coś znaczyło.

— Przypadkiem faktycznie znaczy.

— Tak? No to opowiedz mi o tej swojej „dziewczynie”.

— O Carly?

— Tak ma na imię?

— Aha.

— Dobra. To opowiedz o Carly.

— Carly... Carly... Carly jest moją dziewczyną — to właśnie chciał powiedzieć. Zawsze była moją dziewczyną, odkąd skończyłem czternaście lat. Carly jest ciepła i okrągła, i miękka i wie, jaką lubię herbatę, i zna numer moich butów, i moi rodzice ją kochają jak córkę, której nigdy nie mieli. Carly ma dołeczki w kolanach i na śniadanie je ciasteczka Wagon Wheels. Carly mieszka na tej samej ulicy i pracuje jako krojczyni wzorów dla spółki, która szyje ubrania dla starszych pań. Carly drapie mnie po plecach i mówi mi, kiedy powinienem iść do fryzjera. Ma alergię na orzeszki i pszczoły. Jej piersi są duże i lekko zwisają, i mają całkiem duże sutki i nigdy nie osiąga orgazmu tylko przez seks. Jest moim najlepszym kumplem i kocham ją. — Carly jest super — powiedział na głos.

— Hmm — mruknęła Monica. — To było przekonujące. Od jak dawna ze sobą chodzicie?

Ned wzruszył ramionami trochę zażenowany faktem, że jest na tyle staroświecki, by mieć ciągle dziewczynę z czasów szkolnych.

— Kilka lat — odparł.

Ale potem zaczął nagle mówić coś zupełnie innego, coś, czego wcale nie miał zamiaru ujawniać. Jezu Chryste, powiedział, w zeszłym tygodniu wydarzyła mi się cholernie przerażająca historia, bo Carly wzięła mnie na obiad do restauracji i zrobiła z tego wielkie halo, a potem, zaraz po deserze, poprosiła mnie o rękę, po prostu mi się *oświadczyła* — o co jej, kurwa, chodziło? No i teraz, Jezu, czuję się jak w pułapce, chociaż chyba zawsze myślałem, że w końcu się pobierzemy, no wiesz, pewnego dnia, ale rozumiesz, nie już, nie zaraz, a teraz, kurwa, zupełnie nie wiem, co mam robić, to znaczy, powiedziałem jej, że to przemyślę, no i niedługo muszę jej dać odpowiedź i Jezu, kurwa, Chryste, ale mam pietra, jestem totalnie, kompletnie, przerażony.

A Monica tylko kiwała ze zrozumieniem głową, zapaliła papierosa, i zanim się zorientował, mówił jej o sobie wszystko. O tym, że jego życie donikąd nie prowadzi, o mieszkaniu z rodzicami, pracach, które ciągle zmieniał i które nie dawały mu satysfakcji, o długoletnim związku z osobą, którą znał już tak dobrze, że czuł, jakby to była prawie jego siostra, albo coś w tym rodzaju. A Monica dmuchnęła mu dymem w twarz i powiedziała:

— Jedź ze mną. Do Australii. Będzie kupa śmiechu.

I przez sekundę Ned czuł się jak zawieszony w czasie, czekał, aż jego usta same się otworzą i powiedzą coś w stylu: „Nie bądź głupia. Nie mogę jechać do Australii”. Ale te słowa się nie pojawiły, a on spojrzał w oczy tej aroganckiej, silnej dziewczyny, tej nieznajomej z mocnymi nogami i krótkimi rzęsami, i nagle usłyszał sam siebie, jak mówi:

— Dobra. W porządku. Czemu nie?

Nawet teraz, trzy lata później, ciągle jeszcze nie mógł do końca uwierzyć, że naprawdę to zrobił, że spotkał w barze nieznajomą i w niecałą godzinę zgodził się z nią wyemigrować. I że był w stanie spojrzeć w wielkie, szare oczy Carly i powiedzieć jej, że się z nią nie ożeni, że spotkał kogoś innego i że od niej odchodzi. I że miał siłę faktycznie odejść, kiedy ona dosłownie zwinęła się w pół z bólu, jakby ją fizycznie uderzył. To było tak, jakby był przez coś opętany, przez jakąś zewnętrzną siłę. Bo Ned normalnie nigdy nie robił takich rzeczy — nie ryzykował.

A jednak tym razem to zrobił — zakończył związek, oczyścił konto z oszczędności, dostał wizę, zarezerwował lot i ruszył do Australii z nieznajomą. Oczywiście w praktyce wszystko było nieco bardziej skomplikowane. Odbył jeszcze kilka scen z Carly, musiał się uporać z wściekłością matki, z wątpliwościami, które ogarniały go późną nocą. Ale mimo wszystko przez to przeszedł. I kiedy jadł raczej mało smaczną tajską zupę z makaronem podczas lotu do Sydney liniami Thai Air, u jego boku Monica wlewała w siebie na przemian rum i colę, a pod sobą miał delikatny kocyk białych chmurek, po raz pierwszy w życiu poczuł się spokojny i pewny siebie.

Żałować zaczął niezbyt prędko. Dłuższy czas jechał na adrenalinie. Na początku bawili się jak na wakacjach, wydawali oszczędności, przesiadywali na plaży, pili piwo w południe. I choć Ned nie był ani na jotę przekonany, że między nim i Monicą coś może zaistnieć, to jednak tak się właśnie stało. W pewnej chwili zakochali się w sobie i wszystko zaczęło się robić bardziej poważne. Oboje znaleźli pracę w tym samym barze, wynajęli też pokój we wspólnym mieszkaniu z trójką innych Brytyjczyków, no i zaczęli mieć na swoim punkcie lekką obsesję.

Czasami przez całutki dzień leżeli w łóżku w swoim maleńkim pokoju, słońce wlewało się przez okna, a oni po prostu się w siebie wpatrywali. Wpatrywali się w siebie całymi godzinami. Bywały wtedy chwile, kiedy Ned czuł się trochę głupio, ale Monica zawsze umiała tak zrobić, że czuł, że to ona ma rację. Zatem jeśli ona uważała, że leżenie godzinami w łóżku i gapienie się na siebie nawzajem było dobrym sposobem na istnienie ich związku, bo *dawało głębię* ich uczuciom, no więc się gapili.

Nedowi jednak przejadło się to całe wpatrywanie dużo szybciej niż Monice i to było częścią problemu. Okazało się też, że Ned dużo lepiej daje sobie radę w obcym kraju niż ona. Znajdował pracę, spotykał ludzi. Ku swemu zadowoleniu odkrył, że bardzo szybko nawiązuje przyjaźnie i że lubi go większość osób, które poznaje. Monica z kolei potrafiła totalnie każdego od siebie odstraszyć, zwłaszcza kobiety. Jej bezczelność i ostry temperament zrażały ludzi. W rezultacie stwierdziła, że to ona nikogo nie lubi, i w ogóle przestała wychodzić, a Ned, znudzony tym leżeniem w łóżku i gapieniem się w siebie nawzajem, zaczął zdobywać sobie trochę niezależności.

I wtedy właśnie wszystko naprawdę zaczęło się psuć.

Szalona Monica. Tak ją w końcu wszyscy nazywali. Tak mówił każdy, kto był świadkiem jej psychotycznego zachowania, słyszał dźwięk komórki Neda, który co dziesięć minut odczytywał jej SMS-y i odbierał histeryczne telefony. Każdy, kto widział jej niezapowiedziane naloty, kiedy Ned miał wolny wieczór i spędzał gdzieś czas bez niej. Nawet uderzyła dwie dziewczyny. Po prostu podeszła do każdej nich i walnęła je w szczękę, bo wymyśliła sobie, że flirtują z Nedom. W miarę jak mijały kolejne miesiące, ona coraz bardziej świrowała. Zaczęła sobie wrywać włosy, po jednym pasemku, aż w końcu na całej głowie miała łyse placki, przez które prześwitywała naga czaszka. I przestała się normalnie odżywiać, za to często siedziała i kiwała się w przód i w tył.

Ned starał się z nią rozmawiać — było ewidentne, że jest głęboko nieszczęśliwa. Próbował ją namówić do powrotu do domu. Zatelefonował do jej rodziców i bardzo długo z nimi rozmawiał o ich najstarszej, nieznówoważonej córce. Ona jednak zaprzeczała, że cokolwiek jest nie w porządku. Nawet z nią zrywał co najmniej ze trzy razy, starając się zastosować podejście twardej miłości, uważając, że to on ją unieszczęśliwia. Ale ona udawała, że nie rozumie, i następnego dnia zjawiała się pod jego biurem albo pod barem, na plaży i wpatrywała się w niego tymi bezzęskimi oczyma.

Tak więc wyjechał. No, mówiąc szczerze, po prostu uciekł. Już od dawna chciał wrócić

do domu, a kiedy Tato wysłał mu tego maila o przyjęciu — niespodzianie dla mamy — i zaproponował, że pomoże mu zapłacić za przelot, cóż, podjęcie decyzji zajęło mu jakieś trzydzieści sekund. Zostawił Mon liścik, starał się wszystko wyjaśnić, ale wiedział doskonale, że tak naprawdę nie było to ani trochę wystarczające. Winien jej był znacznie więcej.

Westchnął i starał się przełknąć kawałek tost, ale jedzenie stanęło mu w gardle. Popił je letnią herbatą i znów spuścił oczy, czując, że się czerwieni ze wstydu i poczucia winy. Ale po chwili upomniał sam siebie: to nie była jego wina. Zrobił, co tylko mógł. Starał się, przez całe trzy lata się starał. To nie jego wina, że ona zwariowała. Oczywiście, będąc w związku ma się pewne poczucie odpowiedzialności, jak najbardziej. Tyle że w pewnym momencie, kiedy na przykład tej drugiej osobie po prostu kompletnie odbija, kiedy już się spróbowało wszystkiego, co tylko można, żeby tę osobę uszczęśliwić, i jeśli ta osoba po prostu nie jest dłużej sobą, nie można jej nawet rozpoznać, no to chyba oczywiste, że wtedy to już nie jest twoja odpowiedzialność, prawda?

Czy to nie śmieszne, myślał teraz Ned, przejechać pół świata, mieszkać po jego drugiej stronie pomiędzy obcymi ludźmi, z daleka od rodziny, po to tylko, żeby stwierdzić, że jedyne, co okazało się tam dziwne, to osoba, z którą się pojechało.

OBIAD W MICKEY'S

— Halo?

— Sean, to ja, twoja mama. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam?

Zawsze to ostatnio powtarzała, jakby był jakimś zakreconym, natchnionym geniuszem, który pracuje dniami i nocami i bez ustanku znajduje się w nieprzerwanym strumieniu świadomości.

— Nie — powiedział, stawiając torbę od Tiffany'ego na podłodze. — Właśnie wszedłem.

— To nie spędzasz dziś wieczoru z Millie?

— Nie, ona ma jakąś robotę, a ja muszę sobie zrobić pranie.

— Świetnie. Słuchaj. Masz wieczorem czas?

— No... hmmm... tak, tak. Chyba tak. A co?

— Ja, Tony i twój tato wybieramy się do Mickey's. Na obiad. Przyjdziesz?

— Pewnie, że przyjdę.

— A Millie?

— Nie, mówiłem ci już. Nie ma jej dziś wieczorem.

— No to może by złapała autobus, albo co?

Sean uniósł oczy do sufitu. Na jakiej planecie tak naprawdę żyje jego mamusia?

— Mamo, ona mieszka w Paddington. Trudno, żeby się tłukła przez pół Londynu dla kawałka przesuszonego mięsa w Mickey's.

— Och, Sean, kochanie, wiem, że chcesz, żeby wszystko było jak najlepiej, i nie chcę na ciebie wywierać żadnej presji, ale to już prawie dwa miesiące. Założę się, że ty jej rodziców już poznałeś, prawda?

— Nie, prawdę mówiąc, jeszcze nie...

— I jestem pewna, że Millie prawdopodobnie nie może się doczekać, żeby nas poznać, zobaczyć, skąd pochodzisz. Proszę, Sean. A poza tym mam dla ciebie niespodziankę. Wielką. Taką, która, jak myślę, spodoba się też Millie.

— Mamo, ona nie przyjdzie. Rozumiesz?

— Będziemy grzeczni, obiecuję. Nawet trochę posprzątam. Nie przyniesiemy ci wstydu.

— Słuchaj, niedługo ją przyprowadzę. Obiecuję. Ale nie dziś wieczór. I tyle.

— A może w przyszłym tygodniu? Na urodziny Tony'ego? Wtedy przyjdzie, prawda?

— Boże, mamo, nie wiem.

— No daj spokój, Sean. Tony powiedział, że ją zaprosił. Musi przyjść.

— Słuchaj. Pogadam z nią o tym. Zobaczymy.

— Świetnie, świetnie. A jak tam twoje pisanie? Sean zeszywniał.

— W porządku — powiedział drętwo. — Dobrze.

— No to nie będę cię dłużej od tego odrywać, Seany. Do wieczora?

— Tak, mamo. Do zobaczenia wieczorem.

Sean westchnął i odłożył słuchawkę. Nigdy dotąd nie miał żadnych zahamowań, żeby przedstawiać swoje dziewczyny — był dumny jak paw ze swoich rodziców i z tego dziwaczne- go, cygańskiego domu, w którym dorastał. Tyle że z Millie było tak... wszystko było tak ideal- nie, tak cudownie, a on bał się wystawiać to na jakiekolwiek zagrożenie, jakby wszystko mogło się nagle rozpląnąć w powietrzu albo lec w gruzach. Sean był jednak na tyle realistą, by zdawać sobie sprawę, że ich związek nie może na wieki istnieć w takiej zupełnej pustce. Do tej pory ich miłość kwitła w cieplarni; w pewnym momencie będzie ją musiał przesadzić do prawdziwego świata i zobaczyć, co się stanie. Ale jeszcze nie teraz.

Zanim dojechali na miejsce, Tony był już w swoim znanym, dziwacznym nastroju. Miał

to drażniące, nieprzyjemne uczucie, że ubranie jest na nim za ciasne, że w powietrzu nie ma wystarczającej ilości tlenu. Ness siedziała o wiele za blisko niego i wiercił się przez chwilę na tylnym siedzeniu taksówki, mając nadzieję, że ona się zorientuje i przesunie. Ale Ness była w świetnym humorze. Ness *zawsze* była w świetnym humorze, a już zwłaszcza gdy jechali w odwiedziny do jego rodziców. Rodzice Ness oboje już nie żyli, więc całym sercem zaadoptowała sobie rodzinę Londonów od chwili, gdy ją poznała. Ona i Bernie od samego początku były jak najlepsze kumpele i nawet czasami razem wychodziły. Tony nie potrafił nic poradzić na to, że czuł się z tym trochę nieswojo. Ness i Bernie były nawet jakby lekko do siebie podobne, obie miały jasne włosy, długie nogi i wyraziste rysy. Tyle tylko, że oczywiście Mama była dziesięć razy ładniejsza od Ness, nawet przy swoich pięćdziesięciu pięciu latach.

Drzwi wejściowe pod numerem 114 otworzyły się szeroko, zanim w ogóle mieli szansę naciśnięcia na dzwonek. Powitała ich Mama ubrana w aksamitną czerwoną bluzkę, z włosami spiętymi w węzeł na czubku głowy i z kieliszkiem wina w ręce.

— Bernie! — Ness objęła ją ramionami i mocno uściśnęła. — Wyglądasz odlatowo! Skąd masz taką bluzkę? Jest *rewelacyjna!*

— Z River Island! — wykrzyknęła Bernie z dumą. — Przeceniona z 34, 99 funtów na dwanaście! Ładna, prawda? — wykonała mały taniec, prezentujący całość przecenionego trofeum. — A teraz, zamknij oczy! — poleciła Tony'emu, zamykając frontowe drzwi. — Tylko nie podglądaj!

— O Boże. Muszę? — zajączał Tony.

— No już, rób tak, jak ci powiedziałam.

Tony niechętnie zamknął oczy i pozwolił mamie poprowadzić się do kuchni. Czuł znajomy zapach ojcowskiego tytoniu do skręcania papierosów i słyszał długie pazury Goldie, stukające o kuchenną podłogę.

— Dobra, teraz możesz otworzyć.

Powoli rozchylił powieki i na początku mógł jedynie odróżnić niewyraźną sylwetkę mężczyzny, stojącego przy kuchennym stole. A potem wzrok mu się wyostrzył i zobaczył chudego chłopaka z brodą i włosami do ramion, który szeroko się do niego uśmiechał.

— W porządku? — odezwał się chudzielec.

Twarz Tony'ego dosłownie rozpląnęła się w uśmiechu.

— Ned!

Podbiegli do siebie przez kuchnię i zamknęli się nawzajem w mocnym uścisku.

— Jezu, Ned! Co ty tu robisz? Przyjechałeś na dobre? No wiesz, czy tylko...

— Wróciłem na dobre. Na zawsze.

Odsunęli się od siebie i przyglądali sobie z uczuciem, szukając wzrokiem fizycznych śladów tych trzech lat, które minęły, odkąd widzieli się ostatni raz. W przypadku Neda było ich całe mnóstwo. W kącikach oczu pojawiły się pierwsze zmarszczki, jego grdyka już tak nie sterczała, a pod luźną podkoszulką było zdecydowanie więcej ciała niż dawniej. Wyjechał jako chłopiec, wrócił jako mężczyzna. No, na tyle, na ile taki chudy okularnik mógł kiedykolwiek wyglądać jak mężczyzna.

— Co jest, do cholery, z twoimi włosami?

— A co? — Ned przejechał po nich palcami.

— Wyglądasz, jakbyś nosił jakąś pieprzoną perukę.

— No wiesz co, choć ty daj spokój. Mama i Tata już mi dają dosyć popalić. Ale co myślisz o brodzie, ha? — pogłaskał się po niej z upodobaniem. — Czujna, nie?

— Łap fale! — zaśmiał się Tony, naśladując ruchy surfera balansującego na desce.

— I kto to mówi — powiedział Ned, łapiąc Tony'ego za brzuch i potrząsając nim w górę i w dół. — Chryste, aleś się utuczył.

Tony uśmiechnął się, słysząc zniewagę — śmieszne, ale kiedy mówił to Ned, wcale go nie bolało. A potem przypomniał sobie o postaci stojącej u jego boku.

— O Boże, przepraszam — powiedział, cofając się o krok. — Ned, to moja dziewczyna.

Obserwował twarz Neda, kiedy ten przyswajał sobie wygląd Ness — niemodne ciuchy, lekko krzywe zęby oraz całkowity, nie ulegający najmniejszej wątpliwości brak jakiegokolwiek podobieństwa do jego byłej żony.

— Ness, to jest Ned.

— No nareszcie — rzuciła Ness sarkastycznie, wznosząc oczy do góry na ten formalizm Tony'ego. Pochyliła się i pocałowała Neda w policzek. — Fantastycznie, że w końcu mogę cię poznać.

— Ciebie też — powiedział Ned. — Masz świetne referencje.

— Naprawdę?

— A tak, Mama nie przestaje o tobie gadać. Uważa, że jesteś wybawicielką Tony'ego.

Ness zaczerwieniła się zadowolona, a Tony stwierdził, że aż kipi z irytacji. Wybawicielka? O co im, cholera, chodzi? Ktoś ostro zapukał do frontowych drzwi.

— O, to pewnie Seany. Dobra, teraz wszyscy cisza. — Bernie przyłożyła sobie palec do

ust i poszła otworzyć.

— Witaj, aniołku — słyszeli z holu — ... a teraz zamknij oczy, Seany, mam dla ciebie niespodziankę.

— Wszyscy moi chłopcy, czuję się zupełnie jak w niebie. — Bernie wyglądała, jakby miała za chwilę eksplodować z radości, gdy jej oczy biegały kolejno po twarzach wszystkich trzech synów siedzących przy stole.

— Mickey — zawołała do ciemnowłosego mężczyzny, który władczo trzymał straż przy kasie. — Popatrz tylko, wszyscy moi chłopcy!

— Aaa — powiedział Mickey, jakby się nagle przebudził i od razu podszedł do ich stolika. — Widzę, widzę.

Tony nigdy nie był do końca pewny, czy Mickey naprawdę szczerze lubi ich rodzinę, czy ta wylewność i poufalość nie jest tylko śliską zagrywką właściciela knajpy. Londonowie przychodzili do jego restauracji, odkąd Tony był malutki. Mickey był pierwszym Grekiem, który otworzył lokal w tej okolicy i przez jakiś czas była to najpopularniejsza restauracja. Wszystkie miejscowe młode pary przychodziły tu w sobotnie wieczory, żeby sobie powspominać śródziemnomorskie wakacje. Kiedy chłopcy byli jeszcze mali, Londonowie przychodzili do Mickeya regularnie w każdą sobotę. Czasem tylko w rodzinnym gronie, czasami przyprowadzali przyjaciół. Nie bywali tu tylko dla jedzenia, ale także dla rozrywki — muzyków, tancerzy, greckiego tłuczenia talerzy. Ale teraz przychodzili tylko przy specjalnych okazjach: urodzin, awansów, zaręczyn — i powrotów synów marnotrawnych.

— A więc — powiedział Mickey, pięknie się uśmiechając do wszystkich, z ręką spoczywającą na oparciu krzesła Tony'ego.

— Gdzie się pan ukrywał, panie Ned? Czemu zostawił pan swojo mame na tak długo, co? A pana mama nic, tylko teszkniała i teszkniała, teszkniała.

— Sam powiedz, Mickey — podchwyciła Bernie. — Przez trzy lata go nie było. Całe trzy lata.

Mickey dramatycznie wznosił ręce do sufitu.

— Och, gdyby jeden z moich chłopaków tak szrobił, na drugi koniec szwiata, trzy lata, bez wizyt, to pani Mickey ona by umarła, umarła na penkniente serce.

Przycisnął sobie dłonie do piersi, żeby zilustrować pęknięcie serca pani Mickey. Mickey często odstawiał takie melodramaty — kolejna cecha, co do której Tony nie był pewien, czy jest autentyczna, czy stanowi jedynie część precyzyjnie skonstruowanej postaci. Cała ich rodzi-

na zawsze uważała, że Mickey po prostu *uwielbia* Londonów, ale przecież równie dobrze mógłby w wolnych chwilach rzucać strzałkami w ich zdjęcia albo wbijać szpilki w ich laleczki voodoo. Tony nie ufał nikomu, kto mógł zarabiać na nim pieniądze. Nigdy. Tacy ludzie mieli za dużo do wygrania, będąc dla człowieka miłym.

— I co pan tam wyrabiał w ty Austrelii, panie Ned? Szurfował pan szobie, co?

Ned skrzywił się i już miał coś odpowiedzieć, kiedy Mickey nagle odwrócił się na pięcie, by powitać klienta, który właśnie wszedł. Tak, z pewnością kolejny z całego serca kochany klient, sądząc z radosnego uśmiechu na jego twarzy.

— Czołem, panie Gerwazy!

Tony odwrócił się na krześle. Gerwazy. Wspaniale. Kurwa, wspaniale. Czy ta rodzina ostatnio nie mogła niczego zrobić sama, żeby się nie przyplątał ten Szkieletor?

— Czołem, Mickey, jak leci? — Obaj mężczyźni serdecznie uścisnęli sobie dłonie, po czym Gerwazy zdjął swoją skórzaną kurtkę i zajął puste krzesło pomiędzy Bernie i Ness. — Przepraszam, że się spóźniłem, Bern — pocałował ją w policzek, a ona zarumieniła się zadowolona.

— Nic nie szkodzi, kochanie. Jeszcze nawet nie zamówiliśmy.

Tony złapał wzrok Neda, który rzucał mu spojrzenie „O co w tym wszystkim, kurwa, chodzi?” Tony delikatnie potrząsnął głową, posyłając niemą odpowiedź: „Teraz tak się właśnie sprawy mają, a mnie się to wcale nie podoba, bardziej niż tobie”.

— Wszystko w porządku, moja piękna? — Gerwazy pochylił się do Ness i wycisnął jej na policzku mokrego buziaka.

Ness pojaśniała z radości, a Tony uporczywie wpatrywał się w kartę. *Zezem*. To była *ich* restauracja. Restauracja Londonów. To *oni* tutaj przychodzili. Jako rodzina.

Podobno Mama spotkała go w pubie, tam gdzie śpiewała w każdą środę wieczorem, i zaczęli sobie gadać — cokolwiek to miało znaczyć. Wcisnął jej jakąś łzawą historyjkę, jak to niby jego dziewczyna wykopała go z domu i właśnie miał zamiar wydać swoje ostatnie pięćdziesiąt funciaków, wynajmując na noc pokój w hotelu, a na to Mama: „Och, nie bądź głupi, my mamy cały dom *pełen* pustych pokoi, możesz przyjść i przenocować u nas”. No i tkwił u nich od tamtej pory, czyli już prawie dwa miesiące. Mama i Tata nawet nie wiedzieli, gdzie on pracuje, skąd bierze pieniądze.

— To nie nasza sprawa — kwitowała temat Mama.

— Ale, Mamo, on mieszka w twoim pieprzonym domu, w *naszym* domu! W pokoju Ne-

da! Do jasnej cholery, oczywiście, że to jest twoja sprawa.

Mama tylko mocniej zaciskała usta i wzdychała.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć, kochanie — mówiła. — Po prostu czuję, że to jest właściwe postępowanie. On przecież nie ma gdzie się podziąć.

Tato był na początku trochę niepewny. Kiedy Tony podawał w wątpliwość pomysł wpuszczania pod swój dach kogoś zupełnie obcego, wzruszał tylko ramionami i mówił:

— Wydaje się, że twoja mama bardzo go lubi.

Teraz jednak zdawało się, że on też polubił faceta. Dawał mu nawet od czasu do czasu pracę, prowadzenie furgonetki, dostawy.

Teraz właśnie Gerwazy opowiadał Gerry'emu o jakiejś dostawie, którą tego dnia przywiózł pewnej snobce na Lansdowne Square, a ona kazała mu zdjąć buty, zanim wpuściła go do domu. Ness i Bernie kibicowały całe podniecone, jakby to była najzabawniejsza historyjka, jaką w życiu słyszały. Tony znów odwrócił się do Neda i zaczęli do siebie stroić głupie miny.

— Dajcie sobie na wstrzymanie — syknął na nich Gerry, a oni obaj zakryli sobie usta dłońmi i udawali zrugane dzieciaki, kopiąc się pod stołem po kostkach i tłumiąc chichoty.

— Słowo daję, jak dwójka smarkaczy — mruknął Gerry.

Tony rzucił okiem na Seana, żeby sprawdzić, czy on jest tak samo wkurzony obecnością tego intruza przy stole. Ale Seana całkowicie pochłaniała lektura menu, nieprzytomnie pocierał sobie palcem płatek ucha. W innym świecie. Jak zawsze. Pewnie rozmyśla o Millie, stwierdził Tony. Pewnie sobie wyobraża, co będzie z nią wyrabiał, gdy wieczorem wróci do jej domu. Pewnie siedzi tu sobie i myśli: Chryste, czyż nie jestem najszczęśliwszym sukinsynem na świecie, mam swój bestseller, i płaski brzuch, i fantastycznie seksowną dziewczynę, i... O Boże. Tony się opanował. W dłoniach trzymał zmiętą w węzeł serwetkę i czuł, jak targają nim bardzo niezdrowe emocje. Zazdrość, zdiagnozował. Niedobrze. To odpychające. Żalodne. Zwłaszcza jeśli dotyczy własnego, młodszego brata, którego się kocha nad życie...

Przestań.

Natychmiast.

Przestań.

Skontrolował oddech, naciągnął mankiety koszuli i znów spojrzał na brata. Sean. Mały Seany. Seany, który pojawił się na świecie, kiedy Tony miał cztery lata, i był najwspanialszą niespodzianką w jego życiu. Pamiętał, jak się bał, że jego nowy braciszek czy siostrzyczka będzie jakimś zielonym, oślizgłym potworkiem, bo wykombinował sobie, że tak być musi, skoro

to mieszkało przez dziewięć miesięcy w brzuchu mamy. Był przerażony na samą myśl, ale potem Tato zabrał go do szpitala, żeby zobaczył Mamę i nowego dzidziusia, a to był po prostu taki różowy, maleńki dzieciaczek, taki bezbronny maleńki różowy dzieciaczek z wielkimi uszami i opuchniętymi oczkami.

Sean, pomyślał. Malutki Seany. Mój młodszy braciszek.

— No więc ty i, eee... *Millie* — starał się kontrolować głos, żeby zabrzmiał zwyczajnie, ale był przekonany, że wymawiając jej imię, i tak nasączył je każdą kroplą swojego pożądania — przyjdziecie w sobotę, prawda?

Sean spojrział na niego nieprzytomnie.

— Na moje urodziny.

— A, tak, prawda. No, ja przyjdę. Nie wiem jeszcze, jak *Millie*.

— Aha — odparł Tony, usiłując ukryć ogromny zawód. — Jak to?

Sean tylko wzruszył ramionami.

— On się nas wstydzi — wtrąciła Bernie.

— Mamo! Wcale nie. Mówiłem ci...

— Przecież nigdy dotąd nie czekał tak długo, żeby przyprowadzić dziewczynę do domu. Zwykle od razu je przyprowadzał. No chodź, poznaj moją mamę, mojego tatę, czuj się jak w domu. Ale ta jest najwidoczniej za dobra dla takich jak my — mrugnęła, żeby wszyscy wiedzieli, że oczywiście żartuje, ale Sean tego nie zauważył.

— Mamo! To nie tak. Po prostu... no, ona jest... inna. Jest starsza. No i bardziej... *niezależna*. Ma bardzo wypełnione życie. Niezwykle życie. Po prostu... nie chcę niczego przyspieszać, chcę dać jej przestrzeń. To wszystko.

— Widzicie — powiedziała Bernie tryumfalnie, na jej ustach błędził sprytny uśmieszek. — Wstydzi się nas.

— Jaka ona jest? — spytał Ned nagle zaniepokojony. — W porządku.

— O rany — sapnął komicznie Ned. — To brzmi fantastycznie.

— Nie, to znaczy, chciałem powiedzieć, jest świetna. Wesoła, i mądra, na luzie. Naprawdę odłotowa. Tony ją poznał, jego spytaj.

Tony przełknął.

— Co? — wymamrotał.

— Co myślisz o *Millie*?

— O Boże, nie wiem. Widziałem ją tylko przez kilka minut. Wydaje się naprawdę miłą.

— Wytworna — wtrąciła Ness, nieświadomie wybawiając Tony'ego przed nim samym.
— Jest bardzo wykwintna.

— To znaczy w jakim sensie? — wypytywał uśmiechnięty Ned. — Taka wypicowana w stylu Victorii Beckham czy może bardziej jak Tara Palmer-Cycusзки?

— Nie, nie — powiedziała Ness. — Nic w tym rodzaju. I nie taka typu „błękitna krew”. Bardziej artystyczna. Właściwie to wiesz, kogo ona mi przypomina? Pamiętasz tę dziewczynę, tę aktorkę, która kiedyś chodziła z Neilem Morrisseyem?

— Która? Amanda Holden? — spytała Bernie.

— Nie, nie, ta druga. Ta z ciemnymi włosami. Rachel coś-tam...

— Rachel Weisz?

— No właśnie! Ona jest jakby jej odrobinę starszą wersją. Jest piękna. I ma klasę. Naprawdę ma klasę.

— Oooo, ooooho! — powiedział Ned. — Tu cię mam! Troszkę w życiu awansowaliśmy, co brachu? I tylko tyle wystarczy, żeby zarwać dziewczynę z klasą? Napisać debilną książkę?

— Nie — odparł Sean, zakładając ręce na piersiach i patrząc na Neda z rozbawieniem. — Nie zaszkodzi, jeśli jesteś do tego niesamowicie przystojny, niezwykle bogaty, no i masz wielkiego jak mamut...

I dokładnie w tym momencie wszystkie braterskie uczucia Tony'ego zmieniły się we wściekle żółtą zazdrość. Wziął głęboki oddech, rozwarł zaciśnięte w pięści dłonie, wbił wzrok w kartę dań i zdecydował, że ma wielką ochotę na kleftiko*.

* Kleftiko — greckie gołąbki w liściach winogron.

UŚMIERCONY KORKOCIĄGIEM

Pierwszego ranka po powrocie do Anglii Ned został obudzony o godzinie jedenastej przez Gerwazego oczyszczającego sobie na korytarzu górne drogi oddechowe. Jezu Chryste, pomyślał Ned, niech ktoś z łaski swojej zaprowadzi tego faceta do kliniki laryngologicznej i każe im, do kurwy, nędzy wyrwać mu migdałki.

Usłyszał trzask frontowych drzwi i kroki Gerwazego zbiegającego po stopniach, a potem przekręcił się na drugi bok i zawył z bólu, kiedy coś ostrego wbiło mu się w kość biodrową. Pomacał dłonią pod sobą i wyciągnął korkociąg. Kurwa — przecież mógł się zabić, mógł sobie uszkodzić jakiś życiowy organ i we śnie powoli wykrwawić się na śmierć. To byłby śliczny widok dla Tatusia i Mamusi, pomyślał, jakby tak rankiem zeszli na dół i znaleźli swojego syna marnotrawnego skapanego we własnej krwi i martwego na kanapie. Ze złością odrzucił korkociąg w drugi kąt pokoju. To wszystko było nie tak, zupełnie nie tak. Jego pierwsza noc w rodzinnym domu po trzech długich latach tułaczki, a on musi spać na pieprzonej kanapie. A tak — jego własna, osobista *matka*, zmusiła swego najmłodszego synka, jej *dzieciatko*, żeby spał na kanapie, podczas gdy ten zacharkany dziwoląg mógł sobie kimać w jego łóżku, w jego pokoju.

— Och, nie, Ned, kochaneczku. To by było nieładnie wyganiać go teraz, tak bez uprzedzenia. Jutro opróżnimy dla niego pokój Tony'ego, kochanie, i wtedy dostaniesz z powrotem swój pokój.

— A dzisiejsza noc? Gdzie będę spał dziś w nocy? — Głos mu podskoczył do góry o jakieś dziesięć oktaw i Ned poczuł, jak błyskawicznie cofa się do czasów dzieciństwa. W oczach niebezpiecznie stanęły mu łzy, gardło się zacisnęło.

— No cóż... hmmm... pokój Seana nie wchodzi w rachubę, tatuś trzyma tam swojego starego Nortona. A może położymy ci materac na podłodze w pokoju Tony'ego...?

— Nie ma mowy. Tam jedzie szczynami. A na ścianach jest pełno starych smarków.

— Cóż, to w takim razie zostaje ci kanapa.

— Kanapa! Ale, Mamo... to nie w porządku. Byłem w podróży przez jakieś... no siedemdziesiąt dwie godziny. To mi nie pomoże na mój jetlag.

— Wiem, kochanie, i tak mi przykro, ale nic nie mogę poradzić, zawsze możesz przyjść do nas i spać w naszym łóżku, jak wtedy, kiedy byłeś mały.

— Mamo!

— Żart, Ned, tylko żart.

I wtedy Ned się uśmiechnął, nie z tego żartu, ale dlatego, że uświadomił sobie, iż jakaś malutka, głęboko ukryta część niego tak naprawdę *chciała* iść spać do łóżka rodziców, chciała się wcisnąć pomiędzy nich i przez całą noc czuć ich oddechy.

Ty chory, żaloszny dupku — pomyślał sobie — nie dziwota, że twoja dziewczyna dostała świra.

Tak więc spędził okrutną noc na kanapie. Rzucił się i przekręcał, budził co pół godziny pomimo trzech nytoli, które mama dała mu na zaśnięcie. Zapadał tylko w krótkie, intensywne drzemki, śniła mu się głównie Monica. W końcu zapadł w głęboki niebyt, jakoś tak po piątej rano.

Pokuśtykał do holu, potem do kuchni. Mama zostawiła mu gotowe śniadanie i liścik: „Nie chciałam Cię budzić — postaraj się nie spać aż do wieczora. Do zobaczenia. M”.

Ned skubnął kawałek tostów i przez jakiś czas włóczył się bez celu po całym domu, starając się pozbiierać swoje rzeczy, poczuć się normalnie. I nie mógł. Czuł się nieswojo, nie na miejscu, jak zawieszony pomiędzy dwoma światami, z których każdy w pewnym momencie był dla niego domem, ale teraz były jakby przesunięte o kilka stopni względem swojej osi. Wszystko wydawało mu się trochę nie z tej bajki.

Wiedział, że kiedy go nie było, sprawy musiały ulec zmianie, oczywiście, że o tym wiedział, a jednak wciąż dziwny był dla niego widok Tony'ego bez Jo. Tony i Jo byli razem, kiedy Ned był jeszcze nastolatkiem. Jo jako fanatyczka fitness zmuszała Tony'ego, żeby biegał i chodził na siłownię. Tak jak on była pracowitką i razem stanowili parę dosłownie promieniującą sukcesem, dyscypliną i współpracą. A teraz Tony był — cóż, był po prostu grubasem w średnim wieku. I jeszcze jakoś tak... smutno wyglądał. Z drugiej strony — jego nowa dziewczyna była kapitalna. Ness stanowiła zupełne przeciwieństwo Jo. Jo była mała i umięśniona, z krótkimi, czarnymi włosami, idealnie nałożonym makijażem i telefonem komórkowym na stałe przyrośniętym do ucha. Ness była wysoka i smukła z niesfornymi jasnymi włosami i na stałe przyrośniętym do twarzy megauśmiechem. Podczas gdy Jo zamawiała zwykle jakiś kawałeczek ryby i sałatę, które potem przesuwała po całym talerzu, Ness zamówiła mnóstwo czerwonego mięsa, które jadła ze smakiem, wlewając w siebie kolejne kieliszki czerwonego wina i mówiąc z pełnymi ustami. Była absolutnie cudowna, w takim prerafaelickim stylu, z jasnozielonymi oczyma i niesamowitymi nogami. Było oczywiste, że Mama ją uwielbia, zdaje się, że umiała też jakoś się dogadać z Gerwazym. Natomiast Tony najzwyczajniej ją ignorował. Tony nigdy

nie był zbytnio rozrywkowy, ale nawet jak na swoje zwykle ponuraćstwo, wczoraj wieczorem zachowywał się jak kompletny mruk. Najwyraźniej ten rozwód naprawdę nim wstrząsnął i możliwe, że związek z Ness był tylko takim tymczasowym odbiciem się od dna. Cokolwiek jednak tak dołowało Tony'ego, straszne było patrzeć, jak ten, który był w rodzinie skałą i opoką, teraz wyglądał na tak okropnie... *zagubionego*.

No i był jeszcze Sean. Kurwa, to się w pale nie mieściło! Taki był cały, no, „sławny” — Ned nie potrafił znaleźć innego określenia. Sean zawsze wyglądał jak najzwyklejszy facet. Miał jakieś tam włosy, ubranie, i tyle. Ale teraz otaczał go taki blask. Jego zęby wydawały się superbiałe, a włosy wyglądały na supergęste. I ta jego pewność siebie. Sean był w rodzinie zawsze tym wrażliwcem, tym, który wszystko rozumie na opak i bierze do siebie. Przedtem obijał się podobnie jak Ned, nosił te same ciuchy po trzy lata, najmował się do kretyńskich prac, oglądał American TV na Sky One i żył na garnuszku u mamy. Sean nigdy przedtem nie był zakochany. Nigdy. No, przynajmniej od czasu, gdy miał piętnaście lat i niejaka Lindsay Morrow złamała mu serce i upokorzyła go przed całą szkołą. Od tamtej pory Sean grał luzaka — dziewczyny przychodziły i odchodziły, a on tego nawet nie zauważał. Teraz jednak cały był promieniejący, zadowolony i *zakochany*. Ned nagle poczuł, jakby Sean był od niego o wiele, wiele straszny i cholernie bardziej dojrzały, i nie miał pojęcia, jak w ogóle miałby się wpasować w obecne życie Seana.

I ta myśl okrutnie go zasmuciła.

Natomiast Mama i Tato, dzięki Bogu, wciąż byli tacy sami. Ciągłe silni i szczęśliwi, wciąż byli idealną parą i ludźmi, których szanował i kochał najbardziej na świecie. Ned starał się wytłumaczyć fenomen swoich rodziców znajomym w Australii, ale nigdy nie był w stanie oddać im sprawiedliwości. Są najwspanialszymi, najbardziej odlotowymi ludźmi na świecie — tak właśnie chciał o nich mówić. Naprawdę się kochają, i kochają swoje dzieci, i cały czas razem się śmieją. W dalszym ciągu wychodzą się zabawić, i spotykają się z przyjaciółmi, i wyjeżdżają na weekendy do hoteli. Sprzecają się, ale nie kłócą, cały czas zwracają na siebie nawzajem uwagę, ale dają sobie przestrzeń na osobiste sprawy. Klną i pierdzą, i pozwalają nam opowiadać, jak się upiliśmy poprzedniej nocy albo jak się w weekend upaliliśmy trawą, i nie myślą sobie od razu, że staniemy się narkomanami, alkoholikami i pomyleńcami. Są tacy, jaka powinna być każda para. Są moimi bohaterami.

Jedyne, co poprzedniego wieczoru zaniepokoiło go w Mamie i Tacie to fakt, że oboje wyglądali na odrobinę starszych. Mama miała więcej siwizny w swoich złotych włosach, a Tato

jakby się skurczył. Oboje zbliżali się do sześćdziesiątki. Oboje się starzeli. To odkrycie kazało Nedowi pomyśleć o tych wszystkich strasznych rzeczach, które mogą spotkać twoich rodziców, jak rak, albo zawał serca, albo starcza demencja. Sama myśl o tym, że Mama i Tato nie będą przy nim na zawsze albo że nie będą tacy jak dotąd, sprawiła, że Ned poczuł się przerażony i zagubiony.

Znowu spojrzął na zegarek. Jedenasta trzydzieści. A przed nim cały długi, samotny dzień i nic do roboty poza rozmyślaniami — na przykład martwieniem się o Mamę i Tatę. Potrzebował z kimś pogadać, zająć czymś umysł. Potrzebował jakiegoś innego tematu do rozmyślań.

Carly, pomyślał z ulgą, tego właśnie było mu trzeba. Jego Carly.

W miarę jak związek z Monicą się rozpadał, myśli Neda coraz częściej i częściej wracały do Carly. Do łagodnej Carly, która nigdy nie wpadała w złość ani nie robiła dziwacznych rzeczy. Do słodkiej Carly, która była całkowicie i absolutnie normalna. Zastanawiał się, co teraz robi, jak się jej układa, z kim się widuje. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek za nim tęskniła i jak by zareagowała, gdyby pewnego dnia pojawił się na jej progu. Usiłował to sobie wyobrazić, wyobrazić sobie jej szczerą twarz i jej wielkie oczy i jedwabiste brązowe włosy związane w koński ogon. Fantazjował, jak na jego widok Carly śmiesznie się krzywi i krzyżuje ramiona na swych dużych, miękkich piersiach i przez chwilę udaje, że jest na niego strasznie zła, a potem daje spokój, uśmiecha się szeroko i zamyka go w swoim *normalnym* uścisku.

Może przez jakiś czas byliby najpierw przyjaciółmi, a może od razu wskoczyliby do łóżka i odbyli miły, *normalny* stosunek, bez żadnego wgapienia się w siebie, natychmiastowych orgazmów i innych dziwactw, taki dobry, znajomy seks z Carly. Ale w fantazji Neda nie miało właściwie znaczenia, co by zrobili, bo wystarczyłoby już samo bycie z Carly. Wystarczyłoby, żeby poczuł się znów normalnie, na miejscu, i w *domu*.

Wyciągnął swój stary notes z adresami i przekartkował go do litery „C”. I oto były — wszystkie numery Carly, które miała przez całe lata, zapisane różnymi długopisami. Do jej rodziców, do pracy w barze, do pracy w Dorothy Day Fashions, do jej mieszkania na Gipsy Hill. Wszystkie etapy jej życia. I te numery, takie znajome, sekwencje cyfr, które wybierał po tysiąc, po kilka tysięcy razy. Najpierw spróbował numeru do pracy.

— Och, no, dzień dobry. Czy mogę rozmawiać z Carly?

— Jaką Carly?

— Carly Hilaris.

Słyszał, jak kobieta przerzuca jakieś papiery.

— Przykro mi, nie mamy tu nikogo o tym nazwisku.

— Co? Ale... jest pani pewna?

— Tak, przykro mi.

— A mogłaby pani jeszcze raz sprawdzić? Ona pracuje w wykrojach.

— Neeta! — usłyszał, jak kobieta do kogoś woła. — Pamiętasz jakąś Carly, co pracowała w wykrojach?

Po chwili wróciła do telefonu.

— Odeszła stąd podobno jakieś trzy lata temu. Odeszła? Z Dorothy Day Fashions?

— O Boże, odeszła... A dokąd? Nie wie pani?

Ned usłyszał odgłosy kolejnej rozmowy gdzieś na zapleczu.

— Do Meksyku.

— *Meksyku?*

— Zgadza się. Szczęściara. Pojechała na wyprawę, czy jakoś tak.

— *Na wyprawę?*

Ned nic nie rozumiał. Carly z plecakiem? W Meksyku? Ale przecież Carly nie lubiła nawet jeździć do Walii. Carly lubiła siedzieć w domu. to było jej ulubione zajęcie.

— Eee, to dziękuję pani, bardzo pani dziękuję.

Ned odłożył słuchawkę i przejechał palcami po włosach. Carly jest w Meksyku. Albo przynajmniej *była* w Meksyku. Może już wróciła. Spróbował jej numeru domowego z coraz bardziej wzrastającą niepewnością. Kliknęła automatyczna sekretarka i jakaś dziewczyna o imieniu Nadia powiedziała mu, że nie ma jej w domu, ale że może zostawić wiadomość, a w tle Destiny Child bardzo głośno śpiewali *Survivor*. Cholera. Takiej możliwości nie wziął pod uwagę. Nie wpadło mu do głowy, że ona też może nie być dokładnie w tym samym miejscu, w jakim ją zostawił.

Skończyły mu się opcje. Był w kropce. W zupełnej kropce. W swoich fantazjach na tarasie kafeterii Bondi nigdy nie wychodził poza moment spotkania z Carly. Maszt Crystal Palace, Mama, Tato, Goldie, obiad w Mickey's, Sean, Tony, własne łóżko, Carly. I tu się jego fantazje kończyły. Zakładał, że od tego miejsca wszystko już samo się jakoś ułoży. A teraz nie wiedział, co ma robić.

Zdjął buty, ściągnął dzinsy i wdrapał się z powrotem na tę straszną kanapę, myśląc, że jak dotąd ten cały interes z powrotem do domu w najmniejszym stopniu nie wygląda tak, jak się spodziewał.

OBIJAJĄC SIĘ PO PARKU

— O, cześć, kto to? Aha, Aliyah. Cześć, tu Tony. Słuchaj, jakoś... kiepsko się czuję, tak mnie coś rozkłada, no i pomyślałem sobie, że może dzisiaj popracuję w domu. Wszystko w porządku, tak? Dobra. Dobra. No, w każdym razie, jakby wypadło coś pilnego, to możecie mnie tutaj złapać. Ale chyba nic tam specjalnego na dziś nie ma, co? No właśnie, tak myślałem. To zadzwonię później sprawdzić, jak leci. Tak. Dobra, dzięki, Aliyah. Miłego dnia. Tak, będę. Dzięki. Cześć.

Tony odetchnął głęboko i starł pot z czoła. Oczywiście, to było całkiem idiotyczne — tak się denerwować tym, że urywa się na lewe chorobowe ze swojej własnej pieprzonej firmy, ale robił to pierwszy raz. W życiu. Obijanie się po prostu nie leżało w jego charakterze. Był prawdziwym wołem roboczym. Zawsze. Już jako mały chłopczyk zarabiał sobie po pięć pensów, pomagając tacie czyścić antyczne srebra. Tony lubił pracę. Lubiał chodzić do pracy, być w pracy, pracować. Nie znosił katarów i przeziębień, które odciągały go od roboty. Odkąd rozstali się z Jo, nie wziął sobie nawet dnia urlopu. Nie widział potrzeby. Ale w pewnym sensie dzisiaj był rzeczywiście chory. Chory na duszy. Miał dosyć swojego życia. Dosyć samego siebie.

Był *chory z miłości*.

Teraz, kiedy miał już dzień dla siebie, rozważał różne możliwości. Mógł iść pobiegać albo na siłownię. Mógł zaprowadzić samochód do myjni i przeglądu. A może po prostu wybrać się na długi spacer po Dulwich Common i w jakimś cichym pubie spokojnie wypić drinka i przeczytać gazety.

I nagle mu się przypomniało. Ned — mógł spędzić ten dzień z Nedom.

Tony'emu było trochę głupio za wczorajszy wieczór. Taki był wkurzony pojawieniem się Gerwazego i zżerany przez zazdrość za każdym razem, kiedy spojrzał na Seana, że prawie nie zamienił z Nedom słowa. Nie miał też z nim niemal żadnego kontaktu przez te trzy lata. Był zbyt zajęty, żeby wysyłać e-maile, a kiedy mógł podnieść słuchawkę i zatelefonować, to zawsze okazywało się, że ze względu na różnicę czasu jest nieodpowiednia godzina. A naprawdę brakowało mu Neda, zwłaszcza podczas rozwodu. Cała rodzina otoczyła go wtedy opieką, jak wielkim, ciepłym kocem, ale bez Neda to nie było to samo.

W pewnym sensie Tony złościł się na Neda, kiedy ten wyjechał. Londonowie byli rodzinną pięcioosobową taki był ich *kształt*: pięciokąt. Jako kwadrat nie sprawdzali się już tak dobrze. I gdyby Tony miał być ze sobą tak zupełnie szczerzy, to może wcale nie byłoby takie złe, gdyby

to Sean wyjechał i zaburzył kształt rodziny, ponieważ to Ned był *pomostem* pomiędzy nim i Seanem. Był jednym z tych radosnych ludzi, którzy ze wszystkimi się dogadują. Kiedy więc Ned był na miejscu, przepaść pomiędzy dwoma starszymi braćmi była niemal niezauważalna. Kiedy byli we trzech, stanowili drużynę; jak zostało tylko dwóch, o wiele trudniej było im się dogadać.

Kiedy Tony przyjechał go zabrać na Beulah Hill, Ned był boleśnie skrzywiony.

— Co ci jest?

— Mój pieprzony krzyż. Mama kazała mi spać na kanapie, bo nie chciała wykopać swego drogiego Gerwazego z mojego pokoju.

— O żesz kurwa jego... — zaklął Tony.

— Fajny wóz — powiedział Ned.

— Tak myślisz?

— Pewno — odparł, gładząc dłonią lakier. — Jest śliczniutki.

Śliczniutki, pomyślał Tony. *Śliczniutki*? Tak, to była właściwie najkrótsza recenzja. Dokładnie to mu tak boleśnie przeszkadzało w tym jego sportowym, czerwonym samochodzie. Był *śliczniutki*.

— No dobra, wsiadaj.

W przyjaznym milczeniu jechali wzdłuż sklepów i restauracji przy Westow Street. Ned napawał się widokami: natłokiem restauracji zupełnie nieproporcjonalnym do wielkości okolicy, portalem biblioteki z kamiennymi rzeźbieniami, niewielkim sklepem Woolwortha, ogromnym pubem na samym rogu.

— Wszystko jest takie samo — powiedział zdziwiony.

— Nie było cię tylko trzy lata. Czego się spodziewałeś?

— Boże, sam nie wiem... no może nowych sklepów, i takich rzeczy. Po prostu, że wszystko będzie... *inne*.

— Ned, nic się tak naprawdę nigdy nie zmienia. Jeszcze się tego nie nauczyłeś?

— O tak, zmienia się — powiedział Ned z nutą smutku w głosie. — Wszystko się cholernie zmienia. A naprawdę wolałbym, żeby tak nie było.

Spacer po parku Crystal Palace zawsze świetnie mu robił na pogłębienie już melancholijnego nastroju. Tony zaliczył wędrowki po niemal wszystkich londyńskich parkach — Regent's Park miał swoje wyfiokowane różane ogrody i teatr na wolnym powietrzu, Hyde Park swoją Serpentine i konie, Battersea Park swojego Buddę i nadbrzeżne rzeczne widoki, a Hampstead

Heath cały zestaw wiejskich uroków, ale jeśli chodzi o atmosferę, żaden z nich nie mógł się równać z Crystal Palace.

Tam, gdzie kiedyś stał błyszczący szklany pałac, który doszczętnie spłonął siedemdziesiąt lat temu, porośnięte trawą tarasy wiodły do panoramicznego widoku ze schodów wyciosanych w nakrapianym kamieniu, skąd widać było cały południowy Londyn. Kiedy się stanęło u szczytu tych schodów i spojrzano wokół od lewej do prawej, park wyglądał jak jakieś tragiczne złomowisko niegdysiejszych światowych atrakcji. Ze wzgórza po lewej, jak wieża Eiffla, wznosił się maszt telewizyjny, a na platformach między stopniami stały bezgłowe rzeźby i dumne sfinksy, stoicko wpatrując się w zamgloną przestrzeń, nieświadome tego, że budowla, której strzegą, już na zawsze zniknęła zza ich pleców. Na ich widok Tony zawsze czuł smutek. Były jak wierne psy, strzegące martwego ciała swego starego pana.

Kiedy byli mali, przychodzili latem do parku i zapuszczali się w podziemne tunele pod ruinami pałacu, wymyślali sobie historie o duchach, żeby się nawzajem straszyć, a potem z ulgą, szczęśliwi, wyłazili na słońce. W lecie park był strasznie zatłoczony, ale w taki wilgotny, kwietniowy dzień jak ten miało się wrażenie, że ma się go tylko dla siebie i można się było zanurzyć w jego mrocznej, tajemniczej aurze. Crystal Palace otaczały magiczne linie mocy*, jeśli ktoś wierzył w takie historie, ale Tony raczej nie był do nich przekonany. Było tu jednak coś niezwykłego, coś *mistycznego*, to pewne. Jak w żadnym innym miejscu w Londynie.

* *Ley lines* — hipotetyczne linie łączące miejsca prehistoryczne, rzekomo obdarzone właściwościami magicznymi.

Weszli na stopnie powoli, w ciszy.

— Dobrze cię widzieć — zaczął Ned.

— Tak — odparł Tony. — Ciebie też.

— Jak ci się układa, no wiesz, po tym rozwodzie i tak dalej? Tony wzruszył ramionami.

— No, w porządku. Nieźle, naprawdę nieźle.

Skreścili w lewo, kierując się do kafeterii w kompleksie sportowym, mijając po drodze grupę mężczyzn w różnokolorowych, obcisłych sportowych strojach.

— A co się właściwie stało? Z tobą i Jo?

Tony zaśmiał się i wcisnął zmarznięte dłonie do kieszeni płaszcza.

— Cholera. Walisz z grubej rury.

— Taak, wiem, ale to było takie dziwaczne, usłyszeć o tym wszystkim po drugiej stronie globu. Wydawało mi się zupełnie nierealne. Nie miało sensu. To znaczy, ty i Jo byliście naprawdę zgrani. Byliście bratnimi duszami.

— Masz na myśli tak jak ty i Carly? — Podniósł brew, zerkając na Neda.

— Tak, ale z wami było inaczej. My byliśmy dziećmi, jak się spotkaliśmy, no i wyrosliśmy z siebie. Ale ty i Jo — wy byliście dorośli, kiedy się poznaliście.

— Nie, wcale nie byliśmy dorośli. — Tony potrząsnął głową. — Mieliśmy po dwadzieścia dwa lata.

— Tak, ale...

— Kiedy masz dwadzieścia dwa lata, nie jesteś dorosły, nie w tym świecie, nie w tych czasach. Wyglądasz jak dorosły, i brzmisz jak dorosły, ale naprawdę jesteś wciąż dzieckiem.

— I to się właśnie z wami stało? Wyrosliście z siebie?

— W zasadzie tak, tak przypuszczam. Ale w praktyce to się sprowadziło do jednej rozmowy. Rozmowy, którą powinniśmy byli odbyć o wiele, wiele wcześniej.

Tony przytrzymał dla Neda drzwi kafeterii i poczuł, jak owiewa go ciepłe powietrze dmuchawy umieszczonej u góry.

— Jakiej rozmowy?

— O dziecku.

— Aha. Naciskała na ciebie, tak?

— Nie, było odwrotnie. To ja byłem gotowy. Ona nie.

— Ale po co ta panika? Nie mogłeś po prostu na nią poczekać? Pewnie w końcu by zmieniła zdanie.

— Nie było sensu. To i tak był pochrzaniony, durny pomysł. Kiedy teraz o tym myślę, to widzę, że chciałem dziecka tylko dlatego, że miałem już trzydzieści jeden lat, że od dawna byliśmy małżeństwem, a mnie się wydawało, że powinienem się z tym zmierzyć. No wiesz: cały Tony. Ale kiedy ona powiedziała „nie”, to był taki wspaniały moment jasności. Bo jeśli nie miało być tego interesu z całą rodziną, przywiązania do dzieci, zaharowywania się, żeby wszystkich utrzymać, to po co, kurwa, w ogóle być żonatym, rozumiesz? Po co chodzić do łóżka codziennie z tą samą kobietą? I zdaje się, że Jo poczuła dokładnie to samo.

— Skąd wiesz?

— Bo dwa miesiące później zostawiła mnie dla jakiegoś kolesia ze swojego biura.

— Bez jaj! — krzyknął Ned. — Nie Jo. Ona nie mogłaby...

— O tak, mogła, mogła. Oczywiście, że tak. Ona zawsze dostawała to, co chciała, nasza Jo.

— Kurwa, o *tym* Mama nic nie mówiła. Powiedziała tylko, że doszłście do kresu drogi.

— Taak, no cóż, o tym Mamie nie powiedziałem.

— Żartujesz chyba. Czemu?

— Nie wiem, naprawdę. Chyba nie chciałem, żeby Mama źle o niej myślała.

— No dobra, ale... dlaczego nie miałyby o niej źle myśleć. Zrobiła cię w chuja, ona...

— Jo zrobiła słusznie. Dobrze zrobiła. Byłem gotowy, żeby się zerwać, ale tylko ona z nas dwojga miała na tyle odwagi, żeby coś z tym zrobić. Wiesz...

Tony podniósł plastikową tackę i popchnął ją po metalowej ladzie w kierunku wystawionych bagietek i kanapek. Wybrał bagietkę z serem i szynką długości mniej więcej trzydziestu centymetrów. Potem wziął jeszcze porcję masła i śmietany, i puszkę Heinekena. Kiedy czekał w kolejce do kasy, dorzucił sobie w ostatniej chwili podwójną paczuszkę orzeszków imbirowych.

Poczuł się głupio, kiedy zobaczył, że Ned ma na swojej tacce tylko kanapkę z tuńczykiem i butelkę wody mineralnej.

— Nie jesteś głodny? — spytał.

— Niespecjalnie — odparł Ned i znów się skrzywił. — Trochę się chujowo czuję, prawdę mówiąc. Chyba podłapałem jakiegoś wirusa w samolocie, czy coś.

— Nie chcesz piwa?

— Nie, dzięki.

Zapadła cisza, przzerwana tylko dźwiękiem rozrywanego przez Neda opakowania kanapki i otwieranej przez Tony'ego puszki piwa.

— No — powiedział w końcu Ned. — To jak się teraz czujesz? To znaczy, jak żyjesz i w ogóle.

Tony wzruszył ramionami.

— W porządku. Dużo roboty.

— A rozwód, to znaczy, powiedziałeś, że nie ma sprawy, i w ogóle, ale jak to było naprawdę? Rąbnęło cię?

— Nie, wcale nie — odparł Tony. — Oczywiście, na początku było trochę głupio, wiesz, wyprowadzka z domu, mieszkanie samemu, to, że codziennie nie widzę Jo. Ale teraz jest spo-

ko.

Ned rzucił mu badawcze spojrzenie.

— Jesteś pewien, Tone?

— Absolutnie. Pasuje mi życie w pojedynkę.

— No, bo nie wydajesz się za bardzo... Nie jesteś taki sam... Jesteś pewien, że jesteś szczęśliwy? Bo jak nie, to możesz ze mną pogadać. Wiesz o tym, no nie?

Tony się uśmiechnął.

— Jestem szczęśliwy, Ned. Serio. Po prostu życie jest teraz inne, to wszystko. Ani lepsze, ani gorsze, tylko inne.

Ned pokiwał głową i znowu zapadło milczenie.

— Ness mi się podoba — rzucił w końcu Ned z pełnymi ustami. — Jest naprawdę fajna.

— Tak — powiedział Tony sucho. — Jest w porządku, nie?

— Gdzie ją poznałeś?

— Znasz Trish? Panienkę Roba?

— No.

— To jej koleżanka. Ze szkoły.

— Aha. Ożenisz się z nią?

Tony lekko się zakrztusił i zaśmiał.

— Co?

— A czemu nie? Jest naprawdę śliczna i strasznie miła, i widać, że cię naprawdę kocha.

Tony wytarł sobie usta serwetką i skrzywił się.

— Nie, Ned. Nie ożenię się z Ness. Chodzimy ze sobą dopiero od roku.

— No to zamieszkaś z nią, czy jak?

— O Boże, Ned, nie wiem. W tej chwili naprawdę nie myślę w ten sposób. No wiesz, my tylko chodzimy ze sobą. To nic poważnego.

Ned pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Ale wolę ją od Jo — powiedział cicho. Tony spojrział na niego zdziwiony.

— Naprawdę?

— Tak. Jest bardziej... *ludzka*. Bardziej prawdziwa. No i ma lepsze nogi — wyszczerzył się do Tony'ego i obaj się roześmiali. — Ale tak serio, Tone, to myślę, że miałeś cholerne szczęście. Ona jest rewelacyjna.

— A co z tą, tą... jak jej na imię? — Tony wciąż miał odruchy lojalności wobec Carly. —

Co się z nią posypało?

Ned westchnął i wyjął ze swojej kanapki plasterki ogórka.

— Trudno powiedzieć, serio.

— Ale co? Ona cię rzuciła? Ty ją rzuciłeś? Co się stało?

Ned przez chwilę milczał i wpatrywał się w okrągły ślad po kawie na blacie stolika.

— No wal. Mnie możesz powiedzieć.

Ned odchrząknął i pochylił się tak blisko, że Tony mógł wyczuć zapach ogórka w jego oddechu.

— Obiecujesz, że nic nie powiesz Mamie?

— Aha.

— No więc ją kompletnie popierdoliło. Ześwirowała. Zupełnie. To było naprawdę, naprawdę przerażające.

— To znaczy co?

— Całkiem jej odbiło. Zaczęła mnie śledzić, biła ludzi, *wyrywała* sobie włosy, wiesz, normalnie całe pasma własnych włosów.

— Chryste. O cholera. Niedobrze. No i — co się stało? Już z nią lepiej?

Ned wzruszył ramionami i zaczął się bawić plastikowym opakowaniem swojej kanapki.

— No, nie za bardzo.

— A co powiedziała, jak jej oznajmiłeś, że wracasz do domu? Ned znowu wzruszył ramionami.

— Właściwie to nic.

— Ale powiedziałeś jej, tak? Powiedziałeś jej, że wracasz do domu?

Ned pokiwał przecząco głową, speszony.

— No... zostawiłem jej liścik.

— O kurwa, Ned, to naprawdę podłe — zaśmiał się Tony.

— Wiem, no przecież *wiem*. Ale ty nie znasz Moniki. To znaczy wiesz, Monica jest naprawdę... duża.

— To znaczy gruba?

— Nie. Duża. Jak facet. Jak *duży* facet. No i... sam nie wiem, gdybym jej powiedział, że wyjeżdżam, to wszystko się mogło wydarzyć. Mogła mnie pobić albo mi obciąć fiuta, czy coś w tym rodzaju.

— To znaczy, że się jej *baleś*? — Tony zaczął się śmiać.

— Byłem przerażony. *Koszmar*nie przerażony. Raz widziałem, jak zabiła kotka.

— Co?!

— Tak po prostu. Kotek leżał na krawężniku, na pół żywy, bo go ktoś przejechał, a ona go złapała, o tak, i ukręciła mu szyję. Spokojniutka, jak ty teraz. Nawet nie płakała ani nic takiego.

— Jezu.

— No właśnie, a z kolei innym razem to takiej małej dziewczynce wykrciła skóre na ręce, takiej malutkiej dziewczynce, wiesz, z loczkami i tak dalej. Powiedziała, że ta mała krzywo się na nią patrzyła.

— Cholera, to jakaś psychopatka.

— Wiem. I mnie też raz uderzyła. No, tak naprawdę to dwa razy. Znokautowała mnie, podbiła mi oko. Ale najgorsze, to znaczy, najbardziej *przerażające* było to, jak gadała przez sen. Jęczała, charczała, czasem wrzeszczała. To brzmiało tak, jakby była opętana przez jakieś demony, czy coś.

Tony przez chwilę nic nie mówił.

— A może faktycznie była. To znaczy, wiesz, Ned, to brzmi, jakby ona była naprawdę poważnie chora.

— No tak. — Ned zwiesił ramiona. Koniec zabawy, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. — Tak. Myślę, że faktycznie tak.

— Biedna dziewczyna.

— Wiem, i to było najgorsze. Bo pod tym wszystkim była naprawdę miła dziewczyna, wiesz, taka naprawdę słodka. To było tak, jakby miała tyle miłości do dania innym, ale nikt jej nigdy nie pokazał, co z tym zrobić. I to chyba w tej jej części ja się zakochałem, tak mi się wydaje.

Tony odłożył piętke swojej bagietki, którą by z chęcią zjadł, ale było mu głupio, bo Ned prawie nie tknął swojej kanapki.

— No więc tak po prostu dałeś nogę? Nocny lot? Ned posmutniał i wyglądał niemal na zawstydzonego.

— To jakby najlepsze podsumowanie — powiedział, przetykając ślinę.

— Cóż, nie mogę powiedzieć, że bym cię za to winił.

— No... wiesz. Nie jestem z siebie z tego powodu dumny. Nie jest to najwspanialsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. Ale wiesz, to nie tylko o nią chodziło. Wszystko złożyło się do

kupy. Gorące święta Bożego Narodzenia, dziwaczne insekty, wszystko tak strasznie daleko. Pomyślałem sobie, kurczę, Mama i Tata — co będzie, jak im się coś stanie, wiesz, jak któreś by miało zawał albo coś takiego, a ja jestem o dwa dni drogi od domu? Wiesz, oni się już trochę posunęli. I chyba warto być w pobliżu. A poza tym będą niedługo ci wszyscy bratankowie, bratanice, i w ogóle...

— Na to za bardzo nie licz.

— A czemu nie. Ty i Ness, przecież jesteście już ze sobą od jakiegoś czasu. A Sean zdaje się całkiem na serio myśli o tej Millie.

— Co ty, daj spokój — parsknął Tony. — Tych dwoje? Przecież znają się dopiero od pięciu minut.

— Niby tak, ale wystarczy na niego popatrzeć, no nie? To jest coś poważnego. Ja ci mówię, Sean się ożeni.

— Sean? Nie. Sean nie jest gotowy, żeby się ustatkować. Nie ma mowy.

— A ja ci mówię, że tak.

— Nie ma mowy.

— Słuchaj, nie było mnie tu, mam bardziej *obiektywne* spojrzenie. I on jest gotowy, brachu, sam zobaczysz.

Tony'emu nie podobał się kierunek, w jakim zmierzała ich rozmowa. Poza tym było coś, co wkurzało go cały czas od początku spotkania z Nedem, coś, o czym musiał mu powiedzieć.

— Ned — zaczął — czy mógłbyś przestać robić to, no wiesz?

— Co?

— Mówić tak, że wszystko brzmi jak pytanie? Ponosić do góry intonację końcówek każdego zdania? No wiesz, ten australijski akcent? Brachu?

Ned spochmurniał.

— Kurwa. Naprawdę? Naprawdę to robię? Robię to w tej chwili?

— No tak, oczywiście, że teraz to robisz, głupku, bo mi zadajesz pytania, to powinieneś tak intonować. Problem w tym, jak wymawiasz normalne zdania.

— O cholera, słuchaj, weź mnie kopnij, jak to zrobię jeszcze raz?

Tony uśmiechnął się słodko i kopnął go w kostkę pod stołem.

— No choć, braciszku, spadamy.

Bracia nałożyli płaszcze i skierowali się do wyjścia, a każdy z nich zastanawiał się po drodze, o czym ten drugi mu nie powiedział.

WŁOSY MONY I DUSZA BERNIE

Ned wrócił z parku o zachodzie słońca i wpadł na Gerwazego siedzącego w kuchni, pijącego herbatę z kubka i czytającego „Guardiana” Taty.

— Och — rzucił Ned. — Cześć.

— Dobry wieczór — powiedział Gerwazy, składając gazetę ruchem, który wskazywał, że definitywnie skończył lekturę i szykuje się na pogawędkę. — Jak biega?

Jak biega? — pomyślał Ned. *Jak biega?* A co to za debilne, dupkowate pytanie? O, biega z zadyszką, dziękuję bardzo. Mruknął coś pod nosem i podszedł do zlewu, żeby nalać wody do czajnika.

— Zostało jeszcze w dzbanku, stary. — Gerwazy ruchem głowy wskazał na dzbanek do herbaty. Był przykryty ocieplaczem.

— Robię kawę — rzucił krótko Ned.

Gerwazy pokiwał głową w stylu „nie ma sprawy”.

Ned wsypał do kubka kilka łyżeczek kawy, wiedział, że będzie potrzebował całych ton kofeiny, żeby się utrzymać na nogach. Kiedy się poruszał po kuchni, był nieprzyjemnie świadomy wzroku Gerwazego, który wwierca mu się z tyłu w czaszkę. To idiotyczne, pomyślał, czuć się nieswojo we własnym domu, bo jakiś obcy gapi się na ciebie, jak sobie robisz kubek kawy.

— Jak tam twój jetlag?

— Dopiero mnie zaczyna dopadać. Na ostro.

Zamieszał kawę, wrzucił łyżeczkę do zlewu, i kiedy się odwrócił, żeby odpowiedzieć Gerwazemu, zauważył z przykrością, że na stopach obcego leży sobie Goldie. Nie obok niego, ale dosłownie na jego stopach. Pies wyglądał na szczęśliwego i wielce ukontentowanego. Tak, jakby to był Tato.

— A jak to jest?

— Co?

— Ten jetlag. Jak to się czuje?

— Sam nie wiem — Ned wzruszył ramionami. — Tak jakoś ciężko i wszystko jakby za mgłą. Trudno się kojarzy. I do tego nogi są takie dziwnie lekkie, wiesz, jakby się szło po ruchomym chodniku.

— Aha — Gerwazy pokiwał głową. — Bo ja nigdy nie byłem dalej niż w Aberdeen.

— Co? Nigdy nie byłeś za granicą? Gerwazy pokręcił głową i zapalił papierosa.

— Ja, wiesz, nie mam tego rodzaju pochodzenia.

Ned poczuł, że właśnie zaczyna się między nimi rozmowa, i stwierdził, że nie ma na nią ochoty.

— Mhm — uciął krótko. — To idę do swojego pokoju. Na razie, tak?

— Tak, stary — powiedział Gerwazy. — Na razie. A, zaczekaj no chwilkę. Zapomniałem ci powiedzieć. Przyszła do ciebie paczka. UPS. Jest w holu.

— O — powiedział Ned. — Dobra. Dzięki.

Przeszedł do holu i zobaczył niewielkie pudełko leżące na „tronie”, czyli aksamitnym, czerwonym krześle z wygiętymi nóżkami i oparciem, jednym ze skarbów mamy z „wystawowego odzysku”. Kto, do diabła, mógł mu wysłać paczkę? Dopiero co wrócił do domu. Podniósł pudełko i potrząsnął nim — było niesamowicie lekkie, tak jakby nic w nim nie było. Zerwał plastikową kieszonkę z przodu i przeczytał informacje. Zgodnie z formularzem UPS nadawcą był ktoś o nazwisku Dilys Nickers, kto mieszkał na 1345 Old Fish Drive w Sydney, w Australii, a zawartość została określona jako „prezent”.

Ned miał złe przeczucie. Bardzo ostrożnie otworzył paczuszkę.

W środku było małe tekturowe pudełko.

Ze słowem CHUJ, wypisanym na nim czerwonym mazakiem.

Ned powoli oddarł taśmę sklejącą pudełko.

W środku leżała kupka błyszczących, ciemnych włosów.

Ludzkich włosów.

Wstrzymał oddech. Ostrożnie dotknął włosów. Były miękkie i jedwabiste. Podniósł jeden kosmyk i przytknął sobie do nosa. Monica.

Ned natychmiast wrzucił włosy z powrotem do pudełka i dokładnie je zamknął. Podniósł swój kubek i właśnie miał wejść na schody, kiedy zadzwonił telefon. Podskoczył jak oparzony i upuścił kubek, który rozbił się równo na dwie połowy, a brązowa ciecz powoli rozlała się po drewnianej podłodze.

— Kurwa!

— Rany — skomentował Gerwazy, wchodząc do holu. — Nerwy. — Przechylił się nad kałużą, żeby podnieść słuchawkę. — Halo, tu rezydencja Londonów, czym mogę służyć?

Ned skrzywił się i przykucnął, żeby pozbierać z podłogi kawałki kubka, nadstawiając uważnie uszu.

— Nie, w tej chwili jej nie ma, wróci mniej więcej za pół godziny. Czy mogę coś przekazać?

Ned odetchnął z ulgą, poszedł do kuchni po papierowe ręczniki, żeby wytrzeć podłogę. Gerwazy odłożył słuchawkę i spojrzał na niego zatroskany.

— No, no, aleś zareagował. To też ten jetlag? Ned coś mruknął.

— Coś ci leży na wątrobie, Ned? Trochę jesteś *dziwny*, stary, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

— Wszystko gra — parsknął.

— Chcesz nową kawę?

— Nie, dzięki. W porządku.

Ned owinął skorupy kubka w wilgotne papierowe ręczniki i wrzucił wszystko do kosza. Podniósł paczkę UPS, wszedł schodami na górę i opadł na swoje łóżko.

Ponownie otworzył pudełko.

Kurwa. Wciąż tam były. Włosy Mon. Jej piękne, grube, lśniące, długie, ciemne włosy. Jedyne, co w niej było naprawdę kobiece. Włosy bez wątplenia należały do niej. Pachniały jej szamponem — pachniały *nią*.

Gapił się na te włosy przez jakieś pięć minut, miał gonitwę myśli, serce mu waliło. Przed oczyma zobaczył obraz Moniki stojącej w łazience z kuchennymi nożyczkami w jednej ręce i garścią włosów w drugiej. A potem pojawił się obraz Sarah Miles w filmie *Córka Ryana*. Zamknął pudełko, zakleił ponownie taśmą i wsunął pod łóżko. Nie umiał sobie z tym poradzić. Po prostu tego nie zniesie.

Podniósł się i rozejrzał po swoim pokoju. Gerwazy oficjalnie wyniósł się stąd tego ranka, ale choć zniknęły wszystkie jego rzeczy, pokój był jakiś inny. Unosił się w nim przykry, obcy zapach, na dywanie widniały plamy, których przedtem nie było. Ned nie mógł się też zmusić, żeby choć spojrzeć w kierunku umywalki w rogu pokoju, do której Gerwazy charkał poprzedniego dnia.

Ned otworzył okno, podwinął rękawy i postanowił, że zajmie się czymś konkretnym, żeby nie myśleć o pudełku stojącym pod jego łóżkiem i o swojej szalonej, na wpół łysej exdziewczynie po drugiej stronie globu. Zamienił swój materac na zapadniętego staruszka z pokoju Seana, choć nieco zalatywał stęchlizną i nie był ani trochę tak wygodny jak jego. Po prostu nie mógł strawić perspektywy spania na tym samym materacu, którego używał Gerwazy. Nie to, żeby Gerwazy *śmierdział*, czy coś takiego. Wystarczyło, że wyobraził sobie, że Gerwazy

walił na nim konia.

Wziął wiaderko, butelkę płynu do mycia, stertę papierowych ręczników, wielką gąbkę i dokładnie wyszorował calutki pokój — podłogi, listwy, ramy okien, klamki, meble, pod meblami i za nimi. Wlał do umywalki wybielacz i zostawił go na dziesięć minut, a potem obsesyjnie ją wyszorował. Odkurzył swoją sofę, zasłony, każdy cal dywanu, nawet w tych miejscach, które nie widziały dziennego światła od ponad dwóch dekad. Spryskał pokój zapachowym sprayem o nazwie „Ukojenie”, mając nadzieję, że na nim wywrze podobny efekt, otworzył okno i dokładnie wietrzył przez godzinę. A potem z pokoju Tony'ego przyniósł swój komputer, podłączył go, zastartował, wszedł do sieci i z bijącym sercem sprawdził swoją skrzynkę pocztową na Hotmail.

Jezu, mrucał do siebie, czekając, aż na ekranie pojawi się jego poczta, jak wolno, jak to wolno idzie. W końcu wyskoczyła lista korespondencji. Szybko przebiegł ją oczyma. Listy przesłane od jego londyńskich kumpli, którzy nawet nie wiedzieli, że wyjechał za granicę. Biuletyn informacyjny od agencji zatrudnienia w Sydney. Jakieś info z Amazon. I nic poza tym.

Nic od Mon.

— Ned, stary — usłyszał ciche pukanie do drzwi. — Mogę Wejść? — To był głos Gerwazego.

Ned spojrzał na niego z uczuciem zbliżonym do ulgi.

— Tak — powiedział. — Pewnie.

— Słuchaj — zaczął Gerwazy, pocierając dłonie. — To tylko taka sugestia. Ale dziś jest wieczór występu twojej Mamy w Beulah, i tak se pomyślałem, że by miała prawdziwą frajdę, jakbyś się pojawił.

— Co? Patrzyć, jak śpiewa?

— No. Ucieszyłaby się jak nie wiem co.

— A ty idziesz?

— Aha. To najważniejsza rzecz w tygodniu. Nigdy jeszcze nie opuściłem jej występu.

Ned spojrzał na ekran komputera, na zegarek i rozważył opcje. Mógł albo a) przez cały wieczór siedzieć w swoim pokoju, paranoicznie sprawdzać e-maile i powoli wpadać w obłąd; albo b) iść, wypić kilka piw, posłuchać, jak jego mama śpiewa, i zająć myśli czymś innym.

— Dobra — powiedział. — Czemu nie? O której?

— Wyjdziemy o siódmej?

— Fajno.

I tak pół godziny później w ten mokry, środowy wieczór znalazł się w Beulah Tavern. Słuchał, jak jego mama ubrana w różowy, błyszczący top i czarne aksamitne spodnie wykonuje podnoszącą włosy na karku wersję starego standardu *Diamonds Are Forever*.

To było dziwne wrażenie, patrzeć, jak mama śpiewa. Oczywiście, wiele razy wcześniej słyszał jej śpiew. Śpiewała im wszystkim, kiedy byli mali i umieli to docenić, no i śpiewała na wszystkich weselach kuzynów i tak dalej. Ale nigdy nie widział jej w tym pubie na rogu. Ludzie nie przyszli tu specjalnie po to, by ją usłyszeć. Nie *znali jej*. Przyszli po prostu na piwo, a ona akurat tu była. Niektórzy całkowicie ją ignorowali, co wkurzyło Neda. Bardzo.

— To wkurwiające, no nie? Jak ludzie nie słuchają?

Ned potaknął. To były pierwsze słowa, jakie padły, odkąd Bernie weszła na scenę. Ned co prawda kiwnął głową, ale nie wiedział, co powiedzieć.

— Ma wielki talent, twoja mama. *Prawdziwy* talent. Ned znowu potaknął.

— Aha. Niezła jest.

— Jak ją pierwszy raz usłyszałem, to mnie dosłownie z nóg zważyło. Totalnie. — Gerwazy założył ręce na piersi i oparł się na krześle, jakby chciał zaznaczyć, że to były jego ostateczne słowa. Patrzył na Bernie intensywnie, kiedy śpiewała, a gdy skończyła piosenkę, wstał z miejsca i zaczął klaskać i gwizdać tak głośno, jakby był w tylnym rzędzie stadionu w Wembley. Ned spojrzał na niego zaskoczony, a potem rozejrzał się wokół, by sprawdzić, czy ktoś poza nim też uważa, że facet zachowuje się jak wariat. Jednak wydawało się, że nikt nie zwraca na niego uwagi.

Gerwazy usiadł powoli, wciąż jeszcze klaszcząc, a potem zapalił papierosa.

— No — powiedział. — A ty, Ned? Umiesz śpiewać?

— O nie, kategorycznie nie — zaśmiał się Ned.

— To jaki jest twój UZT?

— Moje co?

— Twój UZT — Unikalny Znak Towarowy. Twoja mama umie śpiewać, tato naprawia rzeczy, Sean pisze, a Tony ma firmę. A ty masz swoje „coś”?

Jego *coś*? Jezu. Nie miał żadnego *czegoś*. Skończył studia — to zawsze było jego *coś*. Ale od dnia, kiedy Mama i Tato płakali z dumy na rozdaniu dyplomów, nie było więcej żadnych *cosiów*. Tylko praca w sklepach z ciuchami, w galerii przy wystawach, no i ucieczka do Australii z psychotyczną nieznajomą. Wzruszył ramionami.

— Chyba to, że wszystko umiem spierdolić — mruknął.

— Coś ty. Przecież ci dobrze leci, no nie? Masz dyplom. Miałeś sporo przygód.

— Pewnie tak. Ale wiesz, mam też dwadzieścia siedem lat. Powinienem zacząć trochę poważniej myśleć o życiu, nie?

— To co masz na oku?

— Właściwie to nic.

— Bernie mówiła, że się interesujesz sztuką, że nawet pracowałeś w Sotheby's, czy coś. Nie chcesz do tego wrócić?

— Nie. Nie teraz. To i tak było tylko jako praktyka po studiach, wiesz, a nie normalna posada.

— A nie myślałeś, żeby pracować trochę ze swoim tatą? Ned skrzywił się i jęknął.

— To chyba krok do tyłu, nie? Wiesz, już to robiłem, kiedy jeszcze byłem w szkole.

— No ale teraz nie mógłbyś o tym pomyśleć tak, no, bardziej na poważnie? Wejść z nim w interes?

— Myślisz o spółce typu London & Synowie? — zaśmiał się Ned.

— Pewno. A czemu nie? Twój tata by był szczęśliwy.

— Nie — powiedział, upijając łyk piwa. — Nie wydaje mi się. Nie mógłbym robić tego, co tato. To trzeba naprawdę kochać. To talent. Sam wiesz.

— A twój brat?

— Który?

— Tony. Nie może ci dać pracy?

— Tony? Żartujesz chyba — zaśmiał się Ned. — Nie mógłbym dla niego pracować.

— Czemu? Wygląda na porządnego gościa.

— O tak. Bo jest. Tylko widzisz, to jest mój starszy brat. Pół życia spędziłem pod jego rozkazami. Nie ma mowy. A i tak bym przy nim ześwirował. To totalny pracoholik.

— Taak, no tak — powiedział Gerwazy w zamyśleniu. — Taa... śmieszny facet z tego Tony'ego. Chyba za mną nie przepada.

— Naprawdę? Czemu tak myślisz? — szybko spytał Ned, nie wiedząc, jak inaczej zareagować.

— Nie jestem tak do końca pewny. On chyba jest po prostu ostrożny. To znaczy, chce chronić swoich staruszków, swoją mamę. Pewnie się zastanawia, kim ja, do cholery, jestem, co, do kurwy nędzy, robię w ich domu.

Ned bawił się płatkami ucha i nic nie odpowiedział.

— Ale on się nie musi martwić, wiesz, Ned. Żaden z was, chłopaki, nie musi się martwić.

— Wcale się nie martwimy.

— No, pewno, że nie. Ale wiesz, gdyby jednak, to wszystko jest spoko.

— Aha — mruknął Ned, starając się ukryć powątpiewanie w głosie. Nie było nic bardziej skłaniającego do martwienia się, niż zapewnienie kogoś, że nie powinien się martwić, kiedy właściwie wcale się nie martwił. — Pewnie. Wszystko gra.

Ned znów wzruszył ramionami. I wtedy zdarzyło się coś naprawdę dziwnego. Gerwazy nagle spojrzął na niego z tak zatroskanym wzrokiem, jakby myślał, że mógł kiedykolwiek przysporzyć Nedowi zmartwień, łamała mu serce. Odłożył papierosa na brzeg popielniczki i nagle, zanim Ned miał szansę zaprotestować, złapał go za rękę i zaczął się wpatrywać w jego oczy, bardzo głęboko. Ale *naprawdę* niesamowite było to, że Nedowi sprawiało to przyjemność. Poczuli się bezpieczni, poczuli ciepło w środku, a jego żołądek stał się jakby wielką kulą topiącej się czekolady. Ned nie był pewien, jak długo trwało to trzymanie za rękę i wpatrywanie się w jego oczy, ale zostało przerwane dopiero w momencie, gdy Bernie skończyła kolejną piosenkę i odgłosy entuzjastycznych braw wdarły się do jego świadomości. Gerwazy powoli puścił rękę Neda i sięgnął po tłącego się wciąż papierosa. Powoli pokiwał głową.

— Musisz to wyjaśnić, stary.

— Co wyjaśnić?

— Wiesz co.

— Nie, nie wiem.

Gerwazy westchnął i pochylił się do Neda.

— Samo nie zniknie, jeśli to będziesz ignorował. Możesz uciekać, ale się nie ukryjesz.

Wiesz o tym, prawda?

Ned zwilżył językiem wargi. Nie podobało mu się, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa.

— Ale co? Co nie zniknie?

— Twój mały problem. Ned zmarszczył brwi.

— Twój bałagan. Ten bałagan, który zostawiłeś za sobą. Ned przełknął głośno ślinę.

— Masz na myśli... Masz na myśli Australię?

— Aha. Tam jest ciągle jeszcze bardzo wiele bólu. Zostawiłeś dużo bólu. I wiem, że to nie twoja wina, Ned. Wiem to. Ale nie możesz po prostu uciec i udawać, że nic się nie stało. Bo prędzej czy później to cię dogoni, tak albo inaczej. Zrób z tym coś teraz, albo będzie coraz bar-

dziej bolesne.

— Monica? — spytał Ned cicho. — Mówisz o Monice?

Gerwazy nagle odsunął się od niego, jakby ktoś przeciął niewidzialną nić, która ich łączyła. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i jednym haustem wypił połowę swojego piwa.

— A niby skąd mam, kurwa, wiedzieć?

— Aha. — Ned też podniósł swoje piwo. Ręce mu drżały. A wtedy Gerwazy nagle mocno odstawił swoją szklanekę na stół, podniósł się gwałtownie i szybkim krokiem poszedł do toalety.

Ned brał głębokie oddechy i bardzo się starał skupić na śpiewie mamy, ale to było naprawdę trudne. Żałował, że ktoś tu z nim nie siedzi, jakiś kumpel, tak że mógłby po prostu się roześmiać i spytać: „Blimey, o co tu, kurczę, biega?” Ale siedział sam, a głowę miał pełną myśli o ostatniej osobie, o której chciał myśleć: o Monice. Ned starał się przypomnieć sobie dokładnie słowa Gerwazego: „Musisz to wyjaśnić”. Przeszedł go dreszcz. Bo czy Gerwazy w ogóle wiedział, o czym mówi, czy nie, to miał rację. Zostawił bałagan. I to, że ten bałagan znajdował się po drugiej stronie globu, wcale nie znaczyło, że zniknął.

Najlepszym tego dowodem były włosy w pudełku pod jego łóżkiem.

Wypił jeszcze trochę piwa i starał się usilnie zepchnąć te myśli na bok. Zdał sobie sprawę, że tak właśnie robił od chwili, kiedy wrócił do domu. Nie było to przyjemne. Jakby spędził większą część tygodnia, powstrzymując naprawdę wielkie pierdnięcie.

— No to, Ned, jaką muzykę lubisz? — Gerwazy wrócił, pachnąc strasznie mocno, ale nie odrażająco, mydłem w płynie, które mieli w tutejszej toalecie. Ned lekko podskoczył zaskoczony na równi jego nagłym pojawieniem się, jak i zupełnie beztroskim tonem tego pytania.

— Boże, sam nie wiem. Dużo rzeczy w sumie. No wiesz, dyskotekową muzykę i Fat Boy Slima, Faithless, Moby'ego...

— Kupa. — Gerwazy uśmiechnął się szeroko. — To wszystko kupa. Muzyka dla jebanych zombie.

Ned już miał mu przerwać i zaprzeczyć, ale Gerwazy był na fali.

— Rock and roll, stary. To jest prawdziwa muzyka.

— Co? Jak te kawałki z końca lat pięćdziesiątych?

— No. W pewnym sensie. To znaczy, ja kiedyś byłem fest zakręcony na to całe rockabilly, psychobilly, no wiesz, King Kurt i tak dalej. Ale jak... *dojrzałem*, to bardziej zacząłem doceniać królów rocka. Prawdziwe granie.

— Na przykład kogo?

— Robert Gordon. O, to jest dopiero facet. Autentyczny, prawdziwy rockandrollowy śpiewak, który ciągle występuje, tak? Na żywo. Bez teatralnych chwytów Chucka Berry'ego. Żadnych Elvisowych numerów z Vegas, żadnych błyskotek. Tylko facet, jego zespół, jego gitara i jego głos. Prawdziwy, nieskażony rock and roll. Lubisz rocka, Ned?

— No, niby tak, niektóre kawałki.

— Twoja mama, ona lubi rocka. Twój tata też.

— Taak, ale wszystkie mamusie i tatusiowie lubią rocka, no nie? Mają to w genach. I wszyscy to potrafią, wiesz, tańczyć. Każdy z nich umie tańczyć rock and rolla. — Ned zaśmiał się głośno. — Są niby normalnymi ludzkimi istotami, nie? Oglądają telewizję i wychodzą na obiady, i narzekają, jak słuchasz za głośno swojej muzyki. A potem ktoś nagle puszcza *Great Balls of Fire*, a oni wskakują na parkiet i wywijają jak popieprzeni spastycy. Robią te wszystkie przerzuty i obroty. To znaczy, rozumiesz, czym my, kurwa, będziemy zawstydzać nasze własne dzieci na weselach, kiedy będą miały po dwanaście lat?

Gerwazy uderzył się dłońmi po udach, strącając sobie długi kawałek popiołu prosto na dzinsy.

— Dokładnie! — powiedział. — Święta racja! Nie mamy swojego tańca, no nie? Nasi dziadkowie mieli charlestona, ich dziadkowie mieli walca. Nasi rodzice mieli rock and rolla i twista. A co my mamy? Słodkie pieprzone gówno, ot, co. To tragedia, Ned. Prawdziwa tragedia. No bo przecież taniec, to plemienna sprawa, no nie? To sposób, w jaki wyrażamy siebie. Prawda? A dzisiaj wyrażamy siebie albo tak, że się schlewamy na bankietach w biurze i robimy sobie zakrzywienie czasoprzestrzeni, albo bierzemy tony tych pedalskich nowoczesnych narkotyków i wymachujemy rękami w powietrzu do ósmej rano...

Odchrząknął, poruszył kilka razy głową z boku na bok i oczyścił sobie zatoki.

— To smutny świat, Ned. Naprawdę smutny. Smutny, bezduszny, jednobarwny świat. I dlatego właśnie lubię tu przychodzić w każdą środę wieczorem i słuchać, jak twoja mama śpiewa. Patrz tylko na nią... — Przez chwilę patrzył na Bernie w milczeniu. — Gdyby tylko wszystko na świecie było takie jak twoja mama, Ned. I mówię to z całym szacunkiem, naprawdę, nie zrozum mnie źle. Bo twoja mama jest taka... taka żywa. Weź, dajmy na to ten dom, wasz dom. Bez waszej mamy to by był zwykły śmietnik. I *to* też mówię z całym szacunkiem. Ale tak by było. Twoja mama ma duszę. *Prawdziwą* duszę...

A potem odwrócił się, żeby patrzeć na Bernie, a jego stopa wystukiwała rytm. Rozmowa

najwidoczniej została zakończona. Ned przez chwilę przyglądał się Gerwazemu, jego lekko ptasiemu profilowi, ospowatej cerze, ufarbowanym na czarno włosom i tej żylastej, wytatuowanej szyi i przez ułamek sekundy czuł się tak, jakby patrzył na kogoś z innej planety. A może tylko z innych czasów.

Ned poczuł nagły przypływ ciepłych uczuć do tego faceta bez wieku, bez korzeni i usiadł sobie wygodnie, by cieszyć się występem mamy z zupełnie nowym uznaniem dla jej talentu. I dla jej duszy.

ROMANS W CATFORD

Sean wyjął pierścionek z malutkiego, granatowego pudełeczka i uniósł go do światła. To była naprawdę najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widział. Wsunął go z powrotem na miejsce, zamknął pudełeczko i włożył je do szuflady.

To miał być ten wielki wieczór. I nie tylko dlatego, że zamierzał się oświadczyć swojej starszej kobiecie. Dziś po raz pierwszy Millie miała przyjść do jego mieszkania. Nie odkładał tej wizyty z premedytacją. Po prostu niepisane londyńskie prawo mówiło, że jeśli ma się mieszkanie fantastycznie położone blisko centrum, na północnym brzegu rzeki, sam pomysł jechania do Catford, z jakiegokolwiek powodu, był porównywalny z podróżą do Indii tylko po to, by odwiedzić tamtejszego dentystę. Po prostu nie pojawił się dotąd na tyle dobry pretekst, żeby przywozić ją aż tutaj, tak więc tego nie zrobił. Dziś jednak, przez czysty przypadek, Millie miała jakieś spotkanie w Camberwell. A skoro już się przekroczyło rzekę, no cóż, można było zapuścić się dalej. Tak więc zaproponowała, żeby ugotował jej u siebie obiad. Tak naprawdę to nalegała. Chciała sobie tu powęszyć, tak powiedziała, odkryć wszystkie jego ciemne sprawy. I doprawdy idealnie się złożyło. Myślał wcześniej, żeby zabrać ją do jakiejś eleganckiej knajpy, na przykład Nobu czy Dorchester, zamówić hotelowy pokój i tak dalej. Ale pomysł oświadczenia się jej tutaj, w jego mieszkaniu, był o wiele, wiele lepszy. Fantastycznie niebanalny.

Nie przejmował się robieniem czegokolwiek z mieszkaniem, tylko bardzo mocno przyciemnił wszystkie światła i zapalił kilka świec, żeby nie było widać w jakim jest ono stanie. Miał nadzieję, że zapach czosnkowego chleba dochodzący z piekarnika odwróci jej uwagę. Zresztą wcześniej ją ostrzegł, że jego mieszkanie jest raczej zapuszczone, więc wiedziała, czego się spodziewać. Poza tym Millie i tak nie zwracała uwagi na takie drobiazgi. Millie nie przejmowała się niczym, co nie było istotne — to była jedna z rzeczy, które najbardziej w niej

kochał.

Sean nigdy się nie spodziewał, że nadejdzie kiedyś taki dzień. Myślał, że spędzi resztę życia, systematycznie zaliczając każdą londyńską dziewczynę w wieku pomiędzy dwudziestką i trzydziestką, która będzie miała słabość do facetów z lękiem przed zaangażowaniem. A potem, kiedy już będzie za stary, żeby móc coś wyrwać, skończy, mieszkając samotnie, na zawsze. I był z takiej perspektywy bardzo zadowolony, bo zawsze wolał swoje własne towarzystwo od innych ludzi. Nigdy nie myślał, że będzie się chciał z kimś ożenić. Że spotka kogoś, kto wróci do góry nogami jego uprzedzenia na temat miłości, sprawi, że poczuje się towarzyski, opiekuńczy i silny. Zawsze wiedział, że Tony się ożeni i ustatkuje, i tego samego spodziewał się po Nedzie. To oni powtórzą scenariusz szczęśliwego małżeństwa ich rodziców, to oni zapewnią wnuki i stabilizację. Ale teraz, no cóż, wyglądało na to, że w ostatniej chwili pojawił się w tej konkurencji jeszcze jeden zawodnik — on sam. Sean w pewnej chwili jakoś wypadł z rodzinnego gniazda i zawsze czuł, że nie do końca do niego pasuje. Jednak od czasu, kiedy Tony się rozwiódł, Ned wywiał do Australii, a on opublikował swoją książkę, wszystko się zmieniło. Teraz to on był najjaśniejszą gwiazdą w rodzinie. A do tego miał właśnie zamiar wspiąć się na kolejny szczebel rodzicielskiego uznania. Zamierzał się ożenić. I to nie z byle kim, ale z tą niesamowitą, piękną kobietą, która przewyższała go pod każdym względem.

Zamieszał dokładnie sos arrabiata, dorzucił do niego jeszcze kilka kawałeczków papryki chilli, a w dużym garnku nastawił wodę na makaron. I wtedy odezwał się dzwonek u drzwi.

— Cześć — powiedział do domofonu.

— Cześć. Tu Dziewczyna z Miasta. Czy to Chłopiec z Przedmieścia?

— Wchodź — powiedział, uśmiechając się do siebie. — Siedemnaste piętro.

— Cudnie — powiedziała. — Jesteś pewien, że nie potrzebuję do tego specjalnego sprzętu wspinaczkowego?

Wpuścił ją na klatkę, a potem czekał przy windzie, podświadomie patrząc wokół jej oczyma. Jak na komunalny wieżowiec, nie było źle. Dom stał na ładnym osiedlu, zadbanym, mieszkały tu przede wszystkim pary. Zapisał się na gminną listę oczekujących, jeszcze kiedy miał dwadzieścia lat. Wtedy myślał, że i tak nigdy nie będzie sobie mógł pozwolić na kupno własnego mieszkania. A był zbyt aspołeczny, żeby mieszkać z kimś. Teraz, oczywiście, mógł się stąd wyprowadzić. Już tego mieszkania nie potrzebował. Zajmował tylko komuś cenne miejsce. Mogła się tu spokojnie pomieścić trzyosobowa rodzina. I wyprowadzi się. Wkrótce. Po prostu nie całkiem się jeszcze przyzwyczaił do tego, że ma pieniądze, nie *ufał* temu. Zajęło

mu ponad rok, zanim przestał czuć skrępowanie, kupując rzeczy, których tak naprawdę nie potrzebował. Nawet teraz mógł wydawać swoje pieniądze tylko w niewielkich ilościach. Myśl o tym, żeby wydać na mieszkanie kupę szmalu za jednym zamachem, tak po prostu — była dla niego przerażająca. Mógłby znowu być biedny. Żadnych taksówek, obiadów w mieście, tylko on, siedzący w jakimś pięknym, własnym mieszkaniu, i nie mogący sobie pozwolić, żeby z niego wyjść.

Drzwi windy otworzyły się i wyszła Millie. Miała na sobie dżinsy, kozaczki z wąskimi noskami i obszerny, zamszowy płaszcz obszyty futerkiem. Włosy spięła na czubku głowy. Poza tym, jak Sean zauważył z wielką satysfakcją, była umalowana czerwoną szminką. Nigdy wcześniej nie używała czerwonej szminki, a to było coś, co lubił najbardziej.

— Witaj, mój piękny — powiedziała, obejmując go ramionami i całując w usta. — Właśnie byłam podrywana.

— Ach tak? A przez kogóż to?

— Przez dziesięcioletniego chłopca w dżinsach DKNY. Powiedział, że jestem „laska”. I że mam wypasione kozaczki.

— Widzisz, a nie mówiłem, że ci się tu spodoba?

Otworzył drzwi do mieszkania i wpuścił ją przodem. W powietrzu unosiły się dźwięki „Spiritualized”, tudzież zapach czosnku i świeżej bazylii. Świece, które pozapalał w całym mieszkaniu, dawały niemal romantyczny blask, no i miał jeszcze swoją ukrytą broń.

— O mój Boże! — Minęła go i wmaszerowała prosto do salonu. Przez zajmujące wszystkie trzy ściany i sięgające od sufitu do podłogi okna, roztaczał się tu widok na każdy niemal cal Londynu, rozciągniętego poniżej jak błyszczący dywan. — O mój Boże! — powtórzyła z dłońmi przyciśniętymi do szyby i ustami otwartymi z zachwytu. — Patrz! Dome. London Eye. I rzeka. O rany! — Przeszła do okna wychodzącego na południe. — Patrz, to masz Crystal Palace!

Dołączył do niej, powiódł dłonią za jej palcem, a potem objął ją od tyłu w pasie.

— Crystal Palace jest widoczny niemal zewsząd — powiedział z dumą. — Z Primrose Hill, z Suicide Bridge, Alexandra Palace. W pogodny dzień to nawet z Ilford. Jest jak Gwiazda Polarna.

Stali tak przez chwilę, patrząc na migocące światełka na horyzoncie.

— Boże, teraz rozumiem, czemu nie chcesz zrezygnować z tego miejsca. Jest oszałamiające.

— Nie widziałaś jeszcze toalety.

— A co? — spytała podniecona. — Co stamtąd widać?

— Nic. Jest naprawdę ponura. To wszystko.

— Słuchaj no — powiedziała ze śmiechem. — Wychowałam się na farmie, już ja coś wiem o ponurych toaletach.

Ładna mi farma, pomyślał. Zawsze nazywała to farmą, ale on wiedział, że to była posiadłość z biurem zarządcy i wynajętymi pracownikami, którzy zajmowali się takimi rzeczami jak gnój, padlina i sztuczna inseminacja. Same stajnie były pewnie większe niż dom jego rodziców, a jej ojciec nosił szlachecki tytuł „sir”.

— Nie oprowadzisz mnie po włościach?

— To już wszystko — odparł, wzruszając ramionami.

— Ale gdzie jest sypialnia?

— To ten ciemny, zatechły kąt, o tam — pokazał ruchem brwi. Ona zdjęła z siebie zamaszowy płaszcz, a on wyjął z lodówki mrozącą się tam od godziny butelkę Louisa Roederera.

Sean nie lubił romantycznych gestów. Żaden z braci nie był w tym dobry, nie mieli tego w genach. Ich ojciec był miłym mężczyzną, zakochanym w swojej żonie, ale Sean nie przypominał sobie, by kiedykolwiek kupował Mamie kwiaty albo porywał ją na weekendowe wyjazdy-niespodzianki. Gerry okazywał swoją miłość w inny sposób; całował Bernie w szyję, kiedy odkurzała, z dumą opowiadał o jej osiągnięciach znajomym i przyjaciółom, bez szemrania zmywał naczynia i jeździł do Croydon o drugiej nad ranem, by zabrać swoją pijaną małżonkę z nocnego klubu, gdzie co miesiąc balowała ze swoimi kumpelkami. Takie właśnie lekcje miłości bracia Londonowie wynieśli z rodzinnego domu.

Millie spojrzała ze zdziwieniem na butelkę w jego rękach.

— No, no — powiedziała. — Ale masz klasę.

— Co, mówisz o tym? — spytał, nonszalancko wymachując butelką szampana za 45 funtów. — To nic. Zobaczysz, co będziesz piła na naszą trzymiesięcznicę.

Uśmiechnęła się i zajrzała do jego sypialni. Sean zaniósł butelkę i dwa kieliszki na balkon. Była połowa kwietnia i dawało się już wyczuć, jak nadciąga ten leniwy, magiczny zapach Londynu latem. Słyszał muzyczny temat serialu *EastEnders*, dochodzący z mieszkania piętro niżej, i dalekie odgłosy dzieci na placu zabaw siedemnaście pięter poniżej. W powietrzu definitywnie czuło się wiosnę. Latem Sean spędził większość czasu właśnie na tym balkonie, napisał tu prawie całą swoją książkę, wtedy jeszcze pisał odręcznie. Tęsknił za tym swoim sekretnym

zakamarkiem Londynu, gdzie w końcu był w stanie pozbierać się do kupy. Ciężko mu będzie znaleźć gdzieś podobne widoki, nieważne, ile by wydał forsy. To zakrawało na ironię, że tylko bardzo biedni i bardzo bogaci mogli sobie pozwolić na panoramę Londynu.

— Fajna tapeta — powiedziała Millie wesoło, wychodząc za nim na balkon.

— Pełny szok, no nie? Od dawna miałem z tym coś zrobić, ale wiesz, do tak potwornych tapet człowiek się po pewnym czasie po prostu przyzwyczaja.

— Aha. Więc to nie ty ją wybrałeś?

— Co?! Jak śmiesz! Gdybym kiedykolwiek kupował własne mieszkanie, byłabyś zaskoczona moim wyrafinowanym, naturalnym poczuciem stylu i smaku. Możesz być pewna.

— Doprawdy? — wzięła od niego kieliszek i nadstawiła wyczekująco. — No i co, otworzysz to w końcu czy nie?

Uśmiechnął się i spróbował wyciągnąć korek.

— Jezu — wymamrotał, bo korek tkwił nieporuszony.

— Daj, ja to zrobię. Jestem ekspertem. — Wyjęła mu z rąk butelkę i z łatwością uwolniła korek. Patrzyli oboje, jak korek eleganckim łukiem przefruwa na tle londyńskiego nieba, po drodze wyznaczając szczyty wieżowców, ociera się o Blackheath Common i ląduje delikatnie na śmietniku.

Millie rozlała szampana i podała Seanowi kieliszek.

— Zdrowie! — powiedziała. — Za twoje mieszkanie. Cholerny najwyższy czas. I za spotkanie twojej rodziny za trzy dni — uśmiechnęła się nerwowo.

— Wcale nie musisz przychodzić, przecież wiesz. Zostawiłem ci otwartą furtkę. Nikt nie będzie ci miał za złe.

— Nie, nie. Chcę iść. Naprawdę chcę. Tyle że to mnie trochę *onieśmiela*, rozumiesz?

Sean spojrzał na swoją starszą kobietę, która stała oto na jego balkonie w Catford w swoim swetrze z Portobello i rodowych kolczykach, nerwowo ścisnęła kieliszek szampana i patrzyła na niego z takim szacunkiem, jakby miała zostać przedstawiona rodzinie królewskiej. I poczuł olbrzymią, obezwładniającą falę miłości, która zaczęła wzbierać w jego żołądku i po chwili doszła do kanałów łzowych.

— Och, chodź do mnie — powiedział, wyciągając ramiona. — Będą tobą zachwyceni, wiesz o tym. Będą cię wielbić.

Uśmiechnęła się ciepło i przytuliła się do niego, a on objął ją bardzo mocno, wdychając jej zapach. *Teraz*, powiedział cichy głosik w jego głowie. *Teraz, zrób to teraz*. Nie będzie lep-

szego momentu; łagodny kwietniowy wieczór, Londyn pod nimi i słońce zachodzące nad butelką szampana, czekającą na wypicie.

Ujął jej dłonie w swoje i spojrzał w złociste plamki w jej oliwkowych oczach, cieniutkie zmarszczki w kącikach oczu, maleńką bliznę tuż nad górną wargą, na te wszystkie niewielkie niedoskonałości, które przez minione osiem tygodni nauczył się kochać niemal mocniej niż to, co było w niej idealne. I kiedy tak patrzył, sam nie wiedział, kiedy zaczął to mówić, niemal bez zastanowienia.

— Millie, czy wyjdiesz za mnie?

Przez chwilę patrzyła na niego zaszokowana, uśmiech błąkał się w kącikach jej ust.

— Co?

— Spytałem — tym razem przyklęknął na jedno kolano — Millie, wiem, że znamy się od niedawna, ale znamy się na tyle dobrze, żebym wiedział, że chcę z tobą spędzić resztę życia, więc chciałem cię prosić, czy wyjdiesz za mnie?

Spoglądał na nią z dołu. Czuł się trochę głupawo, ale bardzo podniecony. Czekał na jej reakcję. Przez chwilę patrzyła na niego, jakby nic nie rozumiejąc. A potem odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się serdecznie śmiać.

— Nabijasz się ze mnie? — spytała podejrzliwie. — *Ty chcesz się ożenić ze mną?*

— Uhu.

Roześmiała się w głos.

— Ale ze mną *nikt* się nie żeni. Tak już ze mną jest. Nie możesz po prostu chcieć się ze mną ożenić.

— Ale chcę.

— Przecież ja jestem starą panną. Prawdziwą. Nigdy nawet z nikim nie *mieszkałam*. Jesteś tego pewien?

— Nigdy nie byłem niczego pewniejszy.

— No i jestem od ciebie o sześć lat starsza. Zdajesz sobie z tego sprawę?

— Aha.

— I cokolwiek by się stało z tym światem, ja już *zawsze* będę sześć lat starsza. Za cztery lata stuknie mi czterdziestka. A ty będziesz miał dopiero trzydzieści cztery.

— Tak.

— I nie zmienię się w żaden cudowny sposób w dwudziestotrzyletnią dziewczynę, kiedy ty będziesz przechodził kryzys wieku średniego.

— O Jezusie Chryste, Millie... — Sean uśmiechnął się kwaśno i stanął na nogi.

— Oj, przepraszam, przepraszam, przepraszam. Mam po prostu powiedzieć „tak”, bardzo zwięźle i wdzięcznie, jakbym od zawsze wiedziała, że chcesz się ze mną ożenić, tak?

— No, tak, to właśnie...

— Tak! Tak! Podwójne tak! Tak, wyjdę za ciebie. Jeśli jesteś pewien, że wiesz, co robisz, i jeśli naprawdę to sobie przemyślałeś i nie masz nic przeciwko starym kobietom i...

— Millie!

— Sorry.

— No więc odpowiedź brzmi „tak”?

— Tak! O Boże, zdecydowanie!

— To w takim razie chcesz pierścionelek?

— O mój Boże! Masz dla mnie pierścionelek? — Zakryła dłońmi usta i Sean zobaczył błyszczące w jej oczach łzy.

— Aha — rzucił i szybko wyszedł do pokoju. Z bijącym sercem wyjął pierścionelek z szuflady.

Kiedy wręczył jej pudełeczko, aż westchnęła z przejęcia.

— Ty naprawdę mówiłeś serio, co?

Otworzyła pudełeczko powoli i z namaszczaniem, a kiedy spojrzała na brylant, głęboko wciągnęła powietrze i wstrzymała oddech. A potem Sean wsunął jej pierścionelek na palec, a ona wybuchnęła płaczem.

— O Boże — wyjąkała przez łzy i śmiech. — Wychodzę za mąż.

Odwróciła się twarzą do świata, przytknęła dłonie do ust i wrzasnęła w panoramę Londynu: — Wychodzę za mąż! — A potem znów odwróciła się do Seana i spojrzała na niego wciąż załzawionymi oczami. — Tak bardzo cię kocham, Seanie London. Będziemy razem tak niesamowicie szczęśliwi. Wiesz o tym, prawda?

A Sean tylko się uśmiechnął, bo był tego pewien.

— No chodź — powiedział, ocierając jej łzy spod oczu. — Pójdziemy do mojej strasznej, ponurej sypialni i odbędziemy fantastyczny, pozaręczynowy, a przedmałżeński seks.

Nie musiał prosić dwa razy.

TO, O CZYM ZAWSZE MARZYŁ

— Serdeczne życzenia urodzinowe, Tony! — Ness wręczyła mu olbrzymi i bardzo ciężki prezent, opakowany w jadowicie zielony, błyszczący papier, u góry ozdobiony różową kokardą.

— Dzięki.

— Trzydzieści pięć — powtórzyła chyba po raz setny tego wieczoru. — Nie mogę uwierzyć, że kończysz trzydzieści pięć lat.

Skrzywił się i zaczął zdzierać błyszczący papier. Ukazało się tekturowe pudło z napisem „Organicznie uprawiane ananasy”.

— Super — powiedział. — Ananasy. Ness rzuciła mu szelmowski uśmiech.

— No nie wygłupiaj się, tylko otwórz.

Niemal drżała z podniecenia, kiedy Tony rozrywał taśmę sklejącą pudło i otwierał jego górne skrzydła.

Tony zajrzał do środka. Jakieś elektroniczne urządzenie. Czarne i toporne. Wyjął je i dokładnie obejrzał.

Ness obserwowała go z oczyma błyszczącymi oczekiwaniem.

— Nie wiesz, co to?

Tony dokładniej zbadał urządzenie.

— Hmm, jakiś wehikuł czasu?

— Nie! Przecież to odtwarzacz wideo Betamax! Żebyś mógł sobie w końcu obejrzeć wszystkie stare taśmy!

— Aaach — sapnął Tony, łapiąc, o co chodzi. — O Boże, Ness, to fenomenalne! Rewelacja. Dzięki!

I rzeczywiście był to fenomenalny pomysł. Jeszcze w latach siedemdziesiątych, kiedy nikt nie słyszał o lepszym sprzęcie, Londonowie mieli Betamaksa, na którym Tony przez kilka lat fanatycznie nagrywał swoje ulubione programy telewizyjne. Potem nadeszła era VHS i pozbyli się starego gruchota. On jednak przez te wszystkie lata zachował stare taśmy z Betamaksa, wciąż powtarzając, że pewnego dnia znajdzie taki odtwarzacz i zrobi sobie podróż do przeszłości.

— Gdzieś ty to, do licha, znalazła?

— No cóż, było z tym trochę zachodu, prawdę mówiąc. Zaczęłam szukać z pół roku temu i raz już prawie dorwałam jeden na garażowej wyprzedazy, ale był całkiem rozwalony,

więc sprawdziłam w Internecie, ale wszystko się troszkę pokomplikowało. No i w końcu znalazłam właśnie ten w starym elektronicznym sklepie przy Church Road. Po prostu tamtędy przejeżdżałam, weszłam, no i był.

— Boże, Ness, dziękuję — pochylił się, żeby ją pocałować, a ona złapała jego twarz w obie dłonie i wycisnęła mu prosto na ustach soczystego całusa.

— Nie ma za co — uśmiechała się do niego, promieniejąc ze szczęścia, za to Tony poczuł się dziwnie nieswojo. Zadała sobie tyle trudu, tak bardzo o nim myślała, kupiła mu najlepszy z możliwych prezentów, czyli taki, o którym się marzy, wcale o tym nie wiedząc. Upominek, który świadczył o tym, że ona go słucha, że pamięta to, co jej opowiadał, i że to, co jest dla niego ważne, ważne jest również dla niej.

Prezent pokazywał, jak bardzo jej na nim zależy. O wiele za bardzo.

Tony poczuł, jak wzbiera w nim poczucie winy.

— No chodź — powiedział, spoglądając na zegarek. Włożył Betamaksa z powrotem do kartonowego pudła po ananasach. — Lepiej ruszajmy, bo się spóźnimy.

NAJBARDZIEJ SAMOTNY PINGWIN

Mama pięknie przystroiła salon. Świece, wielki ogień na kominku, w tle muzyka Sinatry. W tej chwili było ich tylko pięcioro: Mama, Tata, Ned, Ness i on. Dłonie zanurzały się w miseczkach z orzechami i mieszanką suszonych owoców, Tata wrzucał łupiny z orzeszków pistacjowych do ognia, a one pękały ze świstem.

Mama siedziała, czując wzbierającą radość na myśl o tym, że znów będzie miała całą swoją gromadkę zebraną pod wspólnym dachem.

Tony usadowił się na oparciu kanapy i starał się ignorować rękę Ness, która czule gładziła go po kolanie. Wziął od mamy kieliszek czerwonego wina i upił duży łyk, trzymając go chwilę w ustach i pozwalając, by letni płyn dotarł do każdej jego komórki, znieczulając go.

Ogień z kominka dawał zdecydowanie za dużo ciepła i Tony czuł, jak rozplywa się w swoim polarze. Właśnie miał go z siebie zdjąć, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Jezu. To oni. Z powrotem naciągnął polar, dotknął włosów, poprawił pozycję, starał się za wszelką cenę wyglądać normalnie i naturalnie — co graniczyło z niemożliwością, kiedy każdy nerw jego ciała dosłownie drżał z oczekiwania.

Obojętnym wzrokiem patrzył przed siebie, bębniąc palcami w kieliszek. I wtedy pojawiła

się ona. Stała w drzwiach, tuż za Seanem. Wszystko inne jakby zbladło. Nastąpiły powitania, śmiech, radosne odgłosy rodzinnego spotkania. Był na to wszystko głuchy. Jego świadomość rejestrowała jedynie obecność tej pięknej, idealnej istoty, stojącej niepewnie w drzwiach, uśmiechającej się do tego, co się działo przed jej oczyma. Wyglądała na podobnie szczęśliwą i podnieconą jak wszyscy w pokoju, choć była przecież kimś obcym.

— Kochani, to jest Millie. Millie, to są wszyscy.

— Sean, no co to za maniery? — upomniała syna Bernie, biorąc Millie pod rękę i przedstawiając jej każdego po kolei. Tony z trudem oddychał. Wyglądała nawet piękniej, niż ją zapamiętał. Miała na sobie haftowaną, zamszową spódnicę, skórzane wysokie kozaczki i obcisły czerwony sweter. Włosy były spięte z tyłu i tylko kilka mahoniowych pasemek zwisało luźno wokół jej twarzy. Do tego na ustach miała czerwoną szminkę.

— A Tony'ego i Ness już poznałaś, prawda?

— Tak, oczywiście. Cześć! — Uśmiechnęła się serdecznie do nich obojga, a potem pochyliła się nad Tonym, oparła na jego ramieniu i pocałowała go w policzek. Na tyle mocno, że poczuł na skórze zarys jej warg.

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin!

— Dziękuję — wyjąkał. Wziął głęboki oddech. Pachniała świeżym powietrzem i londyńskim deszczem.

Patrzył z niemym podziwem, jak pochyła się po raz drugi, żeby pocałować Ness. Wszystko było tak, jak pamiętał: oczy w złote cętki, gęste włosy, wydatne usta, śniada cera, obcięte paznokcie, srebrne pierścionki... Ale zaraz, zaraz, miała o jeden pierścionek więcej niż ostatnim razem. Delikatny, platynowy pierścionek z dużym brylantem. Na trzecim palcu lewej ręki. Na tym samym palcu sam przez tyle lat nosił ślubną obrączkę. Pewnie dziedziczny klejnot, pomyślał, starając się sam siebie uspokoić, pierścionek po babci, zakładany na specjalne okazje, i pewnie tylko na ten palec jej pasuje.

— Cudownie znów cię widzieć, Ness — powiedziała i odgłos jej ust na policzku Ness odbił się głośnie echem w głowie Tony'ego.

Sean też się pochylił, żeby go uściskać, potem krótkie poklepanie po plecach, „Wszystkiego najlepszego, stary”, jakiś prezent wciśnięty w jego rękę. Ale był świadomy tylko jednego — że *ona* jest w tym pokoju. Kobieta, na temat której snuł fantazje od niemal dwóch tygodni. Siedzi tu, założywszy nogę na nogę, i pije wino. W domu jego rodziców. I zostanie tu przez całe wieczór.

Ktoś rzucił dowcip o żalonym stanie Goldie.

— Wcale nie — Millie wzięła psa w obronę, głaskając go ochoczo i poklepując. — Uważam, że jest uroczy.

Goldie przewrócił się na plecy i wystawił swój okropny, starczy brzuch, a Millie posłusznie go łaskotała. Tony nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek nadejdzie dzień, gdy bardziej niż czegokolwiek na świecie będzie pragnął być zniedołężniałym, cuchnącym golden retrieverem.

— Przynajmniej minął mu już wiek przymusu zaspokojenia seksualnego — powiedział Sean i wszyscy się roześmiali.

Tony też się zaśmiał, ale gwałtownie przestał, gdy tylko napotkał wzrokiem swoje odbicie w szklanych drzwiach kredensu. Niemal nie poznał samego siebie. I wtedy sobie przypomniał — oto, kim teraz jest, tłustym facetem w średnim wieku, pocącym się w zbyt grubym ubraniu, z policzkami zaczerwienionymi od ognia i wina, włosami źle obciętymi i rozczochranymi w miejscach, gdzie przeciągał przez głowę podkoszulek, kiedy się szykował.

Tato chodził po pokoju z butelką wina i skrzydełkiem zwisającym z kącika ust.

— Dolać ci? — spytał Tony'ego.

— Tak, proszę.

Kiedy tato napełnił mu kieliszek po sam brzeg, upił od razu wielki łyk.

— Tony? — z zamyślenia wyrwała go Ness, klepiąc go w kolano.

— Co?

— Śmieszne, nie?

— Co?

— No, z tą kartką?

— Jaką kartką?

Ness przewróciła oczami.

— Hej, hej, pobudka — zażartowała. — Millie właśnie mówiła o tym, że pierwszą kartką, jaką kupiła dla Seana, była jedna z twoich.

— Nie. Naprawdę? Która?

Millie wyprostowała się i przesunęła trochę do przodu na kanapie, żeby mu odpowiedzieć.

— Jest mniej więcej tego kształtu — powiedziała, pokazując dłońmi niewielki prostokąt — i na pierwszej stronie ma rysunek pingwina, takiego naprawdę *małego* — pokazała

wielkość pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym — maleńkiego pingwinka z taką strasznie smutną miną, który siedzi zupełnie sam na lodowcu, dokoła nie ma zupełnie nic, na całe mile, i podpis...

— „Jestem samotny” — dokończył Tony.

— Tak — potaknęła. — Zgadza się. Ale to nie dlatego, że się czułam samotna, czy coś. Tylko naprawdę tak mi się spodobała mina tego pingwinka. No, po prostu mnie ujęła. Czy to ty narysowałeś, Tony?

— Nie — powiedział, z całego serca żalując, że nie on. — Nie. Ale ja go zamówiłem. Narysowała go zresztą kobieta, zaraz, nazywa się... nazywa... — Strzelił palcami, rozpaczliwie próbując sobie przypomnieć nazwisko artystki. — Sybil? Coś, no coś francuskiego, coś na „S”... — Wyteżał umysł aż do bólu, tak straszliwie *pragnąc* dać Millie informację, o którą prosiła, musiał dać Millie to nazwisko, dać jej wszystko, wszystko, czego zechce...

— Och — powiedziała, obserwując jego zmagania. — Nie przejmuj się, na pewno jest z tyłu kartki. Sprawdzę, jak wrócimy do Seana.

— Zostajesz dziś na noc u Seana? — spytał zdziwiony. Nie mógł sobie po prostu wyobrazić Millie idącej przez osiedle Seana, wsiadającej do tej obskurnej, obsmarowanej graffiti windy i wchodzącej do jego ciasnego, wstrętnego mieszkania, w którym zawsze śmierdziało stęchłą pościelą.

— Tak — potaknęła i uśmiechnęła się. — Byłam tam już w środę, prawda, Sean? — mrugnęła do niego porozumiewawczo.

— Oj, byłeś z całą pewnością, Millie — potwierdził i też do niej mrugnął.

— Czy powinniśmy... — spytała go, unosząc brwi.

— Nie wiem — odparł. — Myślisz, że tak...?

— To zależy od ciebie — powiedziała.

— Więc zrobmy to.

I wtedy wzięli się za ręce i odwrócili przodem do wszystkich, i wyglądali tak, jakby ich twarze miały za chwilę eksplodować z podniecenia, Sean ścisnął dłoń Millie, Millie dosłownie promieniała, a on powiedział:

— Chcielibyśmy wam wszystkim coś powiedzieć.

— O tak. — Bernie usiadła wyprostowana i skierowała na nich całą uwagę.

— No więc — zaczął Sean, wymieniając obrzydliwie porozumiewawcze spojrzenie z Millie — w środę wieczorem spytałem Millie, czy za mnie wyjdzie...

Mama krzyknęła i znieruchomiała, zasłaniając sobie usta dłońmi.

— ... a ona powiedziała tak. Pobieramy się!

Przez moment w całym pokoju panowała napięta cisza. Tony nerwowo rozejrzał się dookoła. Wyglądało to jak gra w posągi.

— A widzisz! — powiedział tryumfalnie Ned, wskazując Tony'ego palcem. — Nie mówiłem ci? Nie mówiłem?

I wtedy cały pokój eksplodował. Wszyscy zerwali się na nogi, by im gratulować i ich całować. Mama posłała tatę do nocnego sklepu po butelkę szampana. Ness się rozpłakała. Ned poszedł na górę po aparat fotograficzny. Ale nikt nie powiedział: „Chwileczkę! Hola! Przecież wy się prawie w ogóle nie znacie — nie wydaje wam się, że to zbyt ni pośpiech?” Nikt nie zachował się odpowiedzialnie. To było żałosne, ta cała rozpaczliwa pogoń za emocjami. Ojej, jak cudownie, ktoś się zareczył, będzie ślub, więc na minutkę albo dwie mogę zapomnieć o swojej własnej nudnej i nijakiej egzystencji, kogo to obchodzi, że być może popełniają największy błąd w całym swoim życiu. Jezu.

Ktoś podał mu kieliszek szampana, a on, nie zastanawiając się, wypił połowę za jednym zamachem.

— Tony — skarciła go mama. — Przynajmniej poczekaj na toast. No wiesz...

Wszyscy teraz gadali o randkach, oświadczeniach, pierścionkach i ślubnych sukniach. Ness głaskała go cały czas po udzie, a Tony gapił się tępo w swoje odbicie w szybie kredensu i zastanawiał się, kiedy dokładnie jego życie przybrało taki obrót.

Przecież to *on* był doskonałą partią. Tony. *On* był najstarszym bratem, tym przystojnym, tym, który osiągnął sukces w interesach. Tym z piękną żoną i wielkim domem, jeepem i kontem w banku, które nie zaznało debetu. Sean był jedynie jego młodszym bratem, nieudacznikiem, powodem zmartwień ich matki, tym, który nigdy nie potrafił się niczym zająć na dłużej.

Teraz jednak Sean był „autorem”. A bycie „autorem” znaczyło, że to wszystko, co wcześniej uważano za jego wady, nagle zmieniło się w zalety. Bycie „autorem” znaczyło, że ten niechlujny, leniwy koleś w śmierdzących trampkach, który mieszkał w komunalnym mieszkanku w blokowisku w Catford, mógł przekonać taką kobietę jak Millie, żeby za niego wyszła. Bycie „autorem” oznaczało również, że teraz to *on* był najlepszą partią w rodzinie. Nie Tony. Już nie. Jezu.

Tony ponuro czekał na toast, uniósł niedbale kieliszek i wypił do dna. To nie było w porządku. Istniały przecież w życiu jakieś stałe punkty, które kotwiczyły człowieka w tym świecie.

cie. Jak to, że matka zawsze cię będzie kochała, niezależnie od wszystkiego, i że pewnego dnia umrzesz. I że zawsze, cokolwiek by się wydarzyło, będziesz najstarszym bratem. Jednak Tony nie czuł się już jak najstarszy brat. Czuł się natomiast jak tępawy, młodszy brat z nadwagą, taki, co to nigdy nie opuści rodzinnego domu ani się nie ożeni. Spojrzał na radosnego, tryumfującego Seana, i na Neda, ukochanego, zdolnego najmłodszego dzieciaka w rodzinie.

Spojrzał też na Ness, swoją „wybawicielkę”, która akurat plotkowała z mamą i wydało mu się, że jego matka pewnie by wybrała Ness zamiast niego, gdyby kiedykolwiek musiała dokonać takiego wyboru. I wtedy, jakby na potwierdzenie tego żalnego poczucia niepewności co do własnej, wcześniej niekwestionowanej pozycji w rodzinie, w drzwiach pojawiła się nagle koścista postać.

— Gerwazy! Chodź, kochanie. W samą porę. Właśnie usłyszeliśmy wspaniałe nowiny. Gerry, nalej Gerwazemu kieliszek szampana. Tony, kochaneczku, posuń no się trochę, żeby Gerwazy też mógł usiąść.

Tony przesunął się dalej i tym sposobem znalazł się na samych obrzeżach rodzinnego spotkania. Duszką wychylił kolejny kieliszek szampana i czuł, jak przelewa się w nim gorzkie poczucie krzywdy.

Czuł się nieistotny. Nieważny. Niezdarny. Czuł się tak samotny, odrzucony i nie chciany przez nikogo, jak ten maleńki pingwinek na kartce, którą kupiła Millie.

Już tutaj nie pasował. Chciał zacząć wszystko od nowa.

Chciał dostać drugą szansę.

Ness nie została u niego na noc. Tony nie mógł przełknąć takiej perspektywy. Chciał się tylko znaleźć sam, we własnym łóżku, rozmyślać o Millie i użalać się nad sobą. Nie chciał mieć obok Ness, oplatającej go swymi nie kończącymi się nogami, usiłującej go podnieść na duchu. Tej wiecznie radosnej Ness — nazywanej jego *pieprzoną wybawicielką*. Krzywiła się trochę, ale udał, że go potwornie boli głowa, a rano musi wcześniej wstać. Zamówił jej taksówkę i poczuł, jak spływa na niego ulga, kiedy w końcu zamknął za nią drzwi. I kiedy patrzył przez okno w salonie, jak zwija swe długie nogi, wsiadając do samochodu, i flirtuje z taksówkarzem, kiedy słyszał jej rehotliwy śmiech, rozbrzmiewający na ulicy nawet przez zamknięte drzwi taksówki, poczuł, że jest na nią zły. Bardziej niż zły, potwornie wściekły.

To Ness, zrozumiał nagle, jest jego głównym problemem. Ona jest symbolem rozkładu jego życia i nagłego końca jego młodości. Gdyby Tony miał nakreślić linię oddzielającą „dobre czasy” od „złych czasów” w swoim życiu — wyznaczyłaby ona dokładnie chwilę, kiedy poja-

wiła się w nim Ness.

Kiedy rozstali się z Jo, był przecież wciąż szczupły, energiczny, pozytywnie nastawiony do przyszłości. A potem pojawiła się Ness i sprawiła, że zaczął się śmiać. To ona się za nim uganiała — wychodzili razem niemal co wieczór, pili na umór, żartowali, jedli, wydawali pieniądze. Odciągnęła jego uwagę od wszelkich lęków, jakie miał na temat bycia samotnym mężczyzną, sprawiła, że czuł się ze sobą dobrze. A po tylu latach spędzonych z tą samą kobietą, seks z Ness był dla niego objawieniem. Seksualny apetyt Ness niemal dorównywał jej apetytowi na jedzenie i picie, no i była gotowa na wszystko. Przez kolejne miesiące Tony coraz bardziej ją lubił, z coraz większą ochotą się z nią spotykał. A potem, choć to przecież nie miało być nic poważnego, jakoś tak, może dlatego, że wszyscy jego znajomi byli zawsze w parach, on i Ness też stali się parą. Przyjaciele czuli się lepiej w towarzystwie Tony'ego, kiedy występował jako część pary, no i wszyscy uwielbiali Ness, uważali, że jest dla niego *taka* dobra. Tak stała się częścią jego towarzystwa i życia. Jego samego nikt nigdy nie zapytał, czy tego chce. Wszyscy byli dla nich tacy mili, kiedy byli razem, tacy szczęśliwi, że Tony i Ness są parą, że to się po prostu samo stało. A nie powinien był do tego dopuścić, myślał teraz. Nie powinien był pozwolić, żeby Ness tak ciasno wplotła się w jego życie, bo oślepiła go na inne możliwości. Na możliwość prawdziwej miłości i prawdziwej przyszłości. Od dziesięciu lat żył w kompromisie, uważając, że to najlepsze, co może go spotkać. Kiedy Jo go zostawiła, powinien był wykorzystać tę okazję, żeby znaleźć prawdziwą miłość, znaleźć to, co odnalazł Sean, znaleźć Millie, kochać Millie, ożenić się z Millie. Zamiast tylko o niej marzyć.

Małżeństwo z Jo nie było błędem, stwierdził Tony. Rozwód też nie był błędem. Natomiast pozwolenie na to, żeby Ness go kochała, było jedną z największych pomyłek w jego życiu.

NIESPODZIANKA MILLIE

— Dzięki Bogu, już po wszystkim — westchnął Sean w drodze powrotnej taksówką z restauracji Mickey's. Powiedział to raczej tylko po to, by dać Millie szansę ponarzekania, jaki przeżyła koszmar. Bo sam bawił się doskonale. Zawsze lubił wspólne rodzinne wypadki, a teraz jeszcze wrócił Ned. — Dzięki, że przesłaś dla mnie przez to wszystko.

— Boże, Sean. — Millie spojrzała na niego z niedowierzaniem. — Nie wygłupiaj się. Było kapitalnie. Prawdziwa przyjemność. Masz fantastyczną rodzinę.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Miałam wspaniały wieczór. Twoja mama jest niesamowita. I taka piękna. A twój tato jest taki kochany. — Millie uśmiechnęła się i wtuliła w jego ramię. — Chciałabym ich lepiej poznać. Twoją rodzinę. Tak naprawdę ich poznać, rozumiesz?

Sean spojrzał na nią i pocałował czubek jej głowy. Kochał ją nawet bardziej, niż kochał ją tego ranka, bardziej niż kogokolwiek w całym swoim życiu, i musiał się siłą powstrzymać, żeby w kółko jej się od nowa nie oświadczać.

— Ale nie mogę wyjść z podziwu, jacy wy wszyscy trzej bracia jesteście od siebie różni.

— Co masz na myśli?

— Cóż, pod wieloma względami jesteście do siebie bardzo podobni. Macie wszyscy te same brody, i uszy, i owal twarzy. Ale Ned jest cały taki hippisowaty, delikatny, miły i wydaje się o wiele młodszy, niż jest. Z kolei Tony jest taki dojrzały, poważny, wydaje się starszy ponad swój wiek. Trudno mi sobie wyobrazić, że jest prawie moim rówieśnikiem.

— O tak. To nasz cały Tone. Postarzały przed czasem.

— Ale myślę, że jest naprawdę słodki, wiesz. Jak taki duży, pluszowy niedźwiadek.

— Boże, chyba by sobie żyły podciął, jakby to usłyszał. Jest cholernie wrażliwy na punkcie swojej wagi.

— Czemu? Nie jest gruby.

— O tak, jest. Potworny tucznik.

— Jezu, faceci są dla siebie nawzajem tacy *niemili!* Wcale nie jest gruby. Jest taki... do przytulania. Cały taki różowutki i mięciutki w tym swoim polarze. Uważam zresztą, że jest całkiem przystojny.

Sean rzucił jej rozbawione spojrzenie.

— A co, masz na niego ochotę?

— Nie! Oczywiście, że nie! W całej galaktyce nie mam ochoty na nikogo poza tobą, i doskonale o tym wiesz. Nie, jest przystojny w taki misiowaty sposób. No wiesz. Naprawdę go lubię. I Ness też mi się bardzo podoba.

— O tak, Ness jest super, no nie?

— Tyle że chyba Tony nie za bardzo to docenia? Sean wzruszył ramionami.

— Nie — zgodził się. — Chyba nie. W każdym razie nie tak, jak ja doceniam ciebie, co? Millie uśmiechnęła się i mocniej wtuliła w jego ramię.

— Nigdy nikt nie doceniał mnie tak bardzo jak ty.

— Coś mi ciężko w to uwierzyć. — Sean uściśnął jej udo i głęboko wciągnął powietrze. Chciał się nacieszyć tą chwilą, zatrzymać czas, bo wiedział, że w tym momencie, w sobotnią, kwietniową noc, na tylnym siedzeniu Peugeota 406, z Millie u boku, doświadcza idealnego i niezmażonego szczęścia.

Ciche pukanie do drzwi łazienki.

— Sean? Mogę wejść?

— Właśnie siusiam, Millie. Za sekundę wychodzę.

Sean lekko podskoczył, kiedy usłyszał odgłos otwierających się za jego plecami drzwi i poczuł dłoń głaszczącą jego sweter.

— Millie!

— No nie wyglupiaj się — powiedziała. — W końcu, do cholery, jesteśmy zaręczeni. Najwyższy czas, byśmy się zmierzili z tym okrutnym faktem, że oboje chodzimy do klopa, nie sądzisz? W każdym razie jest coś, co ci chcę powiedzieć, i jeśli nie powiem tego natychmiast...

Wzięła głośny, głęboki wdech.

— Przepraszam.

— Przepraszasz? Za co, na Boga? — Seanowi wydało się, że jego siusianie nagle zaczęło brzmieć strasznie głośno, więc starał się skierować strumień na bok muszli klozetowej.

— Coś mi się zdaje, że mam zamiar ci puścić podkręconą piłkę.

Sean rozpaczliwie chciał się odwrócić i spojrzeć na nią, ale wciąż jeszcze, niewytłumaczalnie długo, siusiał.

— No dobra. Wal. — Sean był w tym momencie przekonany, że nie tylko jest to najdłuższe sikanie, jakie zalicza w życiu, ale całkiem możliwe, że było również najbardziej cuchnące.

— Jest coś, co muszę ci powiedzieć. Coś ważnego. Coś, czego się prawdopodobnie nie

spodziewasz, i coś, co wszystko zmieni. Ogromnie.

No tak, właśnie tak, pomyślał. Zaraz mnie rzuci. Kiedy sikam. *Dokładnie* podczas procesu wydalania moczu.

— No więc, chodzi o to... sama jeszcze nie zdecydowałam, czy to jest dobre czy złe, ale mam wielką nadzieję, że spojrzysz na to jako na coś dobrego...

Coś dobrego, pomyślał Sean, jak ona sobie wyobraża, że rzucanie mnie w chwili, kiedy sikam, to coś dobrego?

— Sean. Jestem w ciąży.

Ostatnia kropelka moczu w końcu spadła do muszli i zabrzmiała jak bomba kasetowa wrzucona do Atlantyku. Potem w łazience zapanowała cisza.

GORĄCE POZDROWIENIA ZZA MÓRZ I OCEANÓW

— Ale jestem *napchany* — jęknął Ned, opadając ciężko na kanapę i włączając telewizor.
— Absolutnie, kurwa, obzarty.

Właściwie pierwszy raz od przylotu z Australii miał apetyt i tego wieczoru w restauracji Mickey's poszedł na całość. Humus i tara z mniej więcej czterema całymi chlebkami pita, jakieś smażone na głębokim oleju chrupiące pierożki faszerowane mieloną jagnięciną, ulubione przez jego Mamę gołąbki w liściach winogron, wybór mięs z grilla, który rzeczywiście był *ogromny*, lody i na koniec alkohole. Nie wspominając o sześciu butelkach cypryjskiego piwa i tego szampana, którego pili przed wyjściem z domu. Podniósł do góry T-shirt i czule głaskał się po wydętym brzuchu.

Do salonu wszedł Gerry, niosąc pudło pełne pokrytych zielonkawym nalotem srebrnych świeczników i przybory do czyszczenia. Rozłożył sobie gazety, skręcił papierosa, nałożył bawełniane rękawiczki i zaczął polerować. Od czasu do czasu podnosił skręta dłonią w rękawiczce i zaciągał się w zamyśleniu.

— Może byś tak chciał pomóc? — spytał Neda po jakimś czasie.

Ned spojrzał na niego w sposób sugerujący, że najwyraźniej postradał zmysły.

— Dam ci piątaka.

Ned pomyślał o swoim gwałtownie topniejącym bankowym koncie.

— Od sztuki?

- Zwariowałeś? — odparł Gerry. — Nie. Za zrobienie połowy.
- Połowy? No chyba żartujesz. Przecież tu jest chyba ze dwadzieścia sztuk.
- No dobra, dychę.
- Mowy nie ma. Trzy funciaki za sztukę. To moja ostateczna oferta.
- Jednego.
- Dwa pięćdziesiąt.
- Jeden pięćdziesiąt.
- Dwa.
- Stoi.

Ned wygrzebał się ze swojego miejsca na kanapie i podszedł do ojca. Przebierał przez chwilę w świecznikach, szukając takich z jak najmniejszą ilością ornamentów i zaczernień, a potem zabrał je na swoje miejsce przed telewizorem.

- No to powiedz coś więcej o tej niespodziance dla Mamy — powiedział Ned.
- Ciiiicho! — Gerry przyłożył sobie palec do ust i spojrzał na Neda karcąco.
- W porządku. Ona jest w kuchni.
- No dobra. — Gerry pochylił się do Neda i zaczął szeptać.
- Powiem jej, że ją zabieram na elegancki obiad, żeby się zrobiła na bóstwo i w ogóle.

Przejeżdżamy koło Ritza, i wtedy ja robię słodkie oczy, czy pamiętasz naszą pierwszą randkę i tak dalej. I namawiam ją na szybki koktajl w środku. A tam — niespodzianka, da, da! — zatarł dłonie i mrugnął do Neda.

— A kto tam będzie?

— Oczywiście, wy wszyscy. I reszta rodziny. Przyjaciele. W sumie około pięćdziesięciu osób. Recepcja z szampanem. Przystawki, koreczki. Te takie z kawiozem i przepiórczymi jajeczkami. Koszty nieważne.

— Fajno — powiedział Ned. — A kto zostanie w hotelu na noc?

— Tylko najbliżsi. Nie będę przecież fundował całej reszcie, chyba bym oszalał. Zamówiłem cztery pokoje. Twój jest podwójny, więc lepiej się pospiesz i znajdź sobie jakąś dziewczynę. — Gerry się zaśmiał, ale nagle zamilkł. — Ciii! — powtórzył. — Idzie.

Bernie weszła do salonu z filiżanką kawy i gazetą z krzyżówkami w ręce. Neda zawsze zadziwiało, że Mama może wypić mocną kolumbijską kawę o północy, a pół godziny później iść do łóżka i natychmiast zapaść w głęboki sen. Nedowi wystarczyło, żeby po szóstej wieczorem choć spojrzeć na torebkę z herbatą, by mieć pewność, że będzie leżał bezsennie do świtu i

słuchał, jak serce wali mu w piersiach.

— Aaach — rzuciła Bernie, wchodząc na środek salonu i obserwując rodzinną scenkę. — Patrzcie tylko. Polerujecie sobie. Zupełnie jak za dawnych czasów.

Opadła na kanapę obok Neda, podwinęła stopy pod siebie, pogłaskała z uczuciem swoją filiżankę z kawą i westchnęła zadowolona.

— No, i *to* właśnie nazywam cudownym wieczorem. Wszyscy moi chłopcy, dobre jeżdzenie, dobre wino, a na deser wspaniałe nowiny.

Ned i Gerry mruknęli w odpowiedzi i dalej polerowali, zerkając w telewizor. Bernie sięgnęła po paczkę swoich papierosów Ultra i zapaliła jednego. Przez chwilę patrzyła w gazetę, ale Ned widział, że wcale się na niej nie skupia. Miała zamiar coś powiedzieć, znał ten wyraz jej twarzy.

— No więc — zaczęła kilka minut później — co o tym myślicie?

— O czym, kochanie? — spytał Gerry.

— O tych nowinach? Millie i Sean. Co sądzicie?

— Piękna dziewczyna — rzucił Gerry od niechcienia. — Naprawdę śliczna.

— Ned? — szturchnęła syna delikatnie łokciem. — A ty? Wzruszył ramionami.

— No. Podoba mi się.

Bernie odłożyła gazetę. Ned słyszał, jak Mama wciąga powietrze, szykując się do powiedzenia tego, co naprawdę leży jej na sercu.

— A nie wydaje wam się... nie myślicie, że to trochę za szybko? No wiecie, że trochę się pospieszyli?

Ned odłożył polerowany świecznik.

— Cóż, pewnie i trochę szybko. Ale oni się naprawdę kochają. Wystarczy na nich spojrzeć.

— Taak — powiedziała Bernie w zamyśleniu. — I to właśnie mnie martwi. To znaczy, jak się dopiero zaczyna z kimś chodzić, to wtedy *powinno się* być oczarowanym tą osobą. Na tym to wszystko polega. Cała ta chemia krąży po ciele, żeby sprawić, że naprawdę się tego kogoś uwielbia. Problem w tym, co się dzieje później. Zawsze twierdziłam, że nie powinno się zaręczać, kiedy się uważa, że ta druga osoba jest idealna, że trzeba poczekać, gdy się już wie, że wcale nie jest, a mimo to dalej ją się kocha. To znaczy, nie zrozumcie mnie źle, naprawdę polubiłam Millie, uważam, że to wspaniała dziewczyna. Ale ona i Sean, no cóż, są bardzo *różni*, prawda?

— Chcesz powiedzieć, że to najbardziej zajebiście snobistyczna osoba, jaką poznałeś w życiu? — wyszczerzył się w uśmiechu Ned.

— No, tak, jest bardzo... *ekskluzywna*. Ale nie o to mi chodzi. Po prostu jest zupełnie inna niż wszystkie jego poprzednie dziewczyny, prawda? No i do tego ta różnica wieku. Wkrótce będzie chciała mieć dzieci. Gerry, myślisz, że Seany jest gotowy na dzieci?

Gerry spojrział na nią przez chmurę papierosowego dymu.

— A pewnie, że tak. Ma trzydziestkę, w jego wieku miałem już całą trójkę.

— Tak, ale chłopcy w dzisiejszych czasach... Nie dojrzewają tak szybko. A Seany zawsze był trochę... nieodpowiedzialny. No wiesz...

— I może najwyższy czas, żeby się zrobił odpowiedzialny, nie sądzisz? — powiedział Gerry.

Bernie westchnęła.

— Może się po prostu dał ponieść romantycznym uczuciom, sami wiecie, jaki on jest.

Ned prychnął drwiąco.

— Sean nie jest romantyczny — stwierdził.

— Nie, ale wiesz przecież, o co mi chodzi. Może trochę dał się uwieść możliwości wejścia w taką *rodzinę*.

Ned znowu prychnął.

— Mama, mówisz właśnie, że twój syn jest płytkim dupkiem, szukającym społecznego awansu, który chce się jedynie wżenić w wyższe sfery.

Bernie się zdenerwowała.

— Nie! Wcale nie o tym myślałam.

— Albo patrząc na to z drugiej strony — mruknął Gerry — dziewczyna chce ostro wkurzyć swojego tatusia, wychodząc za proletariat.

— No, daj spokój, chyba jest już na to za dorosła, żeby się buntować przeciwko rodzinie, nie? Poza tym trudno teraz Seana nazwać prolem, nie sądzisz, Gerry? Z tą jego książką, i w ogóle.

— W każdym razie — wtrącił Ned — wy akurat nie powinniście się na ten temat wypowiadać. Miły żydowski chłopiec ożeniony z porządną katolicką dziewczyną. I sami tylko patrzcie, jakim niewypałem okazało się wasze małżeństwo!

Bernie i Gerry wymienili uśmiechy.

— Masz rację, synku, masz rację — powiedziała Bernie. — Ale pominąwszy wszystko

inne, chodzi mi o ten pośpiech z żeniactwem. To raczej niepodobne do Seana, nie sądzicie?

Ned potaknął. Z tym nie mógł się spierać. No, ale z drugiej strony, napisanie bestsellero-
wej powieści, zarobienie kupy szmalu i zostanie najbardziej popularnym młodym pisarzem w
mieście też nie było zbytnio w stylu Seana.

— Może on po prostu dorasta — powiedział Ned. — No wiesz, w końcu ma już tę trzy-
dziecę na karku. Najwyższy czas.

— Tak — westchnęła Bernie, manipulując przy paznokciach. — Pewnie masz rację.

— To znaczy, sama popatrz na Tony'ego i Jo. Znali się przecież od lat, kiedy się pobiera-
li, wydawało się, że są dla siebie idealni. A i tak się to rozleciało.

— Uhm — potaknęła Bernie.

— A ja i Carly? Byliśmy ze sobą dziesięć lat i też nie wypaliło.

— Tak, tak, wiem, co chcesz powiedzieć, ale coś mnie w tym jednak martwi. Po prostu
czuję, że Sean chyba nie jest jeszcze emocjonalnie gotowy na takie poważne zaangażowanie.
Gdyby to chodziło o ciebie, albo o Tony'ego, byłabym spokojniejsza. Ale Sean... On zawsze
był takim samotnikiem. Zawsze robił wszystko jedynie dla siebie, nigdy wcześniej nie musiał
myśleć o nikim innym poza samym sobą. Po prostu nie czuję, żeby był gotowy dzielić z kimś
swoje życie.

— No to właściwie twierdzisz w tej chwili, że Sean powinien resztę życia spędzić sa-
motnie, tak?

— Oczywiście, że nie. Mówię po prostu, że powinni przynajmniej spróbować najpierw
pomieszkać razem, zanim zrobią coś tak ważnego jak małżeństwo. Mówię tylko, że Sean nie
jest jeszcze na to gotowy. To wszystko.

— A ja uważam, że tak — powiedział Ned, który nagle poczuł się w obowiązku bronić
starszego brata. — Uważam, że jest gotowy. I że będzie fantastycznym mężem. A pewnego
dnia również kapitalnym ojcem.

W tym momencie usłyszał znajomy brzęczyk swojego telefonu komórkowego, który zo-
stawił w kieszeni kurtki, wiszącej teraz w holu. SMS. Kto, do diabła, mógł mu przesłać wiado-
mość o takiej godzinie? Dreszcz przebiegł mu po plecach i Ned natychmiast wyszedł z salonu,
by to sprawdzić.

Na ekranie radośnie mrugała ikonka z kopertą, jakby chciała go przekonać, że jest sym-
bolem czegoś dobrego i miłego. Ned podejrzewał jednak, że jest inaczej. Nacisnął klawisz OK i
wyświetliła się wiadomość:

CHUJCHUJCHUJCHUJCHUJCHUJ
CHUJCHUJCHUJCHUJCHUJCHUJCHUJ
CHUJCHUJCHUJCHUJCHUJCHUJCHUJ
CHUJCHUJCHUJCHUJCHUJCHUJCHUJ
CHUJCHUJCHUJCHUJCHUJCHUJCHUJ
CHUJCHUJCHUJCHUJCHUJCHUJCHUJ

Westchnął, wyłączył telefon i wrócił do salonu dokończyć polerowanie świeczników.

W CIĄŻY?

— W ciąży?

— Aha.

Sean powoli pozapinał sobie spodnie i w końcu się odwrócił przodem do Millie. Podnosiła na niego oczy z miną małej dziewczynki, która nie jest pewna, czy malowidło, które właśnie wykonała mazakami na ścianie salonu, jest dobre czy złe.

I w tym samym momencie Sean poczuł, jak coś w nim, w środku, zamienia się w kulkę lodu. Było to precyzyjnie to samo miejsce, które powinno się rozpuścić ze szczęścia.

— Co masz na myśli, mówiąc, że jesteś w ciąży? Twarz Millie posmutniała, kiedy tylko usłyszała zdenerwowanie w jego głosie.

— Naprawdę mi przykro, Sean.

— Jak to się stało? To znaczy, przecież zawsze używaliśmy prezerwatyw.

— Nie wiem, Sean, naprawdę nie wiem.

Umysł Seana z szaloną prędkością skanował każde wspomnienie wczesnych porannych pieśczoł, chichotów późną nocą, szaleństw po pijaku, chybcików na sofie, i wyuzdanych niedzielno-popołudniowych maratonów, aż doszedł do chwili sprzed dwóch tygodni, kiedy to Millie była na górze, a on sięgał po prezerwatywę.

— Nie teraz — powstrzymała go. — Włóż później. Chcę po prostu poczuć... no wiesz...

— Nie, nie wiem — żartował. — Co poczuć?

— No wiesz.

— Nie — roześmiał się. — Nie wiem! Powiedz mi, powiedz, co chcesz poczuć?

— *Ciebie* — powiedziała. — Chcę poczuć *ciebie*. Tak naprawdę. W środku *mnie*. Dobrze?

No i pewnie, że było dobrze. Fantastycznie. Cudownie. Jedwabście. Ciepło, miękko, rozkosznie. I był to duży, duży postęp w ich związku, zdaniem Seana. No bo przecież o to właśnie chodzi, no nie? Kiedy się osiągnęło etap „prezerwatywa-na-ostatnią-chwilę”, to już nie było odwrotu. Był to kolejny naturalny krok w rozwoju zdrowego związku — jak zostawienie szczoteczki do zębów, jak uważanie się za chłopaka i dziewczynę, jak mówienie na głos „kocham cię”. Był to jeden z tych nieodwracalnych rytuałów przejścia.

— Jezu — wyjąkał. — To te prezerwatywy, prawda? To, że ich używamy na ostatnią chwilę? *Kurwa*. Ależ to było głupie. Ale głupie.

— Sean! To nie ma nic wspólnego z tym, w jaki sposób używamy prezerwatyw. Jestem w siódmym tygodniu. To się zdarzyło dawno temu.

— *Siódmy tydzień?! Ale my chodzimy ze sobą dopiero od ośmiu i pół!*

— Wiem, wiem.

— Ale ja nie rozumiem. Jak my to zrobiliśmy?

Millie podniosła na niego brwi. Sean poczuł kolejne ukłucie złości.

— Nie! Na Boga, to znaczy, której nocy? Gdzie wtedy byliśmy? Co zrobiliśmy inaczej?

— Boże, Sean, a jakie to ma znaczenie? Jestem w ciąży.

— To ma znaczenie, bo... bo... *Ja nie rozumiem!* Przez całe życie używałem prezerwatyw i nigdy wcześniej nikomu nie zrobiłem dziecka! Jesteś pewna, że to moje?

— Co?!

Sean wiedział, że w tym momencie przesadził. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia. Wzdrygnęła się.

— Słuchaj, przepraszam, nie to chciałem powiedzieć. Ale może spałaś z kimś tuż przed tym, zanim się poznaliśmy. No wiesz...

— Sean. Przecież wiesz, że nie. Rozmawialiśmy już o tym... Westchnął ciężko.

— Chodźmy do pokoju, co? Pogadamy o tym na spokojnie.

Przeszli do salonu i usiedli sztywno po dwóch końcach kanapy. Sean poczuł, jak ogarnia go smutek, kiedy spostrzegł tę pustą przestrzeń wielkości dużej poduchy pomiędzy nimi. To była, skonstatował z żalem, ich pierwsza sprzeczka. Nie sądził, że on i Millie kiedyś się pokłócą. Kiedykolwiek. Przez te dwa miesiące nie padło między nimi choćby jedno złe słowo. Ale to — to było gorsze niż kłótnia. To był kataklizm. Bo niezależnie od tego, co kto sobie mógł mówić czy myśleć, to on, Sean, nie chciał dziecka i teraz jak ostatniej deski ratunku trzymał się nadziei, że ona też nie chce.

— A więc — przerwała ciszę Millie.

— A więc — Sean westchnął i położył dłonie na kolanach.

— I co myślisz?

— Co ja myślę? — Znowu pojawiła się w jego głosie ta ostra nuta irytacji. Zaśmiał się sardonicznie. — Myślę, że to pierdolony koszmar.

— Och.

Znów oboje zamilkli. Sean zacisnął szczęki tak mocno, że aż bolały go uszy. Rzucił Millie szybkie spojrzenie.

— A ty co myślisz?

Słyszał, jak Millie nabiera powietrza.

— Nie wiem. Mam mętlik w głowie.

— No, to chcesz je urodzić?

— Sean.

Odwrócił się, by spojrzeć wprost na nią. W jej oczach błyszczały łzy.

— Czemu jesteś taki?

— Jaki?

— Taki... zimny.

— No chyba się nie spodziewałaś, że będę zadowolony, co?

— Nie. Tak. Cóż. Myślałam po prostu, że będziesz bardziej... miły. Tak, myślałam, że będziesz miłszy.

— Ja jestem *miły* — wypluł to słowo, jakby mówił, że kocha parszywego kotka. — Jestem tylko nieco zaszokowany, to wszystko. No przecież jesteśmy ze sobą dopiero od dwóch miesięcy. A tu zaraz... dziecko. To po prostu... po prostu...

— Wiem. Ja też jestem w szoku. Ale, Sean...

Zaraz to powie, myślał, zaraz to powie. To trzywyrazowe zdanie, które na zawsze zrujnuje moje życie.

— ... chcę je urodzić.

I proszę bardzo. Sean stęknął i mocno klepnął się dłońmi po udach.

— Wiedziałem — warknął. — *Wiedziałem*.

— Sean, zachowujesz się tak, jakbym to zrobiła specjalnie. Jakbym z premedytacją zaszła w ciążę, żeby ci pogmatwać życie.

Sean znów stęknął. Miała rację. Zachowywał się tak, jakby zrobiła coś złego, ale nie

mógł się opanować. To przecież ona ma macicę, to ona ma moc zdecydować. Moc, żeby na zawsze, nieodwołalnie, zmienić bieg jego życia. Czuł się totalnie bezradny.

— No więc, ja nie chcę, Mille. Nie chcę dziecka. Nie chcę. Tak bardzo, *bardzo* nie. — W uszach mu dzwoniło od adrenaliny. Czekał na reakcję Millie. Cisza się przedłużała.

W końcu Millie odwróciła się w jego stronę.

— Muszę ci coś wyjaśnić. Mam trzydzieści sześć lat. I zawsze sobie mówiłam, że jeśli w ogóle będę miała dzieci, to chcę je mieć późno, bo będąc młoda, za dobrze się bawię. Uważałam, że wychowywanie dzieci to marnowanie młodości, kiedy co wieczór można pić tequilę w barze pełnym pięknych mężczyzn. Więc nigdy tak naprawdę o tym nie myślałam. Uczciwie mówiąc, nigdy w życiu nie miałam instynktu macierzyńskiego. A potem spotkałam ciebie i pomyślałam sobie, no proszę, to się nazywa idealne wyczucie czasu. Pan Doskonały pojawia się akurat w momencie, kiedy powinnam zacząć myśleć o tym całym interesie z rozmnażaniem. I myślałam sobie, że będziemy mieć najpierw kilka lat dla siebie, no wiesz, żeby się zabawić, korzystać z życia, a potem może się jakoś zmusimy, żeby spróbować mieć dzidziusia. Ale niestety, sprawa wygląda tak, Sean, że jestem w ciąży teraz. Dokładnie teraz. I gdyby mi się to przydarzyło dziesięć lat temu, cholera, nawet pięć lat temu, wiem, co bym wtedy zrobiła. Pozostałabym się tego. Ale kiedy ma się trzydzieści sześć lat, jest się zaręczonym, ma się wyjść za mąż, to raczej nie wchodzi w grę aż taka ilość opcji. Nie sądzisz?

Sean powoli wypuszczał gorący oddech w złączone dłonie. W ustach miał sucho ze strachu i od wypitego szampana. Wstał i ruszył w kierunku kuchni.

— Gdzie idziesz?

Jej głos już brzmiał w jego uszach inaczej niż dotąd. Ostrzejszy, bardziej natarczywy.

— Po wodę. Chcesz?

— Nie.

Kiedy wrócił, wpatrywała się w swoje dłonie. Usiadł w milczeniu.

— Sean, dlaczego to wygląda tak, jakbyśmy się kłócili?

— Nie mam pojęcia — odparł bezbarwnie.

I nagle Millie poderwała się na nogi i stanęła wprost przed nim.

— Jest mi naprawdę przykro, Sean! — krzyknęła. — Jest mi naprawdę przykro, że mnie zapłodniłeś. I bardzo mi przykro, że kocham cię na tyle mocno, żebyś chciał urodzić twoje dziecko. Jest mi, kurwa, naprawdę niesamowicie przykro! Wystarczy?

Ten nagły i tak niepodobny do Millie wybuch gniewu przedarł się jakoś przez tarczę

obronną Seana. Wstał i chwycił ją mocno za nadgarstki.

— Millie, Millie — uspokajał ją. — Przepraszam, przepraszam. Jestem palantem. Naprawdę cię przepraszam. No chodź tutaj. Chodź do mnie.

Otoczył ją ramionami, a ona wtuliła twarz w jego ramię i płakała, a Sean czuł zapach jej włosów i rozpaczliwie starał się zapamiętać, jak wyglądało jego życie piętnaście minut temu.

Dziecko.

Sean nie chciał dziecka. Chciał Millie. Dla siebie. Chciał mieć dziecko *pewnego dnia*. Oczywiście. Nawet więcej niż jedno dziecko. Cały tabun dzieciaków. Rozkosznych tłustych dzieci w całym domu. Ale nie teraz. Najpierw chciał mieć swój czas wyłącznie z Millie, żeby było tylko ich dwoje.

A mieli dotąd tylko dwa miesiące.

Gadali do drugiej nad ranem. Sean zapewniał ją, że wszystko będzie dobrze, że dziecko będzie zdrowe, że między nimi będzie dobrze. Że wszystko będzie po prostu świetnie. Ale kiedy rozmowa ucichła, a oddech Millie stał się ciężki i regularny, Sean przejechał palcem po jej ramieniu, ucałował jej palce, które spoczywały na policzku, a potem leżał z otwartymi oczyma do piątej rano. I leżąc tak, patrzył na przyciemnione światła w oknach domu obok, w mieszkaniach, gdzie ludzie spali zadowoleni, gdzie ludzie mieli kontrolę nad swoim życiem. I bardziej niż czegokolwiek na świecie po raz pierwszy w życiu zapragnął być kimś innym.

DOBRE I ZŁE WIEŚCI

W poniedziałek rano Gerwazy wszedł do pokoju Neda.

— Telefon do ciebie. Jakaś dziewczyna imieniem Carly.

Ned chyba nigdy w życiu nie wyskoczył z łóżka tak błyskawicznie. Przebiegł przez korytarz, rzucił się na łóżko rodziców i odebrał z aparatu na nocnym stoliku Gerry'ego.

— Halo! — wysapał bez tchu.

— No, cześć — odpowiedział ktoś niesamowicie seksownym głosem.

— Carly?

— Ned?

— Tak.

— Boże. Ned, wcale nie zabrzmiałeś jak ty.

— Ty też nie. Nie brzmisz jak ty. Boże. Carly. Skąd wiedziałaś, że jestem w domu?

— Wczoraj wieczorem wpadłam w Soho na Maca. On mi powiedział. Ned, jestem teraz w pracy, więc nie mogę tak naprawdę gadać. Ale bardzo bym cię chciała zobaczyć. Spotkajmy się, co?

Zaplanowali spotkanie, pożegnali się, Ned odłożył słuchawkę.

— Tak! — wyrzucił w powietrze zaciśniętą pięść i opadł na zmięte poduszki Mamy i Taty. W końcu. Pierwsza naprawdę dobra rzecz, jaka mu się przydarzyła, odkąd wrócił do domu. Dzięki Bogu. On i Carly. Znowu razem. Tak musi być. Była dopiero dziewiąta rano — a dowiedziała się o jego powrocie zaledwie wczoraj wieczorem, no i od razu do niego zadzwoniła. Była chętna. I mieli się spotkać w przyszłym tygodniu. Fantastycznie.

Splótł obie dłonie za głową i przez chwilę gapił się w sufit. Kiedy wyobrażał sobie cały scenariusz ponownego spotkania, uśmiech hasał po jego zadowolonej twarzy. Zastanawiał się, ile czasu zajmie, zanim wszystko między nimi znów się ułoży, jak długo trzeba, by wrócili do tego, co dawniej. O Boże, nie mógł się doczekać, żeby wszystko znów było po prostu normalne.

— Ned! — usłyszał wołanie Gerwazego z dołu schodów.

— Co!

— Paczka do ciebie!

I wtedy do niego dotarło. Życie było dalekie od normalności. Było od niej odległe o lata świetlne.

Ned poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach. Owinął się kołdrą rodziców, wdychając zapach ich śpiących ciał, żeby się trochę pocieszyć. Zawinał się w kołdrzany naleśnik, zamknął oczy i powoli liczył wstecz od dziesięciu do zera. Potem dopiero zszedł na dół.

Już tam na niego czekało. Kolejne pudełko. Jeszcze mniejsze, niż to ostatnie. Zostało wysłane pocztą lotniczą, a wedle zapisu na kwicie z urzędu celnego, nadała je niejaka Tallulah d'Oignon zamieszkała w Chrispee Towers, Sydney.

Ned westchnął. Przynajmniej nie straciła poczucia humoru.

Zdarł z paczki brązowy papier pakunkowy i wyjął niewielkie pudełeczko, znów okraszone zamaszystym CHUJ, wypisanym mazakiem wszędzie, gdzie się dało. Wyglądało to jak opakowanie z seks-shopu. Otworzył je z ciężkim sercem. W środku była przezroczysta plastikowa torebeczka, taka z uszczelnionym zamknięciem. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nic w niej nie ma, ale kiedy spojrzął pod światło, stwierdził, że w środku jest pełno maleńkich, czarnych włosków, długości mniej więcej pół centymetra. Takich maleńkich włosków w kształcie

półksiężyców.

Wysypał kilka na dłoń i przyjrzał się im bliżej. Rzęsy.

Pierdolone rzęsy Mon.

O Jezu. Wsypał rzęsy ostrożnie z powrotem do torebki, włożył ją do pudełka i zamknął je.

— Mon — jęknął do siebie. — W co ty, kurwa, pogrywasz?

Wyobraził ją sobie tam, w Sydney, bezwłosą, bezrzęsą. O Boże. Ona się rozsypywała. Wiedział o tym, wiedział doskonale, że nie ma szansy, żeby sobie poradziła z jego odejściem. Ona nie mogła tak zwyczajnie upić się z koleżankami, wypłakać się porządnie i stracić sporo na wadze, jak każda normalna dziewczyna.

Pomyślał, czyby do niej nie zadzwonić. Naprawdę powinien. W mieszkaniu byli z nią co prawda Kate i Jamie, ale nie była z nimi blisko. Ned był jedyną osobą, która naprawdę ją знаła. Powinien do niej zadzwonić — pogadać z nią.

Ale nie — przecież ona właśnie tego chce, pomyślał. Jeśli zadzwoni, ona wygra, tak jak zawsze wygrywała. To są jej specjalne sztuczki, myślał Ned, spisek, żeby on się martwił. Była uzależniona od tego, że on się o nią martwi — i to była jego wina. Przez te ich wspólne trzy lata pozwolił, żeby się od niego uzależniła. Zawsze, kiedy byli bliscy zerwania, a nawet kiedy on wszystko kończył, ona ściągała go z powrotem, robiąc te swoje psychiczne numery. Już wcześniej wiele razy chciał uciec, kiedy robiło się niefajnie, ale nigdy nie mógł się na to zdobyć, zawsze czuł takie straszne poczucie odpowiedzialności za Monicę. Jeśli jego nie będzie, żeby ją mieć na oku, to kto to będzie robić? Teraz Ned starał się ignorować ten głosik jątrzący w jego głowie „Kto się nią opiekuje, Ned? Kto pilnuje, żeby nic jej się nie stało?” Nie, pomyślał. Monica nie jest głupia; faktycznie jest niesamowicie inteligenta. I doskonale wie, co robi. Pogrywa sobie z nim. Przecież to nawet nie jest pełen zestaw rzęs, a o obcięciu sobie włosów gadała od wieków.

Zacisnął zęby i z powrotem zapakował pudełko. Zaniósł je na górę do swojego pokoju i wsunął pod łóżko obok paczki z jej włosami, a potem zszedł na dół, żeby zjeść śniadanie.

*

W kuchni Gerwazy jadł kanapkę. Taką porządnie zrobioną kanapkę, poprzekrawaną na ukośne ćwiartki, tak jakby przygotowała mama, gdyby ją poprosił. Jadł tę kanapkę z talerzyka, obok którego leżał schludnie zwinięty kawałek papierowego ręcznika. Gerwazy był bardzo porządny i skrupulatny, Ned zauważył to już wcześniej. Kiedy robił herbatę, zawsze używał dzbanka i przykrywał go ocieplaczem, odbierał telefony jak jakaś elegancka starsza pani, a te-

raz te kanapki. To wszystko tak nie pasowało do jego wyglądu. Z drugiej strony, było dziwnie ujmujące.

— Dobry, Ned.

— Dobry.

— Jak się dziś miewasz?

— W porządku. A ty?

— Fantastycznie. Jak marzenie.

— Naprawdę? A czemuż to?

— Słoneczko świeci. Mam wolny dzień. A pocztą przyszły właśnie moje bilety na koncert Roberta Gordona.

— Roberta jak?

— Gordona. Pamiętasz? To ten facet, o którym ci opowiadałem w pubie w zeszłym tygodniu.

— A fakt. To ten od rock and rolla? Tak.

— Mam wolny bilet, tak się składa. Miałbyś się ochotę wybrać?

— Eeee...

— W piątek wieczorem. To aż w Wood Green. Ale nie ma problemu, bo mój kumpel Bud nas zawiezie.

— Masz kolesia o imieniu Bud?

— No. Bud. Ale fajny facet ten Bud. No to jak myślisz?

Ned właśnie miał wprowadzić się w stan produkowania wiarygodnie brzmiącej wymówki, kiedy Gerwazy nagle wstał, tak naprawdę szybko, podszedł do niego i położył mu dłonie na ramionach. I wtedy znów pojawiło się to czekoladowo-topniejące uczucie w brzuchu Neda, a Gerwazy zaczął się w niego intensywnie wpatrywać.

— Dalej nic z tym nie zrobiłeś, co? — spytał, wciąż mocno trzymając Neda za ramiona.

— Z czym?

— Z twoim problemem. Z tym bałaganem, który zostawiłeś. To cię ciągle męczy, co?

— Jezu — jęknął Ned. — O czym ty mówisz?

— Nie wiem, o czym mówię, Ned. Tylko ty możesz powiedzieć, o czym mówię. Ja ci tylko mogę przekazać, co czuję.

— Kim ty jesteś? — spytał Ned. — Czytasz w myślach?

— Nie. Raczej w wibracjach, Ned. Potrafię wyczuć twój ból.

— Mój ból?

— Tak. Twój ból. To tak, jakbyś nosił na sobie niewidzialny płaszcz. Ale ja go widzę.

— I jak on wygląda? Ten cały płaszcz?

— No, to tak naprawdę nie jest płaszcz. Może bardziej jak peleryna, tak myślę.

— No dobra, cokolwiek, ale jak to wygląda?

— To jest... *przestraszona*.

— Moja peleryna jest przestraszona?

— Aha. Przestraszona i nie wie, co robić. — Poluźnił ucisk na ramionach Neda. —

Chcesz o tym pogadać?

— O mojej przestraszonej, niepewnej pelerynie?

— No.

— Nie, niespecjalnie.

— W porządku. Nie bardzo umiem gadać o tych rzeczach.

— No to po co w ogóle o nich wspominasz?

— Nie wiem. Nie mogę się powstrzymać. Po prostu widzę takie rzeczy i nie mogę ich zignorować. Wiesz, o co mi chodzi? — Usiadł z powrotem na swoim miejscu, przez chwilę spoglądał w okno, a potem zabrał się do jedzenia drugiej połówki swojej kanapki. — W lodówce jest ładny kawałek szynki, jak masz ochotę — wskazał lodówkę ruchem głowy.

Ned obserwował go zafascynowany. To naprawdę był najdziwaczniejszy gość, jakiego w życiu widział. Takich facetów zwykle można było poznać jedynie w jakichś zatechłych pubach, kiedy się człowiek ostro napił i kończył wieczór na kompletnie surrealistycznej rozmowie z takim indywiduum. Tyle że Gerwazy nie był jakimś pijackim wspomnieniem z nieznanego pubu — jadł sobie śniadanie w kuchni domu Neda.

— A — rzucił Gerwazy. — Ta Carly to kto?

— Ty nie wiesz? — spytał Ned kpiąco. — Nie mam z jej powodu jakiegoś niewidzialnego kapelusza?

— Nie, to nie kapelusz. Tyle żeś, kurwa, ostrym galopem wyskoczył z łóżka. To z pewnością musi być ktoś *istotny*.

Ned poczuł, jak się rozluźnia. Usiadł przy stole i nalał sobie herbaty z dzbanka.

— Tak. Jest. To moja była.

— Aaaa — pokiwał głową Gerwazy.

— Chodziliśmy ze sobą dziesięć lat, a potem ją rzuciłem i wyrwałem do Oz z Mon.

— I teraz żałujesz?

— Aha. Cholernie. Ale myślę, że może jeszcze coś z tego będzie, wiesz?

— Fajno, fajno. Życzę szczęścia, stary.

— Dzięki.

Ned w milczeniu mieszał herbatę.

— A ty? — spytał po chwili. — Masz w życiu kogoś wyjątkowego?

Gerwazy odłożył kanapkę i zastanawiał się nad pytaniem.

— Nie — odparł w końcu. — Nie tak naprawdę. Są dziewczyny, no wiesz. Ale nikt wyjątkowy.

Ned potaknął i przyglądał się wzorkom na swoim kubku.

— A skąd jesteś?

— Właściwie to znikąd szczególnie. Urodziłem się gdzieś w Londynie. Trochę się przemieszałem. Wylądowałem tutaj.

— A gdzie mieszkałeś, zanim wylądowałeś tutaj? Gerwazy bardzo głośno oczyścił sobie zatoki i splukał je herbatą z tylnej ściany gardła. Ned udawał, że to się nie stało.

— W Vauxhall. Z kociakiem.

Kociakiem. Nedowi podobało się to określenie — już od bardzo dawna nie słyszał, żeby jakiś facet mówił o kobiecie w ten staroświecki sposób. Przypomniało mu to dzieciństwo i pierwsze randki.

— O tak, myślałem, że to ta jedyna. Miała wszystko, wiesz, czego można chcieć od kobiety.

Ned pomyślał, że to, czego Gerwazy mógł chcieć od kobiety i czego on sam oczekiwał, to były zupełnie inne rzeczy.

— Inteligentna. Schludna. Ładne mieszkanie. Bez dzieci. No wiesz.

No tak, zupełnie inne rzeczy.

— Tyle że było na czwartym piętrze.

— Co?

— Jej mieszkanie. Bez windy.

Ned znów potaknął i stwierdził, że i tak wali głową w mur. Wstał i nasypał sobie do miseczki płatków śniadaniowych.

— Ech, i tak nie ma sensu rozpamiętywać przeszłości, Ned. Życie trzeba żyć dzisiaj, zawsze to powtarzam. I dokładnie tak mam zamiar dzisiaj zrobić. Pójdę sobie obciąć

włosy, a potem pojedę do Camden Town, żeby sobie kupić nowy ciuszek, potem spotkam się z kilkoma kumplami ze wschodnich dzielnic, obalę kilka piwek, posłucham muzyki. Super. — Wytarł sobie usta jednym z tych starannie złożonych papierowych ręczników i odłożył talerzyk do zmywarki. — Chcesz się ze mną wybrać?

— E...?

— No i tak tutaj siedzisz cały dzień i tylko się tymi swoimi problemami zamartwiasz. Lepiej pojedź ze mną.

Mimo tego, jak bardzo Ned chciał na własne oczy zobaczyć ową tajemną sztukę fryzjerską kryjącą się za niezwykłą fryzurą Gerwazego i odkryć, gdzie on kupuje swoje spłowiałe T-shirty, myśl o spędzeniu z nim całego dnia była zbyt dziwaczna, żeby ją w ogóle brać pod uwagę.

— E... no, nie, dzięki, stary. — Bo ja wiesz... obiecałem tacie, że coś tam dla niego zrobię.

— Nie ma sprawy. A co z tym koncertem Roberta Gordona, he?

— A tak, tak. Czemu nie.

Ned nie miał pojęcia, skąd mu się wcisnęła na usta taka odpowiedź. Oczywiście, to była znana sztuczka. Gerwazy zaproponował mu najpierw opcję trudniejszą do przełknięcia, tak że kiedy rzucił drugą, automatycznie dostał odpowiedź twierdzącą. Technika niskiej piłki. Cholera.

— Fajno — powiedział Gerwazy, przeczesując palcami swoją dziwną fryzurę. — No to nara.

A potem wymaszerował z kuchni z rękami w kieszeniach, pogwizdując *The Wonder of You* i poruszając biodrami.

TO PEWNIKIEM HORMONY

London College of Art and Design mieścił się w okazałym budynku w stylu art déco przy Woburn Place. Tony przechodził tędy chyba z tysiąc razy w życiu, ale nigdy nie zwrócił na niego uwagi. Odnalazł wydział projektowania wewnątrz i przez chwilę błądził po korytarzu, oglądając wystawione w gablotach prace studentów. W końcu wpadł na kogoś, kto wyglądał na osobę starszą od niego, i spytał, gdzie może znaleźć Millie. Według tej bardzo miłej kobiety wyszła na chwilę kupić sobie lunch, ale powinna wrócić za kilka minut. Kiedy powiedział tej miłej kobiecie, że jest bratem chłopaka Millie, twarz jej pojaśniała.

— Och! — rzuciła, uśmiechając się serdecznie. — Jest pan, znaczy się, bratem jej *narzeczonego*.

— Tak — mruknął. — Zgadza się.

— Świetnie. To czemu nie miałyby pan poczekać w jej biurze?

Zaprowadziła go na koniec korytarza i zostawiła w pokoju z nazwiskiem Millie na drzwiach. Tony przysiadł na wyglądającym na bardzo drogie krzesło z giętych rurek, ale prawie natychmiast wstał, żeby się rozejrzeć. A więc to tak, myślał. To jest właśnie biuro Millie. I jakież ono śliczne. Tony usiadł na jej fotelu, napawając się myślą, że jego pośladki dotykają oto zagłębień wysiedzianych przez jej pupę. Potem przerzucił papiery na jej biurku — prace, plany zajęć, zdjęcia krzeseł i zasłon, nudy, nudy, nudy. A potem jego wzrok padł na malutką, misterną ramkę ze zdjęciem. Podniósł ją i przyjrzał się z bliska. Było to zdjęcie Millie i Seana. Sean z przodu, uśmiechnięty jak kretyn, Millie tuż za nim, z rękoma zaplecionymi wokół jego szyi i policzkiem przyciśniętym do jego policzka. Wyglądała jak bogini. Odstawił zdjęcie ze smutkiem. „Brat narzeczonego” — mruknął do siebie. Na miłość boską.

— Tony!

Dosłownie wyskoczył z fotela.

— Millie!

— E... cześć.

Miała na sobie czerwoną tweedową spódniczkę do kolan, czarny moherowy sweter z ponaszywanymi wszędzie koralikami i obcisłe, zapinane na zamek skórzane kozaczki. Włosy spięte z tyłu, z przedziałką pośrodku. I okulary. Te okulary załatwiły Tony'ego na amen. Nawet bardziej niż obcisłe skórzane kozaczki.

— Cóż — zaczęła, uśmiechając się. — Przemiała niespodzianka. Co ty tu robisz?

Rzuciła na biurko papierową torbę i pochyliła się, by złożyć na jego policzku jeden z tych swoich szczerych, mocnych pocałunków, które rzeczywiście można było poczuć.

— No... ja... — wyszczerzył się niepewnie. — Bo... ja... chciałem ci coś dać. — Wyjął dużą tekturową kopertę. — Na pocztę i tak mi nie było pod drodze, a akurat tędy przechodziłem, więc...

Millie obdarzyła go ciepłym, przyjaznym uśmiechem, który oznaczał, że jego obecność tutaj wcale nie jest tak bardzo nie na miejscu, jak mogłoby się wydawać. Podsunęła okulary wyżej na swym smukłym nosie.

— No? Więc co to jest?

— Co?

— To coś. Dla mnie? — Pokazała na kopertę.

— A, tak, faktycznie. Tak. — Wręczył jej pakunek.

— Rany — obracała go przez chwilę w rękach. — Czy powinnam... czy mogę to otworzyć?

— O Boże, tak. Absolutnie.

Tony patrzył na nią w skupieniu, nie chcąc przegapić choćby najdrobniejszego niuansu. Otworzyła, wyjęła obrazek i spojrzała. Był to oprawiony, oryginalny rysunek maleńkiego, samotnego pingwinka na lodowcu. 250 funtów. I wart każdego pensa.

— Ha! Nie wierzę! To naprawdę dla mnie? Naprawdę?

— Aha.

— Och... to takie... takie miłe, Tony. To tak niesamowicie cudowne z twojej strony. Nie mogę uwierzyć, że zadałeś sobie tyle trudu. Nie wiem dosłownie, co powiedzieć. Ja... Ja...

I wtedy się rozplakała.

— Cholera, Millie. Przepraszam, nie chciałem...

Millie potrząsnęła głową i uniosła okulary, żeby wytrzeć łzy spod oczu.

— To nie przez ciebie, Tony. Skądże. To... to... Boże, ale mi głupio. Sama nie wierzę, że to robię...

— Chodź — powiedział Tony, biorąc ją delikatnie za łokieć i prowadząc w stronę stylowego szezlongu. — Usiądź.

Bezradnie przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu białej, bawełnianej chusteczki, choć nigdy w życiu takiej nie posiadał.

— Już dobrze? Podać ci coś?

— Aha — powiedziała. — Poproszę o nowe życie. Tony spojrzał na nią zaskoczony.

— Co?

— Nic — szepnęła, urywając twarz w dłoniach. — Nic.

— Millie, wszystko w porządku?

Potaknęła, potem potrząsnęła głową przecząco, potem znów potaknęła.

— Mów do mnie, Millie, proszę. Powiedz, co się dzieje.

— Nie mogę — jęknęła. — Cholera, nie mogę z tobą rozmawiać.

— Czemu?

— No bo to wszystko cholerny wielki sekret i ma związek z twoim bratem, i takie tam-ta-ram-tam.

— Słuchaj — powiedział Tony, rozkładając dłonie w geście otwartości. — Ja jestem neutralny. Szczerze. Możesz mi zaufać. Cokolwiek powiesz, nigdy nie wyjdzie poza ten pokój. Obiecuję.

— Przysięgnij specjalnie, że nie piśniesz słówka Seanowi.

— Przysięgam specjalnie.

— Jestem w ciąży.

Cały świat zaczął mu wirować przed oczyma, a krew napłynęła mu do głowy.

— Co? — spytał, opuszczając dłoń trzymaną na sercu.

— Jestem w ciąży — powtórzyła. — Ciągle jeszcze dziwnie się czuję, kiedy to mówię. A dopiero co przywykłam do mówienia, że jestem zaręczona. I właściwie nawet nie wiem, co jest dziwniejsze...

— W ciąży? — spytał znów Tony.

— Tak. Cudownie, nie? Mam trzydzieści sześć lat, myślałam, że do końca życia będę samotna i bezdzietna, a tu udało mi się zaręczyć i zajść w ciążę w ciągu dwóch miesięcy. Powinam być inspiracją i przykładem dla wszystkich Bridget Jones tego świata.

— Ale... czyje to jest? — W tym samym momencie, kiedy to pytanie padło z ust Tony'ego, chciał je natychmiast cofnąć. Oczywiście, że wiedział, czyje to dziecko. Tyle że to był tylko... Sean. Brrrr. Był to niesmaczny, nieodwracalny dowód, że on i Millie... i że Sean jest w stanie... I to z tak cudowną kobietą jak Millie. Zresztą z jakąkolwiek kobietą. Kiedy ta prawda przebijała się do jego świadomości, poczuł, że robi mu się troszkę słabo. Spojrzał na brzuch Millie i starał się wyobrazić sobie, co tam się dzieje, jak komórki i geny jego brata rozmnażają się, podwajają, i robią małego Seana. W Millie. O Boże. Jakież to odrażające.

— Cóż — powiedział Tony, szukając uprzejmej odpowiedzi na tak szokujące nowiny. — To naprawdę... Boże, to wspaniale. *Gratulacje!* — O, właśnie tego słowa szukał.

— Dziękuję — chlipnęła.

— To... kiedy rozwiązanie?

— Pierwszego grudnia.

— To urodziny naszej Mamy.

— Wiem — powiedziała. — Zbieg okoliczności, co? Ale nie wolno mi jeszcze nikomu o tym mówić. Chcę poczekać, aż będę w trzecim miesiącu. Wiesz, dla całkowitej pewności. Więc obiecaj, że nic nikomu nie powiesz, choćbyś nie wiem jak chciał.

Tony'emu kręciło się w głowie. Sean. Ojcem. To niemożliwe. Już wystarczyło, że pogodził się z myślą, że Sean może być ewentualnym mężem.

— A Sean... Sean się cieszy? Wzruszyła ramionami.

— Tak... Tak myślę. To znaczy, szczerze mówiąc, zdaje się, że jest na razie w niezłym szoku. Nie tak dokładnie to sobie wyobrażał. Ale chyba się z tym pogodzi, w pewnym momencie.

Tony'emu nie spodobało się to, co usłyszał. Przepiękna, o wiele dla niego za dobra pod każdym względem narzeczona Seana była w ciąży z jego dzieckiem. Z czym on tu się miał, cholera, godzić?

— No to... — zaczął Tony, przygotowując się do zadania drażliwego pytania. — Skąd te... — Przejechał palcem w dół policzka, żeby pokazać łzy.

— O Boże, sama nie wiem. To pewnikiem hormony.

— On nie chce, żebyś urodziła to dziecko, tak?

Millie znów lekko wzruszyła ramionami, pociągnęła nosem, i na nowo się rozplakała.

— Mówi, że chce, ale... sama nie wiem... jest taki... no... A nic.

— Jakie nic?

— Słuchaj, nie obraż się, ale... naprawdę wolałabym o tym nie rozmawiać, Tony. — Położyła dłoń na jego ręce i spojrzała na niego przepraszająco. — Czuję się z tym taka niełojalna. Wiesz, jaki Sean jest... wrażliwy na temat swojej *prywatności*... chyba tak to się nazywa.

— Chcesz, żebym z nim w twoim imieniu pogadał?

— Nie! Skąd! Absolutnie nie.

— Słuchaj, Millie, cokolwiek by się działo, jestem pewien, że tak naprawdę Sean jest tym zachwycony. — Wskazał na jej brzuch. — To znaczy, gdybym to był ja, to bym szalał z

radości, byłbym taki szczęśliwy. Nie mieści mi się po prostu w głowie, że ktoś mógłby czuć coś negatywnego wobec takiego cudu.

— Och, Tony, jesteś naprawdę wspaniały, wiesz? — powiedziała, śmiejąc się. — Jesteś takim wspaniałym facetem.

— Chyba nie najgorszym — uśmiechnął się, powstrzymując z całych sił pokusę, by odgarnąć kosmyk włosów z jej policzka.

— Słuchaj — powiedziała. — Czy możesz po prostu zapomnieć o tej dzisiejszej rozmowie? Nie powinnam ci była niczego mówić. Bo w końcu to będzie moja decyzja. Moja i Seana. Jestem pewna, że on się z tym oswoi... Ale dzięki.

— Za co?

— Że się pojawiłeś niezapowiedziany i pozwoliłeś mi się trochę rozładować. Naprawdę tego potrzebowałam. Ach, i oczywiście dziękuję za pingwinka — wskazała rysunek na swoim biurku. — To było fantastyczne z twojej strony.

Nic nie odpowiedział.

— Jadłeś już lunch? — spytała.

— E... nie, właściwie to nie.

— Chcesz zjeść ze mną panini? Z szynką i ementalerem. Tony spojrzał na papierową torbę wciąż leżącą na biurku.

— A duże jest?

— Ogromne. Dla mnie o wiele za duże.

— No to fajnie — powiedział, chociaż ani trochę nie przepadał za ementalerem. Patrzył, jak wyjmuje panini z torby i przełamuje palcami. Tymi samymi palcami, o których śnił każdej nocy, że wślizgują się do jego spodni, chwytają go, pieszczą. Jak zahipnotyzowany obserwował, jak rozrywa bagietkę. Jezu, rany, Chryste. Była niesamowita. Naprawdę. Silna i zręczna, i piękna, i zabawna, i wrażliwa, i seksowna. Była wszystkim, czego kiedykolwiek chciał od kobiety.

I była też zaręczona z jego bratem. I w ciąży z dzieckiem jego brata.

Żuł powoli kawałek letniego panini, ale kiedy usiłował przełknąć, utknęło mu w gardle.

PSYCHOTYCZNA PAPUGA SEANA

W piątek wieczorem Millie i Sean poszli na obiad do swojej ulubionej, modnej włoskiej restauracji. Sean zjadł prosciutto i figi, potem papardelle z kurzymi wątróbkami. Millie wzięła risotto z leśnymi grzybami z ogromną sałatką z rokiety i parmezanu, do tego tagliatelle z wędzoną wieprzowiną, śmietaną i fasolą. Na deser podzielili się olbrzymim panna cotta, ale tak naprawdę to Millie zjadła trzy czwarte. Poza głównym posiłkiem wsunęła jeszcze trzy kawałki ciabatty grubo posmarowane masłem i biszkopty, które były dołączone do jej kawy, tudzież te, które leżały na talerzyku Seana. Twierdziła, że ma potworne łaknienie na węglowodany. Czekać na rachunek, obejmowała dłońmi wyдутy brzuch.

Sean nie mógł powstrzymać zaniepokojenia takim nagłym podwojeniem się apetytu swojej dziewczyny. To chyba nie jest normalne dla kobiety, nawet dla ciężarnej kobiety, żeby aż tak się obżerać?

— No to — powiedział, odwracając oczy od jej wypełnionego brzucha i dopijając resztkę wina. — Gdzie teraz? Do Rajskiego Pawełka?

Lokal U Rajskiego Pawełka był półlegalną, nocną spelunką przy Brewer Street, prowadzoną przez dzikookiego kolesia po pięćdziesiątce z farbowanymi włosami, który naprawdę nazywał się właśnie tak — Rajski Pawełek. Zmienił sobie nazwisko aktem prawnym, kiedy miał dwadzieścia jeden lat. Podobno kiedy Millie po raz pierwszy zawitała w jego progach jako różowowłosa nastolatka w połowie lat osiemdziesiątych, Rajski Pawełek był barwną, ekscentryczną, uroczą postacią. Teraz jednak ten jego koloryt znacznie wyblakł, jak stara fotografia zbyt długo wystawiona na słońce. Nigdy nie mówił niczego, co by jakoś trzymało się kupy, i lekko podśmierdywał brudnymi kołnierzykami, prowadził jednak fantastycznie klimatyczną nocną mordownię, którą Sean uwielbiał.

Czasami zachodzili tam po obiedzie na kilka piw i surrealistyczną pogawędkę z Rajskim Pawelkiem, a potem sobie szli. Kiedy indziej napotykali jakiś tuzin osób z nigdy nie kończącego się łańcuszka znajomych Millie i zostawali prawie do świtu, pijąc rum, szampana i whisky. A kiedy była tam przyjaciółka Millie, Ruth, wciągali też niewielką ścieżkę koki, a czasem i dwie. Był to prawdziwy światek cyganerii pełen ekscentrycznych typów i dziwacznych spotkań, a ponieważ Sean nigdy nie był tam na trzeźwo i z całą pewnością nie miał choćby mglistego wspomnienia ani jednej akcji wychodzenia stamtąd, czasami wręcz zastanawiał się, czy ten bar istnieje naprawdę. Niesamowicie się zdziwił, kiedy natknął się na to miejsce w porze

lunchu, kiedy szedł na skróty do biura swojego agenta. W świetle dnia była to tylko ponuro wyglądająca suterena, zasypana śmieciami i bez jakiegokolwiek specyficznego atmosfery. Wywołało to w Seanie dziwnie niemiłe doznanie, podobne do tego, co poczuł, kiedy w centrum handlowym Whitgift w Croydon wpadł kiedyś na dyrektora swojej szkoły odzianego w ortalionowy dres.

Piątkowe wizyty U Rajskiego Pawełka były dla Seana i Millie rytuałem. Bez tych wypadów wgląd Seana w głębiny ludzkiej psychiki opierałby się jedynie na informacjach dostarczanych przez własną rodzinę, Roberta Kilroy-Silka* oraz lokalnego sprzedawcę gazet. Był to element jego życia, który wywoływał w nim nostalgię nawet jeszcze w chwili, gdy Sean fizycznie był w barze — zdarzało się, że słyszał rozmowy, które on i Millie będą prowadzić w przyszłości. A pamiętasz, wtedy U Rajskiego Pawełka? — będą do siebie mówić. — To dopiero były czasy. I oboje będą mieli to zamglone, stęsknione spojrzenie i będą sobie przypominali te magiczne dni, kiedy byli dla siebie nawzajem tacy jeszcze nowi, a cały świat był jasny i idealny.

* Robert Kilroy-Silk — kultowy gospodarz telewizyjnego talk-show na BBC1 (zwany „brytyjską Oprah”).

Jednak patrząc teraz na dramatycznie ziewającą Millie, która zasłaniała dłonią usta, na szare cienie pod jej oczami i nietknięty kieliszek wina stojący przed nią, Sean miał niemiłe przeczucie, że nocny wypad do Rajskiego Pawełka prawdopodobnie nie dojdzie tego wieczora do skutku.

Sean bezwiednie spojrział na zegarek. Była za piętnaście dziewiąta. Cały tydzień spędził samotnie, siedząc przy oknie w mieszkaniu Millie i czekając, aż ona wróci i przerwie jego izolację. Nie chciał więc teraz od razu wracać do domu, żeby oglądać telewizję i położyć się wcześnie spać. I choć wiedział, że w obecnej sytuacji powinien przedłożyć potrzeby i uczucia Millie nad swoje, to wcale nie chciał tego robić. Przez cały tydzień była wykończona, cały czas mówiła, że chce jedynie „spać, spać, spać”. W środę na przykład wróciła o siódmej wieczorem, jęknęła na propozycję wybrania się do kina i już o wpół do dziewiątej wczołgała się do łóżka, twierdząc, że w życiu nie czuła się taka zmęczona. Zapasy współczucia, jakimi dysponował Sean, błyskawicznie topniały. No bo przecież jakież to znowu może być wykańczające — nosić w sobie maleńki zlepek komórek? Nawet nic nie było po niej jeszcze widać, to, kurwa, czemu była cały czas taka zmęczona?

Jakby czytając w jego myślach, Millie znów ziewnęła.

— Jestem taaaka padnięta. Możemy po prostu iść do domu?

Siedmioletnia wersja Seana przedarła się na powierzchnię i dorwała do głosu.

— Co?!!! *Naprawdę?*

— Tak, Sean, naprawdę. Mam dosyć.

Spojrzał na jej poszarzałą twarz i podkrążone oczy i poczuł ogromną falę urazy. Zmusił się do wesołego uśmiechu.

— A może tak szybciotko, na jednego?

— Och, Sean...

— No chodź, będzie fajnie. Tylko na troszkę. W domu przed północą. Obiecuję.

— Przed północą?! Zamierzałam się położyć o dziesiątej.

— Ale, Millie — jęknął. — No proszę. Cały tydzień byłem zamknięty w domu. Muszę się trochę przewietrzyć.

— Sean — powtórzyła, tym razem z wyraźną nutą irytacji w głosie. — Ja nie idę do Rajskiego Pawelka ani nigdzie indziej, jeśli o to chodzi. Jestem totalnie wykończona, zapach papierosów przyprawia mnie o mdłości, i nie mogę się nawet napić. Potwornie bym się czuła.

— Aha, więc to tak? Więc przez następne osiem miesięcy będziemy po prostu siedzieć w domu?

— Siedem miesięcy.

— Nieważne. Przystaniemy wychodzić?

— Nie. Oczywiście, że nie. Tylko w tej chwili, kiedy jestem taka zmęczona.

— Ale dlaczego? — znowu jęknął, wiedząc doskonale, że polewa rozen tej rozmowy słowną substancją łatwopalną, ale po prostu nie mógł się opanować. — Dlaczego jesteś taka zmęczona? Nie rozumiem.

— O Jezu, Sean. Jestem w ciąży. — Wymówiła te sylaby powoli i z osobna. — W tej chwili daję siły ludzkiemu życiu, które jest tutaj — pokazała na swój brzuch — gdybyś nie pamiętał.

— No dobra, ale dlaczego to cię tak strasznie męczy? — Znajdował się w tej chwili na szerokiej drodze do samozagłady, ale minął już dawno punkt, kiedy mu zależało.

— Nie wiem, Sean. Nie mam pojęcia. Nigdy wcześniej nie byłam w ciąży. To dla mnie wielka, cholerna tajemnica.

Wziął głęboki oddech, potarł sobie dłońmi podbródek i przygotował się do odpalenia ra-

kiety nuklearnej, która nie dawała mu spokoju cały tydzień.

— A jesteś pewna, że to całe zmęczenie nie jest jedynie, no wiesz, w twojej głowie? Że to nie psychosomatyczne?

Millie otworzyła usta i poruszała nimi, jak szczupak wyjęty z wody.

— Sean? — spytała w końcu lodowato zimnym głosem. — *Jaki* masz, kurwa, problem?

— Taki mam problem — odparł — że w piątkowy wieczór chcę iść z moją dziewczyną do Rajskiego Pawełka, wypić kilka drinków, pośmiać się, a potem wrócić do domu. A nie mogę tego zrobić przez to tak zwane zmęczenie, które zdaje się całkowicie zawładnęło twoim życiem.

— Wiesz co, Sean — powiedziała Millie, odsuwając swoje krzesło i rzucając serwetkę na blat stołu — dlaczego sam nie pójdziesz do Pawełka, co? Idź sobie i baw się dobrze. Ale obiecaj mi jedno: nie wracaj w ogóle do domu, zanim nie dorośniesz. Ty *dzieciaku*.

A potem zdjęła swój zakiet z oparcia krzesła, rzuciła w niego banknotem dwudziestofuntowym i wypadła z restauracji.

Sean siedział tam jeszcze chwilę po tym, jak wyszła, i szacował swoje emocje.

Ulga: tak, trochę tak. Przez cały tydzień miał ochotę podać w wątpliwość to jej zmęczenie. Był przekonany, że to część jakiegoś kobiecego spisku, żeby „wyglądać” na ciężarną i robić wokół siebie zamieszanie.

Wyrzuty sumienia: troszeczkę. Zepsuł wieczór i pozwolił na to, żeby Millie sama wróciła do domu. Zachował się samolubnie i bezdusznie. Ale to było przecież również jego życie, no nie? Nie musiał akceptować każdej zmiany, którą ta ciąża narzucała na jego życie. *On* wciąż się jeszcze liczył, nawet jeśli ta istota rosnąca wewnątrz jego dziewczyny miała inne pomysły.

Konsternacja: o tak, i to jeszcze jaka. Wszystkie jego naturalne instynkty podpowiadały mu, że powinien się zmienić, stać się mniejszym egoistą. Ale miał też tę cholerną psychotyczną papugę, która siedziała na jego ramieniu i krzyczała: „Instynkt samozachowawczy! Instynkt samozachowawczy!” — rano, w południe i wieczorem. Bardzo był przywiązany do swego życia i nie podobało mu się, jeśli coś, nad czym nie miał kontroli, wtrącało mu się w nie i wszystko psuło.

Bezradność: maksymalna. No bo przecież nie miał sposobu, by powstrzymać ten przerażający, niekontrolowany proces.

Smutek: duży. Dopiero minął tydzień, odkąd Millie posłała mu swoją podkręcaną piłkę, a ich związek już się zmienił nie do poznania. Gdyby tydzień temu ktoś mu powiedział, że on i

Millie strasznie się posprzeczała w ich ulubionej włoskiej restauracji, co zakończy się spektakularnym wyjściem Millie, a on na to pozwoli, zaśmiałyby się temu komuś w twarz. Nie ma mowy, tak by powiedział, nie ja i Millie. My się świetnie rozumiemy. Nigdy się nie kłócimy. A piątek to nasz ulubiony wieczór...

Na samą myśl o tym, co robili tydzień temu o tej porze, Seanem wstrząsnął emocjonalny szok sejsmiczny. Musiał mocno zacisnąć szczęki, by powstrzymać łzy, które nagle pojawiły się nie wiadomo skąd.

Przełknął głośno, podniósł rachunek i banknot, który zostawiła Millie i pomyślał, czyby nie znaleźć nocnego sklepu, kupić lody i jakieś kolorowe czasopisma, wrócić do mieszkania Millie, udobruchać ją masażem stóp i głowy, zapomnieć o dzisiejszym wieczorze i zacząć od nowa.

Ale wtedy ta wielka, wstrętne papuga znowu zaczęła skrzeczeć: „Instynkt samozachowawczy, Sean! Samozachowawczy! Nie daj jej wygrać!” I tak pięć minut później znalazł się na tylnym siedzeniu czarnej taksówki w drodze na Brewer Street.

SER W ŚWIETLE KSIĘŻYCA

Tony myślał, że to wciąż część jego snu. A miał akurat niezwykle udany sen z Millie w roli głównej — tym razem nie było koni, za to leżeli razem w hamaku, a Millie odrywała kawałki jedzenia i wkładała mu do ust, równocześnie pieścąc jego krocze... zaraz... trzecią ręką? Nieważne, czymś w każdym razie pieściła. Podpełzła do nich ogromna jaszczurka i uśmiechnęła się szeroko. Miała złoty ząb i zaczęła wydawać dziwne odgłosy, przypominające dzwonek telefonu. Najpierw śmiali się z jaszczurki i tych odgłosów, ale w końcu zaczęło ich to denerwować. Tony sięgnął ręką do jaszczurki, ale ona zaczęła mu umykać, chować się pod hamak, wciąż się z niego śmiejąc. A potem Tony się obudził i zdał sobie sprawę, że telefon naprawdę dzwoni.

Spojrzał na radio z budzikiem. 3. 58 nad ranem.

Jezu.

Podniósł słuchawkę.

— Halo.

— Zgredek? — spytał zduszony głos. — Tu Mrużka.

— Przepraszam — powiedział. — Ale to chyba pomyłka.

— Nie! Nie, to ja, Millie.

— Millie! — Natychmiast usiadł prosto i przejechał dłonią po włosach. — Wszystko w porządku? Co się stało?

— Tak. Nie. Ja... Ja... — pociągnęła nosem — Jesteś sam? Tony na wszelki wypadek sprawdził poduszkę obok.

— Tak. Sam. Całkowicie. Co się dzieje?

— Strasznie przepraszam, że cię obudziłam, Tony. Naprawdę. Wiem, że okropnie późno, ale jestem w takim stanie, no i nie wiedziałam, z kim innym mogę pogadać. Jeśli chcesz, to się zaraz rozłączę...

— Nienienienie. Nie odkładaj słuchawki. Mów. Powiedz, co się stało.

— Tak mi przykro, Tony. Ale tak się nakręciłam, tak nakręciłam, że nie mogę spać. A nie wolno mi brać nic na sen, przez dzidziusia. No i... *psiakrew*. Jestem totalnie rozpieprzona.

— Millie!?! Ale co się stało?

— Pokłóciliśmy się z Seanem. Ja wyszłam, a teraz on się gdzieś włóczy i jeszcze go nie ma w domu.

— Pokłóciliście się? O co?

— Boże... nawet nie wiem, od czego zacząć. On jest po prostu... on jest takim *dzieciakiem*, Tony.

— Cóż, prawda — powiedział Tony. — Sean potrafi być troszkę dziecinny.

— To wszystko ta moja ciąża. Mówi, że się z tego cieszy, ale zachowuje się tak, jakby był na mnie obrażony. Wiesz, w stylu „sama się w to wpakowałaś, to nawet nie licz, że ci to ułatwię”. Tak, jakbym wyszła na mróz bez swetra i się zaziębiła, więc tylko sama siebie mogę o to winić.

Tony pokiwał głową.

— Chryste — mruknął. — Co za dupek. Nie mogę uwierzyć, że tak się zachowuje. Chcesz, żebym z nim pogadał? Co? Zamienił sobie z nim słówko?

— Nie! Wykluczone. To mój problem i dam sobie z tym radę, Tony. Tyle że, widzisz, Sean pojawił się w moim życiu tak zupełnie znikąd, z nieba spadł, rozumiesz? Właściwie przecież nic o nim nie wiem. Nie mogę go umieścić w żadnym kontekście. To znaczy, powiedział mi na przykład, że nigdy tak naprawdę nie był w żadnym poważnym związku, no ale ja też nie, nie tak do końca, ale to przecież wcale nie znaczy, że nie jestem w stanie utrzymać takiego związku. No i tak się zastanawiałam, wiesz, może ty byś mógł mi o nim trochę opowiedzieć, to,

czego nie wiem, na przykład, jakie były te jego poprzednie dziewczyny i jak wyglądały te jego związki, no i co na przykład sądzi o dzieciach. Wiesz, tego typu sprawy. Ale tylko pod warunkiem, że nie będziesz się czuł wobec niego potwornie nielojalny.

— Nielojalny? — spytał Tony. — O nie. Nic z tych rzeczy. Powiem ci wszystko, co powinnaś wiedzieć.

No i powiedział. Zaczął od tego, że Sean ma kompleks środkowego dziecka w rodzinie i że w związku z tym zawsze musiał być w centrum uwagi, i wpadał w panikę, kiedy uważał, że dostaje czegoś za mało, obojętnie, czy chodziło o paluszki rybne czy o miłość mamy. Powiedział jej o tych wszystkich porzuconych blondynkach i złamanych sercach. I o tym, jak bardzo zdziwiona była cała rodzina, że Sean znalazł kogoś, kogo pokochał na tyle, by podjąć wobec tej osoby zobowiązanie, bo zanosilo się już na to, że zawsze będzie sam. Powiedział jej też, że Sean ma w sobie trochę mizoginizmu, że jest niecierpliwy, samolubny i krótkowzroczny. Że nigdy tak naprawdę nie dojrzał emocjonalnie i prawdopodobnie nie jest w stanie podołać wszystkim wyzwaniom dojrzałego, normalnego związku.

— On jest zepsuty i rozpieszczony — zakończył. — To jego największy problem. Nigdy o nic nie musiał się starać. Mieszkanie dostał komunalne. Dziewczyny ustawiały się do niego w kolejce. No i oczywiście Mama i Tato przez tyle lat na wszystko mu pozwalali, płacili jego rachunki, robili mu pranie, zabierali go na wakacje, i nigdy nie pytali, co on, do diabła, robi ze swoim życiem. A potem napisał tę swoją książkę i zdobył i pieniądze, i sukces. No sama wiesz...

Po drugiej stronie słuchawki Millie pociągała nosem.

— To właściwie mówisz w tej chwili, że mój narzeczony jest emocjonalnym kaleką?

— Nie. Nie kaleką. Powiedzmy, że lekko emocjonalnie utyka.

— A dzieci? Tony, czy on kiedykolwiek mówił ci coś na temat *dzieci*?

Tony poważnie się zastanowił nad tym pytaniem.

— Nie — stwierdził w końcu. — Nigdy nie słyszałem, żeby mówił coś o dzieciach. Dobrego czy złego.

— Och — powiedziała Millie z nutką zawodu. — Ale dlaczego mnie prosił, żebym za niego wyszła, jeśli nie chce mieć dzieci? To znaczy, czy nie po to właśnie ludzie się pobierają?

— Cóż — potwierdził Tony. — Tak dotąd myślałem.

— O Boże, Tony. Ja po prostu... Ja go w ogóle nie rozumiem. Nie mam pojęcia, co mu się tam kotłuje w głowie.

— Słuchaj. Sean to skomplikowany facet. Nie sędę, żeby *ktokolwiek* go naprawdę rozumiał. Ale nie powinno mu to ując płazem, rozumiesz? Nie możesz pozwolić, żeby sobie myślał, że wolno mu się w ten sposób zachowywać. To rozpieszczony gówniarz i potrzebuje trochę dyscypliny. Musi sobie zdać sprawę z tego, że jest już dorosłym facetem, że ma obowiązki.

— O nie, nie mam najmniejszego zamiaru pozwolić na to, żeby mu się upiekło. Zapewniam cię. To nie w moim stylu.

— I bardzo dobrze.

— I powiem ci jedno, na sto procent, cokolwiek by się wydarzyło, to dziś na pewno nie wpuszczę go do swojego łóżka. Nie ma mowy.

— Święta racja — powiedział Tony. — Nie pozwól mu się w ogóle do siebie zbliżyć.

Zanim Millie cokolwiek odpowiedziała, przez długą chwilę słyhać było jedynie jej zapłakany oddech. Tony czuł się niewiarygodnie blisko niej. Było coś niezwykle intymnego w rozmawianiu z kimś przez telefon w środku nocy, w ciemności, kiedy tak leżał nagusieńki, otulony w puch i bawełnę, jak małe dziecko.

— W każdym razie, Tony. To tyle. Potrzebny mi był tylko jakiś *kontekst*. Możesz już iść spać.

— Nie, nie. Serio. W porządku. Już jestem całkiem rozbudzony.

— O Boże, przepraszam. Naprawdę nie chciałam ci zrujnować nocy...

— Ale naprawdę, Millie, nie musisz przepraszać. Nie sypiam zbyt dobrze. I tak bym się pewnie już z dziesięć razy sam obudził przez ten czas. Zwykle tak jest. To miłe móc sobie dla odmiany z kimś pogadać. A właściwie... — rzucił szybko, bo przyszła mu do głowy pewna myśl. — Zaczekaj chwileczkę, dobra? Przejdę do drugiego aparatu.

Odłożył słuchawkę, narzucił szlafrok i po miękkim, kremowym dywanie potupał do salonu, gdzie odebrał przenośny telefon.

— Cześć — powiedział.

— Cześć. O czym to mówiliśmy?

— O Seanie.

— A tak, Sean. Nie chce mi się już o nim mówić. Znudziło mnie gadanie o Seanie. Głupki i egoista, i tyle.

— No to o czym będziemy mówić?

— Hmm — mruknęła Millie w bardzo koci, zmysłowy sposób, tak że Tony natychmiast wyobraził ją sobie nagą na jedwabnej pościeli, z rozwichrzonymi włosami. — O imio-

nach dla dzieci?

— Co?

— Dla chłopczyka podoba mi się Nat. Albo może Theo. A jak będzie dziewczynka, podoba mi się Mathilda. I jeszcze Lois, tyle że Lois London to tak dosyć głupio brzmi, no nie?

— Chyba tak.

— A jakie się tobie podobają?

— Boże — przejechał nerwowo palcami po włosach. — Nigdy o tym nie myślałem.

David?

— David?! Nie można dać dziecku na imię David. Będą go potem wołać Dave. I będzie miał przyszcze i tłuste włosy. A dla dziewczynki?

— No... sam nie wiem. Amanda?

— Amanda! Kiedyś *uwielbiałam* imię Amanda. Jak byłam mała. *Amanda...* — wolno wypowiadała sylaby. — Amanda London. A wiesz, że mi się podoba. Ma taki postmodernistyczny urok, nie?

— Uhu — mruknął Tony, pragnąc, żeby zaczęli mówić o czymś, o czym ma jakiegokolwiek pojęcie.

Millie w dalszym ciągu wymieniała kolejne imiona, a on ze słuchawką przy uchu powędrował do kuchni i bezmyślnie otworzył lodówkę. Wielki kawałek sera Cheddar mrugnął do niego porozumiewawczo, więc go wyciągnął, sięgnął do szuflady po nóż i zaczął odcinać plasterki sera i kłaść je sobie na języku, żeby się same rozpuściły. W trakcie pogawędki zabrał kawał sera i szklankę soku pomarańczowego do salonu i położył się na kanapie. Przez świetlik w suficie widział, jak kolor nieba przechodzi z czerni do zabarwionego bursztynem granatu, kiedy pierwsze promienie słońca zaczęły się przebijać gdzieś tam nad horyzontem. Księżyc nad jego głową wciąż był wielki i tłusty, a miodowo-zachrypnięty głos Millie dalej recytował do jego ucha imiona z księgi imion: Albert, Amber, Anastasia, Archie, Astrid... Tony od czasu do czasu rzucał „Aha”, „Nie, nie” albo „całkiem całkiem” i wpatrywał się w księżyc, a Millie wymieniała dalej: Batsheba, Bella, Boris, Bruce, Byrony. Imiona dla dzieci nigdy nie brzmiały tak seksownie.

— Czy ty coś jesz? — spytała nagle Millie.

— Ne, ne — zaprzeczył Tony, usiłując naprędce pozbyć się sera przyklejonego do języka. — Tylko sobie piję sok.

— Boże, ty to *robisz*, prawda?

— Co robię?

— Wyciągasz rzeczy z lodówki w środku nocy?

— Czasami.

— Ha. A ja zawsze myślałam, że ludzie tak robią tylko w amerykańskich filmach. No — to co teraz robisz?

— Nic. Leżę sobie na kanapie. Piję sok. Rozmawiam z tobą.

— Jak wygląda twój dom?

— Mój dom?

— Aha. Opisz mi go.

— No cóż. To jest właściwie mieszkanie, duplex. W takim zamkniętym, chronionym kompleksie. Z tych stawianych przez Barratta, wiesz, ale naprawdę ładny. Zaprojektowany przez architekta i w ogóle...

— Przez architekta, co? W przeciwieństwie do budynku zaprojektowanego przez kucharke?

— Ha, ha, ha.

— Opowiedz o swojej kanapie

— Co?!

— Słuchaj, jestem projektantką wnętrz. Muszę znać kanapę, żeby naprawdę poznać człowieka.

— Dobra, to co chcesz wiedzieć?

— Kolor. Materiał. Wymiary. Obicie.

— No więc jest taka cytrynowo kremowa. I z takiego jakby *guzelkowatego*, bawełnianego materiału. Jest duża, trzyosobowa, ma niskie oparcie i dużo poduszek.

— Skąd?

— Z IKEA.

— IKEA?

— A to źle?

— To potwornie, Tony. Totalna zgroza. Boże, mieszkasz w domu Barratta i masz kanapę z IKEA. Nie bardzo jesteś podobny do swoich rodziców, co?

— Nie. Chyba nie. Nie znoszę bałaganu.

— To ile w sumie mebli masz z IKEA? Szczerze...

— No... wszystkie?

— Och, Tony.

— To przecież ładne rzeczy, i wszystkie się ze sobą zgadzają.

— Chcesz powiedzieć, że do siebie pasują?

— Właśnie. Pasują.

— Tony, meble wcale nie muszą do siebie *pasować*. Mają się *wspomagać*, inspirować, komunikować. Mają mówić innym o *tobie* — o tym, kim jesteś.

— No i może mówią. Może ze mnie taki pasujący facet.

— To znaczy... że twoje spodnie i skarpetki... czy one też...? Tony się roześmiał.

— Czasami — odparł. — Ale nigdy wzorkiem. Ale słuchaj — powiedział, bo nagle przyszedł mu głowy całkiem ekscytujący pomysł. — Moje mieszkanie. Nigdy tak naprawdę nic z nim nie robiłem, a to faktycznie ładne miejsce. Ma duży potencjał... Czy kiedykolwiek brała-bys pod uwagę przyjęcie prywatnego zlecenia w dziczy południowego Londynu?

— A gdzie mieszkasz?

— W Anerley.

— Anerley — gdzie to, do diabła, jest?

— Z drugiej strony Crystal Palace Park. Niedaleko od moich rodziców.

— Hmm, przemyślę to. Ale zanim osobiście się zachołgam na to twoje Twin Peaks, to musiałabym zobaczyć zdjęcia... O, cześć, mój słodki.

— Przepraszam?

— Mój kot właśnie wszedł do sypialni. Witaj, piękny...

— Masz kota?

— Mam nawet *cztery* koty. Nie mówiłam ci? Jestem klasyczną starą panną. Przygotowywałam wszystkie niezbędne atrybuty na moją nieuniknioną samotną przyszłość. Nawet miałam w zanadru najlepszego przyjaciela geja, zanim nie pojawił się Sean ze swoim zaręczynowym pierścieniem i przedzierającą prezerwatywy spermą.

Tony znów się zaśmiał.

— Jeśli samotna, trzydziestoparoletnia kobieta ma koty i przyjaciela geja, to co ma samotny facet?

— Bardzo dobre pytanie — powiedziała Millie. — Sportowy samochód i przyjaciółkę kobietę, tak myślę.

— Cholera — sapnął, uderzając się dłonią w czoło. — Przyłapałaś mnie. W obu przypadkach.

— Tak, ale to się nie liczy, bo ty przecież nie jesteś sam.

— Tak, jestem.

— Zaraz... To kim jest ta przemiła blondynka z niesamowitymi nogami, która wszędzie z tobą chodzi?

No tak. Całkiem o niej zapomniał. Ness.

Na samą myśl o niej przebiegł mu po plecach zimny dreszcz. Przez ostatnie dwa tygodnie robił wszystko, co mógł, żeby tylko unikać Ness. Było dużo migren i siedzenia w biurze do późna, i zobowiązań rodzinnych. Powinien po prostu zerwać z Ness, Tony doskonale o tym wiedział. Powinien z nią usiąść, jak dorosły mężczyzna, wziąć ją za rękę, spojrzeć prosto w oczy i powiedzieć: „Ness, jesteś naprawdę fantastyczną dziewczyną i świetnie się razem bawiliśmy, ale... ” — a potem stawić czoło konsekwencjom. Ale po prostu nie potrafił tego zrobić. Przypuszczał, że jakoś tak podświadomie czeka, żeby ona zrobiła coś złego, by móc to wykorzystać jako doskonale pasujący pretekst i ją rzucić. Tylko że ona niczego takiego nigdy nie robiła. Bardzo powolutku docierało do Tony'ego, że Ness była chodzącym ideałem. Była idealną dziewczyną. Miała tylko jedną wielką wadę. Ogromną, niewybaczalną wadę. Nie była Millie.

— O kurwa — rzuciła nagle Millie.

— Co?

— Drzwi wejściowe stuknęły. Wrócił — szepnęła. — Muszę kończyć.

— O — jęknął Tony zawiedziony. — Dobra.

— Dzięki wielkie za pogaduchę. Było wspaniale.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Naprawdę mnie uspokoiłeś. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Dziękuję.

— Zawsze do usług. Zawsze. Tylko mi jedno obiecaj.

— Tak?

— Że mu to nie ujdzie na sucho, dobra?

— O, możesz mi zaufać, Tony. Nic mu nie ujdzie na sucho. Cholera, idzie. Dobranoc, Tony.

— Tak, śpij dobrze... — zaczął, ale było już za późno. Odłożyła słuchawkę.

Tony wyłączył telefon i czuł się tak, jakby wyłączył aparaturę podtrzymującą życie. Usiłował sobie wyobrazić, co też teraz dzieje się w sypialni Millie. Czy Millie krzyczy na Seana? Rzuca w niego poduszkami? A może znowu płacze, a Sean ją pociesza? Żałował, że nie może

być na jego miejscu. Poglądziłby jej włosy i otarł łzy, i powiedział, że wszystko będzie dobrze, że będą najlepszymi rodzicami na świecie. A potem by się wsunął pod kołdrę obok niej, i przytulił się do jej pleców i całą noc opowiadał jej o tym, jakie będą mieli wspaniałe życie.

Westchnął i przytulił telefon do piersi, znów spoglądając przez świetlik na niebo. Patrzył na księżyc tak długo, aż mu zniknął z pola widzenia i zastąpił go blask wczesnego poranka. Zanim wrócił do łóżka, było już całkiem jasno, a on zjadł co najmniej pół funta sera.

Sean szybko się przekonał, że U Rajskiego Pawełka bez Millie u boku było tylko zatłoczoną, cuchnącą, piwniczną speluną pełną ryczących, naćpanych koka kretynów. Sam Pawełek wcale nie zwrócił na niego uwagi, a znajomi Millie wydawali się nieosiągalni, kiedy zabrakło jej jako łącznika. By sobie zrekompensować uczucie alienacji, Sean wytrąbił solo pół butelki rumu, wciągnął trzy bardzo duże ścieżki koki i nie wrócił do Millie aż do 4. 30 rano.

Na kanapie w salonie leżała zapasowa kołdra, trzy z jej czterech kotów i duża kartka papieru z odręcznym napisem: „Twoje łóżko”.

— Akurat... — mruknął pod nosem.

Pogłaskał koty, podniósł kartkę i na palcach wszedł do sypialni. Millie leżała zwinięta na boku, a jej czwarty, ulubiony kot spał wtulony w zagłębienie jej zgiętych kolan. Kiedy Sean wszedł, kot podniósł głowę i spojrzał na niego podejrzliwie, jakby chciał powiedzieć: „Jeśli myślisz, że w ogóle zbliżysz się do mojej pani, to się grubo mylisz”.

Zignorował kota i cichutko podszedł do łóżka. Włosy Millie do połowy zakrywały jej twarz, a nagie ramię błyskało w świetle padającym z korytarza. Spojrzał na jej śliczne usta, zacisnięte jak u małej dziewczynki i przez moment poczuł coś na kształt rodzicielskiej czułości, kiedy wyobraził sobie, jak by to było, gdyby Millie urodziła córeczkę. Czy odziedziczyłaby po mamie ten zadarty nosek, tę apetyczną skórę, te wydęte, uparte usteczka? Wyobraził sobie, że wchodzi do dziecięcego pokoju po nocnym wypadzie, patrzy na swoją piękną, śniadą córeczkę, poprawia jej kołderkę, zastanawia się, o czym też ona śni. Tak, pomyślał, może sobie to wyobrazić. Uśmiechnął się zadowolony i wyciągnął rękę, by odsunąć włosy z gładkiego policzka Millie. — Spierdalaj.

Ręka się cofnęła, odwrócił się i wyszedł z sypialni.

NIELOJALNA JOLA

— Tone, to ja.

— Sean! — Tony nie był przyzwyczajony do odbierania telefonów od swego młodszego brata, zwłaszcza o dziesiątej w sobotni poranek.

— Słuchaj, nie mogę długo gadać, dzwonię z komórki, wyszedłem tylko na chwilę do sklepu po sok żurawinowy dla Millie.

— Aha. Rozumiem.

— Słuchaj, muszę z tobą pogadać. Coś się stało. O Boże, pomyślał Tony. Nielojalna Jola. To ja.

— I to jest supertajne, kapujesz? Musisz obiecać, że nikomu nie powiesz. Ani Mamie, ani nikomu.

— Dobra.

— Millie jest w ciąży.

Tony zmobilizował wszystkie swe ograniczone moce artystycznej ekspresji, by zabrzmieć na autentycznie zdziwionego.

— Co?

— No tak. To lekki szok, prawdę mówiąc. Nie planowaliśmy, ani nic takiego. No, z pewnością nie planowaliśmy. To znaczy, przecież jesteśmy razem dopiero od kilku tygodni. Problem w tym, że ona chce je urodzić.

— Problem? — spytał Tony.

— Tak. To znaczy, rozumiem dlaczego, naprawdę rozumiem. Ma trzydzieści sześć lat, jest już w tym wieku, no wiesz. A ja serio chcę się z tego cieszyć, i być Nowym Człowiekiem, i w ogóle. Ale nie mogę.

— Czemu?

— Nie jestem gotowy. Nie jestem gotowy, żeby się z nią dzielić. Żeby oddać swoją wolność. Nie jestem gotowy na to, żeby ona się zmieniła.

— Zmieniła?

— No tak. Wiesz, nie pije, nie pali, nie chce nigdzie wychodzić. Tak nam się fantastycznie żyło i wszystko było takie nowe, i świeże, a teraz jakbym mieszkał z pieprzoną Geri Halliwell czy coś. Ona chce tylko siedzieć w domu i spać, a ja się czuję jak krety, kiedy wypiję kilka drinków. Wiesz, że nie ma nic gorszego, niż być z kimś trzeźwym, kiedy się człowiek trosz-

kę uwali no i... no i wczoraj wieczorem naprawdę ją wkurwiłem.

— Chryste, wcale się nie dziwię, jak masz takie podejście. Co się stało?

— No, ja chciałem po obiedzie jeszcze gdzieś iść, a ona powiedziała, że jest zmęczona i chce wracać do domu. To jej powiedziałem, jak ja się z tym czuję, a ona wypadła z restauracji jak burza. Tak po prostu. No więc ja i tak sobie poszedłem...

— Co? Pozwoliłeś jej samej wrócić do domu?

— Ta... Wiem. Jestem chujek. Ale czułem się taki, taki... *bezsilny*. Wiem, że to brzmi żałośnie, ale czułem, że jak wrócę z nią do domu, znaczy pozwolę, że by to wygrało.

— Ale żeby co wygrało?

— Dziecko. Dziecko by wtedy wygrało.

— Sean, przecież to nie są zawody, nie wiem, czy wiesz. To twoje dziecko. Ona nosi twoje dziecko.

— Wiem. Wiem, że moje. Ale ja go nie znam. To nie rośnie we *mnie*, kapujesz? To jej dziecko. Bo jakby to było planowane, jakbyśmy byli już ze sobą kilka lat, i specjalnie przestali używać antykoncepcji, i wtedy ona by zaszła w ciążę, to by było co innego. Wtedy by znaczyło, żeśmy to zrobili razem. To bym mógł znieść. Ale teraz... tak się czuję, jakby jakiś obcy zagnieździł się w środku mojej dziewczyny. Jakby to nie miało nic wspólnego ze mną. W ogóle. Wiesz, co mam na myśli?

I w dziwny sposób Tony faktycznie wiedział, o co Seanowi chodzi. Nie było jednak takiej możliwości, żeby to przyznał swojemu bratu. Trzymał stronę Millie. W całej rozciągłości.

— Słuchaj, Sean — powiedział. — Wiem, że to pewnie dla ciebie prawdziwy szok i ostatnia rzecz, której byś się spodziewał. Ale przecież oświadczyłeś się Millie, nie zapominaj o tym. Tym samym podjąłeś już wobec niej zobowiązanie. A czy w ogóle przyszło ci do głowy, że może ona też jest *przestraszona*, co? Może ona też jest w szoku. I że ona też by woląla zaczekać?

— No tak, powiedziała, że by była szczęśliwsza, gdyby się to wydarzyło za jakieś dwa lata.

— Dokładnie. Słuchaj. Masz niesamowitą kobietę. Jest dla ciebie o wiele za dobra i doskonale o tym wiesz. Ona jest w ciąży. Ty jesteś ojcem. Jesteś dorosłym facetem, więc przestań się brandzlować, kup jej kwiaty i zacznij się zachowywać jak trzeba. Bo jeśli naprawdę uważasz, że nie umiesz sobie z tym poradzić, to lepiej zrobisz, jak ją zostawisz teraz, kiedy ona ma jeszcze jakieś możliwości wyboru.

— Co?

— To znaczy, że jeśli nie chcesz jej razem z twoim dzieckiem, to od niej odejdz. Wtedy przynajmniej ona może się zdecydować na aborcję, jeśli tak będzie chciała, i dalej sobie układać życie. Jeśli jednak zamierzasz dalej z nią być, ale będziesz ją unieszczęśliwiał i tak się zachowywał, żeby się czuła winna czegoś, co wcale nie jest jej winą, to wcale nie robisz jej przysługi. Albo staw temu czoło, albo spadaj. Kapujesz?

— Tak — powiedział Sean, a w jego głosie było słychać, że w końcu to do niego dociera.

— Masz rację. Wiem, że masz. Tylko to takie trudne. To znaczy, ubóstwiam Millie. Nie chcę jej stracić. Ale jestem po prostu taki skołowany i chociaż doskonale wiem, co *powinienem* robić, to i tak jest to za trudne. O kurwa, Tone...

— Mówię poważnie, Sean. Po prostu musisz w końcu dorosnąć. I podjąć decyzję. Wóz albo przewóz.

— Tak, tak. Słuchaj. Właśnie dochodzę do kasy. Muszę kończyć. Ale dzięki, Tone. Teraz naprawdę spróbuję się jakoś pozbierać.

— Musisz sobie wszystko poważnie przemyśleć.

— Wiem, zrobię tak. Dziękuję. Dzięki, że mnie wysłuchałeś. Tylko pamiętaj, ani słowa nikomu. Jasne?

— Jasne. A... jeszcze jedno. Tak z ciekawości. Dlaczego zadzwoniłeś do mnie? Nie to, żeby mi nie było miło, tylko że zazwyczaj nie dzwonisz do mnie pytać o radę.

— Cóż, chyba zazwyczaj jej nie potrzebuję. Poza tym jesteś moim starszym bratem, no nie? Do kogo miałbym zadzwonić?

Kiedy Sean się rozłączył, Tony odłożył telefon i przez chwilę patrzył na swoje stopy. Czuł się winny, dwulicowy, ale miał też poczucie tryumfu.

PURPUROWE KANAPY, MOJITOS I FUTERAŁY NA KOMÓRKI Z LAMPARCIEJ SKÓRY

W poniedziałek o ósmej wieczorem Ned znalazł się w bardzo głośnym, niemal całkowicie purpurowym barze w bok od Oxford Street. W pierwszej chwili był pewien, że musiał pomylić adres albo wszedł do innego lokalu. Było tu pełno półokrągłych kanap, chromowanych lamp, no i takich ludzi, jakich przez całe swoje trzy lata w Sydney starał się unikać. Faceci z wyżelowanymi włosami ubrani w koszule i krawaty tego samego koloru. Dziewczyny w obcisłych spodniach i asymetrycznych topach z lycry. Ludzie wyglądający na takich, co to pracują na niższych szczeblach w mediach. Przyciemnione światło. Głośna muzyka. Drogie koktajle. W każdym szczególe antyteza tego, co kiedykolwiek lubiała Carly. Carly lubiała puby, kafejki i miejsca, w których serwowano piwo o śmiesznych nazwach i co najmniej cztery rodzaje chipsów. Miejsca, gdzie można było sobie spokojnie usiąść i słyszeć własne myśli. Z pewnością Carly zalicza to wszystko w odwrotnej kolejności, pomyślał Ned. No bo przecież powinno się zaczynać od takich głośnych lokali z purpurowymi sofami i w miarę zbliżania się do trzydziestki przechodzić na spokojne puby.

Rozglądał się wszędzie za Carly, ale nigdzie jej nie było widać, więc zamówił sobie niesamowicie drogą butelkę piwa i starał się znaleźć jakieś miejsce do siedzenia. Już miał się usadowić w kącie niebotycznie wielkiej purpurowej kanapy, kiedy jakaś z lekka pomarańczowa dziewczyna z burzą tlenionych włosów, ubrana w różowiutki golf rzuciła mu to spojrzenie w stylu „Moje życie byłoby idealne, gdybyś nie istniał”, a na głos powiedziała:

— Nie możesz tu siedzieć.

— Słucham?

— Ty. Nie możesz. Siedzieć. Tutaj.

— A dlaczego?

— Zajęte. — I odwróciła się od niego w sposób, który sugerował, że już poświęciła mu dostatecznie dużo swego drogiego czasu. Najwidoczniej nie przyszło jej w ogóle do głowy, że mógłby nie posłuchać jej zakazu.

I oczywiście miała rację. Ned podniósł swoją butelkę piwa i poczłapał dalej, czując się tak, jakby miał wszy i żółte zęby.

Wyobraź sobie, myślał, starając się znaleźć jakiś kąt, żeby się schować, że jesteś gościem, któremu się faktycznie *podobają* takie dziewczyny, takie upiorne blondyny w typie nu-

dzisz-mnie-koleś, te wysokogatunkowe, chyba-nie-sądzisz-że-wsiądę-do-autobusu? Jak to musi zatruwać duszę, gdy trzeba spędzać życie, starając się zadowolić kogoś, kogo zadowolić nie można, a wszystko tylko po to, żeby móc się pokazywać z czymś ładnym u boku.

Czekając, bawił się swoimi włosami. Było tu nieprzeciętnie gorąco i broda go swędziała. No i włosy też, prawdę mówiąc. Miał nagle ochotę, żeby uczesać całe swoje ciało.

Wtedy właśnie jego wzrok przyciągnęła urocza dziewczyna, która weszła do baru. Miała falujące, jasne włosy do ramion, różowe policzki, czerwony płaszczyk i buciki na klamerki. Wyglądała jak olbrzymia, przerośnięta czterolatka. Weszła do środka i ściągała rękawiczki w paski, palec po palcu, a oczyma skanowała wnętrze. Nagle jej wzrok padł na Neda i szeroko się do niego uśmiechnęła. Dopiero wtedy ją rozpoznał. To była *Carly!* Odstawił piwo i ruszył w jej kierunku.

— Carly, cześć.

— Ned.

Uściskali się. Ned ze swoją bródką i okularami, Carly w czerwonym płaszczku i z plecakiem. I Ned od razu wiedział, że wszystko się zmieniło. Inaczej pachniała. To też zauważył. Zawsze pachniała czereśniami i pudrem dla dzieci. Teraz pachniała jakimiś drogimi, ale przyjemnymi perfumami.

— Niech ci się przyjrzę — powiedziała, chwytając go za ręce i oglądając od góry do dołu. — Świetnie ci z tą brodą.

— Podoba ci się? — Ned przejechał palcami po miękkim zaroście i poczuł wielką przyjemność z pierwszego komplementu, jaki jego kozia bródka otrzymała od czasu powrotu do domu.

— Tak, pasuje ci. Wyglądasz z nią bardziej... interesująco.

— Chcesz powiedzieć, że dawniej wyglądałem nudno?

— Śmiertelnie, koteczku.

Koteczku? Carly nigdy nie używała takich słów jak *koteczku*.

— A ty — powiedział, wskazując na jej jasne włosy i modny płaszcz — ty wyglądasz rewelacyjnie.

Uśmiechnęła się i zgrabnie dygnęła.

— Dziękuję. Podeszli do baru.

— Co pijesz? — spytał Ned. — Piwo?

— Nie — rzuciła odruchowo, podnosząc kartę koktajli i uważnie ją czytając — Wezmę...

wzmę... mojito.

— Naprawdę? — zdziwił się Ned głosem tak pełnym autentycznej troski, jakby chciała zamówić kufel skunksiego mleka.

— Aha.

Zanim te dwadzieścia limonek, których, jak się okazało, wymagał drink Carly, zostało poćwiartowanych i wyciśniętych, zwolnił się stolik z tyłu baru, więc zanieśli tam swoje drinki i usiedli.

— No to — zaczęła Carly, opierając brodę na nieskazitelnych dłoniach z długimi, wymanikiurowanymi paznokciami, i pobłyskując dosyć śmiałym dekoltem. — Naprawdę świetnie cię znów widzieć.

A Ned myślał sobie, jakie to jest dziwaczne, jak nieprawdopodobnie dziwaczne. To jest Carly — z całą pewnością, o tym był przekonany — ale równocześnie to *wcale* nie ona. To była

Carly w wersji deluxe. Carly z makijażem, polakierowanymi paznokciami, wielkim dekoltem i pewnością siebie, która wypływała z niej jak ciekłe złoto. Była trochę *przeróżająca*.

— Ale proszę cię, TY! — powiedział nagle jak jakiś gospodarz teleturnieju. — Porozmawiajmy o tobie. Proszę, proszę, nowa praca, nowe włosy, wszystko nowe. Wygląda na to, że naprawdę świetnie ci się układa. Opowiadaj.

Carly uśmiechnęła się i zaczęła mówić, cały czas bawiąc się zamkiem swojego plecaka.

Kiedy Ned wyjechał, ona też wybrała się w podróż. Podjęła wszystkie oszczędności, wynajęła swoje mieszkanie i pojechała na cały rok. Przeżyła takie niesamowite przygody. Amazonka — *nieziemski*, pałace Azteków — *nieprawdopodobne*. Zabójczy apartament na Bahamach, gdzie opiekowała się pieskiem shih-tzu jednego milionera. San Francisco — *najlepsze* miasto na świecie, bez dwóch zdań. *Strasznie* było wracać do domu, ale przecież nie można się włączyć *bez końca*. Poznała tylu nowych przyjaciół, miała tyle doświadczeń. No i *chłopcy*. Chłopcy, chłopcy, chłopcy. Blondyni z tatuażami ubrani w bermudy. Ciemnowłosi macho na vespach, z szybkimi motorówkami. Amerykanie, Duńczycy, Australijczycy. Powinna była to zrobić wiele lat wcześniej. Dało jej to taaaką pewność siebie, to całe flirtowanie, te podchody. Ale przecież na tym polega młodość, no nie? To znaczy, jak tego nie zrobisz, kiedy jesteś młody, no to kiedy tego posmakujesz, co? Powrót do domu był *taaki* depresyjny, ta pogoda, to szare niebo, stary brudny Londyn i te wszystkie nieszczęśliwe, nijakie twarze. Brrrr.

No ale przecież w końcu trzeba było wrócić do normalnego życia. Najpierw trochę pra-

cową dorywczo, zamieszkała z powrotem z rodzicami, sprzedała swoje mieszkanie, zarobiła na nim fortunę, *krocie*, kupiła sobie cudowne, małe mieszkanie w Brixton. Bo oczywiście teraz Brixton jest fantastyczne, mnóstwo naprawdę kapitalnych barów i knajpek — jest autentycznie trendy. Jej nowe mieszkanie już podskoczyło na wartości o jakieś trzydzieści procent, zaledwie przez osiemnaście miesięcy.

Więęęę — pracowała na zlecenie dla takiej naprawdę super firmy przy Eastcastle Street, to tu niedaleko, no i ona, i szefowa, naprawdę kapitalna babka imieniem Marty — ma czterdzieści trzy, ale wygląda najwyżej na trzydzieści — no więc między nimi autentycznie *zaiskrzyło*. To było aż dziwne, jakby się po prostu znały od zawsze. No i pewnego dnia Marty się tak po prostu odwróciła do niej i mówi: „Zwolniłam szefa od wykrojów. Praca jest twoja”. I jest taaaak rewelacyjnie. Mnóstwo forsy, mnóstwo ciuchów za darmo, projektów, ale takich naprawdę świetnych rzeczy — nie może sobie teraz wyobrazić, jak mogła taaaak długo siedzieć w tej kremlinie u Dorothy Day! A teraz jest w ogóle pierwszorzędnie, no bo zeszła do rozmiaru 12, więc wszystkie te próbne fasony na nią pasują — nawet czasami używają jej w firmie jako modelki. No więc ma tę fantastyczną robotę, i kapitalne mieszkanie, i tę świetną figurę, i wtedy Marty przedstawia ją swojemu kuzynowi Drew. A Drew jest taaaaki boski — niebieskie, niebieskie oczy, czarne, czarne włosy, nadziany — no i dosłownie zmiata ją z nóg. Restauracje, wakacje — och, byli już na Majorce, i na Mauritiusie, i nawet w Zanzibarze, a chodzą ze sobą dopiero od dziesięciu miesięcy. On jest *cudowny*. I życie Carly jest *idealne*. Po prostu idealne. Jak jedna, wielka, pierdolona bajka.

Ned tylko potakiwał i kwaśno się uśmiechał, prawie sparaliżowany nudą i rozgoryczeniem.

— Świetnie — podsumował, zaciskając zęby w uśmiechu tak mocno, że o mało nie leciały iskry. — To naprawdę świetnie. Tak się cieszę, że ci się wszystko tak dobrze ułożyło.

— O tak — zgodziła się Carly. — Naprawdę miałam szczęście. Życie jest teraz takie *wspaniale*. A co u ciebie?

— No wiesz, właściwie dopiero co wróciłem.

— Ale co robisz? Pracujesz gdzieś?

— Tak, tak... To znaczy w pewnym sensie. Robię różne rzeczy dla taty.

— Och — powiedziała Carly z miną stewardesy zapowiadającej dużą turbulencję. — To dobrze. Dobrze.

— No, wcale nie, prawdę mówiąc. Mam zamiar coś z tym zrobić...

I kiedy tylko to powiedział, mocno zacisnął szczękę, bo choć co prawda chodził mu po głowie taki pomysł, odkąd przyjechał, to dopiero teraz poczuł, że jest absolutnie, na sto procent zdecydowany. Tak. Praca. Koniecznie. Znajdzie sobie pracę. I to dobrą. Z wysoką pensją. O tak.

— Mieszkasz ciągle w domu?

— Uhm... Tak.

— Ale to tylko tak tymczasowo... czy...?

— O tak — rzucił szybko. — Tak, będę się, no... rozglądał za czymś, jak tylko wiesz, wszystko sobie poukładam...

Carly skinęła głową i zapadło milczenie. Ned kontemplował pustą butelkę po swoim piwie i stwierdził, że to chyba pierwsza cisza pomiędzy nimi, odkąd się w ogóle znają. I wiedział, dlaczego tak jest. Bo teraz dzieliła ich przepaść, przepaść, która nigdy nie miała szansy zaistnieć, kiedy wciąż byli razem. Carly poszła do przodu. I do przodu. I jeszcze do przodu. Oddaliła się od niego tak bardzo, że teraz była zaledwie kropką na horyzoncie.

Przełknął głośno i poczuł się smutny, przestraszony i bardzo samotny. Bo Carly nie była jedyną osobą, która w ciągu tych minionych trzech lat zostawiła go z tyłu. Podobnie było z resztą jego przyjaciół. Zaczęli mieszkać ze sobą, brać kredyty — niektórzy z nich nawet już zatrudniali ludzi do pracy. W pewien sposób to właśnie było najdziwaczniejsze — albo przynajmniej najmniej oczekiwane. Jego znajomi mieli własnych *pracowników*, zatrudniali ich i zwalniali, brali udział w zebraniach zarządów, kierowali oddziałami, mieli na co narzekać podczas nasiadówek w pubie po pracy. I to wszystko stało się tak szybko. Wydawało mu się, że nie było go tylko przez jakieś pięć minut, ale przez te pięć minut Mac stracił czterdzieści procent włosów, Sarah rzuciła Colina, przespała się z Makiem i zamieszkała z Johnem — kimkolwiek, do diabła, ten John był. Mike został menedżerem, Rob oświadczył się Susan, a Michelle wyszła za mąż w sześć tygodni od poznania kolesia imieniem Tizer, miała dwa poronienia, rozwiodła się dwa lata po ślubie i postarzała o jakieś dziesięć lat.

A Carly — Carly się całkowicie przeistoczyła w tę wytworną, trochę dziwną *blondynkę*, której on nie miał nic do powiedzenia.

— Napijesz się jeszcze?

— Mhm — potaknęła i dokończyła resztki swojego mojito.

— Dzięki.

Kiedy Ned wrócił z drinkami, Carly rozmawiała przez telefon. Jej komórka miała futerał w deseń lamparciej skóry. Ned się otrząsnął.

— Tak, koteczku — mówiła Carly. — Tak. Nie. Nie jestem pewna, o której dotrę. Aha. Super. Nie, świetnie, północ, świetnie — zaśmiała się — nawet bardziej niż świetnie. Naprawdę świetnie. Super... absolutnie, fantastycznie świetnie. Ach, ty! Dobra. Tak. Też cię Kocham — dokończyła i wzdychając, wyłączyła telefon. Kiedy spojrzała na Neda, wciąż jeszcze się uśmiechała. — No więc — zwróciła się do niego, podnosząc swojego drinka i stukając nim w jego butelkę z piwem — za życie i za przeznaczenie, no i za nowe perspektywy. Zdrówko!

Stuknęli się.

— To dziwne — mówiła dalej — pomyśl tylko, gdybyś w tamtym barze nie poznał wtedy Moniki, to nigdy byś nie wyjechał, a ja bym nigdy nie zostawiła Dorothy Day i nie pojechała w podróż, nie spotkała Marty, nie przeprowadziła się do Brixton, nie poznała Drew, no i wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Śmieszny jest ten świat, nie?

Wyglądała na absolutnie uradowaną faktem, jakież to ten świat jest śmieszny, a Ned tylko znowu przełknął ślinę. Gdybym nigdy nie spotkał Moniki w tamtym barze, myślał, nigdy bym nie wylądował w Sydney i nie zamieszkał z najbardziej nieszczęśliwą kobietą na świecie, i nie wrócił do domu trzy lata później, by stwierdzić, że wszyscy moi znajomi mnie opuścili, a moja ukochana była dziewczyna i najlepsza przyjaciółka jest blondynką, laseczką z komórką w futerale z lamparciej skóry i chłopakiem imieniem Drew oraz upodobaniem do modnych, południowoamerykańskich drinków...

Gdzie jest prawdziwa Carly? — zastanawiał się. Co się stało z tą okrągłą dziewczyną z policzkami jak jabłuszka, która robiła makijaż tylko na imprezy i nigdy nie goliła sobie pach zimą?

Przetrwali wspólny wieczór dzięki starej tradycji — czyli upili się. Ned w końcu skapitulował przed Carly i też zaczął zamawiać te mojitos. Podeszły mu. Smakowały jak taka staroświecka prawdziwa lemoniada i uwalił się nimi w rekordowym tempie. Już po dwóch pierwszych język mu się rozwiązał i choć co prawda nie osiągnęli z Carly swojego dawnego porozumienia, to przynajmniej mieli o czym gadać — głównie o wspólnych znajomych. Ned przekazał jej wszystkie plotki, które znał, a ona przekazała mu swoje. Około dziesiątej już się wspólnie śmiali, i chociaż oczywiście nie było wcale tak jak dawniej, to Ned stwierdził, że gdyby zamknął oczy i udawał, że pije w towarzystwie kogoś zupełnie innego — na przykład jakiejś dziewczyny, z którą kiedyś chodził do szkoły i na którą niespodziewanie wpadł w auto-

busie — to musiałyby przyznać, że ma całkiem udany wieczór. Jakoś tak koło jedenastej nałożyły płaszcze, rękawiczki i wyszli na wilgotne, nocne powietrze.

— No to... — powiedział Ned, wpychając dłonie do kieszeni płaszcza.

— No to... — powiedziała Carly, zawijając chustkę jeszcze szczelniej wokół szyi.

— Idę na autobus.

— Numer 68?

— Aha. Stary, dobry numer 68. A ty?

— Ja pojedę metrem. Jest szybciej.

— Dobra. Jesteś pewna?

— Tak, tak, oczywiście... — spuściła oczy. — Umówiłam się, no... że spotkam się z Drew o północy u mnie w mieszkaniu. Nie chcę się spóźnić.

— Aha. No tak. Oczywiście.

— No to dzięki za wspaniały wieczór.

— I tobie też. Tobie też. Było naprawdę fajnie.

— Tak, tak, faktycznie. To... — Uniosła się na palcach, żeby go pocałować, taki szybki, przelotny dotyk jej policzka na jego policzku, zbyt szybki, by Ned zdążył jakkolwiek zareagować czy go odwzajemnić. — Cześć. Zadzwoń.

— Tak. Zadzwoń. Świetnie.

A potem się do niego uśmiechnęła, takim zagadkowym, nieprzeniknionym uśmieszkiem, pomachała mu ręką i odeszła. Co tak naprawdę było totalnie głupie, bo przecież metro i jego przystanek były dokładnie w tym samym kierunku. Ned czuł jednak, że byłby zażenowany, gdyby teraz zaczął iść za nią, więc zawrócił o 180 stopni i ruszył w przeciwną stronę. I kiedy tak szedł, poczuł, że dzieje się z nim coś naprawdę dziwnego. Zaczęło się jak ból brzucha, przeszło w przeszywający ból w gardle, a potem w pieczenie oczu. Łzy. Miał w oczach łzy. Mocno przełknął ślinę, starając się je cofnąć. I wtedy coś usłyszał.

— Ned!

Odwrócił się. Carly stała na rogu Great Portland Street z dłońmi złożonymi przy ustach.

— Co?!

— Ja... Ja...

A potem opuściła dłonie i wepchnęła je do kieszeni.

— Nic! — krzyknęła. — Tylko... Witaj w domu. Ned wzruszył ramionami i odkrzyknął:

— Dzięki.

I wtedy Carly znów się odwróciła i zniknęła za rogiem. Kiedy wrócił do domu, czekała na niego kolejna paczka od Moniki.

Nawet sobie nie zadał trudu, żeby ją otworzyć.

www.lekarstwonaporamiemności.com

— Halo, czy zastałem Millie?

— Przy telefonie.

— Millie. Tu Tony. Brzmisz strasznie. Jak się czujesz?

— Potwornie.

— Tak? A co się dzieje?

— Och, to tylko moja ciąża weszła w fazę naprawdę uroczych porannych nudności.

— Biedactwo — powiedział Tony. — Wymiotujesz?

— Nie. Jeszcze nie. Tylko cały czas tak się czuję, jakbym za chwilę miała to zrobić.

Przeszłam od obżerania się jak bulimiczny koń do stanu, że nic nie mogę wziąć do ust. Jak tylko cokolwiek przełknę, robi mi się jeszcze gorzej.

— Cholera. A nie możesz czegoś na to zażyć? Jakiegoś lekarstwa czy coś?

— Niestety nie. Próbowano już tego z taliodomidem, ale nie wyszło. Nie, to prostu kolejny cudowny aspekt ciąży, z którego człowiek nie zdaje sobie sprawy do chwili, kiedy jest za późno. To znaczy, wiesz, że będzie trzeba przestać pić, palić i brać jakiegokolwiek rozrywkowe drugi. Tyle że nikt ci nie mówi o tych wszystkich innych rzeczach, których nagle nie wolno ci tknąć. Jak na przykład majonez, na Boga. I ser pleśniowy, i jajka na miękko, i sushi, i krwiste mięso, i do tego *owoce morza*. Owoce morza, do cholery. Wyobrażasz to sobie, Tony? *Siedem miesięcy bez krewetek*? Tragedia. I jeszcze ta cała zabawa z lekarstwami. Żadnego nurofenu ani paracetamolu, ani tabletek na zgagę czy wzdęcia, nic na przeziębienie ani na kaszel, nie wolno mi wziąć nawet cholernej tabletki na gardło do ssania. Tylko zaciskać zęby i mężnie wszystko znosić.

— O zesz kurde — jęknął Tony, który łykał od razu pół opakowania tabletek przeciwbólowych na samą myśl o jakimś niedomaganiu. — To nie ma w ogóle *nic*, co możesz zażywać?

— Ano nie. I wiesz co, to czysta ironia. Bo zadajemy sobie tyle trudu, żeby mieć pewność, że nasze jeszcze nie narodzone dzieci nie zostaną skażone niczym choćby odrobinę chemicznym czy niezdrowym, i usiłujemy sprowadzić je na ten świat w idealnym i nienaruszonym

stanie, by mogły przez resztę życia wpychać w siebie tyle trujących substancji, ile się zmieści. Nie wiem, po co tyle zachodu. Może powinniśmy je przyzwyczajać do tego wszystkiego od samego początku.

Tony zaśmiał się nerwowo.

— Boże, tylko posłuchaj, co ja wygaduję — powiedziała. — Jakbym miała nie po kolei. Pewnie zaraz doniesiesz na mnie do opieki społecznej.

— Co to to nie, ale fakt, że nie brzmisz zbyt radośnie.

— Przepraszam — westchnęła. — Tylko jestem już taka zmęczona i taka chora, i tak mam serdecznie dosyć. Do tego te pieprzone huśtawki nastrojów, to mnie dobija.

— Czemu nie pójdziesz do domu, Millie, nie prześpisz się?

— Hmm. Sama nie wiem. Za pół godziny mam wykład. Miałam zamiar jakoś przez niego przejść i potem zobaczę, jak się będę czuła.

— Może Sean mógłby po ciebie wpaść i cię odwiedzić? — spróbował Tony ostrożnie i jak mu się wydawało, w miarę sprytnie.

— Ups — powiedziała Millie. — A nie wiesz czym? Posadzi mnie z tyłu tego swojego roweru? W każdym razie on jest i tak ostatnią osobą, którą chciałbym w tej chwili oglądać.

— Naprawdę? To nie wyjaśniliście sobie wszystkiego w sobotę?

— Hmm, właściwie nie. Nie do końca. Przez chwilę rano był cały słodki, skruszony i pobiegł dla mnie do sklepu, robił herbatkę, a ja grałam królową lodu...

— A przeprosił cię?

— Tak jakby. Powiedział, że jest samolubnym skurwysynem, że na mnie nie zasługuje, zaczął się razem ze mną zastanawiać nad imieniem dla dziecka, gadać o ślubie, no wiesz, był cały taki *hojny*. Ale wystarczyło na niego popatrzeć, żeby było jasne, że jest mu naprawdę ciężko wykrzesać z siebie jakikolwiek entuzjazm, że tylko odgrywa rolę szczęśliwego przyszłego tatusia. A potem w poniedziałek, kiedy zaczęłam się tak źle czuć i nie chciałam z nim iść do kina, znowu się zrobił paskudny. Wiesz, że on wczoraj rano pojechał do swojego mieszkania, żeby sobie zrobić pranie. Zwykle wraca wtedy tego samego dnia wieczorem, ale jak przyszłam do domu, to go jeszcze nie było, więc do niego zadzwoniłam. A on na to: „A, przepraszam, nie przypuszczałem, że się mnie dzisiaj spodziewasz”. Powiedział, że zaczął pisać i naprawdę go to wciągnęło. I to w porządku, wiesz, przecież rozumiem, że to jego praca. Tyle że akurat teraz tak się w nią zaangażował i tak ode mnie oddalił, i wiesz, w sumie naprawdę o nas zapomniał. O mnie. O wszystkim. No i... grrrrlll.

— Co? Co ci jest?

— Grrll. Przepraszam. Tylko kolejna rozkoszna fala mdłości. Słuchaj, przykro mi. Nie miałam zamiaru tak cię tym wszystkim zanudzać. To znaczy, zdaje się, że ostatnio nic innego nie robię, tylko ci marudzę do ucha. A wiem przecież, że on jest twoim bratem. Pewnie stawiam cię w strasznie niezręcznej sytuacji...

— Nie, nie, nie — zaprzeczył Tony. — Wcale nie.

— ... tyle że wiesz, nie mam nikogo innego, z kim mogłabym pogadać. Hormony mi wariują, Sean jest potworny, a ja naprawdę potrzebuję się komuś wyżalić.

— W porządku, Millie, serio. Naprawdę mi to nie przeszkadza.

Millie westchnęła głęboko.

— W każdym razie i tak muszę zmykać. Przygotować się do tego wykładu.

— A, no dobra — powiedział Tony, który dopiero zaczął się wkręcać w nastrój obsmarowywania własnego brata. — Chciałem tylko sprawdzić, co u ciebie, czy wszystko w porządku.

— Dzięki, Tony. Jesteś prawdziwym skarbem. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

— Zawsze do usług. Cokolwiek by ci było trzeba. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

— Oczywiście, Tony.

— No to pa.

— Pa, Tony, ściskam cię mocno.

— Ja ciebie też.

Tony odłożył telefon i uśmiechnął się, czując wewnątrz miłe ciepło. A potem odwrócił się do swojego komputera, połączył się z Internetem i wystukał w okienku wyszukiwarki hasło „porady na poranne nudności”. Znalazł stronę zatytułowaną www.lekarstwonaporannemdłości i nie po raz pierwszy pomyślał sobie, jak niesamowitą sprawą jest Internet. Przeleciał wzrokiem zamieszczone na stronie porady. Dużo drzemać. Chłodne pomieszczenia. Nie używać ostrych przypraw. Bla, bla, bla. Ale potem znalazł wejście na forum dyskusyjne, gdzie były wpisy mnóstwa kobiet o imionach takich jak Kimberley czy Teena, z takich miejsc jak Minocqua w stanie Wisconsin i Columbus w Ohio.

Jestem w 9 tygodniu — pisała Ilena z Berkeley w Kalifornii — i cierpię na poranne nudności codziennie i to przez cały dzień. W zeszłym tygodniu mój mąż poszedł do sklepu ze zdrową żywnością i polecono mu Homeopatyczne Kropelki Newtona na Poranne Mdłości. Biorę 6 kropli na język, kiedy jest już bardzo źle, i po jakiejś półgodzinie objawy znikają. Tyle że

trochę się zaniepokoiłam, kiedy przeczytałam na ulotce, że krople zawierają alkohol 15%. Więc będę to brała tylko w przypadku absolutnej konieczności.

No nie, błagam, myślał Tony. Sześć kropli. Sześć kropli z piętnastoprocentowym alkoholem. Dobry Boże, więcej by się wchłonęło alkoholu, jakby tylko włożyć język do szklanki z piwa z sokiem. Nic dziwnego, że w dzisiejszych czasach rodzicielstwo jest takie stresujące, skoro ludzie dostają spazmów na samą myśl o mikroskopijnej kropli alkoholu. Mógł też sobie od razu wyobrazić tę całą Ilenę z Berkeley. Kupa neurotycznej skóry i kości, wszystko poskładane i wyprasowane, mężowi nie wolno używać brzydkich wyrazów, buty wystawione za drzwi, seks tylko przy zgaszonym świetle. Jejku. Mimo ryzyka, jakie stanowiły dla dobra nie narodzonego dziecka Millie, zapisał sobie w notesie dane tych Homeopatycznych Kropli Newtona na Poranne Mdłości i kontynuował poszukiwania kogoś mniej wrażliwego, a bardziej rozsądnego.

„Ciasteczka imbirowe” — twierdziła niejaka Jackie L. z Cherry Hill w stanie New Jersey.

„Sssij cytrynę” — radziła Tannita z Hawajów.

„Zaraz po przebudzeniu zjedz krakersa grahamka” — tak mówiła Sherri z Milwaukee.

Czytając, Tony zapisywał kolejne propozycje. Herbata imbirowa. Witamina B6. Esencjonalny olejek cytrynowy. Ocet jabłkowy z miodem. Świeży imbir. Skórki od cytryny.

A potem, o pierwszej po południu, zamiast jak zwykle posłać Anne-Marie do pobliskich delikatesów z kanapkami po bagietkę z bekonem i jajkiem na twardo, poszedł osobiście do najbliższego sklepu ze zdrową żywnością i spędził niemal godzinę, niestrudzenie poszukując kolejnych pozycji ze swojej listy, jak potencjalny zalotnik, który musi wypełnić nieprawdopodobne zadanie, zanim będzie mu wolno ubiegać się o rękę pięknej średniowiecznej królowy.

DIATRYBA SEANA

Sean sprawdził czas na swoim laptopie: 17.35. Wyciągnął ręce za głowę i poczuł, jak wszystkie mięśnie śpiewają z bólu. Siedział zgarbiony przy komputerze od jedenastej rano. Nie zrobił sobie nawet przerwy na lunch i tylko dwa razy wstał z miejsca, żeby się wysuszać. Wrócił do początku pliku i uśmiechnął się do siebie. Trzydzieści pięć stron tekstu. Trzydzieści pięć ślicznych, tłusciutkich stroniczek. Kliknął na „Narzędzia” i wybrał opcję „Statystyka wyrazów”:

STATYSTYKA:

Strony 35

Wyrazy 8485

Znaki (bez spacji) 38 401

Znaki (ze spacjami) 46 554

Akapity 153

Wiersze 680

Jeden z najpiękniejszych zestawów statystycznych, jakie Sean miał kiedykolwiek przed oczyma. W końcu. Zaskoczyło. Przedarł się przez ten kamienny mur, w który walił głową przez ostatnie trzy miesiące. Zdania nareszcie zaczęły wypływać z jego głowy na klawiaturę komputera. I to dobre zdania. Wyglądało na to, że gdzieś to prowadzi.

Dotarł do swojego mieszkania wczoraj w porze lunchu, niby z zamiarem zrobienia prania, ale tak naprawdę chciał po prostu dać sobie trochę wolnego od Millie. W sobotę posłuchał rady Tony'ego, starał się być najbardziej pozytywny na świecie, uspokajał Millie, skakał koło niej. Ale potem w niedzielę wieczorem oglądali w telewizji film, w którym było mnóstwo dzieciaków. I kiedy te dzieciaki ganiały po ekranie, między nim i Millie zapadła dziwna, niezręczna cisza. Oczywiście było, co oboje myślą: to już wkrótce, będziemy jak ci ludzie w telewizji, z nieznośnymi bachorami, bałaganem, zabawkami, sprzeczkami. Położył się potem do łóżka i przez całą noc właściwie nie zmrużył oka, a wszelkie jego dobre intencje co do poddania się rodzicielskim instynktom spaliły na panewce. Po prostu nie potrafi tego zrobić, myślał, zwyczajnie nie potrafi.

W poniedziałek wieczorem nieśmiało zaproponował wypad do kina. Myślał, że może Millie chętnie zobaczy *Dziennik Bridget Jones*, uważał, że jest w tym momencie troskliwy i wcale nie samolubny. Ale zareagowała tak, jakby jej zaproponował wieczór w palarni cracku.

Tak więc stwierdził, że potrzebuje trochę czasu dla siebie. Tego ranka zapakował swoją szczoteczkę do zębów i przybory do golenia i przyjechał do domu.

Kiedy wszedł, akurat świeciło słońce, więc wziął ze sobą blok do notowania na balkon, zupełnie jak wtedy, kiedy zaczynał pisać *Półwę mężczyzny*. Miał zamiar zrobić sobie tylko kilka ćwiczeń dla rozgrzewki, trochę się pobawić pomysłami, zrobić kilka notatek, po prostu *cokolwiek*. I nagle to do niego przyszło. Całkiem nowa historia. Nowe postaci. Nowa akcja. Wszystko. Spędził tyle tygodni, pocąc się i męcząc nad tym samym, starym pomysłem, nad martwym materiałem, a ponieważ jego pierwsza książka kończyła się mniej więcej tak samo, jak się zaczynała, nie przyszło mu w ogóle do głowy, żeby zarzucić pierwotny pomysł. *Półowa mężczyzny* była całkowitą fikcją. Trzymający w napięciu thriller o ludziach i wydarzeniach, które powstały wyłącznie w jego wyobraźni. Ta druga książka, teraz zdecydował, będzie zupełnie inna. To będzie powieść autobiograficzna.

Będzie o facecie, którego dziewczyna zachodzi w ciążę niedługo po tym, jak się poznają, i nalega, żeby urodzić dziecko, choć on wcale jeszcze nie jest na to gotowy. To będzie pean ku czci mężczyzn na całym świecie, zniewolonych przez kobietą możliwość rozmnażania się, która daje kobietom moc podejmowania najważniejszych decyzji tego świata. Kobiety bez ustanku zrządzą, że to mężczyźni podejmują decyzje do wszczynania wojen, które prowadzą do śmierci i zniszczenia, ale kto najpierw zdecydował, by tych strzelających z uzi skurwysynów w ogóle wydać na świat, co? Oczywiście: kobiety. Jedna jednostronna decyzja prowadzi nieodwołalnie do następnej. Oczywiście na świecie wciąż istnieją kobiety, które nie mają wyjścia, które nie mogą przerwać ciąży ani jej uniknąć, które nie mają innego wyboru, tylko się rozmnażać. Ale kobiety Zachodu, dokładnie te same kobiety, które najbardziej narzekają na męską opresję, na brak równych praw, są równocześnie tymi, które najmocniej bronią swego własnego prawa do decyzji wydania na świat i wprowadzania do związku dwojga dorosłych ludzi — dziecka. Mężczyźnie pozostaje jedynie decyzja co do tego, czy przy tej kobiecie trwać, czy nie. Wspaniale. Facet może zostać w związku, w którym ktoś inny decyduje za niego, jak jego życie będzie wyglądało przez najbliższe szesnaście lat, albo może spadać, czyli zasłużyć sobie na miano sukinsyna i przez resztę życia być torturowany myślą o własnym dziecku, które go prawie nie zna. Fantastyczny wybór.

Sean bardzo silnie wierzył w przeznaczenie. Jego podejście do życia polegało głównie na tym, żeby się zdystansować, wałnąć sobie piwko, wyluzować i zobaczyć, co się samo wykroi. Stwierdził, że jak dotąd ta jego filozofia i wiara we własny los zasadniczo się sprawdzała.

Przynosiła mu dziewczyny i doświadczenia, i przyjemności, a teraz przyniosła mu sukces, forszę i do tego prawdziwą miłość. Sean nie postrzegał mniej chwalebnych rozdziałów swego żywota jako „błędów”. Nie wierzył w błędy. Wierzył w z góry wyznaczoną ścieżkę, i jak do tej pory każdy krok na tej ścieżce uważał za słuszny, bo własny. Każdy zły związek, każda gówniana praca — to wszystko było w porządku, bo przecież *on* je sam wybrał.

Ale teraz — ta afera z dzieckiem? Tu ktoś inny wpięprzał mu się w życiową drogę, ktoś się wtrącał w naturalną kolej rzeczy i to nie było w porządku. Millie odebrała mu jego prawo, by mógł pozwolić swojemu życiu rozwijać się spokojnie i bezstresowo i być odpowiedzialnym jedynie za siebie samego. Nigdy jeszcze nie czuł się taki bezsilny, nie czuł takiego braku kontroli nad własnym życiem.

Tak więc miał zamiar odzyskać trochę tej kontroli poprzez swoją książkę. Pokazać temat z męskiej perspektywy. Dzisiaj faceci muszą być tacy zgodni i ulegli. Wszystkie te zdjęcia w gazetach, pokazujące różnych sławnych mężczyzn z nosidełkami na piersiach, z którymi wyglądają jak rzewne imitacje ciężarnych kobiet. W dzisiejszych czasach oczekiwano, że mężczyzna będzie dzielił z kobietą to całe doświadczenie, chodził na zajęcia do szkoły rodzenia, czytał na ten temat książki, *współodczuwał*. Dziwne, że nie kazano współodczuwać z kobietą, kiedy miała menstruację, ani uczyć się, jak dokładnie działają te wszystkie tampony, podpaski i skrzydełka. Kobiety dawały sobie z tym radę same, a od faceta oczekiwały, żeby był cicho i starał się nie palnąć nic głupiego. Jeśli ktoś miał taką ochotę, mógł się tym oczywiście zainteresować, ale jeśli wolał tego nie robić, nikt go nie nazywał nieczułym neandertalczykiem.

I to samo ze wszystkimi innymi *dziewczyńskimi* sprawami — wibratorami, siostrami, babskimi imprezami, płakaniem przy reklamach, skomplikowanymi butami, upławami, depilacją kosmetyczną operacją biustu. Jako mężczyzna wiedziałeś, że te rzeczy istnieją i od czasu do czasu rzutują na twoje życie, czy to pozytywnie, czy negatywnie. Jednak nikt nie oczekiwał, że będziesz w nich *uczestniczył*. Żadna kobieta nie ma pretensji, jeśli facet nie wie, jak obsługiwać jej wibrator albo nie trzyma jej za rękę podczas depilacji woskiem linii bikini. Ale ciąża i poród... oczekuje się, że będziesz brał w tym udział, na każdym kroku będziesz rozumiał, pocieszał, współczuł — *uczestniczył*.

Mężczyznom z pokolenia jego ojca było łatwo. Trochę rycerskiego dźwignia zakupów i podnoszenia cięższych rzeczy, kiedy żona była w ciąży, i kilka kufli piwa w pubie z męskimi członkami rodziny, kiedy już urodziła. Facet przychodził na oddział noworodków nagrany piwem i cuchnący dymem z papierosów i wręczano mu różowiotkłego bobaska, a nie coś upapra-

nego żółtą mazią i kawałkami łożyska. A potem jego życie wracało do normy.

„Jesteśmy w ciąży” — mówią dziś nowocześni mężczyźni. I w tym tkwi cały problem. Oni, do cholery, wcale nie są w ciąży. Tylko ich partnerki. Ciąża jest czymś, co wydarza się kobietom i tylko kobietom, i wraz z całym tym fizycznym trudem przynosi najbardziej niesamowite doświadczenie, którego może zaznać ludzka istota, czyli cud dawania życia i noszenia go we własnym ciele, tworzenia nieporównywalnej z niczym więzi z inną ludzką istotą. Coś, czego mężczyźni nigdy nie będą w stanie pojąć, choćby chodzili na nie wiadomo ile zajęć szkoły rodzenia. I to kobiety posiadają monopol na całe to doświadczenie — one podejmują decyzje, one uczestniczą w tym cudzie, one tworzą tę więź. Mężczyźni mogą być co najwyżej żalonymi podglądaczami, trzymającymi je za rękę i masującymi im plecy. Cały ich prawdziwy udział w cudzie życia sprowadza się do szczęśliwego odpalenia jednego, zdeterminowanego plemnika.

Dopiero kiedy dziecko jest narodzone, wykarmione i chodzi, ojciec tak naprawdę może zacząć dzielić z matką to doświadczenie na równych prawach. W pewnej chwili rozwoju dziecka ojciec powinien zacząć mieć na nie wpływ, i w tym momencie Sean mógłby być nawet gotów, by zmienić styl swojego życia. Ale w tej chwili to była ciąża Millie. To w jej ciele zagnieździł się obcy, którego Sean nigdy nie wyrażał ochoty poznać i który psuł im cały związek. Millie dokonała wyboru, by iść tą ścieżką — to jej decyzja. I jakkolwiek Sean chętnie mógł do woli serwować masażę stóp i pleców oraz spaghetti po bolońsku, nie był przygotowany, by pozwolić na to, żeby stan Millie wziął górę nad jego własnym istnieniem.

I ta książka — pisanie tej książki — przynosiło mu taką ulgę.

Świetnie było wrócić do domu, siedzieć sobie przy własnym stole, patrzeć przez swoje okno i pisać o *swoich* uczuciach. Znowu się czuł jak mężczyzna — a nawet lepiej, czuł się znowu jak *pisarz*.

Podniósł się, przeciągnął, stając na palcach, pomachał rozłożonymi ramionami. Podkreślił głośność składanki Café del Mar, której słuchał, i wyszedł na chwilę postać na balkonie. Niebo miało intensywnie turkusowy kolor i nie było na nim dosłownie ani jednej chmurki. Powietrze było wciąż ostre i chłodne, ale na czole i policzkach czuł już pierwsze, nieśmiałe jeszcze powiewy wiosny. Gdzieś w drodze było już lato. Sean je wyraźnie wyczuwał.

Spojrzał na swoje miasto, leżące w dole i przez kilka sekund cieszył się tym radosnym oczekiwaniem, które zwykle wzbudzała w nim jego ulubiona pora roku. Wyobraził sobie leżaki w Green Park, kawę pitą przy stolikach wystawionych na chodniki, taksówki z otwartymi

oknami, zimne piwo w ogródkach piwnych i grę w softball w ogrodzie rodziców. Jednak po chwili poczuł, jak uchodzi z niego powietrze, bo uświadomił sobie fatalny błąd w tych marzeniach: we wszystkich brał udział on i Millie — jako para. Mieli być młodzi i zakochani w sobie, w Londynie, latem. Ale dla niego i Millie nie nadejdzie beztrioskie lato miłości. Będzie to lato szkoły rodzenia i wizyt w szpitalu, bez seksu, bez picia. Spędzi swoje pierwsze lato z kobietą swoich snów, czekając z przerażeniem na to, że jego życie zmieni się w jednej chwili. To będzie lato Millie i jej ciąży.

Kurwa.

Chciał siedzieć na patio w mieszkaniu Millie w świetle księżycy i pić piwo o północy, wpatrując się razem z nią w gwiazdy. Chciał z nią wypalić skręta na swoim balkonie, mając na sobie koszulkę z krótkimi rękawami i słuchając bardzo głośnej muzyki, patrzeć na ich wspaniałe, niesamowite miasto, które emanuje obietnicą fantastycznej zabawy, miejsc, gdzie można dobrze wypić i zjeść, ludzi, których można poznać, narkotyków, które można sobie zażyć. Chciał tego wszystkiego, tej całej magii „lata w mieście”. I chciał przeżyć to z Millie.

Dziecko miało się urodzić w grudniu. Do następnego lata dziecko będzie miało sześć, siedem miesięcy, a oni będą rodzicami. Będą uwiązani. Zniknie ich wolność, zostanie im wydarto i nie będzie im zwrócona do czasu, aż będą w średnim wieku.

Jezu.

To takie niesprawiedliwe.

Sean aż kopnął ze złości w ścianę balkonu.

Pierdolone życie.

Pierdolone dzieci.

Pierdolone prezerwatywy.

Pierdolona Millie.

Pierdolony świat.

Sean spojrzął na coś leżącego pod jego stopami, co świeciło w słońcu. W pierwszej chwili wyglądało jak płatek złota. Ale po chwili dostrzegł, że to kawałek aluminiowej folii, którą była okryta szyjka butelki szampana. Ta butelka Louisa Röederera, którą otworzyli tego wieczoru, gdy oświadczył się Millie. Wziął ze smutkiem sreberko, wyprostował palcami zgniecenia i pomyślał o tamtej nocy, która wydarzyła się zaledwie dwa tygodnie temu. Wtedy Millie była całkiem inną osobą — ekscentryczną, pełną ciepła, emanującą energią, nieprawdopodobną, nieprzewidywalną, wolną kobietą. Rozśmieszała go, podniecała, czuł się przy niej zdener-

wowany, jakby była takim przepięknym, różnokolorowym latawcem, który on trzymał tylko na cieniutkiej linie. Sean był nią oczarowany i przerażony, że w każdej chwili może mu po prostu odfrunąć, gdyby tylko na moment popuścił tę linę.

Była dla niego wtedy wszystkim, absolutnie wszystkim. A teraz... no cóż, teraz była tylko w ciąży.

Sean zwinął kawałek złotego papierka w kulkę, położył ją na balustradzie balkonu i ze smutkiem pstryknął w nią palcami. Poszybowała w dół.

A potem wrócił do środka i napisał cały rozdział o tym, jak to jest mieć zmarnowane lato, bo twoja dziewczyna jest w ciąży.

ZACZAROWANE KRÓLESTWO MILLIE

Gdy Tony wysiadł z taksówki na Gloucester Terrace, było jasne popołudnie i promienie słoneczne odbijały się od zdobionych stiukami domów, stojących wzdłuż ulicy. Chociaż Tony tak wiele razy przejeżdżał obok tych gigantycznych, imponujących budowli, jakoś nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że ludzie w nich normalnie *mieszkają*.

Dom Millie był jednym z najbardziej wykwintnych — świeżo malowany, miał błyszczące klamki i kołatki u drzwi, w oknach wisiały pięknie upięte zasłony. Tony poczuł się nagle strasznie prowincjonalny wobec takiego przepychu i wyrafinowania. Spojrzał na swoje buty i pożałował, że nie są to ręcznie robione włoskie pantofle z cielęcej skóry, tylko z lekka sterane zwyczajne półbuty za 69, 99 ze sklepu Jones the Bootmaker.

Millie otworzyła drzwi. Miała na sobie luźną, bawełnianą, haftowaną sukienkę z rozcięciem przy szyi, która przypomniała Tony'emu podobną, noszoną przez jego mamę w latach siedemdziesiątych. Włosy miała luźne i puszyste, jak wtedy, kiedy pierwszy raz ją zobaczył, a na nogach sandały z cieniutkich paseczków, odsłaniające małe, smagłe stopy z lekko poodpyskiwanym lakierem na paznokciach i początkiem haluksa.

— Tony — powiedziała. — Co ty tu robisz?

W jej głosie brzmiała nutka skrępowania i Tony się lekko wzdrygnął. Cholera, wszystko zepsuł. Za bardzo się narzucał. Zbyt intensywnie. Nie powinien był przychodzić.

— Eee... bo ja... Przyniosłem ci kilka rzeczy. — Wręczył jej dużą torbę od Hollanda & Barretta i przyjął postawę człowieka, który ma zamiar natychmiast odejść.

— Rzeczy? — spytała Millie, biorąc od niego torbę i zerkając do środka. — Ale jakie

rzeczy?

— Takie na poranne mdłości — wyciągnął z torby paczkę imbirowych herbatników. — Wiesz; imbirowe przekąski. Bo imbir podobno naprawdę pomaga, tak mówią. No i cytryna... — Tym razem wyciągnął wachlarzyk cytrynowych lizaków. — Albo możesz też stosować ten olejek, wystarczy kapnąć na chusteczkę i sobie wachać. A, i jest gdzieś jeszcze taki homeopatyczny środek — grzebał w torbie, szukając maleńkiej buteleczki — tyle, że z tym musisz zdaje się bardzo uważać, zawiera piętnastoprocentowy alkohol. — Uśmiechnął się porozumiewawczo i został wynagrodzony niewielkim rozbawionym grymasem na jej zmęczonej twarzy. — To znaczy, nie mam pojęcia, na ile to w ogóle jest skuteczne, ale tak sobie pomyślałem, że może warto spróbować. No wiesz...

Włożył ręce do kieszeni i rzucił jej kolejny szeroki uśmiech.

Spojrzała na niego, a potem na torbę remediów.

— No, w każdym razie — powiedział — wygląda na to, że jesteś wykończona. To ja leczę. Odpoczywaj sobie...

— Nie — rzuciła szybko Millie, zakładając za ucho kosmyk niesfornych włosów. — Nie idź. To znaczy, zadałeś sobie tyle trudu. Przynajmniej mogę ci zaproponować filiżankę kawy. Albo może... — wyjęła z torby jedną z paczuszek — miły kubek organicznej cytrynowo-imbirowej herbatki. — W końcu ona też się uśmiechnęła. — Oczywiście, jeśli masz czas.

Tony spojrzał na zegarek, potem na nią. Wyglądała już na spokojniejszą. Najwyraźniej się zrehabilitował.

— E... pewnie... — powiedział. — Jeszcze w tej chwili nie muszę wracać.

— Fajnie. — Millie otworzyła przed nim szeroko drzwi.

Kiedy przestąpił próg, serce mu łomotało. Czuł się tak, jakby mu zezwolono na wejście do jakiegoś zaczarowanego królestwa.

— Przepraszam — powiedziała Millie, wprowadzając go do mieszkania. — Trochę tu bałaganu. Zawracam sobie głowę sprzątaniami, tylko kiedy spodziewam się gości.

Tony z niemym podziwem rozglądał się po ani trochę nie zabałaganionym wnętrzu. Bardzo wysokie sufity, okna sięgające od sufitu do samej podłogi, z malowanymi okiennicami. Ściany nie wyglądały wcale jak normalne ściany — tylko jakby były przeniesione z jakiegoś antycznego włoskiego pałacu. Cały pokój przypominał skarbiec pełen pięknych przedmiotów. Żyrandole z kolorowego kryształu, zabytkowe francuskie meble, drewniane podłogi, jakiś haftowany jedwabny szal, wiktoriańskie lampy z frędzlami, wykwinty aksamitny *szezlong* w ko-

lorze malinowym, afgańskie dywaniki, abstrakcyjne malarstwo, stare zdjęcia w kolorze sepii, brązowy zamszowy puf Millie przemieszała razem przedmioty, sztukę i meble z różnych epok i kontynentów we wszystkich możliwych odcieniach różu, brązu, złota, beżu i grafitu. Ale wszystko razem cudownie do siebie pasowało, bo każdy szczegół w jej mieszkaniu został dobrany z tym, czego Tony, jak sobie nagle i przytłaczająco uświadomił, nie posiadał — a mianowicie ze smakiem.

— A to moi chłopcy — mówiła właśnie Millie, wskazując cztery koty artystycznie udrapowane na aksamitnej kanapie, dopełniające wnętrze futerkami w kolorze kremowym, szarym i szampańskim. Nawet koty były dobrane ze smakiem.

— To jest Dorian, ponieważ jest szary*. To Eric — bo jest kremowy. No wiesz, zespół Cream — Eric Clapton — kapujesz? To Barry, bo jest biały**. A ten to Brando, bo jest wielkim, tłustym, przystojnym sukinsynem. To mój ulubieniec. A może ja jestem jego ulubienicą. Tego nie jestem pewna. No, nieważne. Kawa? Herbata?

* Dorian Grey — *grey* (ang.) — szary.

** Barry White — *white* (ang.) — biały.

— Kawa, proszę — powiedział Tony. — Z mlekiem. Jedna łyżeczka cukru.

Kiedy ona robiła kawę, przechadzał się po salonie i czuł, jakby się znalazł we śnie albo został wciśnięty w strony magazynu „Elle Decoration”.

— Tu jest pięknie — zawołał do Millie, podnosząc niezwykle i całkowicie bezużyteczny kawałek turkusowego szkła i patrząc na niego pod światło.

— Nie za bardzo kobieco jak dla ciebie?

— Nie, wcale nie. To znaczy, większości tych rzeczy pewnie nigdy bym dla siebie nie wybrał. Ale to, jak ty to razem połączyłaś, jest wspaniałe.

— Dziękuję — powiedziała, stawiając dwa kubki na stoliku do kawy i zwijając się wygodnie w ogromnym fotelu. — No więc, Tony. Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

Tony troszkę się przestraszył.

— Ach — rzucił szybko — na uczelni dali mi twój adres.

— Na *uczelni*? — Wyglądała na zaniepokojoną.

— Tak — wyjąkał nerwowo. — Miałem zamiar podrzucić ci to wszystko do pracy, ale najpierw zadzwoniłem i powiedzieli mi, że jesteś na chorobowym. Ta kobieta, z którą rozmawiałem, powiedziała, że nie ma twojego domowego numeru, tylko adres.

— Jezu — westchnęła. — Nie do wiary, że tak po prostu dają bezmyślnie przez telefon adres komukolwiek...

Tony wstrzymał oddech i bardzo się starał zrobić taki naprawdę, naprawdę malutki.

— Przepraszam... — szepnął.

— Nie, nie. — Millie położyła sobie rękę na piersi i spojrzała na Tony'ego. — Nie to miałam na myśli. Ty nie jesteś kimkolwiek, oczywiście. Ale przecież mógłbyś być. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Tony pokiwał głową.

— Słuchaj Millie — powiedział. — Naprawdę mam nadzieję, że sobie nie myślisz, że ci się narzucam, czy coś takiego. Tyle że, no po prostu martwię się o ciebie. Jesteś w ciąży, mój brat zachowuje się jak kretyn, no i czuję się jakoś tak... odpowiedzialny. Wiesz, co mam na myśli, prawda? Ale jeśli wolisz, żebym się raczej odpieprzył...?

— Skąd — powiedziała Millie. — Absolutnie. Nie chcę, żebyś się odpieprzył. Potrzebuję cię. To znaczy, wiem, że to może głupio zabrzmieć, ale w tej chwili jesteś moim jedynym łącznikiem z Seanem. I jedyną szansą na zrozumienie go. I nie potrafię ci nawet powiedzieć, jak bardzo doceniam wszystko, co dla mnie robisz. Jestem teraz taka skołowana, i to strasznie uspokajające wiedzieć, że ktoś się mną przejmuje.

— To dobrze — uśmiechnął się Tony. — Jestem bardzo szczęśliwy.

Zapadła cisza. Tony popijał kawę. Millie swoją cytrynowo-imbriową herbatę.

— Czy Sean wie? — spytał w końcu Tony. — Czy wie, że my ze sobą rozmawiamy?

Millie zaprzeczyła ledwie zauważalnym ruchem głowy.

— Nie — powiedziała. — Nie wie.

Tony lekko kiwnął głową, zastanawiając się, co to może znaczyć.

— No to — odezwał się — ... tak w ogóle, jak się masz?

— Potwornie — powiedziała. — Moje życie to jakaś farsa. Nie widziałam ojca mojego dziecka od wtorku rano.

— Co?!

— Na dobre zamelinował się w Catford. Mówi, że tam mu się lepiej pracuje. — Uniosła wymownie brwi, jakby sugerując, że ma własne zdanie na temat tej wymówki.

— Chcesz powiedzieć, że go w ogóle nie widziałas?

— Ano nie.

— A dziś wieczorem go zobaczysz? Wzruszyła ramionami.

— Bardzo wątpię.

— Kurwa. Co się dzieje?

Znowu wzruszyła ramionami.

— Ja jestem w ciąży. On tworzy. Najwyraźniej obie te rzeczy nie bardzo idą ze sobą w parze.

Po raz pierwszy w życiu Tony zapragnął, by nie czekały na niego żadne obowiązki, żeby mógł po prostu wyłączyć swoją komórkę, otworzyć butelkę wina i spędzić całe popołudnie z Millie, rozmawiając o tym, jakim dupkiem jest jego brat. Jak mógł teraz wrócić do swojego biura i udawać, że interesuje go prawo autorskie, kiedy mógłby siedzieć tutaj, otulony kokonem ciepła Millie? Chciał się w nią cały wtulić, jak jeden z jej kotów. Chciał głaskać **ją po** włosach, pieścić jej stopy, przytulać ją. Boże, jakie to żalosne — ale tak właśnie czuł. Chciał, by jego życie było jednym, nie kończącym się niedzielnym popołudniem z Millie na jej kanapie. Pragnął zostać wessany do jej świata, całkowicie, i żeby zniknęło wszystko inne — jego praca, rodzina, przyjaciele. Tylko on, Millie i dziecko... Jak Sean w ogóle mógł nie chcieć być tutaj? Tego Tony zupełnie nie potrafił pojąć.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Chryste. On powinien tu być. Powinien być z tobą. No przecież, przecież nosisz jego dziecko, na Boga.

— Ja to wiem i ty to wiesz, jednak Sean, jak się wydaje, nie zna pojęcia rodzicielskiej odpowiedzialności. Już nawet mi się nie chce tym przejmować, wiesz? Jestem taka zmęczona i wolę zachować te resztki energii, które mi zostały, dla tej malutkiej kulki, o tutaj — z czułością pogłaskała się po brzuchu.

— A jak się miewa kuleczka? — spytał Tony, uśmiechając się na samą myśl o nowym życiu.

— Cóż, pominąwszy to, że mniej więcej co godzinę wypruwa ze mnie flaki i dwa razy dziennie każe mi płakać, jest absolutnie cudownie. — Rzuciła mu zmęczony uśmiech i poklepała się po brzuchu.

Znów zabrakło im tematu do rozmowy i Tony nagle zaczął się zastanawiać, czy tamta noc, kiedy z taką łatwością gadali ze sobą przez telefon do bladego świtu przypadkiem mu się tylko nie przyśniła. I wtedy przypomniał sobie drugi powód, dla którego tu przyszedł.

— A właśnie — powiedział, sięgając po swoją teczkę. — Zupełnie zapomniałem. Przyniosłem ci też zdjęcia. Mojego mieszkania. Pomyślałem, że może zechcesz rzucić okiem, zanim

zdecydujesz, czy byś wzięła tę robotę.

— Pokoje! Świetnie! — uradowała się Millie. Odstawiła herbatę i entuzjastycznie kła-
snęła w dłonie. — No to popatrzmy...

Podał jej zdjęcia i przez całą następną godzinę gadali o dekoracji wnętrz. Millie popijała
swoją cytrynowo-imbrową herbatę i opowiadała Tony'emu o swoich pomysłach: zakrzywione
linie, kolory niebieskie, czerwone punktowe oświetlenie, tematy morskie ze szczyptą letniego
domu w stylu Nowej Anglii, rzeczy pościągane z tego kapitalnego targu staroci w Rotherhithe,
wykładzina dywanowa w kolorze wodorostów, zamiast tych jego „sztucznych” laminatowych
paneli.

Niektóre pomysły wydawały mu się świetne, niektóre interesujące, a inne całkiem chy-
bione. Ale Tony'emu było wszystko jedno — siedział jak zahipnotyzowany, patrząc, jak bogato
ozdobione pierścionkami dłonie Millie pewnymi pociągnięciami szybko szkicują linie i kształ-
ty, jak spływają nad jej ogromny kubek z herbatą i unoszą go do ust, jak przesuwają się po jej
włosach. Tony'ego przeszywał miły dreszczyk, kiedy zastanawiali się wspólnie nad wielkością
jego łóżka i kolorem pościeli. Tak się zapamiętał w tym cudownym doświadczeniu dzielenia z
Millie czwartkowego popołudnia, że zupełnie zapomniał, iż jest naczelnym dyrektorem własnej
firmy i o trzeciej po południu ma być na zebraniu. Doznał najprawdziwszego szoku, kiedy za
kwadrans trzecia zadzwonił jego telefon, a po drugiej stronie linii Anne-Marie zapytała, który
pokój konferencyjny ma przygotować.

— Cholera — powiedział, odkładając telefon. — Muszę lecieć.

— To jak? — spytała Millie, zamykając swój ołówek do szkicowania. — Jak myślisz?
Dostanę tę robotę?

— Co? — Tony był zaskoczony. — Zrobisz to?

— Tak. Czemu nie. Ale nie będę mogła zacząć od razu. Chyba dopiero jak się zaczną na
uczelnii letnie wakacje.

— Wakacje... A kiedy się zaczynają?

— W czerwcu. Pokiwał głową.

— Czerwiec. Świetnie. Fantastycznie. Absolutnie.

— Super! — dodała Millie. — No to przybij! — Wyciągnęła do niego dłoń, którą entu-
zjastycznie pochwycił. Była ciepła, sucha i mocna, i mógłby jej nigdy już nie puszczać. Nigdy.

— Umowa stoi.

Millie uśmiechnęła się i otworzyła przed nim drzwi wejściowe. Uniosła się na palcach,

żeby go pocałować w policzek. Jej usta zdecydowanie dotknęły jego skóry, tak jak to zwykle robiła, ale tym razem objęła go ręką za szyję i przyciągnęła do siebie. Tony znalazł się z nosem w jej włosach i nagle stracił kontrolę nad własnymi rękoma. Ostrożnie znalazł miejsce dla lewej ręki na środku jej pleców i lekko ją uściśnął.

— I tak bardzo ci dziękuję za te wszystkie imbirowe i cytrynowe wynalazki. Faktycznie już trochę lepiej się czuję. To było naprawdę niesamowicie słodkie i kochane z twojej strony.

— Nie ma sprawy.

— Taki cudowny z ciebie facet, Tony. Jesteś pewien, że ty i twój brat jesteście spokrewnieni?

— Nie. Myślę, że istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że w szpitalu podmieniono noworodki.

Millie uśmiechnęła się, a potem zmarszczyła brwi.

— Doskonale mogłabym się obejść bez tych całych nerwów, wiesz?

— Wiem — powiedział Tony i na chwilę zamilkł, nie do końca pewny, czy powinien powiedzieć to, co myśli. — Millie — zaczął w końcu ostrożnie — cokolwiek by się stało, wiedz, że zawsze możesz od niego odejść. Są ludzie, którzy się tobą zaopiekują, pomogą ci, nie będziesz sama. Czy rozumiesz, co mówię?

Millie zmarszczyła nosek i spojrzała na niego zmrużonymi oczyma. Przesadził. Było mu jednak wszystko jedno.

— Nie myślę, żeby miało aż do tego dojść, Tony, ale tak, rozumiem, co chcesz powiedzieć. I dziękuję. — Znów uściśnęła jego ramię. — Zadzwoń — powiedziała. — Jakoś się umówimy i przyjadę obejrzeć twoje mieszkanie. Może w przyszłym tygodniu?

— W przyszłym tygodniu będzie świetnie.

Nadjeżdżała akurat taksówka, więc Tony zszedł z frontowych schodków na ulicę, żeby ją zatrzymać. Odwrócił się sprawdzić, czy Millie jeszcze stoi w drzwiach, ale te już się za nią zamykały.

Opadł na siedzenie taksówki i przez tylne okno patrzył, jak zaczarowane królestwo Millie oddala się coraz bardziej.

Cudowny facet.

Millie stwierdziła, że on jest Cudownym Facetem.

W tej chwili uważała również, że jego młodszy brat to całkowite nieporozumienie. Jak, do diabła, ten jego leniwy, skoncentrowany wyłącznie na sobie braciszek nierób położył łapy

na kobiecie z taką klasą? Co w nim w ogóle było takiego, co mogło się spodobać takiej kobiecie jak Millie? No dobra, napisał książkę, ale przecież to go wcale nie zmieniło jako osoby, a Millie nie była jakąś tam płytką panienką uganiającą się za sławami, która by się chciała załapać na popularnego autora. W jej zauroczeniu Seanem musiało być najwyraźniej coś jeszcze. Jego wygląd? Całkiem możliwe — był przystojnym kolesiem, ale dokoła byli o wiele przystojniejsi, jeśli tylko o to jej chodziło.

Może było w tym coś z instynktu macierzyńskiego? Może ta jego chłopcęca bezradność wzbudziła w niej takie uczucia? A może był to jeden z tych niewytłumaczalnych pociągów, jakie od czasu do czasu można było w życiu spotkać? Dziwaczne chemiczne zderzenie pomiędzy dwojgiem ludzi, którzy nie mają ze sobą nic wspólnego poza tym, że jakieś feromony jednego z nich reagują na feromony tej drugiej osoby akurat w danym momencie. To wydawało się najbardziej prawdopodobne, no i tłumaczyło nagłe ochłodzenie uczuć Seana, kiedy przyszło do podjęcia takiego poważnego zobowiązania wobec Millie. Małżeństwo to jedna sprawa. Na małżeństwo można się porwać właśnie pod wpływem takich chemicznych reakcji, a potem je zakończyć, kiedy odpowiedzialne za cały bałagan feromony znikną ze sceny.

Rozwód jest przyjacielem pochopnych ślubów. Jednak perspektywa czegoś tak nieodwracalnego jak urodzenie dziecka mogła podziałać na te feromony jak zimny prysznic i spowodować, że zaczną brać nogi za pas w popłochu, wrzeszcząc z przerażenia i wymachując rączkami. Z całą pewnością w uczuciu Seana do Millie nie było dostatecznych podstaw, by utrzymać prawdziwe wspólne życie. Tak więc Sean zrobił to, co robił zawsze: zaczął się wycofywać. Wycofywał się tak i czekał, aż dziewczyna będzie tak zła, tak poniżona, że sama mu powie, żeby spierdalał. Tyle że tym razem taka technika nie mogła mu ująć na sucho. Tym razem w grę wchodziły pierścionki zaręczynowe i dzieci. I dlatego teraz będzie musiał dorosnąć i zmierzyć się z tym.

Tony przejechał sobie dłonią po brzuchu i spojrzał w dół na swoje zniszczone buty. Naprawdę będzie się musiał za siebie zabrać, jeśli w ogóle chce mieć jakieś szanse na spodobanie się Millie. To, że ostatnio rzadko widywał się z Ness, już pomogło — nie pił tak dużo i wszystkie ubrania wydawały się na nim ociupinkę luźniejsze. Jeśli jednak chce, żeby Millie spojrzała na niego inaczej niż tylko jako na o wiele milszego, starszego brata Seana, musiał, do diabła, zrobić ze sobą o wiele, wiele więcej.

Poszperał w kieszeniach płaszcza i w końcu znalazł to, czego szukał — ulotkę programu Naturalnego Odchudzania, którą podniósł wiele dni temu.

Wyciągnął komórkę, wystukał podany na kartce numer i umówił się na konsultacje na następny tydzień.

WIELKIE CZUPRYNY I MALUTKIE SAMOCHODY

Dla Neda był to długi tydzień. Poza katastrofalnym wieczorem z Carly spotkała go niewątpliwa przyjemność otrzymania od Moniki osiemnastu uroczych SMS-ów, koperty z jej paznokciami od stóp, paczuszki zawierającej woskowe paski depilacyjne z przyklejonymi do nich jej włosami łonowymi, a tego ranka nadszedł istny *pièce de résistance*. Maleńka fiołka krwi. Była naprawdę maciupka — użyła w tym celu jednej z tych miniaturowych plastikowych buteleczek, w jakich podają sos do sushi na wynos. Jednakże im więcej paczek i SMS-ów przysyłała, tym Ned mniej się przejmował. W tej chwili nawet go to uspokajało — znaczyło, że jest żywa, że nie siedzi w samolocie w drodze do Londynu i że nie jest z nią gorzej. W sumie skala rażenia potworności jej przesyłek raczej zmalała, zamiast wzrosnąć. Nie było w nich odciętych palców ani kawałków skóry. A kiedy we wtorek nadeszły paznokcie od stóp, Ned w sumie odczekał z ulgą. To nie było obłąkane, tylko zwyczajnie niesmaczne. Monika stała się wkurzająca, ale już go nie przerażała.

Krew była co prawda nieznacznym powrotem do czasów włosów i rzęs, ale przecież nie jest wcale tak trudno upuścić sobie taką minimalną ilość krwi. Poza tym równie dobrze to wcale mogła nie być krew, tylko jakaś substancja ze sklepu z durnymi gadżetami.

Nie — dopóki nie zacznie mu przysyłać kciuków czy gałek ocznych, on nie ma zamiaru się przejmować. Ma dość swoich problemów, bez martwienia się o Monicę i jej głupie sztuczki.

Na przykład, jak dziś wieczór.

Siedział właśnie na kanapie, oglądał *Simpsonów* na Sky One, jadł ciasteczka Jaffa z jakiegoś zupełnie nowego, wymyślnego, metalowego pudełka i czekał, aż Gerwazy wróci z roboty. Czekał na niego, bo tego wieczoru on, Ned London, wychodził razem z Gerwazym. Osobliwe. Wyteżał umysł, żeby znaleźć jakąś wymówkę i się od tego wymigać, ale w ogóle nie był w stanie niczego wymyślić. Fakt, że mieszkali pod jednym dachem, oznaczał bowiem, że w celu wyprodukowania wiarygodnego usprawiedliwienia musiałyby naprawdę mieć jakąś alternatywę na ten wieczór. A z przykrością musiał przyznać, że nie ma dokąd iść. Rytualne piątkowe wypadki grupy jego przyjaciół zniknęły zdaje się niemal tak szybko, jak włosy Maca, kiedy tylko

Ned wyjechał z kraju.

— Teraz to już raczej nikt nigdzie nie chodzi — powiedział mu Simon ze smutkiem. — Wszyscy się, wiesz, podobierali w pary. W piątek wieczorem to tylko *Przyjaciele* i *Frasier*, i tajskie żarcie na zamówienie do domu. Chyba że są czyjeś urodziny. Tak, ciągle jeszcze wychodzimy razem, jak ktoś ma urodziny.

Ale zeszłego wieczoru Ned i tak wykonał kilka telefonów z nadzieją na jakiś niespodziewany ratunek w postaci towarzyskich obowiązków, i przekonał się, że wszyscy spędzają wieczór w domu, bo albo są wykończeni (żałosne), albo do późna pracują w biurach (tragiczne), albo jedzą obiad z rodzicami (na skraju szaleństwa). Nawet Simon, jedyny drugi samotny w ich grupie, miał na ten wieczór inne plany: brał udział w zawodach kręglarskich w Stracham. Powiedział, że Ned może z nim pojechać i kibicować, ale kiedy Ned usiadł spokojnie i rozważył obie opcje, to pójście na koncert jakiegoś tłustowłosego rockandrollowca z Gerwazym do Wood Green brzmiało mniej więcej tak samo zachęcająco, co przyglądanie się, jak jego kumpel popycha wielkie, lśniące kule po bieżni.

Gerwazy wrócił do domu i poszedł prosto na górę, żeby się przygotować. Gdy mniej więcej pół godziny później pojawił się na dole, był zdecydowanie zbyt obficie spryskany wodą po goleniu, miał na sobie znoszoną skórzaną kurtkę z frędzlami i ćwiekami. Do tego nałożył jaskrawofioletową koszulę, odpiętą mniej więcej do pępka i wysokie buty na niewielkim obcasie ze straszliwie wąskimi noskami. Ned nigdy wcześniej nie widział go „wyszykowanego” do wyjścia i na jego widok zawisł gdzieś na granicy pomiędzy wybuchem głośnego śmiechu a niemym podziwem. Gerwazy wyglądał absolutnie komicznie, ale zarazem całkiem stylowo.

W tym samym momencie, w którym Gerwazy wszedł do salonu, na ulicy rozległ się głośny klakson, a Gerwazy klasnął w dłoń.

— Fajno. Bud już jest. Let's rock!

Ned pobiegł do kuchni, wyciągnął z lodówki zgrzewkę czterech puszek piwa Kronenburg, chwycił kurtkę i wyszedł za Gerwazym na zewnątrz. Na ulicy stał jaksrawożółty, błyszcząco, trzykołowy robin reliant z czerwonymi płomieniami wymalowanymi po jednej stronie. Za kierownicą siedział facet ubrany w czerwoną skórzaną kurtkę, z gigantycznym czubem tlenionych włosów, który to czub zajmował niemal całą przestrzeń w miniaturowym samochodziku.

Ned wytrzeszczył oczy.

— Czołem — powiedział Gerwazy, kiedy facet z czubem wyszedł z auta i podał mu rękę.

kę. Okazało się, że na stojąco ten z czubem ma jakieś metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i jest tak chudy, że Calista Flockhart pewnie by mu odmówiła wspólnej fotografii ze strachu, że będzie przy nim wyglądała grubo. Miał intensywnie niebieskie oczy i ostrą, chudą twarz z dwoma wystającymi spiczastymi, żółtymi szczurzymi zębami.

— Bud, to jest Ned. Syn mojej gospodyni.

— Siemanko — powiedział Bud, wyciągając do Neda dłoń.

— Siemanko — Ned odwzajemnił powitanie.

— Niezły pojazd tu masz — wskazał głową na podwórko. Ned obejrzał się, zobaczył starego forda transita taty i jeszcze starszego vauxhalla cavaliera mamy i znów odwrócił się do Buda.

— Niby który?

— Ta mała isetta.

— Co?

— Ten okrągły trzykołowiec. Uroczy. Z którego roku — 68? 69?

Ned jeszcze raz się obejrzał i dostrzegł smutny, maleńki samochodzik, który tak bardzo złał się z rupieciarnią wokół domu, że nikt go już nawet nie zauważał.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział. — Tony go dostał na siedemnaste urodziny.

— Uroczy. Naprawdę uroczy samochodzik. — Bud gapił się na zardzewiały wrak z prawdziwym uczuciem i kiwał z uznaniem głową.

— Bud lubi małe samochody — wyjaśnił Gerwazy.

— Aha — potaknął Ned. — Rozumiem.

Potem spróbował wsiąść do tego malutkiego reliantu. Z tyłu była ławeczka, na której pewnie zmieściłoby się pudełko z lunchem, ale nie facet wzrostu metr osiemdziesiąt. Ned stwierdził, że nie da się do tego samochodu tak po prostu wejść i usiąść. To było niewykonalne. Potrzebna tu była jakaś specjalna strategia. Starał się wejść najpierw prawą stopą, potem wykręcić całe ciało o jakieś 180 stopni, ale nic z tego nie wyszło. Więc spróbował pochylić się i wepchnąć najpierw zadek. Osiągnął przynajmniej tyle, że jakieś osiemdziesiąt procent jego ciała było już w samochodzie, ale nie miał gdzie zmieścić nóg ani głowy. Przesunął się tyłkiem do końca ławeczki, udało mu się jakoś włożyć lewą nogę, ale głowę miał wciąż skuloną, a brodę wbijał w klatkę piersiową. Podczas gdy Ned oddawał hołd Houdiniemu, Gerwazy i Bud gawędzili sobie na chodniku i Neda kusilo, żeby powiedzieć: „Wiesz co, Gerwazy, jesteś przynajmniej o cztery cale niższy ode mnie, czemu ty nie usiądziesz z tyłu?” Zdał sobie jednak sprawę,

że to by naruszyło powszechnie przyjętą etykietę podwożenia, wedle której najlepszy kumpel kierowcy/dziewczyna/żona — zajmowali miejsce z przodu, natomiast obcy siadali z tyłu, niezależnie od swoich gabarytów.

Po kilku kolejnych akrobacjach Nedowi udało się lekko podnieść głowę o jakiś cal czy dwa ponad piersi, ale potem Gerwazy odsunął swoje siedzenie do tyłu, co oczywiście zajęło całą jedną stronę samochodu, więc Ned nie miał wyboru, tylko zwinąć się w rodzaj pozycji embrionalnej z ramionami splecionymi wokół nóg i kością ogonową wbitą w lichą tapicerkę siedzenia.

— Wszystko w porządku tam z tyłu? — spytał Bud.

— Ta... — jęknął Ned. — W porządku.

Kiedy Bud przekręcił kluczyk w stacyjce, samochód zagulgotał i ruszyli.

Była to najdłuższa jazda w życiu Neda. Ani przez moment nie czuło się, że samochód naprawdę jedzie, raczej jakby całą drogę pokonywał na pierwszym biegu, a każdy kamyk czy dziura w nawierzchni posyłały Nedowi bolesne ułucia promieniujące poprzez kość ogonową do całego kręgosłupa. W połowie drogi zaczął mieć wrażenie, że za chwilę zemdleje, więc przekręcił się w drugą stronę i przerzucił nogi przez oparcie ławeczki, tak że zwisały teraz w przestrzeni bagażnika.

Z przodu Bud i Gerwazy rozprawiali o muzyce, palili jednego papierosa za drugim, pili piwo Neda i od czasu do czasu zaczynali coś razem nucić. Mówił głównie Gerwazy, a Bud towarzyszył mu przerywnikami: „Jasne, cholera”, „Ma się rozumieć” oraz „Pewnie, kurwa”. Poza tym śmiał się tak, jakby ktoś łaskotał go piórkami w podeszwy stóp. Ned nie miał najmniejszego pojęcia, o czym w ogóle rozmawiają, i wcale go to nie obchodziło. Był zainteresowany wyłącznie zakończeniem podróży i wydostaniem się z tej puszeki sardynek na trzech kółkach.

Kiedy w końcu dotelepalili się do Wood Green, było ciemno i Ned zastanawiał się, czy właściwie nie jest już martwy. Bud i Gerwazy lekko wyskoczyli z samochodu, wyglądali świeżutko i radośnie. Ned powoli odwijął się ze swego narzędzia tortur, a w czasie tej operacji każda kość i mięsień jego ciała krzyczały z bólu. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, kiedy już wykarał się na zewnątrz, to sprawdził swój portfel, żeby zobaczyć, ile ma przy sobie gotówki. Obojętnie, ile by to miało kosztować, do domu wraca taksówką.

W miarę zbliżania się do drzwi pubu Old White Horse, Bud i Gerwazy stawali się coraz bardziej ożywieni. Znowu zaczęli śpiewać, a Bud udawał, że gra na gitarze jak Buddy Holly, a jego wielki beżowy czub podskakiwał w górę i w dół, jak jakiś napalony pudel. Ned posłusznie poszedł za nimi i czekał z tyłu sali, kiedy oni ustawili się przy barze w kolejce po drinki. Cze-

kajac, rozgladal sie dokoła. Po swojej prawej mial gigantycznego jak wieloryb faceta, wciśniętego w kurtkę pilota uszytą na kogoś połowy jego postury. Głowę mial ogoloną kompletnie na lyso poza pojedynczym rudym kosmykiem z przodu, skręconym w maleńki czub, który wyglądal jak króliczy ogonek. Po lewej natomiast stal jakiś rocker od stóp do głów ubrany w czarne skóry, z kostropatą cerą i kruczoczarnymi włosami. Jego włosy byly skręcone w tłusty obwarzanek, który zaczynal się gdzieś na czole i laskotal czubek jego nosa.

Dziewczyny z tego nowego i nieznanego swiata zdawaly się dzielic na dwie kategorie. Jeden typ reprezentowaly ostre tlenione blondyny z końskimi ogonami i w skórzanych kurtkach. W sumie sprawialy trochę przerażajace wrażenie, brakowalo im tylko ogromnych, czarnych, krzaczastych brwi. Drugi typ byl bardziej kobiecy, włosy na lokówki, ciuchy w starym stylu, duzo spódnic na sztywnych halkach i bardzo wysokich obcasów.

Ned przeczesywal palcami swoja kozia bródke i patrzyl w dol na swoje sportowe buty Nike. Czul się straszliwie, niewyobrazalnie nie na miejscu.

Skad się ci wszyscy ludzie wzeli? Ned nigdy nie widzial nikogo takiego na ulicy w Beulah Hill ani w metrze, na lotniskach, nawet w telewizji. Gdzie oni wszyscy mieszkali? Co robili, kiedy nie przychodzili na koncerty Roberta Gordona w Wood Green? Jak oni wszyscy zarabiali na zycie? Czy mieli rodziny? Dzieci? Czy jak wracali do domu, to sobie splaszczali te czuby, a do skórzanych kurtek wsypywali kulki na mole?

Ned przypomniat sobie, że Tony jako nastolatek przechodzil przez etap rockabilly. Zelował sobie włosy, nosil wypłowiale koszule od Flipa i buty na miękkiej podeszwie z Robota. Ale to byla tylko taka faza. Szybko minela, a kiedy Tony mial dziewiętnaście lat, byl juz przykladnym yuppie i kupowal garnitury u Cecila Gee. Jednak ci ludzie, oni wcale nie byli nastolatkami przechodzacyimi przez faze — oni tym zyli, oddychali, robili to, *wierzyli*.

— Trzymaj, stary. — Gerwazy wyłonił się z tłumy przy barze, dzierzac dwa plastikowe kubki z piwem. Bud szedł tuż za nim z sokiem pomarańczowym i lemoniada z wetkniętymi słomkami i wygladal jak lekko przefryzowany uczeń. Ned wychyлил swoje duze piwo mniej więcej dziesięcioma duzymi haustami, stojac i rozmawiajac z Budem i Gerwazym.

— No wiec, Bud — zagail, majac nadzieje zdobyć jakiś wglad za kulisy tej podstarzalej rockowej kultury. — Gdzie pracujesz?

— Jestem urzednikiem państwowym.

— Ach, tak?

— Tak. Jestem generalnym dyrektorem od spinaczy. I wiceprezydentem od długopisów.

— On pracuje w Miejskim Urzędzie Planowania w Croydon — wyjaśnił uprzejmie Gerwazy. — Jako menedżer zaopatrzenia w materiały biurowe.

Bud entuzjastycznie pokiwał głową.

— Już od dwunastu lat — dodał z dumą.

Kiedy tak dalej gadali, okazało się, że Bud mieszka w jednorodziennym domku z trzema sypialniami w Shirley ze swoją żoną i trójką dzieciaków (jedno z nich było już nastolatkiem). Wszystkie pieniądze, jakie mu zostawały po zapłaceniu rat za dom i rachunków, wydawał na swój samochód i ubrania. I podczas tej pogawędki Ned zdał sobie sprawę, że Bud jest szczerze, w zupełnie nieuzasadniony sposób, szczęśliwy ze swego losu.

— Coś ci powiem — rzucił w pewnym momencie. — Jakbym tak wygrał na loterii, to bym zatrzymał, no, powiedzmy, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kawałków. Tyle tylko, żeby spłacić do końca dom i pojechać na jakieś fajne wakacje. A potem resztę bym rozdał. Nie chciałbym tyle szmalu. To by mogło wszystko zrujnować. Kapujesz?

Ned kiwnął głową, choć wcale nie kapował. Jednak z całego serca pragnął to pojąć. Nawet nie umiał zacząć sobie wyobrażać takiego szczęścia, które potencjalnie mogłoby zostać „zrujnowane” przez trzy miliony funtów.

Ale jego rodzice mają takie szczęście, pomyślał. Oni osiągnęli Budo-podobne poziomy zadowolenia. Oboje uwielbiali wszystko w swoim życiu. Kochali swój wielki zagracony dom, swoją pracę, swoje dzieci, *siebie nawzajem*. Jego bracia też byli na najlepszej drodze do egzystencjalnej nirwany. Obaj mieli satysfakcję z pracy, pewność siebie, świetne dziewczyny. Nawet Gerwazy wydawał się zadowolony ze swego losu, na swój własny, dziwaczny sposób. A teraz, kiedy wszyscy przyjaciele Neda połączyli się w pary i wspinali po szczeblach kariery — gdzie był on sam? Dwadzieścia siedem lat, żadnego zawodu, mieszkania ani dziewczyny.

Co z nim jest nie tak? Jeśli taki szczerkowaty, malutki Bud z wystającymi zębami i dziwnym gustem samochodowym mógł znaleźć prawdziwe szczęście, to dlaczego on tego nie potrafi? Ned był o wiele przystojniejszy od Buda, wyższy, młodszy, lepiej wykształcony, mniej dziwaczny, a jednak to Bud miał wszystko, a Ned nie miał nic — poza obcięzonymi paznokciami swojej byłej dziewczyny.

Ned westchnął i spojrział na dno pustego, plastikowego kubka. A potem pomyślał o poniedziałkowym wieczorze i spotkaniu z Carly. O tak — to było naprawdę depresyjne doświadczenie. Jezu. Teraz faktycznie został już zupełnie sam. Nie miał nikogo, do kogo mógłby się zwrócić po pociechę. Nie było już bezpiecznego gniazdka z Carly, nikt z grupy jego przyjaciół

nie był osiągalny, nawet jego własna rodzina ostatnio nie spotykała się razem tak często jak dawniej. Jak zacząć wszystko od nowa, mając dwadzieścia siedem lat? Nad tym się teraz zastanawiał. Jak dać sobie świeży start? Może to już niewykonalne? Boże, co za okropna myśl. Przegapił moment. Ma przejebane. Nigdy nie osiągnie tego, co mają Bud, i Sean, i Tony. Zmieni się w zdziwaczałego odludka. Skończy na tym, że będzie z niecierpliwością oczekiwał, żeby w piątkowe wieczory patrzeć, jak Simon gra w te swoje kręgle w Streatham. Jezu — i pewnie skończy jako najlepszy przyjaciel Gerwazego. Może sobie nawet tak cudacznie obetnie włosy i w ogóle... O Boże. Po co, do diabła, w ogóle jechał do tej Australii? Czemu po prostu nie został w domu jak normalny człowiek i nie ułożył sobie życia?

Ned poszedł do baru i zamówił następną kolejkę. Czuł się spanikowany i rozklejony. Potrzebował się upić. Bardzo upić. Parszywie sponiewierać. Wychylił piwo, jeszcze stojąc przy barze, i od razu zamówił następne. Kiedy w końcu dotarł do zbitej kupki ludzi z tyłu pubu, gdzie miał się zacząć koncert, zdecydowanie chwiał się na nogach.

Bud zniknął gdzieś po kilku minutach — poszedł pogadać z jakimiś znajomymi, a Ned i Gerwazy stali sobie w przyjaznym milczeniu z tyłu lokalu i słuchali występu grupy poprzedzającej główną gwiazdę. W panującej tu atmosferze było coś dziwnie hipnotycznego. To, że stał tak sobie z Gerwazym pomiędzy tymi cudacznymi ludźmi, patrzył na jakiś zespół, czuł się pijany. Ned obrócił się, żeby spojrzeć na Gerwazego z profilu, na jego krzykliwą fioletową koszulę, przycięte pod ostrymi kątami włosy, buty z czubkami, i poczuł nagły, niepohamowany impuls, żeby go uściskać. Gerwazy odwrócił się w jego stronę.

— Wszystko w porządku?

— Uhm. — Ned szybko uciekł wzrokiem i patrzył na zespół.

Naprawdę chciał pogadać z Gerwazym. Znowu zaczynał mieć w żołądku to dziwne czekoladowo-topniejące odczucie, a tyle miał w głowie problemów. Przez chwilę się wahał, ale w końcu znów odwrócił się do Gerwazego.

— Hmm... — zaczął — czy dzisiaj też mam na sobie pelerynę?

Gerwazy uśmiechnął się i obejrzał go od stóp do głów.

— Aha.

— No to czemu nic nie powiedziałeś?

— Pomyślałem, że dam ci odetchnąć. Przecież widziałem, że ci działam na nerwy.

— A jak ona dzisiaj wygląda? Gerwazy zmrużył oczy.

— Przestraszona i żałosna.

Ned potaknął. Dokładnie tak właśnie się czuł.

— Chcesz o tym pogadać? — spytał Gerwazy i skrzywił się, ostatni raz pociągając końcówkę papierosa i rzucając peta na podłogę.

— Myślałem, że powiedziałaś, że nie lubisz o tych rzeczach gadać.

— Nie powiedziałem, że nie lubię. Powiedziałem, że nie jestem w tym dobry. Subtelna różnica, Ned. Ale mogę posłuchać. Umiem słuchać. Chcesz mi powiedzieć, czego się tak bardzo boisz?

Ned spojrzał na niego przeciągle, a potem skinął głową.

— Ale musisz mi obiecać, że nikomu tego nie powiesz. Mamie ani Tacie, ani moim braciom. Obiecujesz?

Gerwazy zrobił skautowski gest przysięgi.

— Uosobienie dyskrecji — powiedział. — Oto, kim jestem.

A potem z ustami oddalonymi zaledwie o cal od ucha Gerwazego, żeby przebić się przez głośną muzykę, Ned opowiedział mu wszystko. Powiedział mu o Carly i tym katastrofalnym spotkaniu, i jak bardzo mu jej brakowało, i jak bardzo był przerażony tym, że nie załapał się na pociąg, że przegapił życie, że wszyscy zostawili go daleko w tyle. I powiedział mu o Monice i jak od niej zwiął, a teraz jest prześladowany przez wulgarne wiadomości i nieapetyczne części jej ciała. I to, że choć naprawdę jest na nią wściekły, to jednak nie potrafi się pozbyć poczucia winy i przestać o nią martwić, jak ona cały czas jest obecna w jego myślach i chociaż niby jest po drugiej stronie globu, to on i tak nie potrafi przed nią uciec. I kiedy tak mówił, czuł, jak wszystkie jego najgłębsze lęki rozplývają się w jedną ciepłą pulpę, jakby wcześniej miał emocjonalne zatwardzenie, a ucho Gerwazego podziałało na niego jak wielki kubek soku ze śliwek. Nigdy wcześniej nie czuł niczego podobnego, nigdy nie miał poczucia takiej totalnej, absolutnej szczerości wobec kogoś, a co ważniejsze, pewności, że ktoś go naprawdę słucha. Tak, jakby pomiędzy jego ustami a uchem Gerwazego istniał jakiś niewidoczny drut telegraficzny, a jego myśli były transmitowane bezpośrednio do głowy Gerwazego bez konieczności przekładania ich na jakieś koślawe słowa. Czuł się tak, jakby jego usta i ucho Gerwazego były zupełnie same w całym pomieszczeniu, hermetycznie zamknięte w ciepłej różowej bańce. Całkiem, jakby był na ecstacy, tyle że było to sto razy lepsze.

— No, no... — powiedział Gerwazy powoli, gdy Ned w końcu przestał mówić. — No, no, no... — Wyciągnął z kieszeni kolejnego chesterfielda i zapalił. — Czujesz się już odrobinę lepiej?

— No... tak — przyznał Ned. — Zdecydowanie.

— To dobrze — powiedział Gerwazy i poklepał go po ramieniu. — Dobrze.

Ned czekał przez chwilę, spodziewając się, że Gerwazy jeszcze coś powie, że jakoś skomentuje tę jego litanie nieszczęścia, którą właśnie na niego wylał. Ale on nie powiedział ani słowa. Tylko stał, palił, patrzył na zespół.

Ned poczuł, jakby trochę uszło z niego powietrze. Ale w tym momencie Gerwazy się odwrócił i spojrzał na niego.

— Monica — powiedział. — Nie jesteś za nią odpowiedzialny, rozumiesz?

— Wiem, ale *czuję*, jakbym był. Cały czas. Tak było przez trzy lata, no i teraz dalej tak jest. Nie mogę się od niej uwolnić.

— To, co powinieneś zrobić Ned, to *oddelegować* sprawę. Przekazać pałeczkę. Kapujesz?

— Nie. Co masz na myśli?

— Mam na myśli, że powinieneś przekazać tę odpowiedzialność komuś innemu. Na przykład jej rodzinie. Zadzwoń do nich. Powiedz im, że się martwisz. Powiedz, co ona wyrabia. Wtedy oni mogą się zacząć o nią martwić, zamiast *ciebie*. Ty już swoje zrobiłeś, Ned. Czas to podać dalej.

Ned potakiwał z entuzjazmem. Oczywiście, myślał, jej rodzice. Miał ich adres w notesie w domu. To właśnie trzeba zrobić. Absolutnie.

— I powiem ci jeszcze jedno, Ned. Może spróbuj podchodzić do życia bardziej *filozoficznie*.

— Co? Znaczą, mam więcej myśleć?

— Nie, Ned. *Mniej* myśleć. Wszystko w życiu zdarza się z jakiegoś powodu, Ned. Wiem, że to truizm, ale to prawda. Istnieje w życiu pewna prawidłowość i jeśli tylko przestaniesz się martwić i stresować, jeśli się trochę uspokoisz, to ją dostrzeżesz.

— Co?

— Tę prawidłowość, Ned, ten pieprzony wzorzec. I zobaczysz, że jeśli jesteś dobrym człowiekiem, to wszystko w końcu będzie dobrze. Tylko trochę odpuść, stary. Przestań się starać wszystko kontrolować, daj na wstrzymanie, zobacz, gdzie cię życie poprowadzi. Jesteś dobrym człowiekiem, Ned. Dobre rzeczy same do ciebie przyjdą. Wyluzuj.

Ned cały czas kiwał głową. A potem zespół, który tego wieczoru występował jako support, skończył grać, a Gerwazy poszedł do baru po następną kolejkę. Ned stał w miejscu, lekko się

chwiejąc w tym morzu spoconych, podchmielonych, lekko dziwolągowatych ludzkich istot i czuł się totalnie zaszokowany. *Wyluzuj, myślał. Zobacz, gdzie cię życie poprowadzi.* Ale czy dokładnie tego właśnie nie robił przez całe swoje życie? Czy to nie była historia Neda? Wszystko, co robił przez ostatnie dwadzieścia siedem lat, to — był wyluzowany. I gdzie go to zaprowadziło? Do pierdolonego Wood Green.

— Wszystko gra?

Ned spojrzał dokoła, a potem w dół, na Buda.

— Aha.

— Dobrze się bawisz?

— Tak — powiedział Ned. — Jest inaczej. Ale fajnie. Bud wyszczerzył się w swoim szczerzym uśmiechu.

— To... od jak dawna znasz Gerwazego? Ned wzruszył ramionami.

— Dwa tygodnie.

Bud wyglądał na zdziwionego.

— O — powiedział. — Aha.

— A ty? — spytał Ned, spodziewając się, że Bud odpowie, że znają się, odkąd byli dziećmi.

— Tak samo.

— Co? To znaczy, dopiero co go poznałeś?

— Zgadza się. Spotkałem go na giełdzie płyt w Addington. Zaczęliśmy gadać o muzyce. Śmieszne, bo miałem wrażenie, że ty go znasz dłużej. Że on jest jakimś przyjacielem twojej rodziny, wiesz?

— Nie — powiedział Ned. — Poznał moją mamę w pubie trzy miesiące temu. Ja go znam, odkąd wróciłem z Australii. Naprawdę śmieszne, ja też myślałem, że ty go znasz kawał czasu. Tak się świetnie rozumiecie.

Bud potaknął.

— O tak! To jest to! Od pierwszej chwili nadajemy na tych samych falach — poruszył palcami koło czoła, żeby zademonstrować owe fale. — To niesamowite, brachu. Tak się czuję, jakbym znał go od zawsze.

Bud wyprostował się i poprawił swój czub, ewidentnie czując, że chyba za bardzo dał się ponieść demonstrowaniu uczuć wobec innego mężczyzny.

— To czujny koleś — powiedział po chwili. — Brylant. Czyste złoto.

Odchrząknął i odwrócił się, żeby popatrzeć, jak ekipa techniczna ustawia sprzęt na scenie, a Ned stał obok, zastanawiając się bardziej niż kiedykolwiek przedtem, kim, do licha ciężkiego, jest Gerwazy i dlaczego on nagle czuje się tak, jakby go kochał.

KOŃSKIE ŁAJNO NA BEULAH HILL

Ned wypił tej nocy w sumie około ośmiu dużych piw. A może i więcej, tego już nie pamiętał. Był tak zalany, że udało mu się wsiąść do samochodu Buda zupełnie bez trudu i nie przypominał sobie, żeby mu było w najmniejszym stopniu niewygodnie. Wszystko, co pamiętał, to że podrzucono go na Beulah Hill o jakiejś nieokreślonej godzinie, że wypadł z samochodu i wylądował prościutko na czymś miękkim, co najpierw wydawało się błotem, ale szybko zostało zidentyfikowane jako końskie łajno. *Końskie łajno*. Na Beulah Hill. W środku nocy. Do kurwy nędzy.

W domu wziął prysznic. Niewiele z tego wszystkiego pamiętał, aczkolwiek miał niemiłe wrażenie, że Gerwazy mógł mu się pomóc rozebrać. Obudził się rano całkowicie nagi, z bardzo dziwnie przyklepniętymi włosami, w miejscu, gdzie w nocy wyschły przyklepione do poduszki.

Obudził się też z najgorszym kacem, jakiego pamiętał od czasów studiów. Nie miał takiego kaca od tylu lat, że doszedł do wniosku, że po prostu już w ogóle nie miewa kaca. Myślał, że dorósł, stwardniał i że potrafi pić alkohol i znosić tego skutki jak prawdziwy mężczyzna. Jednak tego ranka, kontemplując poziom swojego potwornego samopoczucia, zdał sobie sprawę, że od lat po prostu nigdy nie pił tyle, co za czasów studenckich. I nigdy nie mieszał niczego z Pernodem. Chyba przez lata podświadomie wyrobił w sobie taki punkt krytyczny — zwykle wystarczyło mu pięć piw — a potem pił już tylko wodę albo wracał do domu. Ale zeszłej nocy czuł się taki posepny, samotny i sponiewierany, że jakoś przekroczył swoje normalne granice. I choć teraz czuł się tak potwornie, jak się czuł, to w pewnym sensie był zadowolony, że wczoraj w nocy stracił kontrolę.

Wziął kolejny prysznic i usiłował zrobić coś ze swoją pokraczną fryzurą, ubrał się i zszedł na dół, do kuchni. Właśnie minęło południe i dom wyglądał na zupełnie pusty. Poszperał w lodówce, mając nadzieję, że znajdzie jakiś bekon i może z jedno czy dwa jajka. Nie stwierdził jednak obecności niczego takiego, więc postanowił, że pójdzie później na duże śniadanie do Crystal Palace. Wziął ze sobą filiżankę kawy do salonu i tu stanął jak wryty.

Przed telewizorem siedziała Ness w bardzo krótkiej spódniczce i oglądała sobie *Football*

Focus.

— Ness!

— Cześć, Ned — odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego, szybko taksując go wzrokiem. — Ciężka noc?

Ned spojrzał na nią i z jakiegoś powodu poczuł olbrzymie gorąco oblewające całe jego ciało. Miała zdjęte buty, jedną ze swoich niebotycznie długich nóg podwinęła pod siebie. Włosy miała dzikie i nieuczesane, i choć wcale nie była klasyczną piękną, było w niej coś niewiarygodnie wręcz seksownego — może sposób, w jaki na niego patrzyła, jakby był niegrzecznym uczniem, a ona młodą nauczycielką biologii? Oczy miała zielone i iskrzące. Wyglądało na to, że jest fantastyczna w łóżku, że potrafi się głośno śmiać i naprawdę umie słuchać, wszystko to w jednej osobie.

— No... tak. Można tak powiedzieć. — Ned rozejrzał się po pokoju. — Jest tu gdzieś Tony?

— Nie. Tylko moja skromna osoba.

— Przepraszam, nie wiedziałem, że tu jesteś, bo bym ci zaproponował kawę.

— Spoko — powiedziała, wskazując na kubek, który trzymała w dłoni. — Bernie już mi zrobiła.

— A gdzie jest Mama?

— Na górze, szykuje się.

— Wybieracie się gdzieś?

— Aha. To nasze tradycyjne zakupowe szaleństwo dnia po wypłacie. Jedziemy do Bromley.

— Co? Robicie to co miesiąc?

— Zgadza się. Obie co miesiąc dostajemy pensję tego samego dnia, no więc wyruszamy w miasto i wypalamy dziury w naszych kartach kredytowych.

— Fajnie — powiedział Ned, który był jedynym członkiem swojej rodziny, poza ojcem, w ogóle nie pojmującym istoty terapii zakupowej. Wydawanie pieniędzy tylko go stresowało. Pewnie dlatego, że nigdy ich nie miał.

— A gdzież tak hulałeś wczoraj w nocy?

— Wyszedłem z Gerwazym.

— Naprawdę? — uśmiechnęła się zdziwiona. — I do jakich to miejsc chadza nasz tajemniczy Gerwazy?

Ned czuł, że pod wpływem jej zainteresowanego wzroku jego wewnętrzny ogień podnosi się jeszcze o kilka stopni. Kurwa, ona naprawdę była absolutnie rewelacyjna. Miała na sobie jakiś taki wełniany sweterek i ewidentnie nic pod spodem. Z tego, co mógł stwierdzić bez bezczelnego wgapienia się, to jej piersi były z tych niedużych, ale idealnie uformowanych, no i wyraźnie rysowały się pod swetrem nie byle jakiej wielkości sutki.

— E... co mówiłaś? — wybąkał.

— Ty i Gerwazy — gdzie poszliście?

Opowiedział jej o koncercie Roberta Gordona i o Budzie, i o podróży aż do Wood Green w jego robocie reliancie. Opowiedział jej też o ośmiu piwach i końskim łajnie, które zmateriałizowało się nagle w środku nocy, a ona śmiała się w głos tak, jakby to była najzabawniejsza historia, jaką w życiu słyszała. Im bardziej się śmiała, tym bardziej Ned ubarwiał opowiadanie, aż w końcu tak się rozkręcił, że zupełnie zapomniał o swoim kacu.

— Boże — powiedziała, ocierając łzy spod oczu. — To takie komiczne. Skąd, do diabła, wzięło się tu końskie łajno?

— Nie mam bladego pojęcia. Może wypadło z samolotu. Wiesz, takiego, co przewoził konie...

Znów wybuchnęła histerycznym śmiechem, a Ned chichotał zadowolony.

— Wygląda na to, że się świetnie bawicie — powiedziała Mama, wchodząc do salonu już w płaszczu.

— Bernie — uśmiechnęła się Ness, wstając i prezentując całą przyprawiającą o zawrót głowy długość swych nóg. — Wczoraj w nocy Ned wpadł w końskie łajno, tu przed domem — wskazała ręką przez okno na ulicę, dławiąc się ze śmiechu. — Jak myślisz, skąd się tam wzięło?

Bernie wyjrzała zdziwiona przez okno.

— Co? Na naszej ulicy?

— Tak.

— Nie mam pojęcia — odparła i też zaczęła się śmiać. — Ale Ned na szczęście je znalazł, co?

Zmierwiła mu włosy, a on stracił jej rękę.

— Dobra — podniosła torebkę. — Atakujemy sklepy.

Ness włożyła swój płowy płaszcz, który miał identyczny odcień jak jej włosy, i podeszła do pękniętego lustra wiszącego nad kominkiem. Ned obserwował, jak sprawdza sobie w lustrze

zęby, a potem zgarnia włosy i nagle zwija je w węzeł na czubku głowy i wbija w niego coś, co go trzyma w miejscu. Wyciągnęła z fryzury kilka kręconych kosmyków, żeby luźno okalały jej twarz, poprawiła sweterek i ruchem bioder wyrównała spódniczkę, a potem chwyciła torebkę. Śmieszne, myślał Ned, ale w jakiś dziwny sposób Ness jakby naturalnie tutaj *należała*. Pasowała do otoczenia, z tymi swoimi niesfornymi włosami i trochę źle dobranym strojem. Miała w sobie to samo ciepło, co ten dom, też emanowała dobrą, miłą energią.

— A ty jakie masz plany na dzisiaj? — spytała Bernie, wyjmując z torebki kluczyki od samochodu.

— Nie wiem jeszcze. Pójdę sobie gdzieś na śniadanie. Może obetnę włosy...

— Och, nie, nie obcinaj ich — niespodziewanie zaproponowała Ness. — Masz piękne włosy.

Ned spiekł raka i podniósł dłoń do głowy.

— Naprawdę tak myślisz?

— Tak. Są cudowne. Śmieszne, bo zwykle nie podobają mi się długie włosy u facetów, ale tobie naprawdę pasują. Nie ścinaj.

— Eee... dobra — wyjąkał Ned. — Nie zetnę.

— Za to możesz się zastanowić, czy się nie pozbyć tego grzyba — powiedziała nagle, sięgając dłonią do jego twarzy i przesuwając pacami po jego bródce. Neda za bardzo zatkało, by mógł cokolwiek powiedzieć. — No to miłego dnia. I uważaj na końskie łajno — uśmiechnęła się i wyszła z pokoju, a Ned poczuł, że kręci mu się w głowie. Był cały naładowany, spocorny, zdenerwowany. Napalił się na dziewczynę swojego brata. Naprawdę się napalił. Boże wszechmogący — czy to w ogóle jest *legalne*, żeby się napalać na dziewczynę własnego brata?

Mama zatrąbiła, wyjeżdżając spod domu, a Ned podszedł do okna. Ness stała na ulicy i machała do niego, i pokazywała na chodnik. Ned nie rozumiał, co ona wyrabia, aż zatkała sobie nos palcami, a drugą ręką jakby odganiała smród. Potem odrzuciła głowę, roześmiała się i wsiadła do samochodu obok Mamy. Ned patrzył jeszcze, jak Mama cofa na podjeździe i wyjeżdża na Beulah Hill. Widział, jak Ness zapina pas, mówi coś do Mamy, poprawia włosy czubkami palców, śmieje się. Boże. Była wspaniała. Miała tę pewność siebie i bezpośredniość, które tak go zachwyciły u Moniki, kiedy się pierwszy raz spotkali, ale nie miała tej ciemnej strony. Można było powiedzieć, że przez jej duszę dosłownie przepływa słoneczny blask — wydawało się, że w całym jej ciele nie ma ani jednej negatywnej czy cynicznej komórki. Ned zakładał wcześniej, że musi być w wieku Tony'ego, bo przecież z nim chodziła, ale w dzien-

nym świetle wydała mu się znacznie młodsza — może dopiero dobiega trzydziestki. Może nawet jest w jego wieku...

Cholera. Poczul, że znowu się czerwieni. Sam był sobą zszokowany. Nigdy w życiu nie miał chętki na żadną z dziewczyn swoich braci. Nawet na te niesamowite piękności, które dawniej przyprowadzał do domu Sean. Zawsze zakładał, że istnieje jakiś gen, który aktywnie chroni cię przed jakimkolwiek seksualnym zainteresowaniem kimś, z kim jest związany inny członek rodziny. I że tylko tacy dziwacy, jak ci z programów Jerry'ego Springera, chcą uprawiać seks z ludźmi, których ich krewni już posuwali.

Jak to w ogóle możliwe, zastanawiał się, mieć ochotę na dziewczynę swojego brata? I co by się stało, gdyby Tony i Ness zerwali ze sobą — czy wtedy wolno by mu było z nią być, czy to już nigdy w ogóle nie wchodziło w rachubę? Boże, o czym on *myśli*?

Wstał i zaczął po całym domu szukać Goldie. W końcu znalazł psa w pralni, ułożonego wygodnie na stercie czystej pościeli i podniósł go na nogi.

— No chodź, staruszk. Idziemy na spacer.

Goldie prychał i charczał, ale w końcu jakoś się pozbierał i posłusznie pozwolił Nedowi założyć sobie smycz.

Ned poszedł na piechotę aż do centrum dzielnicy, ciesząc się z drobnej mżawki, która osiadała mu na skórze i na ubraniu. Szedł niesamowicie szybko, jakby chciał wypocić z siebie wszelkie nieprzyzwoite myśli o Ness. Sunął jak burza, z głową pełną dziwacznych, kłębiących się myśli i po raz pierwszy, odkąd wrócił z Oz, zupełnie zapomniał o Monice. W tej chwili mogłaby siedzieć okrakiem na jego ramionach z pejczem w ręce i wykrzykiwać: „Wio, koniku”, a on by tego nie zauważył. Obrazy w jego umyśle dosłownie wirowały. Od tego, jak po raz pierwszy przyznaje się Mamie do chodzenia z Ness, jak on i Tony ściskają sobie dłonie, a Tony mówi: „W porządku. Wygrał lepszy z nas”, do tego, jak pakuje swoje rzeczy i opuszcza Beulah Hill na zawsze, a cała rodzina stoi na progu z kamiennymi twarzami i założonymi ramionami, jak uprawia seks z Ness, jak Ness uprawia seks z Tonym, jak ma z Ness dzieci, aż do pytania, czy jego fiut jest takiej samej wielkości jak Tony'ego i czy będzie w łóżku tak samo dobry jak brat.

Uwiązał Goldie przed drzwiami baru i dosłownie pochłonał całe angielskie śniadanie i wielki kubas herbaty, gapiąc się przez zamglone okno na ulicę i rozmyślając o tym, że Tony ma supermieszkanie, sportowy samochód i własną firmę, a on, Ned, posiada ładne włosy, płaski brzuch i skończone studia. Zastanawiał się, jakie mieszkanie ma Ness i czy spodobałoby mu się

życie w Beckenham. Złapał się nawet na tym, że przypomina sobie połączenia kolejowe i rozważa, ile by zajęła podróż do centrum z Beckenham Junction, i czy mógłby się obejść bez autobusu numer 68.

Wytań talerz do czysta kawałkiem tost, wyszedł z baru, odwiązał Goldie i zaczął iść z powrotem do domu.

A kiedy wrócił, poszedł prościutko do łazienki i zgolił swoją bródkę.

PRZERAŻAJĄCA PROPOZYCJA

Ponieważ w tę sobotę Ness wybierała się z Bernie na zakupy do Bromley, a potem razem mieli iść na obiad do Roba i Trishy, Tony powiedział, że przyjedzie po nią około siódmej na Beulah Hill.

Kiedy tam dotarł, samochodu Mamy jeszcze nie było na podjeździe, pomyślał więc, że wciąż gdzieś tkwią w swojej zakupowej nirwanie, i otworzył sobie drzwi własnym kluczem.

Skierował się prosto do lodówki, jak to robił zawsze, kiedy wchodził do domu. Znalazł pakowaną krojoną szynkę, śmietanę, świeże owoce, pięć różnych gatunków sera, resztki ciasta. Pychota. Oparł się pokusie, by zrobić sobie gigantyczną kanapkę z serem i majonezem na grubej kromce świeżego chleba, który leżał w pojemniku. Zamiast tego skubnął tylko kilka winogron.

Wziął do ręki „Guardiana” Taty i szybko przeszedł się po całym domu — to była druga rzecz, którą zawsze robił. Jezu, nie miał nawet pojęcia, że oni mieszkają w aż takim bałaganie. A im się robili starsi, tym było gorzej. Naprawdę się o nich martwił — jeszcze wciąż byli stunkowo młodzi, w pełni sił, ale co się z nimi stanie, kiedy się zestarzeją, kiedy Neda nie będzie już w domu, żeby mieć na nich oko? Ich dom już teraz był ekscentryczną rupieciarnią — różne rzeczy walały się po kątach albo piętrzyły w stosach, nie zmywano regularnie, odkurzane było nie częściej niż raz na miesiąc, a i to, jeśli dywan miał szczęście. Dziwne, że wciąż tu było przytulnie, ciepło i w miarę czysto. Ale przecież nie zawsze mogło tak być. Pomiędzy zagraceniem a śmietniskiem przebiegała cienka linia. Co będzie, jak się tu zrobi niehigienicznie i odrażająco — co się wtedy stanie z Mamą i Tatą? Boże, skończą jak te świry, których pokazywano w filmach dokumentalnych, co mają szczury wielkości cocker spanieli, śpią na materacach, a sąsiedzi dzwonią po pomoc do opieki społecznej. Jezu, staną się *zagrożeniem dla zdrowia*.

Tony odsunął od siebie te przykre myśli i skierował się do salonu. A tam znalazł Gerwa-

zego, wyciągniętego wygodnie na kanapie w pełnym ubraniu, chrapiącego głośno z otwartymi ustami i z psem drzemiącym na jego nogach.

No ślicznie, pomyślał Tony, po prostu ślicznie.

— Goldie! — warknął, podchodząc do kanapy. — Złaź stąd! — Poklepał psa po zadku zwiniętym „Guardianem”, aż pies w końcu ruszył swoje cuchnące stare cielsko i zeskoczył na podłogę.

Gerwazy lekko się poruszył i wydał nieprzyjemny zduszony charkot.

— Tony — powiedział, podnosząc się na łokciu i sięgając po papierosy. — Przepraszam, stary. Nie słyszałem, jak wszedłeś. Trochę przysnąłem.

Pociągnął nosem, wytarł go sobie wierzchem dłoni i zapalił papierosa.

— A tak — rzucił Tony. — Zauważyłem.

— Nie miałem wcale zamiaru tak zasnąć. Pamiętam tylko, że oglądałem głupią lampę — tu wskazał ręką na telewizor — i że akurat dawali *Stars In Their Eyes*. Miałem wczoraj trochę ciężką noc. — Przechylił się na kanapie, sięgnął ręką po pilota i wyłączył telewizor. — Kurwa, nienawidzę tej chujowizny — dodał tytułem wyjaśnienia. — To co? Przyjechałeś odwiedzić mamę? Zdaje mi się, że jeszcze jest na zakupach.

— Tak. Wiem. Pojechała z Ness. Właśnie po Ness tu wpadłem.

— To fajnie — stwierdził Gerwazy, zaciągając się papierosem i równocześnie przyglądając dłonią płaski czubek swojej głowy. — Zabierasz ją w jakieś miłe miejsce?

— Kogo?

— Ness.

— Nie. Właściwie to nie. Idziemy tylko na obiad do znajomych.

— No to chyba miłe, nie? Obiad z przyjaciółmi? To by mi się podobało.

Tony parzył na niego zdziwiony i przez moment sądził, że Gerwazy usiłuje się wprosić, ale uspokoił się, kiedy stwierdził, że tak wcale nie jest.

— Więc, Tony, jak ci leci?

— Dzięki. Dobrze. Całkiem dobrze.

Zapadło krótkie milczenie, podczas którego Tony czuł, że towarzyskie poczucie przyzwoitości nakazuje mu zmusić się i spytać z kolei Gerwazego, jak on się miewa.

— A co u ciebie?

— U mnie? Fantastycznie. Zwłaszcza teraz, kiedy się troszkę zdrzemnąłem. Wyglądasz szczuplej. — Gerwazy zlustrował go wzrokiem z góry na dół.

— Serio? — Tony poklepał się po brzuchu. — Naprawdę tak myślisz?

Gerwazy zmrużył oczy.

— Pewnie. Absolutnie. Zwłaszcza tak, wiesz, w okolicach schabów. Jesteś na diecie?

Zaskoczony tym niespodziewanym komplementem Tony trochę się wyluzował i opadł na fotel naprzeciw Gerwazego.

— Nie. Nie, żeby na diecie. Tylko trochę uważam na to, co jem. No wiesz.

Gerwazy z zachętą pokiwał głową.

— Ale jestem... e... — Tony zamilkł na chwilę, zastanawiając się, dlaczego w ogóle ma zamiar o tym mówić Gerwazemu, ale i tak powiedział: — Zapisuję się do klubu odchudzającego.

— Tak?

— Aha. Pierwsze zajęcia mam w poniedziałek.

— No popatrz. Słyszałem, że to naprawdę działa, te kluby. Dobrze robisz. — Gerwazy rzucił mu jeden z tych swoich krzywych, dziwnych uśmiechów, a Tony poczuł zupełnie nieproporcjonalne do sytuacji zadowolenie.

— Ale nie mów Mamie, dobra? — poprosił. — Zaczęłaby się martwić. Wiesz, jak to wszystkie mamy. No i nie mów Nedowi. Ten by się ze mnie nabijał.

— Pewno, że nie. Twój sekret jest u mnie bezpieczny. Sekrety wszystkich są u mnie bezpieczne...

— Co masz na myśli?

— Nic, stary, zupełnie nic. Tylko to, że jestem niezwykle dyskretną osobą. Jestem *uoso-bieniem* dyskrecji.

Na chwilę zapadło milczenie. Tony patrzył na swoje paznokcie, a potem podniósł oczy na Gerwazego, który niezwykle intensywnie się w niego *wpatrywał* z naprawdę zafrasowanym wyrazem twarzy.

— Czy wszystko z tobą w porządku, Tony?

— Oczywiście. Świetnie — rzucił krótko.

I wtedy Gerwazy nagle podniósł się z kanapy, z papierosem wciąż zwisającym z kącika ust. Podszedł do Tony'ego i położył obie dłonie na jego głowie. Tony chciał jakoś zareagować, zaprotestować, ale w dotyku Gerwazego było coś takiego, że zupełnie opuściły go siły i dosłownie się rozpląnął. Tak jakby Gerwazy wysysał z niego wszystkie negatywne emocje i zostały z nich już tylko okruchy, które niewyraźnie unosiły się gdzieś w jego umyśle.

Usłyszał, jak Gerwazy wciąga powietrze.

— Jezu Chryste, Tony, musisz z tym skończyć!

— Z czym skończyć?

— Z tym szaleństwem. Nic z tego nie będzie.

— Co? Z odchudzaniem?

— Nie, nie z odchudzaniem. Odchudzanie to fantastyczny pomysł, Tone. Szczerze. Ale musisz skończyć z tą obsesją. Wykopać to ze swojej głowy.

Tony się wzdrygnął.

— Nie śnij na jawie, stary. Trzymaj się ziemi. Bo inaczej jedyną osobą, która będzie cierpiała, będziesz ty sam, wiesz o tym?

— Ale o czym ty mówisz?

— Nie wiem, o czym mówię. Wiem tylko, że mam rację. Że to, co mówię, to prawda. To już do ciebie należy, żeby zrozumieć, o co tu, kurwa, chodzi. Kapujesz?

— Kapuję. — Tony czuł się jak zaczarowany, niezdolny, żeby coś powiedzieć czy zareagować.

— Rozejrzyj się wokół siebie, stary. Zobacz, co jest rzeczywiste. Masz przecież wszystko, co trzeba, no nie?

— No tak.

— Masz więcej niż większość ludzi. Niczego więcej ci nie potrzeba.

A potem Gerwazy nagle oderwał dłonie od głowy Tony'ego, ale zaczął go po niej okładać.

— O żesz kurwa, stary, strasznie cię przepraszam, spadło mi na ciebie trochę popiołu. Ale w porządku, nie kopcisz się ani nic takiego. — Poklepał Tony'ego uspokajająco po plecach i wrócił na kanapę. Tony zdecydowanie przejechał palcami po włosach i wzdrygnął się.

Zanim miał jednak szansę, żeby zapytać Gerwazego o to, co się właściwie przed chwilą wydarzyło, przy frontowych drzwiach zrobił się ruch i rozległy się podniecone, kobiece głosy. Mamy i Ness.

— Czołem, chłopcy — powiedziała Mama, wtaczając się do salonu z chyba dziesięcioma torbami w rękach. Na policzkach miała czerwone rumieńce od wina. — Cześć, kochanie — pochyliła się, by pocałować Tony'ego w czubek głowy. — Och, słonko, chyba nie zacząłeś znowu palić?

— Nie — bąknął. — Nie zacząłem.

Za mamą wtoczyła się Ness, która dźwigała mniej więcej dwa razy tyle toreb i na policzkach miała jeszcze żywszy rumieniec. Zarzuciła Tony'emu ręce na szyję i głośno cmoknęła go w usta.

— Witaj mój piękny.

Pachniała czosnkiem i winem, i musiał pohamować pokusę, żeby na nią nie warknąć.

— Cześć — mruknął.

— Kto pije kawę? — spytała Mama.

— O tak, proszę — powiedziała Ness. — Przepraszam za spóźnienie, Tony. Bernie zaciągnęła mnie do Ali Bar One i zmusiła do picia wina.

— Faktycznie, jakby cię rzeczywiście trzeba do tego namawiać — powiedziała Bernie ze śmiechem i zniknęła w holu.

— To chyba dziś wieczorem ja muszę prowadzić, co? — spytał Tony, w sumie całkiem niepotrzebnie, bo przecież już rano zaofiarował się jako kierowca.

— Nikt cię nie prosił, żebyś prowadził — odparła Ness, zrzucając buty i sadowiąc się obok Gerwazego. — Z radością zapłacę za taksówkę. Cześć — pochyliła się, żeby ucałować Gerwazego w policzek. — Mam nadzieję, że ty jesteś w lepszym nastroju niż ten mój stary maruda?

— Zawsze jestem w dobrym nastroju, kiedy cię widzę, moja cudna. Miauuu.

— Auuuu — odmruczała Ness, uśmiechając się szeroko i mocno go ściskając.

No nie, na Boga. Tego Tony już nie mógł znieść. Pieprzony Gerwazy. Co to było przed chwilą, z tym dotykiem jego głowy i durnymi ostrzeżeniami? A Ness znowu się uwalila i robi za najlepszą kumpelę Mamy. No i cała się lepi do tego Gerwazego. Ohyda. Co jest w tym kolesiu, że wyciąga z niego intymne zwierzenia, że nagle panoszy się w domu jego rodziców, a nawet pozwala sobie flirtować z jego dziewczyną?

Patrzył na nich z irytacją, jak sobie razem chichocą, jak co kilka sekund Gerwazy obleśnie zerka na długie, zgrabne nogi Ness, i z niewyjaśnionych powodów nagle poczuł, że dosłownie skręca go z zazdrości.

— No chodź — powiedział, gwałtownie wstając. — Zbieramy się.

— Co? — spytała Ness i spojrzała na zegarek. — Ale mamy jeszcze co najmniej pół godziny.

Tony wziął głęboki oddech.

— No to co. Będę jechał powoli. Tylko już się stąd wynieśmy.

Ness wymieniła z Gerwazym porozumiewawcze spojrzenie i podniosła się z kanapy.

— Roshas, psze pana — powiedziała, sepleniąc. — Ale najpierw daj mi się przebrać. Chcę nałożyć swoją nową spódniczkę.

Tony westchnął i z powrotem usiadł.

— Dobra, ale się pośpiesz.

Ned chwyciła jedną ze swoich tajemniczych toreb z zakupami i skierowała się na górę, do łazienki. Gerwazy w zamyśleniu obserwował Tony'ego.

— No co? — warknął Tony.

— To dobra dziewczyna, ta twoja Ness. Powinieneś być dla niej odrobinę miłszy. Jak nie będziesz uważał, to ją stracisz.

— Jezu Chryste! — wybuchnął Tony, w końcu tracąc cierpliwość. Czuł, jak od środka roznosi go furia. — O co ci, kurwa, biega, co? Nie masz własnego życia, żeby się o nie martwić? Co? Nie możesz prześladować własnej rodziny? No i co to za gównno, co przed chwilą ze mną wyprawiałeś... to z tą *głową* i w ogóle? — Z wściekłością złapał się za włosy. — I co, do diabła, jest między tobą i Ness, co? Ciągłe się do niej kleisz, ciągle wyskakujesz z tym „moja cudowna” i w ogóle. I nie myśl sobie, że nie zauważyłem, jak się gapisz na jej nogi, koleś. To znaczy, kurwa, *o co tu chodzi? Kim ty, do diabła, jesteś?*

— Tony! — powiedziała Mama, wchodząc do salonu z dwoma kubkami kawy. — Co tu się wyrabia?

— Nic, nic — rzucił szybko Tony, rezygnując z odgrywania wielkiego-złego-faceta i lądując z rozdrażnieniem na fotelu. — Nic, ja tylko... No nic.

— Myślę, że Tony się tylko zastanawia, co ja tu w ogóle robię i kim jestem, Bern. Ale kto może mieć mu to za złe? To jest przecież pytanie, które sam sobie zadaję. Często.

— Dobra — powiedziała Ness, wchodząc do salonu ubrana w spódniczkę, która była nawet krótsza od tej, jaką wcześniej miała na sobie, a to już było pewne osiągnięcie. — Idziemy.

— Czy ty masz faktycznie zamiar iść w tym? — spytał Tony, gapiąc się z niedowierzaniem na jej nogi.

— Tak. A co?

— A to, że chyba to trochę *krótkie*, nie sądzisz?

— Daj spokój, Tony. Patrz tylko na te nogi — powiedziała Bernie. — Są niesamowite. Ness powinna je pokazywać.

— Może dziesięć lat temu — mruknął pod nosem.

— O Jezusie, Tony. — Ness uniosła brwi prawie pod sam sufit.

— Jesteś dzisiaj naprawdę w parszywym humorze, co? W porządku — zwróciła się do Bernie i Gerwazego. — Zabieram stąd tego smutasa. Do zobaczenia wkrótce. No chodź, stara marudo — skinęła dłonią na Tony'ego, który z westchnieniem podniósł się z fotela.

Jechali do Roba i Trishy niemal w zupełnym milczeniu. Tony wiedział, że zachował się jak dupek, i w głowie miał mnóstwo przeprosin, ale jakoś nie mógł dokonać ich transferu do aparatu mowy. Nienawidził tego, że Ness tak się zachowuje. Obojętnie, co by powiedział albo jak się czuł, albo jak idiotycznie by się zachowywał, ona to po prostu ignorowała. Była jak ludzki teflon — wszystko po niej spływało. Gdyby tylko czasem się wkurzyła. Gdyby pokazała, że czuje się dotknięta. Żeby choć raz powiedziała: „Słuchaj, Tony, nie zasługuję na to, żebyś mnie tak traktował. Odchodzę”. Ale nigdy tego nie robiła, tylko mierzwiła mu włosy, nazywała marudą i sprawiała, że czuł się jak zupełnie normalny człowiek.

I pewnie dlatego wciąż jeszcze ze sobą chodzili. Każda normalna kobieta już dawno by go zostawiła. Ale nie Ness. Ness go tylko ciągle, ciągle i wciąż kochała. Miała niewyczerpane zasoby miłości. Nie tylko dla niego. Dla każdego. Dla jego rodziców, dla taksówkarzy, psów przywiązanych przed sklepami, ludzi w telewizorze, dla *Gerwazego*. Była jedną wielką maszyną wydzielającą miłość. A on, Boże, on mógłby się w tej chwili bez tego obyć. Obyć się bez *niej*.

Wcale nie potrzebował wielkiej maszyny dyszącej miłością. Chciał kobiety, która nie zgadzała się na jego wybryki, która by go zmusiła, żeby się zachowywał jak porządny, uczciwy człowiek. Chciał ciężarnej kobiety z humorami, miodową skórą, mieszkaniem pełnym pięknych przedmiotów. Gdyby tylko był z Millie, myślał sobie, to nadal byłby szczupły, nosiłby eleganckie ubrania, i nieważne, w jakim byłby nastroju ani jak ciężki miałby dzień, to wracając do Millie, do domu, zawsze byłby szczęśliwy. Gdyby był z Millie, byłby innym człowiekiem. Wszystko w nim byłoby zupełnie inne. Wszystko byłoby *lepsze*. Samo przebywanie w jej obecności już wystarczało, żeby czuł się jak zupełnie nowa osoba.

A bycie z Ness sprawiało, że czuł się jak największy, żaloszny złamas znany ludzkości.

— Tony — powiedziała Ness, przerywając ciszę. — Wiem, że to pewnie nie najlepszy moment, żeby o tym wspominać. Wiem, że jesteś w kiepskim humorze, ale powiedzmy sobie szczerze, gdybym czekała, aż będziesz w dobrym nastroju, żeby z tobą o czymkolwiek pogadać, to już byśmy się do siebie w życiu więcej nie odezwali. Ale tak sobie myślałam. Wiesz, nie

za często możemy się ostatnio spotykać, prawda? A ty jesteś strasznie zajęty w pracy. No więc, naprawdę za tobą tęsknię. Bóg wie dlaczego, ale tak jest. No i tak sobie myślałam, że jesteśmy już ze sobą od ponad roku i może już czas, no wiesz, może czas, żeby *zamieszkać razem*?

Tony przyjął to pytanie, przeżuwał je powoli i ostrożnie, jak wielki kawałek naprawdę twardego mięsa. Spokojnie, myślał, tylko nie wpadaj w panikę. Tylko nie panikuj. Po prostu powolutku skinął głową, tak jakbyś się nad tym zastanawiał, no i nic nie mów.

— To jak myślisz? To znaczy, mam już dosyć tego życia w jednej torbie. No i nie musielibyśmy tak się wysilać, żeby się móc spotkać. Bo po prostu *bylibyśmy* już na miejscu... To by naprawdę bardzo ułatwiło życie...

Tony znów powoli skinął głową, hamując pokusę, żeby otworzyć szeroko drzwi i rzucić się szczupakiem ze swojego pędzącego samochodu.

— Hmm — mruknął. — Muszę to przemyśleć Ness uśmiechnęła się szeroko i uściśnęła jego udo.

— Tak, pomyśl o tym. Nie spiesz się.

Tony zdobył się na krzywy uśmiech. Żałował, że nie jest martwy.

PRZEKAZANIE PAŁECZKI

Ned zwinął włosy Moniki, włożył do brązowej koperty i dokładnie ją zakleił. Potem wyjął elegancką papeterię Mamy i napisał taki oto list:

Poniedziałek, 30 kwietnia

Drodzy Państwo Riley,

Witam, jestem Ned, chłopak Moniki. To znaczy, mówiąc ściśle, jej były chłopak. Niestety, nie bardzo się nam z Monicą ułożyło. Jak Państwo wiecie, Monica miała wiele problemów, żeby się przystosować do życia w Australii, no i prawdę mówiąc, do życia w ogóle, i to bardzo źle wpłynęło na nasz związek. Tak więc kilka tygodni temu skończyłem wszystko między nami i wróciłem do Anglii. Wciąż czuję się z tym bardzo niedobrze i mam poczucie winy. Monica jest osobą nieco niezrównoważoną i naprawdę się o nią martwię. W Oz nie ma zbyt wielu życzliwych ludzi — ma znajomych, ale nikogo, kto by był gotowy całkowicie się nią zająć, a jak Państwo sami wiecie, ona potrafi być dosyć trudna.

Ale teraz martwię się nawet jeszcze bardziej. Odkąd wróciłem do domu Mon przysyła mi paczki. Bardzo dziwne paczki. Są w nich jej włosy, jej rzęsy i inne (niecielesne) części jej ciała.

I prześlada mnie takimi naprawdę wulgarnymi wiadomościami tekstowymi na komórkę. Nie wygląda na to, żeby miała przestać i chociaż część mnie naprawdę chce do niej zadzwonić i porozmawiać z nią, i wszystko wyjaśnić, to wiem, że to by pogorszyło sytuację. Ona jest ode mnie naprawdę uzależniona i gdybym do niej zadzwonił, dałoby jej to tylko to, co chce uzyskać — czyli moją uwagę.

Więc pomyślałem, że może lepiej będzie, jeśli Państwo się tym zajmiecie. Ona naprawdę oboje Państwa bardzo szanuje, wiem o tym, i to byłby dla niej prawdziwy szok, gdyby się dowiedziała, że jesteście świadomi jej zachowania. Żeby być zupełnie szczerym, wciąż uważam, że najlepiej by dla niej było, gdyby wróciła do domu i spędziła trochę czasu ze swoją rodziną.

W każdym razie przecież nie muszę Państwu mówić, co macie robić. Ona jest Waszą córką i ponosicie za nią odpowiedzialność. Wiem, że zrobicie Państwo to, co słuszne.

I naprawdę mam nadzieję, że wszystko się dla Moniki jak najlepiej ułoży. To wspaniała dziewczyna i bardzo ją kocham.

Załączyłem jej włosy. Pomyślałem, że może lepiej będą u Was niż pod moim łóżkiem.

Z wyrazami szacunku Ned London

Ned złożył kartkę, wsunął do koperty i wsadził razem z włosami do dużej wspólnej laminowanej koperty. Zakleił ją i wrzucił do plecaka. A potem włożył kurtkę, wyszedł z domu i wrzucił przesyłkę do pierwszej napotkanej po drodze skrzynki. W momencie, gdy koperta wpadła do czarnej dziury, odetchnął z ulgą.

Odeszła.

Mon odeszła. Ona, i jej złość, i jej neuroza, i jej paranoja — należały teraz do kogoś innego. Do ludzi, którzy ją stworzyli. I po raz pierwszy, odkąd trzy lata temu ujrzał Monicę na Leicester Square, Ned był wolny.

Przewiesił sobie plecak przez ramię i ruszył do autobusu numer 68. W jego krokach było coś więcej niż tylko energia wiosny. Czuł się tak, jakby spadł z niego wielki ciężar. Był w euforii.

Wybierał się do centrum, na spotkanie w agencji pośrednictwa pracy, którą polecił mu Tony. Podążał ku swej nowej, jasnej, wolnej od Moniki przyszłości.

Najwyższy czas, żeby skierować życie na właściwe tory.

TEST Z MASZYNOPISANIA I ORIGAMI

— Więc — powiedziało dziewczę imieniem Emma w wydekoltowanej bluzeczce z falbankami, wyglądające na nie więcej niż trzynaście lat — opowiedz mi o swoich doświadczeniach.

Ned poprawił się na krześle. Doświadczeniach. No cóż, myślał, to może oznaczać wiele rzeczy. Na przykład, mógłbym ci opowiedzieć o tej piątkowej nocy, którą spędziłem z bandą czterdziestoletnich rockabillych i tak się schlałem, że wypadłem z rabina relianta i wylądowałem w końskim gównie.

Albo też mógłbym ci opowiedzieć o mieszkaniu z palącym nałogowo, plującym flegmą, wytatuowanym nieznajomym, który potrafi zobaczyć moje najgłębsze lęki i który wydaje się jedyną osobą na świecie, która naprawdę mnie rozumie.

Mógłbym ci też opowiedzieć o tym, jak dziś rano otworzyłem paczkę, która zawierała zużyty tampon mojej byłej dziewczyny. To było miłe.

Albo mógłbym opowiedzieć o tym wieczorze, kiedy to umówiłem się z moją nawet bardziej byłą dziewczyną i dowiedziałem się, że ona jest zakochana w facecie imieniem *Drew*, który zabiera ją na wakacje do Zanzibaru.

A może wolisz o tym, jak się napalam na dziewczynę mojego brata, i to tak bardzo, że zacząłem walić konia po trzy razy dziennie i fantazjować o mieszkaniu z nią w Beckenham? *Hmm, czy te doświadczenia cię satysfakcjonują?* — chciał zapytać. *Czy to wystarczy?*

— Eeee... — Podrapał się po głowie, stwierdził, że to może wyglądać nieprofesjonalnie, i zmienił to w gest poprawiania włosów. — Przez kilka miesięcy po obronie dyplomu pracowałem w Sotheby's.

Emma i jej piersi potaknęły ze zrozumieniem. Kiedy tak usilnie myślał nad czymś, co by zrobiło wrażenie, Ned czuł, jak oczy zaczynają mu łzawić.

— No a potem kontynuowałem karierę w sprzedaży.

— Aha. Jaki to był rodzaj sprzedaży?

— No cóż... — Otworzył wrota swego umysłu i starał się wydobyć na powierzchnię odpowiednie informacje. — Muzyka. No... żywność. Ubrania. Sztuka. Meble. A tak, i jeszcze antyki. Dużo czasu spędziłem, pracując w antykach.

Emma uniosła jedną brew i spojrzała na jego CV.

— To widzę — skomentowała. — To ta praca dla G. London, Esq.

— Tak, zgadza się. To mój tata. Uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

— A potem, jak widzę, wyjechałeś do Australii?

— Tak, w dziewięćdziesiątym ósmym.

— A czym się zajmowałeś w Australii?

— No, eee... w *sprzedaży* pracowałem, głównie. Znow się uśmiechnęła i skinęła głową.

— Sprzęt sportowy. Sztuka. Żywność. Trochę pracowałem w barze. No i jeszcze w kafejce internetowej, kilka miesięcy przed powrotem.

— A jakiego typu stanowiska zajmowałeś w tych rozmaitych miejscach zatrudnienia?

Jezu, myślał. To jakiś koszmar. Totalny koszmar. Wydawało mu się, że jego CV wszystko załatwi. Przecież tam było to dokładnie napisane, każdy żalosny szczegół jego opóźnionej w rozwoju zawodowej kariery. Po co mu jeszcze zadawała te straszne pytania? Przebiegł myślami przez wszystkie miejsca pracy, starając się odszukać choćby jedno, w którym wzniósł się ponad stanowisko „kolesia, który tu robił przez sześć miesięcy i odszedł, zanim było wiadomo, kto to jest”.

— O, zazwyczaj byłem konsultantem — powiedział, wściekle kiwając głową. — Rozumiesz, wolę być u źródeł, trzymam się tego poziomu. Lubię ten osobisty kontakt z klientem. To znaczy, *lubiłem*, tak lubiłem. Oczywiście teraz, kiedy już sobie popodróżowałem, poszukuję czegoś bardziej... no, *konkretnego*. Rozumiesz...? — Potarł dłonią swoją świeżo ogoloną brodę i zmrużył oczy.

— O tak, oczywiście — powiedziała. — Widzę, że chcesz iść do przodu. A jaki rodzaj awansu zawodowego i rozwoju swojej kariery masz na myśli?

— Cóż, *idealnie*, to chciałbym odejść od sprzedaży, przejść do czegoś bardziej... — Chciał powiedzieć *dorosłego*. *Chcę roboty dla prawdziwego faceta, z toną gotówki, sekretarką i podróżami służbowymi, jeśli można*. — Do czegoś bardziej... No, powiedzmy w ten sposób: nie jest moją życiową ambicją zostanie kierownikiem sklepu. Nie, żeby w byciu takim kierownikiem było coś złego. Ale sama wiesz, te wszystkie klucze, praca w soboty, to po prostu... — Zatrzymał się i głęboko odetchnął. — Wolałbym bardziej jakiś rodzaj pracy biurowej. Coś.

— Dobrze. — Zrobiła notatkę na kawałku papieru. — A jakie masz doświadczenia, które mogłyby być przydatne w środowisku biurowym?

— Umiem obsługiwać komputer.

— Doświadczenia z IT*?

— O tak. Znam się na komputerach.

— Wziąłbyś pod uwagę pracę pomocnika IT?

IT — czy to nie są ci skuleni faceci bez dziewczyn, którzy nienawidzą każdego, kto nie wie o komputerach tyle, co oni? Faceci, którym płacono za to, żeby mówili przerażonym sekretarkom, że mają od nowa zainstalować do komputera cały system za każdym razem, kiedy coś było nie tak? No *nie*, dzięki bardzo, pomyślał Ned. Uprzejmie dziękuję.

* IT — Internet Technology; tu chodzi o technika informatyka.

— Tak — powiedział, starając się brzmieć pozytywnie. — Oczywiście, że bym wziął pod uwagę.

— Świetnie. A jak tam twoje maszynopisanie?

— No, potrafię pisać na komputerze. Nie uczyłem się tego ani nic takiego, ale idzie mi całkiem sprawnie.

Uśmiechnęła się — jak się wydawało — z autentyczną radością.

— Cudownie! To chodźmy. Zrobimy ci mały test, dobrze?

— Test?!

Ted nerwowo przełknął. Dlaczego każą mu zdawać jakiś test? Przecież nie chciał *być* sekretarką — on chciał *mieć* sekretarkę.

Emma wstała, uśmiechnęła się rozbrajająco i poprowadziła go przez ekskluzywne biuro do malutkiego, budzącego złe przeczucia pokoiku, w którym stało biurko, krzesło i samotny komputer. Ned poczuł, jak strach ściska mu gardło. Wpadł w panikę. To było tak, jakby mu kazali usiąść do egzaminu, do którego nie zrobił powtórki. Test. Cholera. Poza egzaminami na uczelni nie pamiętał, kiedy ostatnio rozwiązywał jakiś test — chyba to był test na prawo jazdy, kiedy miał siedemnaście lat, a było to najbardziej przerażające doświadczenie w jego życiu. Kiedy się teraz nad tym zastanowił, Ned uświadomił sobie, że najlepsze w starzeniu się było to, że nie trzeba już więcej zdawać żadnych testów.

Emma kliknęła myszką i otworzyła program zwany „Test maszynopisania Trish”, który prowadziła animowana kobieta w grubych okularach, z dorysowanymi dołeczkami i fryzurą przypominającą budyń.

— Cześć — odezwała się z elektroniczno-amerykańskim akcentem. — Jestem Trish. Wi-

taj w moim teście. Proszę, przyjmij wygodną pozycję.

— W porządku — powiedziała Emma. — Teraz cię tu zostawię. Po prostu wykonuj polecenia podane na ekranie. I nie przejmuj się, jak coś sknocisz. Wtedy po prostu zrestartuj program i zacznij od nowa. Dobra? — Błysnęła do niego zębami, a on jej odbłysnął swoimi.

Kiedy wyszła w pokoiku, Ned czytał instrukcje i gimnastykował palce. No dobra, myślał, test pisania. Żaden problem, mogę zrobić test pisania. Na ekranie Trish uśmiechnęła się do niego wkurzająco, przyniosła mu jakiś tekst i takim naprawdę denerwującym, protekcjonalnym tonem kazała mu się zrelaksować, wyluzować i w trakcie pisania nie robić żadnych poprawek. Malutki zegar zaczął odliczać sekundy, a Ned poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła z przerażenia. Wziął głęboki oddech i zaczął pisać.

Gdzieś tak w połowie zaklął i otarł pot z górnej wargi. To jest beznadziejne, myślał absolutnie odrażająco. Ręce mu kompletnie zdrętwiały. W pewnym momencie mózg zupełnie przestał z nimi współpracować i Ned po prostu siedział, wycieńczony, z palcami zawieszonymi nad klawiaturą, czekając na kolejne instrukcje z centrali dowodzenia. Usiłował zapamiętywać całe zdania, tak żeby nie musieć spoglądać na okienko z tekstem, tylko skupiać wzrok na klawiaturze, ale nie był w stanie utrzymać w myślach więcej niż trzy słowa naraz.

Po pięciu minutach oto, co miał na ekranie:

W isiejszym świecie odkrywamy n nowo zmys powinienia. Pienierami sa młodzi, którzy zdali sobie sprawę, że ansz zmysł powonienia można przyuczyć, by był tak wrażliwy na przyjemności i dosiwiadczzenia, jak nasze pozostałe zmysły. Nauczyli się otaczać zapachami na skalę, której świat Zachodu nie znał od setek, a może nawet tysięcy lat. Młodzież używa zapachów z tekim samym upodobnaaniem jak to robili ludzie w starożytności, na długop zred narodzinami Chyrystusa. Współzesnie mają jednak przewagę nad żyjącymi w antyku. Żyjąc w drugiej części dwudziestego wieku, mają możliwość cieszeniz się zapachowymi porduktami na wcześniejszej nie soptykaną skalę

Pięć minut — żeby przepisać 95 wyrazów. To było... to było... gówno. Nawet sam nie wiedział, jaki to wynik, ale był z pewnością beznadziejnie żaloszny. Odetchnął głęboko, rzucił Trish zimne spojrzenie mówiące „ze mną, kurwa, nie zadzieraj”, i... zaczął od nowa. Tym razem zajęło mu to pięć minut i dwadzieścia sekund. Trzecie podejście zajęło sześć minut i jedenaście sekund, i właśnie miał zamiar zacząć po raz czwarty, kiedy Emma weszła do pokoiku.

— No — powiedziała, patrząc na niego w sposób sugerujący, że w jego umiejętnościach maszynopisania pokłada prawdziwą wiarę. — Jak ci poszło?

— Ehm... chyba nie za dobrze, coś mi się wydaje. — Ned podrapał się po głowie.

Emma usiadła i pozostała stoicko nieporuszona jego idiotycznymi pomyłkami i mizernymi wynikami, podliczając je z tak pozytywnym podejściem, jakby wciąż wierzyła, że Ned może być jakimś ukrytym geniuszem maszynopisania.

— Cóż — powiedziała, zapisując coś i uśmiechając się do Neda. — Biorąc pod uwagę, że to twój pierwszy test, to powiedzmy, wyszło mniej więcej dwadzieścia pięć słów na minutę. Ale wiem, jakie te testy potrafią być stresujące. To co, przyjmijmy, że masz trzydzieści pięć słów na minutę?

— Tak — zgodził się Ned, chcąc paść przed nią na kolana, wtulić głowę w jej podołek i nigdy nie dać jej odejść. — O tak. To będzie świetnie.

— Dobrze — wstała od komputera. — W porządku, to teraz wróćmy do mojego pokoju i postaramy się coś dla ciebie znaleźć.

Dwie godziny później Ned znalazł się w recepcji firmy płytowej, w bok od Soho Square. Emmie rzeczywiście udało się znaleźć mu „coś”. Tyle że choć Ned tak cholernie chciał znaleźć dla siebie dobrze płatne zajęcie i zacząć naprawiać swoje życie, nie był gotowy, by zrobić to jeszcze tego samego dnia. Nie był psychicznie przygotowany na to, żeby zaczynać swoje nowe życie tak od razu. Chciał mieć jeszcze jeden dzień, żeby się poobijać i nic nie robić. No, może dwa.

Przecież gdyby wiedział, że od razu zacznie pracę, to by się inaczej ubrał, pewnie miałby na sobie inne slipki, inne buty. Z drugiej strony, myślał, to jednak 8, 50 funtów za godzinę. Nie powinien narzekać. A praca i tak była tylko na tydzień. Może do piątku skończy im się dla niego zajęcie i będzie miał przed sobą długi weekend.

— Ned London? — Do recepcji wszedł facet około czterdziestki, z fryzurą typu Hoxton Fin*, ubrany od stóp do głów w Diesla, z twarzą wyrażającą absolutną i całkowitą obojętność. Ned podejrzewał, że przyjmowanie w recepcji tymczasowych pracowników było tym, czego facet nienawidzi najbardziej na świecie. — To ty jesteś z agencji, tak?

— Tak. Z agencji. Cześć. — Ned podniósł się i wyciągnął dłoń na powitanie.

— Cześć. Dobra. Już prawie pora lunchu. A jest od zajebania roboty. Będziesz musiał nieźle sprężyć dupę. Tędy.

* Hoxton Fin — fryzura męska modna w Londynie na początku lat 90.

Jezu, myślał Ned, idąc za nim po korytarzach obwieszonych złotymi płytami i plakatami, a *tego* co ugryzło? Przecież to nie moja wina, że już prawie pora lunchu. Nie moja wina, że facet nie jest na tyle zorganizowany, żeby mieć kogoś do pracy *od rana*.

Wszystko, co Emma powiedziała mu o tej robocie, to że będzie pracował w dziale PR i pomagał im przy „bardzo ważnym projekcie”. Ned wyobraził sobie od razu ogromne, otwarte biuro, pełne ślicznych dziewczyn z biznesu muzycznego, które odbierają telefony i rozmawiają z dziennikarzami z „Q” i „NME”. Wyobrażał sobie, że wręczają mu listę dziennikarzy, a on ma ich wszystkich obdzwonić i gadać z nimi o tej rewelacyjnej nowej kapeli, i starać się umówić na wywiady i organizować sesje zdjęciowe.

— OK — rzucił Hoxton Fin, który do tej pory nawet się mu nie przedstawił. — W tym tygodniu będziesz pracował tutaj. — Otworzył drzwi do czegoś, co wyglądało jak magazyn na pudła, i zapalił światło. Okazało się, że faktycznie był to magazyn na pudła. — No to tak. W końcu czerwca mamy trzy duże premiery. Jeden album, dwa single. Pakiety prasowe muszą się znaleźć na biurkach dziennikarzy najpóźniej do poniedziałku, albo mamy przejebane. OK? No więc...

Zaprowadził Neda w kąt pomieszczenia, otworzył nożykiem duże tekturowe pudło i wyjął z niego ciemnoniebieską kartkę z logo firmy.

— Zaczynasz od kompletowania folderów. — Zgiął kartkę na pół i w ten sposób zrobił z niej folder. — Są wszystkie w tych pudłach. W sumie powinien być tysiąc. Jak by się okazało, że ci zaczyna brakować, *natychmiast* daj komuś znać. Potem musisz do nich dołączyć informację dla prasy. — Otworzył kolejne pudło i wyciągnął z niego wielki firmowy pakiet Kodaka pełen zdjęć jakiegoś dwunastolatka z wyżełowanymi włosami, obwieszonego biżuterią. — Biografia na samym spodzie, na to notka informacyjna, potem zdjęcie, płyta CD, no i wizytówka firmy. Wizytówki musisz przyczepić zszywaczem o tutaj. W porządku? — Zamknął gotowy folder i spojrzał na Neda podejrzliwie, jakby z góry się spodziewał, że usłyszy coś w rodzaju „nie, wcale nie w porządku, zdjęcie powinno być pośrodku”.

Ned wzruszył tylko ramionami i potaknął.

— OK — powiedział.

— Dobra. Fajno. Jak już zrobisz to wszystko, co jest tutaj, to wtedy znajdź *mnie* — wskazał na siebie palcem, na wypadek gdyby Ned miał jakieś wątpliwości, o kim mówi. — Siedzę w tym pokoju po drugiej stronie korytarza. OK? Jest tam też fotokopiarka, jakby ci zabrakło tych notek dla prasy. Automat z kawą za rogiem, po lewej. Toalety na półpiętrze, tam,

skąd przyszliśmy. Jasne? OK?

— OK.

— To dobra. — Hoxton Fin spojrział na Neda zdziwiony, jakby dopiero teraz zauważył, że to żywy, czujący człowiek, wsadził ręce do kieszeni swoich modnych portek i wyszedł.

Ned rozejrzał się wokół zrozpaczony. Było tu strasznie. Nawet nie było okna. A na zewnątrz akurat taka śliczna pogoda, typowy dzień budzącej się wiosny, kiedy chcesz otworzyć na oścież wszystkie okna i czuć słońce na twarzy. A on jest zamknięty w tym pokoju pełnym tekturowych pudeł i ma składać tysiąc pakietów prasowych dla jakiegoś ulizanego dupka z fryzurą, która była modna dziesięć lat temu. Cudnie. Czy ci ludzie, którzy pracują w agencjach zatrudnienia, mają jakiegokolwiek pojęcie o tym, do jakich miejsc wysyłają swoich klientów? Siedzą sobie w tych swoich ślicznych, jasnych biurach, są bardzo mili i szeroko się uśmiechają. Usypiają twoją czujność, dają ci poczucie przynależności, bezpieczeństwa, a potem posyłają cię w dziwne, wrogie miejsca pełne nieprzyjaznych ludzi, gdzie masz być najniższą z istniejących form życia: pracownikiem tymczasowym.

Wyjął kartkę folderu z pudła, przyglądał jej się przez chwilę, po czym zgiął na pół, jak mu kazano. Cholera — to nawet nie było trudne. Było zajebicie łatwe. Nie miał przed sobą nawet takiego wyzwania, by opanować jakąś skomplikowaną sztukę składania papieru w stylu origami. Kucnął na podłodze i spuścił głowę między kolana. No więc proszę bardzo. Oto pierwszy dzień wspaniałego, nowego, dorosłego życia Neda Londona. Siedzi zamknięty w magazynie, składa kartki na pół, zupełnie jak wtedy, kiedy pracował w Benettonie w 1995.

Podniósł się i starał spojrzeć na to pozytywnie. Pomyśl o swoim CV — wmawiał sobie. O tym, jak będzie na nim wyglądała praca w Electrogram Records. I nie wiesz, na kogo możesz wpaść przy automacie do kawy. Możesz się komuś spodobać, może ci zaproponować porządną pracę, z biurkiem. I oknami. Nigdy nie wiadomo. To tylko początek, myślał. Gówniany, ale przynajmniej jakiś start.

Poszedł do automatu i kupił sobie gorącą czekoladę, a kiedy wrócił, złożył kolejny folder, zastanawiając się, gdzie też ów wyjątkowo nieszczęsny rozdział w jego życiu może go zaprowadzić. Składał następne foldery, a jego myśli powędrowały ku obrazom, które tak niesamowicie przeraziły go w piątkowy wieczór w Wood Green — będzie patrzeć, jak Simon gra w kręgle, obetnie sobie włosy jak Gerwazy. Teraz do tej wersji swej świetlanej przyszłości mógł jeszcze dodać samotne siedzenie przez cały dzień w pokoju bez okien i zginanie kawałków papieru. Westchnął, pociągnął nosem i złożył kolejny folder.

PIĘTNAŚCIE KAMIENI I TRZY FUNTY

— OK, Tony. Czy mogę cię teraz prosić, żebyś zdjął buty i stanął na wadze?

Tony kucnął na jedno kolano, żeby sobie rozwiązać sznurówki, i zastanawiał się, czy aby nie skorzystać z okazji, jaką daje mu ta startowa pozycja, żeby się mocno odbić, ruszyć sprintem do drzwi i nie przestać biec, dopóki nie dotrze do domu.

Zdjął jednak buty i powoli zaczął wchodzić na wagę. Stało się. Nie ważył się, odkąd przestał chodzić na siłownię, czyli od jakichś osiemnastu miesięcy. Wtedy miał trochę ponad dwanaście i pół kamienia*. W swoim mniemaniu odkąd poznał Ness, mógł dojść nawet do około piętnastu kamieni, ale po sobotnich komplementach Gerwazego zaczął mieć nadzieję na jakieś czternaście, no, może czternaście i pół.

Wziął głęboki oddech i postawił na wadze drugą stopę. Jan przesuwając metalowe miarki po skali, aż się zrównoważyły.

I oto straszna prawda boleśnie zakłuła go w oczy.

Piętnaście kamieni i trzy funty**.

* Kamień (ang. *stone*) — brytyjska miara wagi. 1 kamień = 6,35 kg. Tony ważył wtedy około 80 kg.

** 1 funt = 0,453 kg. Zatem Tony waży teraz 96,5 kg.

Piętnaście kamieni i trzy funty.

Tony poczuł, jak krew napływa mu do głowy. To znaczyło, że zanim zaczął tracić na wadze, musiał mieć grubo ponad piętnaście i pół kamienia. Mój Boże — był niesamowicie gruby.

— No więc — mówiła Jan, kompletnie nieświadoma jego traumy. — Prawie dziewięćdziesiąt siedem kilo — wpisała tę przerażającą liczbę do formularza, który wypełniała. — A jaka jest twoja idealna waga?

— Cóż — odparł, schodząc na podłogę z ciężkim sercem. — Rok temu ważyłem około dwunastu i pół kamienia. Chętnie bym do tej wagi wrócił.

— OK. — Tę informację też zapisała. — To brzmi jak zupełnie zdrowy i całkiem realistyczny cel. Biorąc pod uwagę twój wzrost i budowę.

— Już zgubiłem kilka funtów — powiedział, starając się wprowadzić jakiś pozytywny element do tego jak na razie bardzo poniżającego doświadczenia. — Tylko przez to, że mniej

piłem alkoholu, nie jadłem tak często, tego typu rzeczy.

— Dobra robota! — Rzuciła mu zachęcający uśmiech. — A teraz, gdybyś zechciał nałożyć buty i wypełnić kilka formularzy.

Tony szybko wypełnił rubryki — tyle razy pisał w życiu podobne rzeczy. Nie ma cukrzycy. Nie jest alergikiem. Nie ma problemów z sercem (no, przynajmniej takich, o których by wiedział). Nie przechodził poważnych operacji. Bla, bla, bla,

— Dobrze, Tony. Właśnie za chwilę zaczyna się spotkanie. Jesteś gotów, by do nas dołączyć?

— E... tak. Oczywiście.

— I nie denerwuj się tym, że jesteś mężczyzną, Tony. Teraz mamy już w grupie kilku chłopaków. Poprawiło się, odkąd daliśmy Bryana na plakaty. Nawet dzisiaj będzie jeden.

Tony uśmiechnął się do niej nerwowo.

— A po spotkaniu może mógłbyś zostać jeszcze na kilka minut? Tak tylko, żeby pogadać. Pierwszego tygodnia lubię poznać nową osobę, może dowiem się więcej o tym, co sprawia, że tyjesz. A ty z kolei możesz się więcej dowiedzieć o nas. OK?

— Tak — zgodził się Tony. — Nie ma problemu.

Jan pchnęła drzwi. Oto ona. Grupa. O Boże. Około dwunastu osób. Wszyscy grubi. Rozgadani, jakby znali się od lat. Wyjątkowo obleśny facet w czerwonej bluzie podniósł głowę i radośnie się do niego uśmiechnął.

— Alleluja! — zagrzmiął strasznie donośnym głosem, co sugerowało, że był człowiekiem, który wszystko mówił strasznie donośnym głosem. — Facet! Dzięki niech będą Allahowi. Ocal mnie. Ocal mnie od tych wszystkich nieznośnych kobiet.

Nieznośne kobiety spojrzały na kolesia w czerwonej bluzie tak, jakby przywykły już do tego, że jest wulgarny i chamski. Czerwona Bluza poklepał puste krzesło obok siebie.

— Chodź, siadaj tutaj — zakomenderował. — My, faceci, musimy się trzymać razem.

Tony błagalnie spojrzał na Jan, jakby chciał powiedzieć: „Ciociu Jan, proszę, nie każ mi siadać obok tego wstrętnego, obleśnego pana, *proszę*”. Ale Ciocia Jan tylko się do niego radośnie uśmiechnęła i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Słuchajcie. To jest Tony. Tony jest nowym członkiem naszego klubu, więc postarajcie się, by czuł się tu dobrze.

A potem popchnęła go w kierunku tego pustego krzesła obok Czerwonej Bluzy. Tony skrzywił się i poszedł na miejsce.

— Kelvin — powiedział facet, wyciągając tłustą łapę. — Miło cię poznać, Tony.

— Tak, nawzajem. — Tony, siadając, uściśnął mu dłoń, a Kelvin natychmiast pochylił się do jego ucha.

— Banda hipopotamic. Patrz tylko. Biedactwa.

Tony rozejrzał się po grupie kobiet z nadwagą, a potem spojrzął na jeszcze grubszego od nich Kelvina.

— Ale powiem ci, co mi się podoba w takich wielorybach — powiedział, puszcżając oko. — One są zawsze takie cholernie wdzięczne.

Tony rzucił mu przerażone spojrzenie.

— Nie jesteś tu po to, żeby schudnąć?

— Nie, oczywiście, że nie. Jestem tu dla tych ślicznych daaam.

— I już... czy już się z którąś *umówiłeś*?

Kelvin kilkakrotnie wzruszył swoimi olbrzymimi ramionami.

— Nie, jeszcze nie. Ale pracuję nad tą apetyczną Tonia — wskazał na wyjątkowo atrakcyjną blondynkę z niesamowicie długimi paznokciami.

Tony zamilkł i zastanawiał się, czy nie powinien uświadomić Kelvinowi, że ta Tonia to naprawdę rewelacyjna laska i że za diabła nie ma u niej szans, ale wtedy Jan zaczęła mówić i spotkanie się rozpoczęło.

Zupełnie szczerze Tony uznał to doświadczenie za całkiem ciekawe, choć trochę w stylu popularnego, telewizyjnego show. Ponieważ jeszcze oficjalnie nie brał udziału w programie, mógł więc potraktować całą sesję jako rodzaj lekkiej rozrywki. Zafascynowany słuchał o mrożącej krew żyłach przygodzie Toni, która w miniony weekend wybrała się z przyjaciółmi do TFI Friday i była już o włos od tego, by zjeść dosłownie wszystko, co było w karcie — bo TFI była jej absolutnie ulubioną knajpą — i jak jedynie myśl o Jan i grupie, i o tym, jak wielką pokładali w niej nadzieję, pomogła jej się powstrzymać. Był poruszony faktem, że Arabelli udało się jakoś przetrzymać cały tydzień, w którym zmarła jej stara matka, i nie przerwać diety — nawet podczas pogrzebu i stypy, gdzie było tyle do jedzenia. Za to biedna Jenny miała straszne doświadczenie. Przez miniony tydzień zjadła niemal całą gicz jagnięcą, plasterek po plasterku, z chlebem i masłem. Tony całkowicie ją rozumiał — zrobiłby dokładnie to samo, gdyby pod ręką leżała taka gicz. Jan zapewniła nieszczęsną, że zły tydzień nie oznacza złej osoby, że każdemu od czasu do czasu przytrafiają się wpadki i że następnym razem, kiedy zostanie jej w domu jakiś duży kawałek mięsa po imprezie, to powinna go od razu oddać psu.

Grupa niesamowicie wspierała każdego i nikt nikogo nie oceniał ani nie krytykował. Z wyjątkiem potwornego Kelvina były to wspaniałe i serdeczne osoby. Tony spodziewał się bandy świrów i był naprawdę mile zaskoczony tym, jak doskonale się tutaj czuł, wśród tych wszystkich kobiet o zdrowych apetytach i słabości do folgowania sobie. I mimo że prezentowały one te aspekty, których w sobie nie lubił, to nie miał żadnych przykrych odczuć wobec *nich*. Świadomość tego, że nie jest sam, że nie jest jedyną osobą na świecie, która jest w stanie systematycznie pokonać ćwiartkę owcy, gdyby tylko zostawiono ją samą z tym wyzwaniem i możliwością, podziałała na niego dziwnie uspokajająco.

Po spotkaniu, które trwało około pół godziny, on i Jan przeszli do jej maleńkiego biura i odbyli to, co ona nazwała „miłą pogawędką”, podczas której wypytywała go o prywatne życie, o to, czy mieszka sam czy z kimś, do kogo będzie się mógł zwrócić po pomoc lub wsparcie, o jego zwyczaje i nawyki żywieniowe, o to, jakie wykonuje ćwiczenia, czy uprawia sport. Potem dała mu skopiowane materiały i przepisy kulinarne, i powiedziała, że nie może się doczekać, kiedy zobaczą się w przyszłym tygodniu. A Tony musiał powstrzymać impuls, żeby jej nie uściskać i nie powiedzieć, jaka jest fantastyczna — bo naprawdę była. Dla Jan to było coś więcej niż praca; to była misja. Robiła to, bo czyniło ją to szczęśliwą.

Tony przrzucił materiały i przepisy i poczuł dreszczyk emocji. Czuł się wyświęcony, naenergetyzowany, podniesiony na duchu. Potrafi to zrobić, myślał sobie, wkładając płaszcz i kierując się do wyjścia. Da radę zbić wagę. Odnajdzie dawnego Tony'ego. Znowu może być szczupły i młody. Potrafi tego dokonać. To właśnie było to, czego potrzebował. Wiedział, że musi być jakiś powód, że podniósł wtedy tę ulotkę, kilka tygodni temu. Odnalazł swoje przeznaczenie. Całe jego życie może być w tej chwili pogmatwane, ale to jest coś, a właściwie to jest *jedyna rzecz*, nad którą on może w pełni zapanować.

Nad głową wciąż mu wisiała propozycja Ness. Tak, wyglądało to na całkiem proste do wykonania. Wystarczyło podnieść słuchawkę i powiedzieć: „No więc zastanowiłem się nad tym no i cóż, odpowiedź brzmi *nie*. Nie chcę z tobą zamieszkać”. To *brzmiało* prosto, ale nie *było* proste. A nie było proste, gdyż z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu on i Ness spędzili ze sobą wyjątkowo udany weekend. Nie zdarzyło się nic specjalnego, był to po prostu jeden z tych beztróskich, sympatycznych weekendów. Sobotni obiad u Roba i Trishy okazał się niespodziewanie miły i wesoły, a kiedy obudzili się w niedzielę rano, było tak wiosennie i słonecznie, że odbyli wyjątkowo fantastyczny seks, a potem pojechali do Dulwich na lunch w pubie (Tony zjadł tylko kanapkę tostową, zamiast pełnego niedzielnego zestawu pieczystego, któ-

ry zwykle zamawiał). Potem poszli sobie na bardzo długi spacer, a Ness była po prostu... no tak, była *sobą*. A jednak z jakiegoś powodu nie grała mu na nerwach, a Tony, dla odmiany pozwolił sobie na cieszenie się jej towarzystwem. Był to jeden z tych rzadkich i niepowtarzalnych dni. Chociaż jednak było tak miło, to niestety w gruncie rzeczy niczego nie *zmieniło*. W dalszym ciągu nie chciał z nią zamieszkać. Wciąż nie chciał wiązać się z nią na stałe. I wciąż chciał być z Millie. Tak naprawdę to przez większość czasu w ten weekend wyobrażał sobie, że Millie go obserwuje i myśli sobie, jak to świetnie jest być jego dziewczyną.

Z drugiej strony nie był jednak gotowy tego skończyć. Wedle jego doświadczenia, związku, kiedy ich czas mijał, zaczynały wydzielać pewien smrodek. Niemożliwe było precyzyjne wskazanie momentu, kiedy związek wchodził za ów zakręt bez powrotu, ale jeśli się próbowało za wszelką cenę skończyć go przed jego naturalnym czasem, w gwałtowny sposób, to wszystko brało w łeb, znów się łądowało razem, i znowu zrywało, i w rezultacie takie błędne koło mogło się kręcić bez końca. Nie, Tony był pewien, że z zerwaniem należało poczekać, aż związek będzie już tylko cuchnącym i gnijącym ścierwem. W ten sposób obie rozchodzące się strony czuły jedynie ulgę i nie miały żadnej ochoty, by się choćby odwrócić i obejrzeć przez ramię.

Jego małżeństwo z Jo zaczęło podśmierdywać na dobre kilka miesięcy przed tym, zanim go w końcu zostawiła. Oboje o tym wiedzieli i oboje uprzejmię to ignorowali, aż Jo nie zrobiła właściwej rzeczy i nie zakochała się w kimś innym. Jednak ten związek z Ness jeszcze nie osiągnął stadium gnijącego ścierwa.

Oczywiście, można się było spierać, że Tony jest nie w porządku wobec Ness, tak długo ją zwodząc. Miała dwadzieścia dziewięć lat, prawie trzydzieści. Chciała stabilizacji, pewnej przyszłości, dzieci — a każdy dzień spędzony z Tonym był dla niej stracony w poszukiwaniu własnego szczęścia. Ale tak naprawdę przecież to była jej własna wina. Tony nigdy w najmniejszym stopniu nie dawał jej do zrozumienia, że chce z nią być na zawsze. Był dla niej nieuprzejmy, wredny, nie zabiegał o nią. Nie powiedział jej nigdy, że ją kocha, nie kupował prezentów, nie rozmawiał o dzieciach i ślubie. Była inteligentną kobietą, a zatem dokonała świadomego wyboru, by przy nim tkwić, kiedy jej młodość bezpowrotnie mijała. Może ona też jakoś podświadomie czeka na ten smrodek, zastanawiał się Tony. Może to jest już taki niewidoczny, ostatni etap, a ta propozycja, żeby zamieszkali razem, kryje w sobie zamaskowane ultimatum. Może postanowiła, że jeśli on odmówi, to ona odejdzie? I dlatego właśnie nie mógł powiedzieć nie. Nie był jeszcze gotowy na puste weekendy i chodzenie w pojedynkę na wesela

i przyjęcia. Nie był gotowy, by być postrzeganym jako osoba samotna, ani przez Millie, ani przez kogokolwiek innego. Jeszcze nie teraz.

Kilka osób z grupy rozmawiało jeszcze na chodniku przed wejściem do centrum. Kelvin, który usiłował poderwać Tonię, podniósł wzrok, kiedy zobaczył Tony'ego wychodzącego z budynku.

— Idziemy się napić. Masz ochotę na jednego? Tony spojrzał na zegarek.

— No chodź — poprosiła Tonia, rzucając mu zdesperowane spojrzenie.

— OK — zgodził się, myśląc, że przez ten jeden wieczór może odegrać bohatera, pomagając Toni w odparciu obleśnych zalotów Kelvina. — Jeden szybki.

Weszli do winiarni o nazwie Bubbles urządzonej w jasnym, surowym drewnie. Tony nie spodziewał się, że istnieją jeszcze serwujące wino bary o takich nazwach, myślał, że wszystkie zniknęły podczas krachu ekonomicznego na początku lat dziewięćdziesiątych. Przypomniało mu się, jak miał niewiele ponad dwadzieścia lat, dopiero rozkręcał swoją firmę, ożenił się z Jo, był młody i bogatszy, niż mu się kiedykolwiek śniło. Przypomniał sobie, jak nosił garnitury od Hugo Bossa i co wieczór chodził z Jo na obiady do modnych restauracji pełnych facetów w garniturach Hugo Bossa, gdzie serwowano mikroskopijne porcyjki. Przypomniał sobie, jakie wspaniałe było wtedy życie i jak wiele stracił.

Już po kilku minutach Tony uświadomił sobie, że Tonia z nim flirtuje, ale choć widział, że jest niezwykle atrakcyjną i do tego autentycznie przemiłą kobietą, nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Popijał wino i zadawał Toni uprzejme pytania dotyczące jej życia. Okazało się, że ma trzydzieści trzy lata, mieszka w Balham, pracuje w teatrze, uwielbia etniczną kuchnię, nie lubi się odchudzać itd. I nagle Tony poczuł, jak ogarnia go potworne przygnębienie. Jak on się tutaj znalazł? Co się stało, że jego złote życie legło w gruzach?

Ale zaraz przypomniał sobie, że to jest jedynie pierwszy krok powrotny w kierunku słonecznego blasku i wspaniałych czasów. To dlatego tu był. Ponieważ jedyna osoba w całym świecie, która mogła mu zaoferować ten upragniony blask, siedziała właśnie samotnie w pięknym mieszkaniu w Paddington, a jego młodszy brat ściągał ją do rynsztoka. I ponieważ oni we dwoje mogli zdobyć cały świat i sprawić, by wszystko znów było złote. I dlatego, że nie było szansy, by ona go pokochała aż do chwili, kiedy on pokocha samego siebie. A on nie mógł kochać siebie takim, jakim był w tej chwili. Musiał być szczupły. To był jedyny sposób.

Upił kolejny łyk wina i uprzejmie spytał Tonię, czy była ostatnio na wakacjach.

NACHOS Z NEDEM

O siódmej we wtorek wieczorem kursor myszki komputera Seana krążył wokół polecenia „statystyka wyrazów”. Wstrzymał oddech i kliknął:

Strony 123

Wyrazy 28 981

Znaki (bez spacji) 130 554

Znaki (ze spacjami) 159 300

Akapity 772

Wiersze 2445

Prawie 30 000 słów. To już niemal jedna trzecia książki, mogłaby być nawet połowa, jeśli nie zacznie wszystkiego zbytnio komplikować. O kurwa. Uda mu się. Zdaży. Napisze swoją książkę. Wczoraj rano dostał od swego agenta nieśmiałego maila z pytaniem, jak się miewa jego manuskrypt i kiedy się go może spodziewać. Gdyby Sean dostał taką wiadomość jeszcze tydzień temu, wywołałaby w nim paroksyzm strachu i pewnie zaczęłyby się dusić. Ale w tej chwili tylko się do siebie uśmiechnął i spokojnie wystukał odpowiedź, informując agenta, że aczkolwiek może troszkę przekroczyć ustalony termin, to jednak wszystko się rozwija naprawdę dobrze i w lipcu powinien mieć już całość. Pracował na okrągło. Od tygodnia w ogóle nie widział Millie, w ogóle *nikogo* nie widział. Pisał do bardzo późna w nocy, kładł się spać, kiedy już prawie świtało, wstawał też późno i zaczynał cały proces od początku. Nawet nie oglądał telewizji.

Millie oczywiście nie była zbytnio zachwycona takim obrotem rzeczy, ale szczerze mówiąc, gównu go to obchodziło. Już i tak raz odłożył dla niej swoją karierę, ba, odłożył dla niej na bok całe swoje *życie*. Wy tłumaczył jej dokładnie, przez co teraz przechodzi, że ma wenę, jest w ciąży, i że jeżeli w tej chwili ruszy się z miejsca, wszystko znowu może się zahamować. Powiedziała, że oczywiście doskonale go rozumie, ale jej ton sugerował, że wcale tak nie jest.

— A kiedyż to mogę się spodziewać, że cię zobaczę? — spytała tą swoją nienaganną, wytworną angielszczyzną.

— Nie wiem — odparł. — Kiedy będzie wyglądało na to, że doszedłem do momentu „naturalnej przerwy”.

Niemal mógł usłyszeć w jej głosie podtekst: „Ależ ja jestem w ciąży. Cóż na całym świecie może być ważniejszego niż cud nowego życia?”

Ale w tej chwili dla niego to *było* ważniejsze. O wiele ważniejsze niż niemowlęta, i romanse, i jedzenie trzech normalnych posiłków dziennie. Było ważniejsze od wszystkiego. No i oczywiście on też miał swój własny podtekst. Nie chodziło wyłącznie o książkę, nie tylko o dotrzymanie terminu — ale o bycie z daleka od niej. Dobrze mu to robiło. Odkrywał na nowo swoje stare nawyki i przyzwyczajenia, pił sobie rano herbatę z torebki firmy PG Tips, zamiast jeść angielskie śniadanie, chodził do łóżka, kiedy, kurwa, miał na to ochotę, i nie musiał brać pod uwagę niczyich zachcianek. Nie miał pojęcia, czy czułby się tak samo, gdyby ona nie była w ciąży, ale podejrzewał, że chyba nie. Nieciążarna Millie była nieprzewidywalna i ekscytująca — chciał być wciąż przy niej, chciał robić to, czego chciała ona, bo nigdy nie wiedział, czym to się skończy, no i zawsze czekała na niego jakaś nagroda w postaci fantastycznej, przebalowanej nocy, jakiegoś surrealistycznego spotkania czy odkrycia czegoś nowego i podniecającego. A ciężarna Millie, szczerze mówiąc, była po prostu nudna. Nie niosła już tej obietnicy nieoczekiwanego. Kiedy była w tym stanie, naprawdę trudno mu było się z nią porozumieć. Tak, jakby odnalazła Jezusa, czy coś w tym rodzaju.

Wciąż myślał o tym, co powiedział mu Tony, i wiedział, że on ma rację. Powinien podjąć jakieś decyzje. Powinien zacząć myśleć o przyszłości, ale problem polegał na tym, że w tej chwili nie miał w głowie w ogóle miejsca na takie myśli. Wciąż kochał Millie; oczywiście, że ją kochał. Nie był jednak pewien, co sądzi na temat ślubów, dzieci i przyszłości. Za każdym razem, kiedy usiłował zwolnić w umyśle jakąś część twardego dysku, żeby się nad tym pozanawiać, głowa mu się zawieszała i zamiast tego znów zaczynał myśleć o swojej książce. Millie, jej koty, jej mieszkanie — wszystko to było jak odległy, utracony świat, jak coś, co należało już do przeszłości.

Znów sprawdził czas na ekranie komputera. Dziesięć po siódmej. Raz jeszcze odczytał ostatni kawałek tekstu i zdał sobie sprawę, zresztą nie bez zaskoczenia, że właśnie osiągnął etap „naturalnej przerwy”. Z łatwością mógłby wskoczyć do pociągu, pojechać do Paddington, spędzić wieczór z Millie. Ale nie chciał. Nie miał najmniejszej ochoty. Poczł jednak nagle wielką potrzebę, by wyjść z mieszkania i pogadać z inną ludzką istotą.

Przez chwilę rozważał opcje, a potem chwycił za telefon i zadzwonił do Neda.

Czterdzieści minut później Sean rozpiął się na kanapie w Beulah Hill i oglądał *Buffy. Postrach wampirów*, z piwem w jednej i pilotem w drugiej ręce. W kuchni Mama przygotowywała dla swoich chłopców wielki talerz nachos. Ned leżał wyciągnięty na drugiej kanapie, czytał sobie magazyn „heat” i dłuwał w nosie, a Goldie głośno pochrapywał przed telewizorem

z przednimi łapami wyciągniętymi w powietrzu. Sean odetchnął z ulgą. To było miłe, to było w porządku. Wrócił tam, gdzie jego miejsce.

Udało mu się wybrnąć wymijająco z pytań Mamy o niego i Millie. Nie, jeszcze nie ustalili daty; nie, to na pewno nie będzie letni ślub; nie, nie miał pojęcia, czy będzie religijny czy cywilny. On i Millie chcą mieć długie narzeczeństwo, powiedział, a Mama wyglądała na wielce z tego zadowoloną.

— To świetnie — stwierdziła. — Przecież nie ma potrzeby się spieszyć, prawda?

Wciąż nie miał pojęcia, kiedy powie swojej rodzinie, że Millie już jest w ciąży. Na szczęście sama Millie była z tym bardzo ostrożna, chciała poczekać, aż będzie w dwunastym tygodniu, aż ciąża będzie „bezpieczna”. Powiedziała swojej siostrze i kilku bliskim przyjaciółkom, a Sean powiedział Tony'emu. Jednak poza tym nikt na całotkim świecie nie wiedział i Seanowi to odpowiadało. To, że inni by wiedzieli, wcale by nie sprawiło, że Millie byłaby jakoś bardziej w ciąży, niż już jest, natomiast jemu byłoby o wiele trudniej udawać, że to się wcale nie dzieje.

— Jak tam twoja książka? — spytał Ned, odkładając magazyn.

— Rewelacyjnie! — odparł Sean zadowolony, że Ned odciągnął go od myślenia o problematycznych aspektach jego życia. — Tak, trochę było ciężko, żeby zacząć, ale teraz naprawdę fajnie mi idzie.

— O czym będzie?

— Cóż, o takim kolesiu, który się zakochuje w kobiecie...

— Co? Pisziesz *romans*? — spytał Ned z przerażeniem w głosie.

— Nie, nie, nie, on się zakochuje w kobiecie, to fakt, uważa, że to ta jedyna. Ale potem ona zachodzi w ciążę. — Spojrzał na Neda, czekając na jego reakcję.

— No dobra. I wtedy co?

— No więc ona zachodzi w ciążę i chce zatrzymać dziecko, i to jest o tym, jak cała sytuacja wygląda z perspektywy faceta.

— Aha — mruknął Ned, odrobinę niepewnie. — Dobra, ale gdzie jest zwrot akcji?

— Nie ma żadnego zwrotu. To tylko o tym, że wiesz, kobiety mają tę całą przewagę nad facetami, one podejmują wszystkie decyzje o dzieciach i tak dalej, a mężczyźni tylko muszą się na to godzić. I nie chodzi wyłącznie o dzieci, o wszystko. Patrz, we wszystkich tych reklamach w telewizji zawsze jest jakiś biedny idiota, który bezradnie usiłuje przybić półkę albo zainstalować radio w samochodzie, albo kupić ubezpieczenie, czy porządnie wyszorować jakąś pie-

przoną wannę, i dopiero jego wspomniała żona musi mu pokazać, jak się to robi. To mnie naprawdę wkurwia. Panuje w tym kraju jakieś takie przekonanie, i wcale nie jest wywołane tylko przez kobiety, faceci też się do tego przykładają, że mężczyźni są takimi wielkimi, tępymi, bezużytecznymi stworzeniami i tylko wszystko potrafią spieprzyć, jakbyśmy na drabinie ewolucyjnej byli o jedno oczko wyżej od jebanego *Goldie*. A kobiety to takie niebiańskie istoty o wielkiej wiedzy, mądrości i emocjonalnej, pierdolonej, inteligencji. Jakie to, kurwa, protekcyjne.

— No i co on w końcu robi, ten koleś w dziewczyną w ciąży? Sean wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałem.

— Czy on ją zabije? — spytał Ned i na samą myśl twarz mu się rozjaśniła.

— Nie.

— A może *pozabija* wszystkie ciężarne kobiety? No wiesz, jak taki seryjny aborcjonista czy coś w tym stylu?

— Nie. To nie jest jak ta moja pierwsza książka. Nikt nikogo nie zabije.

— Och — powiedział Ned lekko zawiedziony. — Trudno. Obaj przez chwilę milczeli, a Sean skakał po kanałach, dopóki w filmie trwała przerwa na reklamy.

— Skąd ty bierzesz te swoje pomysły? — spytał nagle Ned.

— Jakie pomysły?

— No wiesz, takie jak w *Połowie mężczyzny*. Skąd wzięłeś to wszystko o bliźniakach?

Sean rzucił mu uważne spojrzenie. Bo inspiracją tego pomysłu było właśnie jego rozdelenie z Nedom, kiedy wyjechał do Australii. Sean był tak zaszokowany nagłym zniknięciem brata ze swojego życia, że zaczął myśleć: wyobraź sobie, jak by to było, gdyby jedno z twojego rodzeństwa naprawdę *umarło* — jak ktoś może sobie w ogóle poradzić z taką stratą? Rodzeństwo to przecież jedyni ludzie w twoim życiu, którzy są w nim od samego początku, wiedzą, jak wyglądało twoje dzieciństwo, z tej samej perspektywy co ty. Jednego dnia codziennie się ze sobą bijecie, następnego siedzicie razem w pubie, pijecie i cieszyecie się swoim towarzystwem, a kolejnego dnia jeden z was znika po drugiej stronie globu, może nawet na zawsze. Sean nie potrafił sobie wyobrazić większej straty, niż utrata brata lub siostry, i rozwinął ten pomysł w książkę o identycznych bliźniakach.

— Ty — powiedział, bacznie obserwując reakcję Neda. — Ty i twój wyjazd do Australii. Zacząłem myśleć, co by się stało, gdybyś umarł. Ty albo Tony — dodał.

Twarz Neda pojaśniała.

— To znaczy, że ja zainspirowałem twoją książkę?

— Aha.

— O kurwa! — Uśmiechnął się trochę zawstydzony, ale zadowolony. — Ale jazda! No to dlaczego mi jej nie zadedykowałeś, kutafonie?

Bernie wniosła nachos i piwa i ustawiła wszystko przed swoimi chłopcami. Rzucili się na talerz jak wygłodniałe pisklęta, a Sean zastanawiał się, czemu nie robi tego częściej. Po prostu przestał, kiedy Ned wyjechał. Choć tak bardzo kochał Mamę i Tatę, i ten dom, to jednak było trochę smutno przychodzić tu, kiedy nie było brata. I kiedy teraz nad tym myślał, to musiał przyznać, że zawdzięczał Nedowi swoją książkę i swój sukces w o wiele większym stopniu, niż mu się dotąd wydawało. Po pierwsze, gdyby Ned nie wyjechał do Australii, to Sean nigdy w życiu w ogóle nie zacząłby pisać.

— Mamo, słyszałaś? — Ned zwrócił się do Bernie. — Zainspirowałem książkę Seana.

— Naprawdę? To ty jesteś seryjnym mordercą, kochanie?

— Nie, to, że wyjechałem do Australii. Zaczął myśleć, co by było, gdybym umarł.

Sean spojrział na podnieconą twarz Neda i poczuł, że żołądek zwija mu się w kulkę, jak kot. Jego braciszek. Jedyna osoba na świecie, która go kiedykolwiek naprawdę rozumiała, przy której nie czuł się jak dziwak. I jedyna osoba, w której towarzystwie Sean czuł się tak naprawdę dobrze i na luzie. To znaczy, do czasu Millie. Odkąd Ned wrócił, trochę go zaniedbywał. Był taki zakręcony tą aferą z Millie, i zaręczynami, i ciążami, nie wspominając o swoim pisaniu, że właściwie nie miał dotąd ani chwili dla Neda. Ale to się zmieni, postanowił. Wszystko to się zmieni. Cokolwiek by się stało z nim i Millie, czy będą razem, czy nie, czy będą mieli razem to dziecko, czy nie, sprawy muszą ulec zmianie. Pozwolił jej na to, by całkowicie wciągnęła go do swojego świata, z tymi swoimi frymuśnymi meblami, modnymi klubami i nieprzewidywalnością. Ale on nie należał do jej świata — to tutaj było jego miejsce, tu byli ludzie, do których przynależał. Jego rodzina.

Westchnął zadowolony i wepchał sobie do ust kolejną garść nachos umaczanych w śmietanowym dipie.

O dziesiątej wieczorem włożył kurtkę, pocałował Mamę na pożegnanie, krótko, ale z uczuciem uściśnął Neda i wyprowadził swój rower na Beulah Hill. Była czysta, chłodna noc, jasno oświetlona przez niemal pełny księżyc. Właśnie wsiadł na rower, kiedy zza rogu wyłoniła się postać z papierosem w ustach.

— Czołem, Sean. Jak tam leci?

— O, cześć, Gerwazy — odparł Sean i nagle poczuł się nieswojo. Nigdy tak naprawdę nie był jeszcze z Gerwazym sam na sam. — W porządku, dzięki.

— Byłeś odwiedzić mamę?

— Aha. I Neda.

Gerwazy z uznaniem pokiwał głową

— To dobrze — powiedział. — Bo on za tobą tęsknił.

— Naprawdę? A co mówił?

— Właściwie to nic nie *mówił*, tylko miałem takie wrażenie. Wy dwaj jesteście sobie bardzo bliscy, no nie?

Sean wzruszył ramionami i potaknął.

— Tak. Chyba tak.

— To miłe — powiedział Gerwazy, zaciągając się mocno papierosem. — To fajnie mieć takiego młodszego brata i taki rodzaj porozumienia.

— No — zgodził się Sean. Czuł się w dziwny sposób zobowiązany, by rozmawiać dalej, chociaż z trudem balansował na rowerze i naprawdę chciał już jechać do domu i usiąść do pracy.

Przez chwilę panowała cisza, Sean kiwał się w przód i w tył na swoim rowerze, a Gerwazy lekko resorował w górę i w dół na piętach.

— Przeczytałem twoją książkę któregoś dnia — powiedział Gerwazy niespodziewanie.

— Tak? — odparł Sean zdziwiony. Gerwazy nie wyglądał na faceta, który czyta.

— Aha. Nie za dużo czytam, wiesz, ale pomyślałem, że jak mieszkam w twoim domu i tak dalej, to ma chyba sens. — Zamilkł, i było to takie milczenie, którego Sean zawsze nienawidził. Uważał nawet, że ludzie to robią specjalnie, żeby go podkreślić.

— I co? — spytał w końcu Sean. — Co o niej myślisz?

— Fantastyczna — powiedział Gerwazy, zacierając dłonie. — Połknąłem w jeden dzień. Nie można się oderwać.

— Dzięki. — Sean poczuł się dziwnie wzruszony tym wyznaniem.

— Nie mam pojęcia, jak to robicie, wy, pisarze. Skąd bierzecie tę inspirację, te pomysły. No i taką dyscyplinę.

— O tak — przyznał Sean, automatycznie schodząc z roweru i opierając go o ogrodzenie. — Czasami jest ciężko. Z tą drugą książką to miałem koszmar.

— Tak? Taka twórcza blokada?

— Właśnie. Po prostu nie mogłem napisać ani słowa. Nie wiem, czy to akurat były takie życiowe okoliczności czy jakaś chemia w mózgu, ale w ogóle nie mogłem wystartować, wieki całe.

Gerwazy wciągnął powietrze pomiędzy zębami.

— O kurwa, to musi być faktycznie przerażające.

— Jest. Czujesz się jak totalny impotent. Wiesz, jakby ta twoja książka była taką piękną, piękną kobietą, i ona leży w łóżku, naga, nogi rozchylone, czeka na ciebie, a tobie po prostu nie może stanąć. Czasami całe godziny się starasz, żeby ci stanął, innym razem od razu dajesz za wygraną i natychmiast z powrotem wciągasz portki.

Gerwazy roześmiał się, słysząc porównanie Seana.

— Szkoda, że nie ma takiej specjalnej viagry dla pisarzy, nie?

Sean kiwnął głową i też się zaśmiał.

— Fakt.

— No i co cię w końcu odblokowało? Co było twoją „viagrą”?

Sean się zawahał. Już otworzył usta, żeby mu powiedzieć, ale natychmiast się powstrzymał.

— E, nie jestem pewien — mruknął. — Chyba trochę zmieniłem styl życia.

I wtedy stało się coś naprawdę dziwnego. Gerwazy niespodziewanie chwycił Seana za ramiona i zaczął bardzo głęboko patrzeć mu w oczy. Kiedy tylko to zrobił, Sean poczuł, że cały mięknie i wiotczeje, a w żołądku coś go przyjemnie łaskocze, jakby ktoś mu właśnie powiedział naprawdę miły komplement.

— Co? — wybąkał, patrząc przerażony na Gerwazego.

— Żyjesz w zaprzeczeniu — powiedział, zsuwając dłonie po ramionach Seana i chwytając jego rękę.

— Ale czemu zaprzeczam?

— Nie wiem. Ale tylko się oszukujesz. Grasz coś. Budujesz wokół siebie ściany, otaczasz się murem.

— O czym ty mówisz?

— Powiedziałem ci już, nie wiem. Mówię ci tylko to, co widzę. A widzę bardzo przestraszonego człowieka, który stara się udawać, że mu na kimś nie zależy. A ktokolwiek to jest, tobie naprawdę zależy. I doskonale o tym wiesz. I jeśli nie pokażesz tej drugiej osobie, że ci na niej zależy...

Sean wstrzymał oddech i wpatrywał się w oczy Gerwazego.

— ...to równie dobrze możesz przestać żyć. Balansujesz na krawędzi czeluści piekielnych, stary, jesteś na dobrej drodze, żeby sobie zrujnować całe życie. Zajrzyj w siebie. Popatrz na twoją rodzinę. Nie jesteś w tej chwili sobą. Przestań udawać. Zburz te ściany. Bądź mężczyzną.

I wtedy nagle puścił ręce Seana, zrobił krok do tyłu i oczyścił sobie zatoki.

— No, w każdym razie — powiedział — nie będę cię zatrzymywał. Miło się z tobą gawędziło, Sean. No i... hmm... mam nadzieję, że będziesz tu trochę częściej zaglądał, co? A może byś się wybrał któregoś wieczoru posłuchać, jak twoja mama śpiewa?

— No... dobra — powiedział Sean, drapiąc się po głowie, w której mu się trochę kręciło.

— Fajno — odparł Gerwazy. — To może jutro?

— Tak — powiedział Sean. — Może.

I wtedy Gerwazy rzucił papierosa na ziemię, zdeptał peta obcasem i poszedł po żwirowej ścieżce do drzwi domu numer 114.

Sean stał jeszcze chwilę, żeby się pozbierać, starał się zrozumieć coś z tego, co się przed chwilą wydarzyło.

Szaleniec, pomyślał, parząc na jasny krąg księżyca i kręcąc z niedowierzaniem głową, oczywiście, szalony jak marcowy zając. Kiedy jednak odwrócił rower w stronę Catford, nie mógł się wciąż pozbyć tego uczucia, że Gerwazy coś o nim wie. To było takie intensywne doznanie, jakby on i Gerwazy byli w jakiś sposób *zespoleni*. To nie była jedynie szalona osoba, która napadła na normalną osobę — był w tym pewien rodzaj *fuzji*.

Przestań udawać, myślał, kiedy powoli wsiadał na rower, bądź mężczyzną.

Ale co udawać? Przecież wcale niczego nie grał. Po prostu żył, istniał i starał się kierować swoim życiem najlepiej, jak potrafił. Bądź mężczyzną. Dokładnie to samo powiedział mu Tony. No i Millie. Ale on przecież *był* mężczyzną — przecież o to właśnie chodziło, nie? Żeby odnieść sukces, mieć jakąś tam kontrolę nad swoim losem, być panem samego siebie. Był pieśkiem pokojowym Millie od momentu, kiedy się poznali, wszędzie za nią chodził, robił wszystko, jak chciała, pozwolił, żeby jego praca cierpiała, dokładał wszelkich starań. Nawet jej kupił pieprzony zaręczynowy pierścionek.

I właśnie dopiero teraz zaczynał się znowu czuć jak mężczyzna.

Szybko pedałował przez Westwood Hill w kierunku Forest Hill i z każdym obrotem kół oczyszczał swoją świadomość z ostrzeżeń Gerwazego.

ODPOWIEDŹ RILEYÓW

Kiedy w środę wieczorem Ned wrócił ze składania folderów, w domu czekał na niego list. Nie znał charakteru pisma, ale znaczek pochodził z Anglii, więc Ned wiedział, że to nie od Moniki. Usiadł na schodach i jedną ręką machinalnie głaszcząc Goldie, przeczytał:

Wtorek, 1 maja

Drogi Ned,

Twoja paczka z listem przyszła dziś rano. Jak sobie możesz wyobrazić, oboje byliśmy przerażeni jej zawartością, ale też chcemy Ci naprawdę bardzo podziękować za to, że pomyślałeś, by nam to przysłać. Masz absolutną rację. Nie ponosisz już żadnej odpowiedzialności za Monicę. Oboje wiemy, jak bardzo się starałeś, żeby była szczęśliwa, i wiemy także, że ona Ci tego nie ułatwiała. Zatelefonowaliśmy dzisiaj do niej i jest bardzo przygnębiona. Mówi, że nie widzi w niczym sensu. Nie potrafiła nam wyjaśnić, dlaczego prześladuje Cię w taki straszny sposób. Ale uważamy, że prawdopodobnie masz rację. Ona po prostu chciała zwrócić na siebie uwagę. Tak więc zarezerwowaliśmy już bilety na samolot i mamy zamiar spędzić z nią trochę czasu w Sydney. Zobaczymy, może uda się ją przekonać, żeby wróciła do domu. Tę wizytę powinniśmy byli złożyć dużo wcześniej. Jesteś takim silnym chłopcem, o tak wielkim sercu, i wydaje nam się, że chyba zawsze polegaliśmy na tym, że ty z nią jesteś i się nią opiekujesz. Czujemy, że strasznie ją zaniedbaliśmy.

Tak więc dziękujemy Ci, Ned, za całą Twoją opiekę i troskę przez te wszystkie lata. Wiemy, że nigdy byś umyślnie nie skrzywdził Moniki. I zapewniamy Cię, że już więcej nie będziesz dostawał żadnych makabrycznych paczek ani nieprzyzwoitych wiadomości.

Życzymy Ci wiele szczęścia w życiu i w tym, co zdecydujesz się robić.

Wdzięczni Ci Ann i Geoffrey Riley

Ned przeczytał list dwukrotnie. Zanim go złożył, na jego twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech. Wsunął list z powrotem do koperty i poszedł do kuchni po dobre, zimne piwko.

OBIAD U TONY'EGO

— Boże, uwielbiam przepisy Nigelli Lawson* — powiedziała Ness, drąc jakąś zieleninę na drobne kawałki. Wrzuciła ją do miski, zamieszała, chwyciła ogromny kieliszek białego wina i upiła z niego wielki łyk. Odłamała potężny kawałek czekolady i wrzuciła go sobie do ust. — Czekoladkę? — Spojrzała pytająco na Tony'ego.

* *Nigella Lawson* — brytyjska telewizyjna wyrocznia kulinarna.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie, dzięki.

Wystarczająco koszmarne było już to, że Ness kręciła się po jego kuchni, szykując za-trważająco tuczące potrawy, których jedzenia nie będzie mógł uniknąć. Nie potrzebował do tego jeszcze kuszenia czekoladą.

Spojrzał na zegar nad kuchenką. Dwadzieścia po szóstej. Oni mieli się zjawić za czterdzieści minut. Oni — to znaczy Sean i Millie. Tak, Sean i Millie przychodzili na obiad. To wszystko z winy Ness. No, tak prawdę mówiąc, to była wina jego kiszek. Wczoraj wieczorem siedział akurat na sedesie, a telefon zadzwonił precyzyjnie w tym newralgicznym momencie, kiedy absolutnie nie mógł go odebrać, więc zawołał do Ness, żeby podniosła słuchawkę. A to oczywiście była Millie. *Typowe*. Całe godziny spędził, nie siedząc na klozecie, kiedy spokojnie mógł odebrać. Całe długie godziny, kiedy odebranie telefonu było najprostszą rzeczą na świecie. No i ile w ogóle spędzał czasu na klozecie — pięć minut dziennie? No, pół godziny w porwach. A Millie w jakiś sposób udało się wybrać tę właśnie nieszczęsną chwilę, żeby wykonać telefon, na który on czekał niecierpliwie przez pięć długich dni.

— To była Millie — oznajmiła Ness, kiedy wyszedł z łazienki kilka minut później. — Powiedziała, że rozmawiała z tobą na temat przemodelowania twojego mieszkania, a ja nawet nie wiedziałam, że myślisz o czymś takim. Co za cudowny pomysł! No, w każdym razie, powiedziała, że ją zaprosiłeś, żeby sobie wszystko obejrzała, no to pomyślałam, że szkoda, żeby taki kawał drogi jechała tylko po to, żeby się rozejrzeć. Więc zaprosiłam ją na obiad. I oczywiście Seana też. Wygląda na to, że była naprawdę zadowolona!

Zadzwonił do Millie do pracy dziś rano, żeby sprawdzić, czy aby na pewno jest „bardzo zadowolona” — Ness była osobą, która z góry zakładała, że wszyscy są ze wszystkiego cały

czas zadowoleni — ale zdaje się, że tym razem naprawdę tak było. Millie i tak myślała o tym, jak połączyć wycieczkę na południe z wizytą u swojego ukrywającego się narzeczonego. Dzięki zaproszeniu na obiad nie będzie to wyglądało tak, że mu się narzuca, raczej jak wspólne towarzyskie zobowiązanie.

Wyszedł z kuchni i przyjrzał się swemu mieszkaniu. Cholera — wyglądało strasznie. Powinien był kupić jakieś kwiaty, zrobić coś, żeby tu było mniej *sterylnie*. Objął się przez chwilę po całym domu. Przekładał poduszki, przesuwał krzesła i stoły, odsłaniał zasłony, zasłaniał zasłony, ukrywał różne przedmioty, które nagle w perspektywie tego, że ma na nie patrzeć Millie, wydały mu się wulgarne i wstrętne. Kiedy w końcu spojrzął na zegarek, okazało się, że jest już za kwadrans siódma, a on ciągle jest ubrany tak, jak wrócił z pracy.

Pobiegł na górę do swojej sypialni, równo w trzy minuty wziął prysznic, a potem spędził przerażające dziesięć minut, starając się bezskutecznie znaleźć coś ładnego do ubrania. Straciwszy już kilka funtów, miał głupią nadzieję, że uda mu się wbić w którąś ze swoich dawnych ulubionych rzeczy, wiszących teraz z tyłu szafy. I tracił kolejne cenne minuty, wyciągając za ciasne spodnie i wbijając się w nie przed lustrem, zanim w końcu przyznał się do porażki i nałożył wypróbowane sztruksowe spodnie i niebieski polar. Jego włosy zdawały się w ogóle nie być zainteresowane ładnym wyglądem, ale nie miał już czasu, żeby się nimi martwić. Była siódma. I wtedy zadzwonił domofon. Zbiegł na dół, skacząc po dwa stopie naraz.

— Otworzę! — krzyknął do Ness. A potem zatrzymał się na chwileczkę i spojrzął na ekranik monitora domofonu. Była. Millie. Stała tuż za Seanem, poprawiała włosy z kamienną twarzą. W ulicznym oświetleniu, na malutkim, czarno-białym ekranie wyglądała jak tragiczna heroina, jak gwiazda filmowa z lat dwudziestych. Tony wziął głęboki oddech, dotknął włosów, nacisnął guzik domofonu i wpuścił ich do środka.

Tony nie miał zamiaru upijać się tego wieczoru, ale do ósmej sam opróżnił większą część butelki wina. Pił nawet szybciej niż Ness, co było pewnym osiągnięciem, i był z całą pewnością najbardziej pijaną osobą przy stole. Sean powoli sączył piwo, tłumacząc, że musi uważać, bo na kacu nie może pisać. Millie oczywiście miała zamiar spędzić cały wieczór przy jednym kieliszku wina, a Ness choć ciągnęła równo, jak zwykle, to miała tak mocną głowę, że choćby wypila nie wiadomo ile, nigdy nie wyglądała na zawianą. Za to Tony od niemal dwóch tygodni prawie nie pił, od rana przez całutki dzień niczego nie jadł, no i teraz pędził w kierunku żalostnego ubzdryngolenia się na dużą skalę. Spojrzął przez stół na Millie, świeżą i trzeźwą, i żałował, że w jakiś sposób nie potrafi odwrócić tego procesu, ale niestety było już na to za późno. Był uwa-

lony.

Ness wstała, żeby odnieść talerze po przystawkach, i Millie natychmiast zerwała się z miejsca, żeby jej pomóc. Tony wstał i zmienił muzykę. Wyjął płytę Macy Grey, której dotąd słuchali, i zmienił na *White Ladder* Davida Graya.

— Widzę, że twoje muzyczne gusta są tak nowatorskie jak zwykle — powiedział Sean w taki naprawdę złośliwy sposób. Tony zacisnął szczęki. Fakt, kupował około trzech płyt rocznie i zawsze były to te same trzy płyty, które nabywała cała reszta populacji Brytyjczyków. Tony nigdy nie fascynował się muzyką nawet gdy był nastolatkiem. Miał podstawową wiedzę o takich zjawiskach jak Steps, Eminem, Kylie, i tych, co wygrali *Pop Stars*, ale tylko dlatego, że zawsze pełno o nich było w gazetach. Nie był muzycznym fanem i uważał, że Sean niepotrzebnie akurat o tym wspomniał i się z tego nabijał. Jego natychmiastową reakcją było to, żeby wspomnieć o czymś, o czym z kolei Sean mógł nie za bardzo chcieć rozmawiać.

— No... — powiedział, siadając z powrotem przy stole. — A jak tam sprawy z tobą, Millie i... — Złączył dłonie na brzuchu, co miało oznaczać nie narodzone dziecko Seana.

Sean nerwowo zazezował w kierunku kuchni.

— Dobrze — powiedział. — Nieźle.

— Wszystko wyjaśniłeś?

— Tak. No wiesz, w pewnym sensie.

— Nie, nie wiem. Co masz na myśli?

— To, że jakoś sobie z tym *radzę*.

Tony pomyślał o tragicznie smutnej minie Millie i wzruszył ramionami.

— Millie mówi co innego.

— Co mówi Millie? To znaczy, chcesz powiedzieć, że Millie z tobą o tym rozmawia?

Tony chwycił kawałek sałaty z miski i zaczął się nią bawić.

— No, nie tak dosłownie, ale wspominała, że od jakiegoś czasu cię nie widuje.

— Co jest grane? — spytał Sean, który zaczął wyglądać na trochę zirytowanego. — Dlaczego ni z tego, ni z owego wydzwaniasz do Millie?

Tony pozwolił, by kawałek sałaty upadł na matę na stole i powoli wytarł sobie palce w serwetkę.

— Wcale nie dzwonię do niej „ni z tego, ni z owego” — zaczął spokojnie. — Po prostu stwierdziłem, że moje mieszkanie potrzebuje trochę odświeżenia, przypomniałem sobie, że Millie jest projektantem wnętrz, zadzwoniłem do niej, a ona wspominała, że od jakiegoś czasu

cię nie widziała. A biorąc pod uwagę okoliczności — znów złączył dłonie na brzuchu — pomyślałem sobie, że to trochę dziwne. I już. Nie ma powodu do takich obronnych postaw.

Zapadła cisza, tylko z kuchni dochodził śmiech Millie i Ness.

— Więc? — spytał Tony. — Co się dzieje? Sean trochę się uspokoił, poprawił się na krześle.

— W tej chwili sytuacja jest po prostu troszkę napięta, to wszystko.

Tony rzucił mu spojrzenie mówiące „więcej szczegółów, proszę”.

— To przez moją książkę. Słuchaj, nikomu wtedy o tym nie mówiłem, ale miałem kompletną blokadę, przez całe tygodnie. Nie mogłem napisać jednego pieprzonego słowa. No i potem, tydzień temu, pojechałem do siebie do domu, żeby sobie zrobić pranie i nagle coś zaskoczyło. O tak — strzelił palcami. — Po prostu samo zaczęło się pisać. I wtedy sobie uświadomiłem, że to *Millie* powodowała tę moją blokadę. Mieszkałem u Millie, z daleka od mojego własnego środowiska, od znajomych kątów. A sprawa wygląda tak: mam dwa miesiące, żeby skończyć tę książkę, a u Millie nie mogę pisać. To nic osobistego. — Podniósł dłonie do góry w obronnym geście.

— Dobra, ale nie możesz jej odwiedzać choćby wieczorami? Kiedy kończysz pisanie?

— Pisania się nie „kończy”, Tony. To nie jest coś takiego jak normalna praca. Nie zamkasz teczeki o wpół do szóstej i nie idziesz do domu. Czasami nie udaje mi się wpaść w trans nawet i do szóstej wieczorem. Prawie codziennie piszę jeszcze grubo po północy.

Obaj zamilkli i unieśli głowy, bo zdali sobie sprawę, że Millie jest już w pokoju.

— Dyskutujemy o moim nieobecny chłopaku? — spytała, siadając na krześle i dolewając sobie wina do pełna.

— Tak — powiedział Sean. — Staralem się właśnie wytłumaczyć Tony'emu, jak to jest z pisaniem, że to troszkę się jednak różni od opierdzielania się wśród świątecznych kartek i powrotów do domu o wpół do szóstej.

— Słuchaj — powiedział Tony. — To nie moja sprawa. Twój problem i tak dalej. Ale skoro już tak otwarcie o tym rozmawiamy — zrobił gest w kierunku kuchni — czy Ness może się dowiedzieć?

Sean wzruszył ramionami.

— Wszystko jedno — powiedział. — Zdaje się, że i tak będziemy ogłaszać szczęśliwą *nowinę* na imprezie Mamy...

— Mówiłam ci, że mi na tym nie zależy... — syknęła Millie. — To była tylko sugestia,

nic więcej.

Podniosła kieliszek i upiła duży, wściekły łyk. Sean i Tony spojrzeli na nią zdziwieni, ale nic nie powiedzieli.

— Wszyscy gotowi na główne danie? — zaszcebiotała Ness, wpadając do jadalni z dużym kuchennym nożem w dłoni.

— Pomogę ci — zaoferowała się Millie.

— Nie, nie, nie — powiedziała Ness, machając do niej, żeby nie wstawiała. — Wszystko pod kontrolą. Spoko.

Wyszła z pokoju, a z ich twarzy natychmiast zniknęły przeznaczone dla Ness uśmiechy.

— No więc — powiedział Tony, wlewając sobie kolejny kieliszek wina. — Jak się czujesz, Millie? Jak leci?

— Och, jest po prostu cudownie — stwierdziła, pijąc następny łyk. — Jestem wykończona, mam huśtawki nastroju i ciągle mnie mdli. Codziennie rano budzę się, rzygam, idę do pracy, rzygam, jakoś się przeczołguję przez dzień, wracam prosto do domu, bo jestem zbyt wycieńczona, żeby gdzieś wyjść, rzygam, czekam kilka godzin, żeby mój chłopak do mnie zadzwonił, uświadamiam sobie, że tego nie robi, więc ja dzwonię do niego, dowiaduję się, iż jest głęboko pogrążony w ferworze twórczej pasji i nie ma zamiaru przyjechać mnie zobaczyć, odkładam słuchawkę, płacę przez godzinę, a potem idę do łóżka, marząc o papierosie. A następnego ranka budzę się zupełnie sama, rzygam, idę do pracy i cały proces zaczyna się od nowa. Jest tak cudownie... — Uśmiechnęła się do nich szeroko, ukazując swoje duże, białe zęby.

— Nigdy nie było lepiej. Dzięki, że zapytałeś.

— Do kurwy nędzy, Millie — warknął Sean. — Tłumaczyłem ci to przecież tysiąc razy. To tylko czasowe. Kiedy tylko skończę książkę, wszystko znów będzie normalnie, obiecuję ci...

— Normalnie? A co to, kurwa, jest dla ciebie *normalnie*, Sean? To znaczy, że będziesz się snuł po domu i narzekał, że już nie jestem taka zabawna i rozrywkowa jak dawniej? A może masz na myśli to, że będziesz balował całe noce, brał kokę z moimi przyjaciółmi, kiedy ja leżę w łóżku i się o ciebie zamartwiam? Nie ma żadnego „normalnie”, Sean. Nie, dopóki nie pogodzisz się z tą ciążą i nie zaczniesz z tym żyć.

Sean spojrział zrozpaczony na Tony'ego, a potem na Millie.

— Słuchajcie, czy my musimy rozmawiać o tym akurat teraz i akurat tutaj? Czy nie możemy tego omówić później...

— A po co masz się w ogóle trudzić, Sean. Tony i tak już wszystko wie.

— Co wie?

— Na przykład wie, jak należy traktować ciężarną kobietę, to na początek.

— Ciężarną? — W drzwiach stała Ness, trzymając wielki półmisek z czymś, co wyglądało na połowę krowy, przystrojonej wokół dwunastoma główkami czosnku, a u góry choinką. — Kto jest w ciąży?

Millie uniosła oczy do sufitu i westchnęła:

— Ja.

— O mój Boże! — Ness szybko odstawiła półmisek na stół.

— O mój Boże! — Podbiegła i mocno wyściskała zaszokowaną Millie. — To fantastyczne! Ile to już?

— Dziewięć tygodni, prawie dziesięć.

— O mój Boże! Sean chodź tutaj! — Pociągnęła go, żeby wstał i niemal zadusiła w uścisku. Uśmiechał się kwaśno. — To najwspanialsza wiadomość pod słońcem! O Boże, ślub. Co zrobicie ze ślubem? Taki pospieszny teraz? Czy może zaczekacie, aż dziecko będzie starsze? Och, mogłoby nieść potem welon... O Boże, dziecko! Nie mogę uwierzyć! No, to trzeba uczcić szampanem. Tony, czy ta butelka Mumm w lodówce... mogę...?

Tony skinął głową i Ness pobiegła z powrotem do kuchni. Sean natychmiast się odwrócił i spojrzał na Millie.

— Co miałaś dokładnie na myśli przez tę ostatnią uwagę?

— Jaką znowu uwagę? — spytała Millie niecierpliwie.

— Och, tę o Tonym, który jakoby wie, jak traktować ciężarne kobiety. O co ci chodziło?

— O nic — machinalnie wtrącił Tony i natychmiast tego pożałował.

— Co? — Sean spojrzał teraz na niego. Millie znów uniosła oczy do sufitu.

— Słuchaj, po prostu przypadkiem wspomniałam Tony'emu, że strasznie mnie męczą poranne mdłości, a on był tak miły, że poszedł do Holland & Barrett i kupił mi różne środki.

— Środki?

— Tak. Z imbirem i cytryną.

— I...?

— I podrzucił mi je do domu.

— Tony był u ciebie w domu? Byłeś u niej w domu? — Znów się odwrócił i zmierzył Tony'ego wzrokiem.

Dzwonienie kieliszków zasygnalizowało powrót Ness z szampanem.

— Proszę bardzo — powiedziała. — Tony, zrób miejsce na stole, dobrze? Ty otworzysz szampana, Tony, a ja podam jedzenie. No po prostu nie mogę uwierzyć! — mówiła, krojąc tę krowę na półmisku, rozkładając kawałki na talerze i polewając obficie niebezpiecznie tłustym sosem. — Najpierw się zaręczacie, teraz ty spodziewasz się dziecka... karczocha, Millie? A od jak dawna właściwie jesteście razem?

— Prawie trzy miesiące — powiedziała Millie, opróżniając swój kieliszek do dna.

— Niesamowite — szczebiotała Ness. — I pomyśleć tylko, ludzie potrafią być razem latami, zanim w ogóle zaczną choćby ze sobą mieszkać. — Rzuciła Tony'emu znaczące, ale wesołe spojrzenie, które on postanowił zignorować. — To od kiedy wiesz?

— Od dwóch tygodni — powiedziała Millie.

— A ty wiedziałeś? — Ness spytała Tony'ego, podając przez stół wypełnione talerze.

— Tak — rzucił szybko, napełniając kieliszki szampanem. — Sean mi powiedział, w zeszłym tygodniu.

— A ty mi nic nie pisałeś? Ty szczywany lisie. Jak ci się udało nie wygadać?

— Poprzysiągłem zachowanie tajemnicy — powiedział, rozdając kieliszki z szampanem.

— Tak — dodała Millie. — Nie chcieliśmy właściwie nikomu mówić aż do pierwszego USG.

— Oczywiście — kiwnęła głową Ness. — Więc to w dalszym ciągu wielki sekret?

— Tak, jeszcze przez jakieś dwa tygodnie.

— Boże, Bernie *oszaleje* ze szczęścia! Jej pierwsze wnuczátko! Toast — uniosła swój kieliszek. — Za Millie i Seana, no i za brzuszek Millie!

Wszyscy unieśli kieliszki i stuknęli się nimi trochę mechanicznie.

— Za brzuszek Millie — powtórzyli. — Zdrowie.

— Dobra — powiedziała Ness, siadając na krześle i zakładając niesforne włosy za ucho. — Tylko nie bójcie się tego czosnku. Wiem, że to wygląda na ogromną ilość, ale Nigella mówi, że jak się go piecze tak długo, to traci ten zapach... No więc nie będziecie mieć cuchnącego oddechu ani nic takiego, obiecuję...

Tony dziobał widelcem swoją porcję i obserwował Millie i Seana. Ness wciągnęła Millie w rozmowę o ciąży, a Millie uczepiła się tego jak głodny pies kości. Natomiast Sean przeżuwał powoli i pustym wzrokiem patrzył przed siebie.

Wyglądali jak obcy sobie ludzie, jakby uczestniczyli w koszmarnej, towarzyskiej próbie zrobienia z nich pary na proszonym obiedzie.

Przebrnęli przez posiłek w cywilizowany sposób, rozmawiając o dzieciach, pracy, rodzinie i wszystkim po kolei, tylko nie o tym, o czym naprawdę chcieli mówić. Millie wypła swojego szampana i kiedy butelka po raz drugi krążyła wokół stołu, wyciągnęła kieliszek po dolewkę. Ness w pewnym momencie otworzyła trzecią butelkę wina, a potem, po niesamowicie ciężkim musie czekoladowym, który omal nie powalił Tony'ego, wyciągnęła z barku brandy. Cóż, każdy pijący ma swój słaby punkt, czyli taki alkohol, któremu nie potrafi się oprzeć, nawet wiedząc, że nie powinien go pić, taki drink, który mu uderza do głowy szybciej niż każdy inny — dla Tony'ego była to brandy. To był jego ulubiony alkohol, ale Tony zawsze po nim trochę szalał i to nie tak na wesoło, jak na przykład po tequili, raczej zmieniał się w zgorzkniałego, wrednego staruszka. A do momentu, kiedy Ness i Millie wyszły do kuchni pozmywać, on już opróżnił trzy szklaneczki brandy.

Sean intensywnie wpatrywał się w niego przez stół.

— Co robiłeś w mieszkaniu Millie? — syknął.

— Chryste, Sean, ty ciągle o tym?

— Co tam robiłeś?

— Słuchaj — zaczął Tony, pochylając się do brata i zniżając głos. — Nic się nie stało.

Millie wspomniała, że naprawdę źle się czuje, przypadkiem byłem w Holland & Barrett, zrobiło mi się jej żal, kupiłem kilka rzeczy, to wszystko.

— Ale poszedłeś do niej do domu. Do mieszkania *Millie*.

— No tak. A jak inaczej miałem jej to dać? Byłem akurat w mieście, przejeżdżałem tamtędy, podrzuciłem jej to. Koniec historii.

— Ale czemu mi o tym nic nie powiedziałeś? Nie rozumiem.

— Bo nie było o czym gadać. Sean. Kupiłem jej kilka rzeczy. Zaniósłem jej do domu. Przynajmniej *coś* zrobiłem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— A to, że była chora, a z ciebie, kurwa, nie było żadnego pożytku. To nie wymagało wielkiego wysiłku, wiesz? Mogłeś to sam zrobić bez problemu, gdybyś tylko potrafił przez jedną chwilę myśleć o kimś innym poza samym sobą... — Tony mówił coraz głośniejszym głosem, aż Ness wystawiła głowę przez drzwi, by sprawdzić, co się dzieje.

— A co wy tak na siebie fukacie? — spytała.

— Nic — rzucił Tony. — Nic, nic, tak tylko między braćmi.

Ness, która jako jedynaczka uważała, że wszystko, co się wydarza pomiędzy rodzeń-

stwem, jest w jakiś sposób zaczarowane, uśmiechnęła się do nich porozumiewawczo i wróciła do kuchni, Millie i gadki o dzieciach.

— W głowie mi się nie mieści, że poszedłeś do domu mojej dziewczyny i nic mi o tym nie powiedziałeś. Wyobraź sobie, że ja bym tak poszedł zobaczyć się z Ness za twoimi plecami, nie wydałoby ci się to co najmniej dziwne?

— Nie. Dlaczego?

— Aha, a dla mnie takie jest.

— No cóż, to przepraszam. Następnym razem, kiedy zrobię coś miłego dla kogoś, wobec kogo ty się zachowujesz jak skończony chuj, będę pamiętał, żeby cię o tym powiadomić.

Twarz Seana poczerwieniała.

— Chryste — syknął. — Ja do ciebie zadzwoniłem jeden jedyny raz, ten *pierwszy raz* w życiu, kiedy w ogóle spytałem cię o jakąkolwiek radę, miałem nadzieję, że mnie zrozumiesz, że będę miał w tobie oparcie. A zamiast tego ty to wykorzystaleś jako wymówkę, żeby nachodzić moją dziewczynę i żeby ja przy tobie wyglądał jak szmata.

— Nie musiałem się wcale starać, żebyś jakkolwiek wyglądał, sam już pod tym względem wykonałeś cholernie dobrą robotę. Słuchaj, zadzwoniłeś do mnie po radę, i ja ci dałem radę. Ale od tamtej pory niestety całkowicie ją ignorowałeś. Więc przestań teraz mnie obwiniać. Sam sobie osobiście wszystko pierdolisz i doskonale o tym wiesz.

— Chryste! Nie do wiary! Siedzisz tu cały taki święty, ramiona skrzyżowane, patrzysz na mnie z góry, jakbym był kupką gówna. Ale w swoim życiu jakoś ci się nie udało specjalnie zaślęsnąć, co, Tone? Twoja własna żona pieprzyła się z innym facetem, a ty tak po prostu pozwoliłeś jej odejść.

— O! — krzyknął Tony, nawet nie próbując zniżyć głosu. — Ty to potrafisz zagadać, o Jezu. Tylko dlatego, że ci się udało napisać jakąś pierdoloną książeczkę, a wszystkie gazety piszą: „Oooch! Sean, jakiś ty, kurwa, cudowny”, tylko dlatego teraz ci się wydaje, że wszystko ci wolno? Myślisz, że to nie ma znaczenia, że przez pierwsze dwadzieścia osiem lat swojego życia byłeś bezużytecznym leniem, który nigdy nie zrobił niczego ważnego? Jesteś rozpieszczony, to jest, kurwa, twój problem. Zepsuty do szpiku kości. Nigdy przez całe życie nie musiałeś na nic zarabiać, wszystko miałeś podane na talerzu: mieszkanie, forszę, codziennie obiadek u Mamusi...

— Ha! — Sean wstał i wściekle wskazywał palcem na Tony'ego. — *Ja* rozpieszczony? Ja?! Weź mnie, kurwa, nie rozśmieszaj, bo mi zajady popękają! A kto ci dał pożyczkę na twój

pierwszy interes, co? A czy im już zwróciłeś, hm? No... nie, nie wydaje mi się. Wszystkie te uroczne spotkania, które odbywałeś z tatusiem na temat swojej wielkiej „firmy”. A kto kiedykolwiek, cholera, usiadł ze mną porozmawiać, co? Kto mnie spytał, co miałbym ochotę robić? Kto *mi* dał pieniądze i nauczył *mnie* wszystkiego, co wie? Wystarczyło, żebyś kichnął, a mamusia oprawiała twojego smarka w ramki i nazywała cię geniuszem. Zawsze byłeś dla nich tym pieprzonym *złotym* chłopczykiem, któremu nie może się nie udać, który się nigdy nie myli.

— *Zapracowałem* na wszystko, co mam, Sean. Tak, prawda, Tato pożyczył mi trochę pieniędzy. I nie, jeszcze im tego nie zwróciłem, ale zwrócę natychmiast, jeśli cię to uszczęśliwi. Nawet w tej chwili mogę Tacie wypisać czek, jak chcesz. A gdybyś ty wykazał choć odrobinę, choć na jotę zainteresowanie czymkolwiek, cokolwiek by to było, Tato by ci dał wszystko, co byś chciał. Ale nie chciałeś. Interesowało cię tylko oglądanie telewizji z Nedom albo chodzenie z nim po klubach, branie jakichś wymyślnych, cholernych narkotyków i spędzanie następnego dnia w łóżku. A ja w tym czasie zarabiałem na swoje życie i coś z nim robiłem.

— Nazywasz prowadzenie jakiejś maleńkiej, żalosalnej firmy robieniem czegoś ze swoim życiem? Jezu. Jakież ty masz ograniczone horyzonty, Anthony...

W głowie Tony'ego wybuchła w tym momencie taka jasna kula, jak miniaturowy atomowy grzyb czystej furii. Wzrok mu zmętniał i przeogromna fala emocji zalała całą jego świadomość: nienawiść. Było to uczucie, którego z całych sił starał się unikać, bo wiedział, że prześladowa go przez te ostatnie dwa tygodnie, teraz jednak nie było już przed tym ucieczki. Nienawidził go. Nienawidził Seana. Naprawdę. Nienawidził w nim wszystkiego, od jego debilnej, pieprzonej książki, poprzez jego idiotyczne modne sportowe buty, aż po sposób, w jaki traktował swoją ciężarną dziewczynę.

— Och — powiedział, podnosząc się z krzesła na całą wysokość — i przypuszczam, że uważasz, że ta jedna udana książka urządzi cię już na całe życie, co? Jeszcze niczego nie udowodniłeś, Sean. Niczego. Może i mam „maleńką, żalosalną firmę z kartkami”, ale ta maleńka żalosalna firma istnieje na rynku już od piętnastu lat, ma swoją markę, utrzyma mnie przy życiu, kiedy będę stary i siwy. Tobie się, kurwa, tylko poszczęściło, koleś, musisz zrobić o wiele więcej, zanim będziesz sobie mógł tu siedzieć i mówić mi, że osiągnąłeś sukces. I fakt, może i moje małżeństwo się rozleciało, ale ja naprawdę się starałem, żeby przetrwało, byliśmy razem przez dziesięć lat, a w dzisiejszych czasach to, kurwa, prawie jak całe życie. A ty przez całe lata pierdoliłeś się po kątach z jakimś odmóżdżonymi laskami, a dosłownie w tej samej chwili, kiedy spotykasz kogoś porządnego, wszystko pieprzysz. Po co ty się w ogóle oświadczałeś Millie,

co? No? Po co to, do diabła, zrobiłeś?

— To, Tony, jest *niezwykle* interesujące pytanie — powiedziała Millie, pojawiając się w drzwiach z kolejnym kieliszkiem wina w ręce. Drugą rękę miała opartą na biodrze. — Tak, Sean — mówiła dalej — dlaczego mi się oświadczyłeś? Hmm?

Sean oparł głowę na dłoniach i wziął głęboki oddech.

— Millie — powiedział cicho. — Nie teraz. Nie tutaj. Proszę. Czy to nie może poczekać, aż wrócimy do domu?

— Nie — odparła Millie. Opadła na krzesło i patrzyła prosto na Seana. — Nie, to nie może poczekać, aż wrócimy do domu. Chcę tę rozmowę odbyć właśnie teraz.

— Ale to nasze prywatne sprawy, Millie...

— Och, daj spokój, Tony jest twoim bratem. To *rodzina*, Sean, możemy przy nim rozmawiać. A poza tym powinieneś słuchać swojego starszego brata, bo może będziesz w stanie czegoś się od niego nauczyć.

— Co? — spytał Sean z szyderczym uśmiechem.

— A tak, bo on jest *mężczyzną*, Sean. Spójrz na niego. — Wstała i okrążając stół, podeszła z tyłu do krzesła Tony'ego. — Popatrz, jakie ma szerokie ramiona — chwyciła go za ramiona i uściśnęła je. — On jest mocny, Sean. Umie prowadzić własną firmę i ma własny dom, i jeździ własnym samochodem, i umie utrzymać związek, i *jeszcze* do tego potrafi znaleźć czas, żeby myśleć o innych. Możesz się od niego naprawdę wiele nauczyć.

— A odkąd to zależy ci na takich drobiazgach jak mieszkania i samochody, Millie? Myślałem, że jesteś taką wyluzowaną panienką z głową pełną socjalistycznych ideałów, jak to niby pozycja, pieniądze i własność, nie mają żadnego znaczenia. Ale ty taka wcale nie jesteś, prawda? Jesteś taka sama jak wszystkie inne kobiety, potrzebujesz faceta tylko po to, żeby się tobą opiekował...

— Nie, *nie* potrzebuję faceta, żeby się mną opiekował, Sean. Potrzebuję *mężczyzny*. To wszystko. Nie dzieciaka, który panikuje, gdy tylko pojawia się jakaś odpowiedzialność. Który uważa, że kobiety w ciąży mają jakąś zarzę. To znaczy, czy tobie nigdy nie przyszło do głowy, że ja się boję, Sean, że może jestem przerażona perspektywą posiadania dziecka tak samo jak ty? To, że jestem kobietą, wcale nie znaczy, że jestem jakoś zaprogramowana na to, żeby wiedzieć, jak sobie z tym poradzić. I tak, jestem przerażona, Sean. Każdy mijający dzień pozbawia mnie mojej dotychczasowej osobowości. Czy tobie się wydaje, że ja *lubię* być w ciąży? Czy uważasz, że mi się podoba, że moje ciało zostało nagle przez coś opanowane?

— No to dlaczego chcesz je zatrzymać, Millie? Dlaczego, kurwa, masz zamiar urodzić to pieprzone dziecko, skoro go wcale, kurwa, nie chcesz? Co?

— *Chcę* tego dziecka, Sean. Chcę go mieć bardziej niż cokolwiek na świecie. Mówię tylko, że bycie w ciąży nie jest łatwe i... i... *Potrzebuję, żebyś ty też chciał tego dziecka.* To wszystko...

W pokoju zaległa absolutna cisza, a ostatnie słowa Millie wisiały w powietrzu jak dzwonek u drzwi, których nikt nie otworzył.

Millie patrzyła na Seana z oczekiwaniem. Sean patrzył w sufit, bębnił palcami po blacie stołu. Tony wpatrywał się w swoje paznokcie i starał się za bardzo nie ruszać, żeby Millie nie zdjęła dłoni z jego ramion.

— Dobrze — powiedział w końcu Sean, uderzając obiema rękami o stół. — Wystarczy. Mam dosyć. Spadam stąd. — Wstał z krzesła i podniósł swoją kurtkę z oparcia kanapy.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że już mam dosyć siedzenia tutaj i pozwalania na publiczną wiwisekcję mojego życia, i wysłuchiwania, że nie jestem dostatecznie dobry. I dlatego wychodzę.

— W takim razie idę z tobą — powiedziała Millie, zdejmując ręce z ramion Tony'ego, ku jego wielkiemu rozczarowaniu.

— Nie, Millie, ty nie idziesz.

— Ależ tak.

Rzucił jej lodowate spojrzenie.

— Ty. Nie. Idziesz.

— Musimy porozmawiać, Sean.

— Tak, masz rację. Faktycznie musimy porozmawiać. Ale nie tutaj, nie teraz i nie dzisiaj wieczorem.

— Dobra, to spierdalaj. Spierdalaj. Ja zostanę tutaj z Tonym. Tony się mną zaopiekuje, prawda, Tony?

Znów chwyciła jego ramiona, a Tony posłusznie kiwnął głową.

— Tak — wybąkał. — Oczywiście.

Sean na moment się zatrzymał i spojrział na nich oboje. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął.

— Wszystko jedno — warknął w końcu, wyrzucając obie ręce do góry. — Wszystko mi jedno.

Już miał całkiem wyjść z pokoju, ale znów się zatrzymał, odwrócił i wbił wzrok nie w Millie, ale w Tony'ego. Wpatrywał się w niego przez chwilę, która Tony'emu wydała się długa jak kwadrans, aż w końcu wskazał na niego palcem i powiedział głosem pełnym złości i smutku:

— Myślałem, że jesteś moim bratem.

Potem wyszedł na dobre, a dziesięć sekund później usłyszeli, jak trzaskają frontowe drzwi.

— OK — powiedziała Ness, wchodząc do pokoju z tacą pełną filiżanek i czekoladek. — Kto chce kawy?

Millie wybuchnęła płaczem.

BRATERSKA FUZJA

— Proszę bardzo — powiedział Tony, podając Millie kubek miętowej herbaty i sadowiając się obok niej na kanapie.

— Naprawdę tak mi przykro, Tony.

— Za co?

— Za to, że przeze mnie pokłóciłeś się ze swoim bratem, za to, że zepsułam cały obiad, że byłam totalną jędzą.

— No daj spokój, nie wygłupiaj się. Niczego nie zepsułaś. Od początku było wiadomo, że obiad będzie z tych sztywnych.

— Tak, wiem, ale nie powinnam tego wszystkiego wygadywać przy twoim stole. Ostatnią rzeczą, którą chciałam zrobić, to poróżnić ciebie i Seana. Po prostu straciłam kontrolę. Chryste, sama w to nie mogę uwierzyć, jestem pijana, Tony. Spójrz tylko na mnie, jestem *pijana*, a w sobie noszę dziecko.

— No cóż... — mruknął Tony, nie bardzo wiedząc, co ma na to powiedzieć. Zalewanie się podczas ciąży było wedle jego standardów dosyć niewybaczalne, nie chciał jej jednak jeszcze bardziej pogrążyć. — Jestem pewien, że nic mu się nie stanie.

— Tak, wiem, że nic mu się nie stanie. Ale nie o to chodzi. To po prostu, wiesz, taki brak szacunku dla niego. Biedne maleństwo — czule pogłaskała się po brzuchu. — Biedne, bezbronne maleństwo, któremu dopiero rosną paznokietki, a mamusia i tatuś kłócą się i wrzeszczą, i każą mu pić różne świństwa.

Tony spojrział na niewielki, zaokrąglony brzusek Millie i poczuł w sobie ogromną tęsknotę. Tam był dzidzius — maleńki dzidzius nie większy od kciuka.

— To ma już paznokietki? — spytał, gapiąc się na jej brzuch z niedowierzaniem.

— Aha. I maleńkie wgłębienia na dziąsłach, z których kiedyś wyrosną ząbki.

— Rany.

— A w tym tygodniu podobno rozwinęły mu się już struny głosowe, tak że może tam w środku zacząć wydawać dźwięki. Potrafisz to sobie wyobrazić?

— Niesamowite — westchnął Tony. — Mogę dotknąć?

— Oczywiście — zgodziła się Millie i trochę rozchyliła kardigan. Tony położył dłoń na niewielkim wybrzuszeniu, które wyglądało bardziej na spowodowane dużą porcją curry i zatrzymanymi wiatrami niż na ciążę.

— Jeszcze niczego nie poczujesz — wyjaśniła. — Dziecko już się porusza, ale jest za malutkie, żeby to wyczuć.

— Wiem, ale to takie... niesamowite, prawda? Tam w środku jest maleńka ludzka istota. Chcę tylko... nawiązać *kontakt*, rozumiesz?

Spojrzał Millie w oczy i uśmiechnął się, a ona odwzajemniła uśmiech.

— Wiesz co — powiedziała. — Sean nigdy tego nie zrobił. Jeszcze nigdy nie dotknął naszego dziecka.

— Naprawdę? — Tony zabrał dłoń z brzucha Millie.

— No tak. Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek w ogóle na nie *spojrzał*. To znaczy, specjalnie. Chryste. Co ja wyprawiam? Co ja wyprawiam, Tony? — Spojrzała na niego bezradnie, a potem zakryła twarz dłońmi. — Kurwa. Będę samotną matką, prawda? Zgorzkniałą, wykończoną, starą samotną matką która się upija w ciąży. Chryste, pewnie zostanę alkoholiczką i w ogóle je zaniedbam. Opieka społeczna mi je odbierze i już nigdy go nie zobaczę. O Jezu, Tony, *co ja mam zrobić?* — Znów zaczęła szlochać.

— No już dobrze, dobrze — powiedział Tony, ujmując jedną z jej gorących, zaciśniętych dłoni i delikatnie ją ściskając. — Wszystko się ułoży, Millie. Naprawdę, zobaczysz.

— Popatrz, jeszcze kilka tygodni temu wszystko w moim życiu było idealne. Spotkałam mężczyznę moich marzeń, on mi się oświadczył, w pracy dostałam awans, wszystko tak świetnie szło. Każdy dzień był jak jakaś scena z filmu, wiesz? Jak taki idylliczny, cudowny świat, który zwykle wydaje się całkowicie nieosiągalny, który może się przydarzyć tylko komuś innemu, tyle że tym razem wydarzał się *mnie*. Naprawdę, nie potrafiłam sobie wyobrazić, że ży-

cie mogłoby być lepsze. Uważałam, że jestem najszczęśliwszą dziewczyną na świecie. A teraz... a teraz... mój chłopak mnie nienawidzi, jestem w kropce, nie mam życia towarzyskiego, żadnej rozrywki... ani nawet talii. I teraz z kolei moje życie zmieniło się w depresyjny film dokumentalny. Wiesz, jak reportaże o tych kobietach, które widzisz w telewizji i myślisz sobie: „Jak, do diabła, mogłaś pozwolić, żeby ci się to przytrafiło? Jak mogłaś być taka *glupia*”? To znaczy, jak ja w ogóle kiedykolwiek mogłam pomyśleć, że Sean będzie dobrym ojcem albo choćby dobrym mężem, jeśli już o to chodzi? Czy byłam aż tak zdesperowana?

— On na ciebie nie zasługuje, Millie — powiedział Tony. — Nie zasługuje na żadne z was.

— Nie zasługuje, prawda? Prawda? Jak myślisz, czy on chociaż zauważył, że ja dzisiaj piłam? Co? Czy jemu w ogóle przyszło do głowy, co ja robię? Boże, a może on mnie nawet psychicznie do tego zachęcał. Miał nadzieję, że poronię albo coś takiego...

— No daj spokój, Millie, to chyba trochę przesada, nie sądzisz?

— Nie, wcale nie. Nie wiesz nawet, jaki on potrafi być zimny, Tony. Nigdy wcześniej go takiego nie widziałam. Zawsze był jak taki podekscytowany psiak, cały czas wszystkim się cieszył. Nawet nie potrafiłam sobie wtedy wyobrazić, że Sean w ogóle może być nieszczęśliwy. A potem mu powiedziałam, że jestem w ciąży, i to było tak, jakby ktoś zgasił w nim światło. Jakby zatrzęsnęły się takie wielkie, stalowe drzwi, szszszuu... — Zademonstrowała dłońmi zamykające się drzwi. — To była ostatnia chwila, kiedy widziałam starego Seana. Odszedł. Na zawsze. I nie wiem, jak go znów odzyskać, Tony. Jak mam go odzyskać co? Jak?

— Nie wiem, Millie naprawdę nie wiem. Sean jest... Sean nie umie się dzielić. Nigdy tego nie umiał. Kiedy coś należało do niego, nikomu nie pozwalał się do tego zbliżyć. A kiedy Mama czasem go zmusiła, żeby komuś pozwolił się pobawić jego zabawką, to on wtedy jej się całkiem wyrzekał. Mówił, że już jej więcej nie chce. I dostawał nową... — Tony wzruszył ramionami i spojrzał na Millie.

— Chcesz powiedzieć, że on się tak zachowuje, bo ja jestem dla niego jak jedna z jego zabawek i teraz musi się nią dzielić z naszym dzieckiem?

— Nie wiem — powiedział. — To tylko taka teoria. Przez chwilę Millie w ciszy wpatrywała się w podłogę.

— Kurwa — rzuciła w końcu. — Chyba masz rację. To jest to. O Boże, Tony, co ja bym bez ciebie zrobiła? Gdy jestem z tobą, to wiesz, tak jakbym miała własną, dorosłą wersję Seana. No bo wyglądasz jak on i brzmisz jak on, nawet trochę podobnie do niego pachniesz. Ale masz

inteligencję emocjonalną, a on jest emocjonalnie niedorozwinięty. Chciałabym... żałuję, że nie można w jakiś sposób was obu *zlać* w jedno... O Boże, czy to nie brzmi idiotycznie?

Tony spojrział na nią, starając się ukryć totalne zdziwienie.

— No... nie, wcale nie. Ale jaką część Seana chciałabyś zachować przy tej fuzji?

Millie westchnęła i zamyśliła się.

— Boże, sama nie wiem, naprawdę nie wiem. Jego... jego... No właściwie to *nic* — powiedziała w końcu. — W tej chwili czuję tak, że nie ma nic z Seana, co chciałabym zatrzymać.

— W takim razie, w tym połączeniu zostają praktycznie tylko ja, co? — spytał Tony, śmiejąc się nerwowo.

— No tak, na to wygląda. — Millie też się roześmiała.

— Może jednak bez tej... dodatkowej warstwy? — poklepał się po brzuchu i znów zaśmiał.

— Nie — zaprzeczyła. — Podoba mi się dodatkowa warstwa. Zatrzymałabym ją.

— Naprawdę?

— Pewnie. Przez to jesteś taki przytulaczek.

Tony przez chwilę trawił „przytulaczka”, zastanawiając się, czy mu się to podoba.

— Pamiętasz tamten dzień, kiedy przyszedłeś do mojego mieszkania?

Skinął głową.

— I powiedziałeś wtedy to... no, że gdyby się wszystko z Seanem posypało, to są osoby, które się mną zaopiekują?

— Tak.

— No cóż, myślę, że może do tego dojść, wiesz? Naprawdę myślę, że to się może rozlecieć. Wtedy tak jeszcze nie myślałam, kiedy to powiedziałeś. Uważałam, że trochę dramatyzujesz. Ale teraz już nie jestem taka pewna. Patrzę na Seana i nie widzę w nim już niczego, w czym się zakochałam. Tego już w nim nie ma. Widzę jedynie zepsutego, samolubnego *chłopca*. I jeśli ten stary Sean nie wróci... Wydaje mi się, że już nie chcę z nim być, Tony. A gdyby tak się stało... gdybym została sama... czy ty... czy *byłbyś zainteresowany!*

— Czy byłbym zainteresowany? — spytał Tony. — Oczywiście, że byłbym. Bardziej niż zainteresowany, Millie. Zrobiłbym absolutnie wszystko.

— Naprawdę?

— Tak. Jeździłbym gdzie tylko trzeba, zawoził cię, gdzie byś tylko chciała, zrobiłbym dosłownie wszystko dla ciebie i dziecka. Ja... Boże... czas, pieniądze, wszystko, czego byś

chciała, czego byś potrzebowała. Ty i dziecko jesteście najważniejsze na całym świecie.

— Jesteśmy? Naprawdę?

— Oczywiście, że tak. Ważniejsze niż cokolwiek innego. Zrobiłbym dla was absolutnie wszystko, wszystko.

Millie parzyła prosto na niego i Tony dostrzegł, jak jej oczy napełniają się łzami.

— O Boże, Tony, gdybyś tylko widział, jak bardzo pragnęłam coś takiego usłyszeć. Poczucie, że jesteśmy ważni, wyjątkowi.

— Jak cokolwiek może być ważniejsze od ciebie i dziecka?

— Dziękuję, Tony. Nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczy.

— Nie mogę po prostu zrozumieć, że ktoś tak piękny jak ty, tak wyjątkowy niesamowity jak ty, kiedykolwiek mógł się związać z kimś, kto tego nie docenia. To po prostu w głowie się nie mieści. Ty powinnaś być... adorowana i rozpieszczana, i chroniona. Powinnaś być traktowana jak królowa.

Millie uśmiechnęła się i położyła mu dłoń na ramieniu. — Przestań — zaśmiała się. — Za chwilę naprawdę w to uwierzę.

Tony chwycił jej dłoń.

— Chcę, żebyś w to wierzyła, Millie. Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie.

— Dziękuję, Tony — powiedziała cicho. — Tak bardzo ci dziękuję.

Wtedy niespodziewanie objęła go mocno i przytuliła. Tony też otoczył ją ramionami. Na chwilę przestał oddychać.

Ness spała na górze. Pokój słabo oświetlała tylko jedna lampa w rogu. Płyta Davida Graya grała wciąż na okrągło. A Tony był pełen wypitego wina i brandy. Millie w jego ramionach była ciepła, i mocna, i pachniała czystymi włosami i rozmarynem. To było jak... randka. Jak *coś*... Powoli wyzwolił się z uścisku Millie, tak że z bliska patrzył jej w oczy.

Pod oczami miała rozmazany tusz. Wytarł go delikatnie kciukiem.

— Zaslugujesz na wiele, wiele więcej, Millie — powiedział. Uśmiechnęła się i potaknęła.

— Prawda — szepnęła. — Zasluguje.

A potem, bardzo, bardzo powoli, ich wargi się połączyły. Zaczęli się całować.

CIĄŻOWY KAC

To Tony pierwszy przerwał ich pocałunek. Mniej więcej po trzydziestu sekundach. Ktoś przecież musiał.

— Nie powinniśmy — powiedział. — Nie wolno nam tego robić.

I nie mówił tego tylko po to, by zachować się jak dżentelmen. Powiedział to, bo naprawdę tak czuł. To nie tak. Wszystko *było* nie tak. Tony zdał sobie z tego sprawę gdzieś w połowie pocałunku. Nie chciał już, żeby ich relacja przybrała taki obrót. Coś się w nim zmieniło. Tak naprawdę stało się to w tamtej chwili, gdy Millie powiedziała mu, że jest w ciąży, tylko że on tego dotąd nie zauważył.

— Wiem — powiedziała teraz, odsuwając się od niego i dotykając swoich ust koniuszkami palców. — Jestem bardzo pijana.

— Ja też — powiedział Tony.

— To dlatego... — zaczęła, składając dłonie na kolanach — że czuję się taka...

— Wszystko w porządku — przerwał jej Tony. — Wiem. Oboje jesteśmy nieźle zalani. I skołowani. Zachowujemy się idiotycznie.

Millie potakiwała. Założyła za ucho kosmyk włosów.

— Oczywiście — powiedziała, rzucając Tony'emu nieśmiały uśmiech. — Boże, jak to się mogło zdarzyć?

Tony wzruszył ramionami.

— Kto zaczął? Boże, chyba nie ja? Czy ja się właśnie przed chwilą na ciebie rzuciłam z wywieszonym ozorem?

Tony się uśmiechnął.

— No aż tak to nie. Wysiłki były chyba obopólne. No wiesz, po połowie.

— Ależ to żenujące. To znaczy, nie, no wiesz, jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, Tony, naprawdę jesteś. Ale po prostu nie mam pojęcia, co się ze mną stało. Przysięgam. To chyba te moje hormony, czy coś.

— Moje też — powiedział, czując, jak gdzieś w żołądku jego zażenowanie zaczyna się przeradzać w śmiech.

— O Boże, przewalamy się na kanapie, jakie to dziecinne — powiedziała Millie, chowając twarz w dłoniach.

Tony spojrzał na Millie, która siedziała z zaszokowanym, ale lekko rozbawionym wyra-

zem twarzy, sweter wciąż miała w nieładzie i nagle przed oczyma stanął mu obrazek jego i Millie „przewalających się po kanapie”. Nie wiadomo dlaczego ta wizja przebrała miarę i nagle wybuchnął serdecznym, głośnym śmiechem. Millie spojrzała na niego z ukosa i jej uśmiech też się poszerzył. Tony spojrział na nią jeszcze raz i znów się roześmiał. I wtedy oboje wybuchnęli.

Zaśmiewali się jak szaleni przez jakieś pięć minut, kiwając się w przód i w tył, trzymając za boki, wycierając sobie łzy spod oczu. Śmiali się tak mocno, że nie mogli wydobyć słowa, i tak głośno, że Tony'ego zaczęły boleć żebra. I śmiali się tak długo, aż napięcie minionych czterech godzin całkowicie się rozplynęło. I kiedy wreszcie skończyli się śmiać, spojrzeli na siebie, a Tony wiedział, że w jego życiu pojawił się nowy, cudowny przyjaciel.

Posiedzieli jeszcze chwilę, gawędząc o minionym wieczorze, o dziecku, o Seanie, a potem, kiedy Millie już więcej ziewała, niż mówiła, Tony zaprowadził ją na górę do łóżka. Pozwoliła mu koło siebie skakać. Pokazywał jej pokój gościnny z przyległą łazienką, przyniósł jej pastę do zębów i nową szczoteczkę, dał jej czysty podkoszulek do spania. Kiedy już była gotowa do snu, pozwoliła mu usiąść na brzegu łóżka, głaskać się po włosach i trzymać za rękę. Była jak małe, posłuszne dziecko.

— No nie — powiedziała nagle. — Mój dzidzius. Czy myślisz, że on jutro też będzie miał kaca? Tak jak ja?

Tony wzruszył ramionami.

— Och, moje biedne, biedne dziecko — jęknęła Millie, głaszcząc się po brzuchu. — Co ja ci najlepszego zrobiłam, moje biedne maleństwo?

Tony przyniósł więcej wody, by zminimalizować kaca jej i dziecka.

— Wiesz co — powiedziała, walcząc z zamykającymi się powiekami, już na granicy snu. — Uwielbiam być przy tobie. Jesteś taki silny i spokojny, i dobry. Kiedy jestem z tobą, to czuję, że wszystko może być w porządku. Wiesz?

Tony kiwnął głową, uśmiechnął się i patrzył, jak jej oczy powoli się zamykają, oddech staje się regularny. I kiedy tak siedział, obserwując kontury jej twarzy, jej długie rzęsy ocieniające policzki, jej lekko wydęte usta, przez które wypuszczała powietrze, całkowicie ogarnęło go zupełnie dotąd nie znane uczucie.

Poczuł się jak ojciec czuwający nad snem swojej córeczki.

Czuł się po *ojcowsku*.

Ten pocałunek... był po prostu, był tylko... *miły*. Dawał ukojenie, czułość. Ale nie wzbudził w nim pożądania. I nagle zdał sobie sprawę, że właśnie o to chodzi w jego związku z Mil-

lie. Oni się nawzajem pocieszają. On sprawia, że ona lepiej znosi to, że jej chłopak ją odrzucił, a ona z kolei sprawia, że on lepiej daje sobie radę ze swoim poczuciem zagubienia tożsamości.

Te jego mrzonki to była tylko zabawa. I tyle. Do niczego to nie prowadziło. Oczywiście, że nie. Nawet gdyby Millie i Sean się rozstali, czy naprawdę mogło mu się wydawać, że wskoczy na miejsce brata i będzie wychowywać jego dziecko? To było nie do pomyślenia. Już nie chciał pokonać Seana. Sean pokonywał się sam. Współzawodnictwo było skończone. Zdał sobie sprawę z tego, że jego rola nie polega na tym, by odbić Millie Seanowi. On ma się opiekować Millie do czasu, aż Sean się nie pozbiera i nie przejmie odpowiedzialności.

On nie jest drapieżcą.

Nie jest kochankiem.

Nie jest zwycięzcą.

Jest starszym bratem.

Po kilku minutach powoli wstał, zgasił nocną lampkę i poszedł do swojej sypialni.

Ness nie spała. Leżała w łóżku i czytała książkę.

— No i jak z nią? — spytała szeptem, zaginając róg strony i odkładając książkę na nocny stolik.

— Usnęła — odparł Tony, rozpinając pasek.

— Biedactwo. Jakie to potworne. Akurat wtedy, jak człowiekowi naprawdę jest potrzebny w życiu spokój, wszystko się sypie.

— Tak. Skurwiel z niego.

— Wspaniale się nią zająłeś, Tony — powiedziała, unosząc się na łóżku i oplatając ręką jego talię.

Zastygł bez ruchu.

— Nie do wiary, jaki byłeś dla niej słodki. Byłam dziś wieczorem taka z ciebie dumna, Tony. Taka dumna, że jesteś moim chłopakiem.

— Cóż — powiedział skromnie. — Ona jest w ciąży. Ktoś się musi nią zaopiekować.

— Chodź tutaj — powiedziała. — Chodź do mnie, mój cudowny, wielki, wrażliwy mężczyzno. — Wsadziła mu palec za pasek spodni i pociągnęła do siebie.

— No co?

— Po prostu chodź tutaj. Jestem przepełniona miłością. Chcę się przytulić.

— Ness — zaczął, próbując się uwolnić. — Ja...

— No chodźże tutaj.

I wtedy spojrział na Ness, która leżała naga i gotowa do miłości, i poczuł, jak ogarnia go fala pożądania. Pragnął nie tyle Ness, ile w ogóle kontaktu z drugim człowiekiem, intymności. Pociągnęła go na łóżko, rozebrała go, zaczęła pieścić. A Tony był tak pijany i tak zmęczony, i pełen sprzecznych uczuć, że jej na to pozwolił. W głowie miał jedynie ciepłą, ciemną pustkę. Jego ciało było żywą matrycą odczuć. Zamknął oczy i całkowicie się zapomniał, zatracił się w ciele i pieszczotach Ness. Przez jego pustą głowę przelatywały urywki myśli i obrazów, jakby ktoś puszczał slajdy — Millie, Sean, Ness. Nie miał pojęcia, jak długo to wszystko trwało, ale nigdy wcześniej nie doświadczył podczas seksu tak intensywnych doznań. A kiedy w pewnym momencie szczytował, to miał nie tylko fizyczny, ale i emocjonalny orgazm. I ze łzami w oczach i wyrazem absolutnego zadziwienia na twarzy krzyknął na głos:

— Kocham cię, Ness, tak bardzo cię kocham, tak bardzo kocham, *tak bardzo cię kocham*. A potem chwycił ją i przycisnął do siebie mocniej, niż kiedykolwiek tulił kogoś w życiu. Ness też go tuliła, i płakała, a jej ciepłe łzy spływały po jego włosach na skórę głowy.

HISTORIA MIŁOSNA W DWÓCH AKTACH

Do chwili, gdy Ned stawiał się w pracy w czwartek rano, był już oficjalnie najszybszym na świecie składaczem pakietów prasowych. Zgiął ponad tysiąc folderów, skserował ponad pięćset notek prasowych i opróżnił wszystkie pudła ze zdjęciami. Pod wrażeniem produktywności Neda był nawet Hoxton Fin (który, nawiasem mówiąc, miał na imię Marc — czego Ned dowiedział się tylko dlatego, że ktoś zawołał go w biurze po imieniu).

— Dobrze ci idzie — powiedział poprzedniego wieczoru. — Jestem bardzo zadowolony. A Ned poczuł idiotyczną dumę i wrócił do domu wyjątkowo lekkim krokiem.

Teraz był śliczny, słoneczny poranek, a Ned przekraczał Soho Square, udając się do swego miejsca pracy. I choć miał świadomość, że wykonuje jedną z najdurniejszych prac w całym Londynie, to nie mógł się oprzeć uczuciu podniecenia tym, że każdego dnia może gdzieś iść, że może być częścią tego tłumu płynącego ulicami najwspanialszego miasta świata. Dawało mu to jakiś cel i możliwość odcięcia się od starego życia. To było dobre. Zdrowe. W porządku.

Wystukał kod na drzwiach biura i rażno przeszedł przez recepcję, pozdrawiając po drodze Fabiolę, piękną recepcjonistkę z Włoch. Zatrzymał się na chwilę przy automacie do napojów, kupił sobie herbatę. Wsadził głowę do biura prasowego i krzyknął dzień dobry do tych kilku osób, które się tam akurat kręciły. A potem otworzył drzwi do swojej kanciapki i stanął

jak wryty. W środku była dziewczyna.

Fantastyczna dziewczyna w różowej bluzeczce z bufiastymi rękawkami i spłowiałych starych džinsach, z celtycką obróżą wytatuowaną na przedramieniu. Miała proste, jasne włosy do ramion i około ośmiu kolczyków w każdym uchu, w tym malutkie srebrne na samej górze małżowin.

— Nid?

— No... tak.

— Cześć. Jestem Bicky.

— Bicky?

— No. Jestem z tej samej agencji zatrudnienia co ty?

— Przysłali cię z Duch & Dewar?

— No. Podobno ten koleś... no...?

— Marc.

— No właśnie. Ten. Chciał, żebyś miał kogoś do pomocy? No to jestem.

— Super — powiedział Ned, zacierając dłonie. — To fantastycznie. Pokazał ci już wszystko? No wiesz, foldery i zdjęcia...

— No. Tak, tak.

— I automat do kawy? Toalety?

— Aha.

— Świetnie. — Ned odstawił kawę i wyszczerzył się do Becky.

— To ty tu byłeś sam zamknięty przez cały tydzień?

— Uhm.

— Jezu. To nie do wiary, że każą nam tu pracować. Nawet *nie ma okien*. A na dworze taka pogoda! To przestępstwo!

— Wiem — potwierdził Ned, czując wielką ulgę, że ma kogoś do wspólnego narzekania.

— I nie to, żeby w ogóle nie mieli miejsca, na przykład tam — wskazał głową w kierunku biura prasowego po drugiej stronie korytarza. — Byłaś tam? *Ogromne*.

— Ten cały Marc to jakiś świrus — powiedziała. — I co jest z jego włosami? Wygląda jak Sonic the Hidgehog* — zaśmiała się, ale zaraz się poprawiła. — Cholera, tylko mnie posłuchaj. Chyba złapałam wirusa narzekactwa. Gadam jak jakaś pieprzona Brytolka!

* Sonic the Hidgehog — niebieski jeżyk, słynna postać rysunkowa z gier wideo.

— A więc — powiedział Ned. — Jesteś z Australii czy Nowej Zelandii?

— Australia. Sydney.

— Naprawdę? A gdzie w Sydney?

— Bronte Beach.

— Nie! — wykrzyknął. — Serio?

— No tak. A co? Znasz?

— Czy znam? Mieszkałem tam przez trzy lata.

— W Bronte? Ale numer! Kiedy to było?

— Wróciłem trzy tygodnie temu.

— Rany! — powiedziała Becky, wkładając ręce do kieszeni džinsów. — Niesamowite.

Ned spojrzał na nią i sam przyznał, że i owszem, to wszystko jest dosyć niesamowite. To, że ona znalazła się tutaj, w jego kanciapce, że była taka śliczna, no i że w końcu będzie miał z kim rozmawiać przez cały dzień. Na dodatek mieli ze sobą tyle wspólnego. Kiedy tak gadali, składając kolejne foldery i popijając ohydłą herbatę z automatu, okazało się, że znają tych samych ludzi, że bywali w tych samych barach i restauracjach, że pewnie nawet niejedną raz oboje byli w tym samym miejscu o tym samym czasie. Becky przychodziła do kafejki internetowej, kiedy Ned tam pracował, Ned z kolei był na imprezie w mieszkaniu byłego chłopaka Becky.

Miała dwadzieścia trzy lata, w Londynie mieszkała od prawie sześciu miesięcy i zamierzała tu spędzić kolejne sześć, a potem, przed powrotem do domu, zrobić sobie podróż dokoła Europy. Wynajmowała mieszkanie w Wandsworth wspólnie z czterema innymi Australijczykami. Ned czuł się naprawdę dziwnie, rozmawiając z kimś, kto w tej chwili znajdował się w identycznej sytuacji, w jakiej on sam żył przez ostatnie trzy lata, tyle że po drugiej stronie świata.

O pierwszej po południu wyszli razem na lunch. Kupili sobie tanie kanapki w Benjy's i zabrali je na Soho Square, żeby zjeść w słońcu. Becky miała na nosie różowe okulary słoneczne, siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i prostymi plecami, zrywała źdźbła trawy i robiła na nich supelki. Ned wyciągnął się na trawniku i czuł, jak wiosenna wilgoć przenika przez materiał jego džinsów. Słońce świeciło mocno, ale wiał chłodny wiatr. Wkoło było mnóstwo ludzi takich jak oni, młodych urzędników, pracowników biur i banków, cieszących się z tej godziny wolności, zachłannie chłonących cenne słoneczne promienie, jakby chcieli zachować tę chwilę na zawsze.

Gadali o muzyce, i Londynie, i jedzeniu, i piłce nożnej. Becky lubiła curry, chińską

kuchnię, pizzę, piwo beczkowe, choć gdyby ktoś jej postawił szampana, to by nie odmówiła. Mniej więcej raz w tygodniu chodziła na koncerty (najlepsze w Londynie jest właśnie to, że można słuchać muzyki na żywo), i kibicowała drużynie Chelsea (bo to był jej lokalny klub i wszyscy jej współmieszkańcy też mu kibicowali). Tęskniła za przyjaciółmi, swoim psem, mamą i tatą. Rozmawiali o tym, jak to jest być daleko od domu i jakie to dziwne, że najlepsze chwile w życiu przychodzi przeżywać z daleka od ludzi, którzy najlepiej cię znają i najmocniej kochają.

O drugiej wrócili do pracy i przegadali całe popołudnie. Nabijali się z Marca, zaśmiewali ze zdjęć tego nastoletniego gwiazdora, w którego promocji uczestniczyli, pili gorącą czekoladę z automatu. Do piątej po południu znali się już tak doskonale, jak ludzie, którzy kolegują się od piątego roku życia. Kiedy więc wyszli z budynku, na dworze wciąż świeciło słońce, a oni dalej nie mogli się nagadać, Nedowi wydało się całkiem naturalne, żeby zaproponować wspólny wypad na drinka.

Poszli do Coach and Horses przy Greek Street i wynieśli sobie stołki na chodnik przed pubem. Ulica dosłownie kipiała od spoconych, uwolnionych z pracy ciał: kurierów, ludzi wyglądających na pracowników mediów, urzędników, podpuchniętych alkoholików. Kiedy słońce zaczęło się chować za wysokimi budynkami Soho, powiało chłodem, ale z kuflem piwa w żołądku i piękną dziewczyną u boku Ned nie zwracał uwagi na gęsią skórę na ramionach.

To jest to, myślał, parząc na Becky, która właśnie wchodziła do pubu po następną kolejkę. Oto mój ideał spędzania czasu. Nieplanowany, spontaniczny wypad, łagodny wiosenny wieczór, zimne piwko, gwarny pub, i wspaniała, wesoła, słodka dziewczyna. O to właśnie chodzi, kiedy jest się młodym, samotnym, w mieście. Gerwazy musiał mieć na myśli dokładnie to, kiedy mu powiedział o tej „prawidłowości w życiu”. Był dobrym człowiekiem i dobre rzeczy same do niego przyszły. No i, cholera, w samą porę. Czuł, jak piwo delikatnie rozlewa się po jego ciele, jak rozluźnia jego członki i umysł, a przed nim otwierają się wszelkie możliwości. Lato dopiero miało się zacząć, był w domu, wolny od Moniki, wolny od wszystkiego. I wszystko przed nim, myślał, patrząc wkoło na restauracje, kluby, ludzi, wszystko, czego tylko mógł zapragnąć, było właśnie tutaj i było piękne. Musi być tylko odważny, sięgnąć po to, chwycić, posiąść i pilnować.

— No i browarek raz — powiedziała Becky, wychodząc z pubu i stawiając przed nim na stoliku dwie szklanki piwa z chybocącymi wieżyczkami piany. Ned uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech. Miała śliczne zęby, a kiedy się uśmiechała, mrużyła oczy. To takie

naturalne, myślał, takie normalne i zdrowe w porównaniu z uciekaniem za ocean z Szaloną Monicą albo napalaniem się na dziewczynę swojego brata. Kiedy był z Becky czuł się jak normalny, porządny człowiek, a nie jakiś ludzki odpadek wyrzucony na śmietnik życia, jak ktoś, kto nadaje się na towarzystwo tylko dla psycholi, świrów i kobiet należących do innych mężczyzn.

— Zdrówko — powiedział, podnosząc szklanę i stukając nią o brzeg szklanki Becky. —
Za... możliwości.

— Absolutnie — zgodziła się Becky. — Trudno o lepszy toast. Za możliwości!

Ned spojrzał na Becky, ona na niego. Żadne z nich nie odwróciło wzroku. To jest to, myślał Ned, to jest to. Nowa praca, nowa dziewczyna. Oto zaczyna się nowe życie,

Sięgnij po nie.

Po zamknięciu pubu Ned odprowadził Becky do przystanku metra na Tottenham Court Road. Było już naprawdę zimno, więc szli w dół Oxford Street blisko siebie, stykając się nagimi ramionami, żeby się ogrzać. Oboje byli przyjemnie wstawieni i w świetnych humorach. Idąc, wciąż gadali i śmiali się jak dobrzy, starzy kumple.

— No to — powiedziała Becky — którą Oxford Street bardziej lubisz?

— Cholera, trudna sprawa. Chyba jednak tę w Sydney. Mniej szpanerska. A ty?

— Wolę tę, zdecydowanie.

— Czemu?

— Bo jest dłuższa. Więcej sklepów. No i jest w Londynie.

— To w takim razie wolisz Londyn niż Sydney?

— Nie powiedziałabym od razu, że wolę. Sydney to takie kapitalne miejsce, tam mam wszystkich przyjaciół, fajne żarcie, pogoda, to fantastyczne miasto. Ale jak się jest w Londynie, to trochę tak, jakby się było w historii. No wiesz, gdziekolwiek pójdziesz, to masz świadomość, że po tym samym chodniku pewnie chodził ktoś bardzo ważny. O, nawet po tym — przystanęła i wskazała na chodnikową płytę, na której akurat stała. — Każdy mógł tędy chodzić, na przykład Jimi Hendrix, John Lennon, Laurence Olivier, księżna Diana, no i ci wszyscy sprzed wieków, królowie, królowe, odkrywcy, podróżnicy. Jest tu takie poczucie trwania. I wszystko jest charakterystyczne. Czerwone autobusy, rejestracje samochodów, znaki drogowe, mundury policjantów, to wszystko jest takie znajome, no bo widziało się to z milion razy na filmach i w telewizji. To właśnie uwielbiam w Londynie. Takie poczucie, że jest się w samym środku, nie gdzieś na peryferiach. Kocham to. Naprawdę kocham Londyn, zdecydowanie.

Uśmiechnęła się szeroko, a Ned pomyślał, że chce ją pocałować. Bardziej, niż kiedykol-

wiek pragnął kogoś pocałować w swoim życiu.

— Wiesz, że moje nazwisko brzmi London? — spytał, uśmiechając się dumnie.

— Serio?

— Aha. Gdybyś za mnie wyszła, byłabyś panią London.

— Fajno — zaśmiała się. — Rebecca London. Podoba mi się. Ned uśmiechnął się do siebie zadowolony i poszli dalej. Zatrzymali się na szczycie schodów stacji metra.

— Czym jedziesz do domu? — spytała Becky.

— Przejdę się do Holborn. Stamtąd mam autobus.

— Nie jeździsz metrem?

— No... nie — zaśmiał się. — Mieszkam aż w Crystal Palace. Tam nie ma stacji metra.

Ale autobus zawozi mnie pod same drzwi.

— No to dzięki, że mnie odprowadziłeś. To naprawdę słodkie z twojej strony.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— To widzimy się jutro?

— Oczywiście.

— Bezpiecznej drogi — powiedziała Becky. — Dobranoc.

I wtedy pochyliła się ku niemu, a Ned najpierw myślał, że chce go pocałować w policzek, więc starał się ten policzek nastawić, ale jej twarz trochę się przesunęła, a on poczuł, że jej usta ocierają się o jego usta. To było takie miłe, a on tak strasznie tego pragnął, chciał tego przez cały wieczór, że teraz mocno ją przytulił i zaczął całować. To było tak niespodziewane, że przez kilka sekund w ogóle nie zauważył, że ona stara się wydobyć z jego uścisku, a nawet, że się wiję jak piskorz.

Kiedy w końcu zdał sobie z tego sprawę, było już za późno.

— Ned! — krzyknęła, kiedy w końcu udało jej się wyswobodzić z jego ramion. — Co ty wyprawiasz?

— Cholera, Becky. Sam nie wiem. Myślałem... Myślałem, że chcesz mnie pocałować...

— W policzek, stary, w policzek!

— Naprawdę mi przykro, Becky. Tylko że miałem ochotę to zrobić przez cały wieczór, no i wypłem trochę, no i pomyślałem... Chryste, naprawdę przepraszam. Wszystko spieprzyłem, nie?

— Ned — powiedziała, opierając dłoń na jego ramieniu. — Nie było nic do spieprzenia.

— Co?

— To znaczy, przykro mi, jeśli źle to odebrałeś i tak dalej, jeśli cię jakoś zmyliłam, ale nie mam na ciebie ochoty.

— Nie?

— Nie. Uważam, że jesteś fantastyczny. Naprawdę kapitalny z ciebie facet. Ale nie w moim typie.

— Och.

— No tak. Słuchaj, naprawdę mi przykro. Serio. To nic osobistego, słowo daję. Tyle tylko, że jesteś dla mnie trochę za młody.

— Młody? Przecież jestem od ciebie o cztery lata starszy!

— Tak. Ale nie chodzi o wiek. Tylko o ciebie. Lubię, jak moi faceci są trochę bardziej... męscy.

— Uważasz, że nie jestem męski?

— No, wyglądasz męsko, w pewnym sensie. Ale chodzi o to, że wiesz, ciągle mieszkasz z rodzicami, pracujesz dorywczo. Ja szukam kogoś, kto ma bardziej ustabilizowane życie? Rozumiesz? Dajmy na to, własne mieszkanie, no i może porządną pracę? Czy to brzmi, jakbym była jakaś płytką?

— Wcale nie — powiedział Ned, spuszczając głowę. Wpatrywał się w chodnik i czekał, żeby powstała tam ogromna dziura, w którą mógłby się natychmiast zapaść. — W porządku.

— Boże, Ned. Tak mi przykro. Naprawdę mam nadzieję, że to nie dlatego, jak się zachowywałam czy że coś powiedziałam. Mam nadzieję, że nie dawałam ci żadnych fałszywych znaków.

— Nie — powiedział Ned, chcąc jedynie odejść stąd jak najszybciej i iść tak długo, aż oczyści się z tego potwornego uczucia upokorzenia, które rosło w nim jak złośliwy guz. — Nie, nie. To nie twoja wina. To ja... no... Słuchaj, naprawdę, cholernie mi teraz głupio, to lepiej już sobie pójdę, dobra?

Becky skinęła głową i rzuciła mu spojrzenie pełne takiej litości, że Nedowi zrobiło się niedobrze.

— Dziękuję, w każdym razie. Za wspaniałą wieczór.

— Ja też ci dziękuję, Ned.

Ned zaczął iść, świadomy tego, że Becky wciąż stoi u szczytu schodów i za nim patrzy.

— Ned. Odwrócił się.

— Chciałam ci tylko coś powiedzieć. Naprawdę jesteś fantastycznym facetem. Jednym z

najmilszych, jakich poznałam, odkąd jestem w Londynie. Znajdziesz kogoś kapitalnego. Wiem, że znajdziesz.

Ned zmusił się do uśmiechu, a potem ciężkim krokiem powlókł się w kierunku High Holborn i przystanku autobusu linii 68. Przez całą drogę przeklinał w duchu Gerwazego i jego pieprzoną „teorię prawidłowości”.

TONY MA DOBRY TYDZIEŃ

— Dziewięćdziesiąt pięć kilo, Tony. Dobra robota! Schudłeś dwa kilogramy!

Wszyscy uczestnicy grupy spojrzeli na niego z dumą i nagrodzili serdecznymi oklaskami.

— Ile to będzie w funtach? — szepnął do ucha Jan.

— Około czterech i pół funta.

— To dużo?

— Wspaniale, Tony. To znaczy, że ważysz już poniżej piętnastu kamieni. Naprawdę dobra robota!

Poniżej piętnastu kamieni, myślał Tony, a na jego ustach igrał zadowolony uśmiech. Czyli czternaście kamieni z czymś. Fantastycznie! Zajął swoje miejsce w kole i rozdawał wkoło uśmiechy. Wszyscy wyglądali tak, jakby naprawdę cieszyli się razem z nim, a on czuł, jak rozpiera go z dumą. Był zwycięzcą!

Nie, żeby ta utrata wagi miała coś wspólnego z przestrzeganiem zaleceń Jan, liczeniem kalorii, czy wyciskaniem z siebie siódmych potów na siłowni. Nie — schudnięcie zawdzięczał całkowicie owej emocjonalnej burzy, która w tej chwili przechodziła przez jego życie. Po tym, jak spędził tyle lat na uczuciowej pustyni, Tony ledwo mógł sobie teraz poradzić z różnorodnością i siłą swoich emocji. Wszystko zaczęło się w ową środę wieczorem.

Pierwszym, całkowicie obezwładniającym uczuciem był straszliwy kac, z jakim następnego ranka zerwał się o szóstej trzydzieści na dźwięk budzika. Z pewnością było to jedno z najstraszniejszych doświadczeń jego życia. Jego język był pokryty czymś, co przypominało grubą warstwę nasączonej czosnkiem brandy, a w głowie miał jakby cały rój gigantycznych, uzbrojonych w ostre toporki pszczoł, które pracowicie przerąbywały się przez jego mózg. Inne emocje musiały czekać w swojej kolejce do chwili, aż kac trochę zelżeje, zanim w ogóle dały o sobie znać. Kiedy już wziął prysznic i wypił kawę, zdał sobie sprawę z uczucia dziwnego uniesienia. Czuł się lżejszy i młodszy. I pełen jakiejś płonącej energii.

Ness zeszła na dół ubrana w jego szlafrok i zamknęła go w rozspanym uścisku. Potem wyjęła z szafki kuchennej butelkę Nurofenu i wysypała z niej cztery tabletki — dwie dla siebie i dwie dla niego — i podała mu je bez słowa razem ze szklanką wody. Obserwował, jak porusza się po kuchni, wdzięczna i smukła, z kręconymi włosami opadającymi na plecy, i musiał powstrzymać kolejną falę pożądania.

Potem zaniósł na górę herbatę dla Millie, a ona otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

— Czuć się ohydnie — zachrypiała. — Chcieć umrzeć.

Włożyła sobie piąstki w oczy, potem zmierzwiła włosy, a Tony miał ochotę unieść ją do góry i utulić, żeby poczuła się lepiej. Potem musiał już iść, zostawić Millie i Ness w swoim mieszkaniu, obie zaspane, skacowane i na wpół rozebrane, przez co jazda do pracy miała jakiś surrealistyczny wymiar. Nie mógł jeszcze do końca uwierzyć w to wszystko, co się stało poprzedniej nocy.

Całował się z Millie.

Pokłócił się z Seanem.

Powiedział Ness, że ją kocha.

I przez tamtą ulotną chwilę naprawdę tak czuł.

Następne kilka dni życia Tony'ego minęły w dziwnie przyspieszonym tempie. Jakby jechał na jakichś prochach, czy coś. Chodził do pracy, był niesłychanie sprawny i wydajny, żartował z podwładnymi, podejmował decyzje, zapominał o jedzeniu. W weekend on i Ness jeździli w różne miejsca, robili zakupy, zwiedzali, odwiedzali znajomych. Nie czuł potrzeby picia alkoholu, bo był tak upojony samym życiem. W niedzielę pożyczyli od Jo psa i spacerowali po Dulwich Common przez jakieś cztery godziny, a pies zmęczył się szybciej niż on. Czuł się wyzwolony, czuł się znowu młody. Świat znów wyglądał jak jeden wielki róg obfitości. Nie dostrzegł żadnych problemów, same możliwości.

Jednak najdziwniejsze w tym, jak się czuł, było to, że powinien być szczęśliwy, a nie był. To było jakieś zupełnie inne, nieznanne uczucie. Miał wrażenie, że jest od wszystkiego zdystansowany, jakby trochę zdrętwiały. Jakby był bohaterem filmu, a wszystko dokoła rozgrywało się według napisanego scenariusza, i ktoś inny już wcześniej za niego zdecydował, co się ma wydarzyć, więc on sam równie dobrze mógł się wycofać i wyluzować. Czasem przelatowały mu przez głowę myśli o tym, co będzie dalej z jego życiem, ale on je po prostu ignorował, zupełnie jakby były przerwami na reklamy pomiędzy kolejnymi scenami filmu.

Podczas tego weekendu trzykrotnie telefonował do Millie, sprawdzał, jak się czuje, dopytywał, jak sprawy między nią i Seanem, pocieszał ją, *opiekował się nią*. Nie wspomnieli już nigdy o tamtym pocałunku, ale zawsze był obecny w ich rozmowach, tak jakby każde z nich czekało, aż to drugie coś powie. Ale właśnie fakt, że żadne tego nie zrobiło, mówił bardzo wiele. Oboje doskonale wiedzieli, czym był ten pocałunek, i w pewien sposób oczyścił on między nimi atmosferę i jeszcze bardziej ich do siebie zbliżył. Rozmawiali raczej o Seanie, który ciągle siedział zaszyty w Catford, i o tym, czy Millie ma zamiar z nim zerwać, i jak się czuje, i co będzie z dzidziusiem. Były to wspaniałe, niesamowicie ważne, głębokie rozmowy o życiu, miłości i wszystkim, co pomiędzy. Jednak za każdym razem, kiedy Tony odkładał słuchawkę, prawie natychmiast zapominał, o czym przed chwilą mówili. Każda rzecz, którą robił, istniała jakby w osobnej szklanej kuli, niezależnie od wszystkiego innego. Między poszczególnymi elementami jego życia nie było połączenia, nie istniała też ich kontynuacja.

Nigdy nie czuł się lepiej.

I teraz jeszcze to. Czternaście kamieni z kawałkiem. Wszystko było fenomenalne. Życie odzyskiwało swój złocisty blask.

Raz jeszcze posłał uśmiech do członków grupy, a oni go odwzajemnili. Czuł, że wszystkich ich kocha, nawet Kelvina. Tonia rzuciła mu specjalny dodatkowy uśmiech i nieznacznie mrugnęła. Spiekł raka i wbił wzrok w podłogę.

— Chciałbyś nam opowiedzieć o swoim tygodniu, Tony? — spytała Jan. — Jakież problemy? Porażki, zwycięstwa?

— Nie — powiedział — niespecjalnie. Po prostu przestrzegałem zasad. Byłem grzecznym chłopczykiem.

— I okazało się to dla ciebie takie proste?

— Tak — uśmiechnął się. — To pewnie szczęście początkującego.

Zaśmiał się, a wszyscy razem z nim, i Jan zwróciła się do kolejnej osoby. Tony słuchał historii członków grupy z minionego tygodnia. Notował sobie kolejne wyniki, kiedy się ważyli i wyszło mu, że razem stracili aż półtora kamienia — nawet pomimo tego, że Kelvin przytył o trzy funty. Tony był tak podniecony tym zbiorowym osiągnięciem, że po spotkaniu nie mógł się doczekać, żeby razem ze wszystkimi iść do Bubbles. Chciał rozmawiać z ludźmi, być wśród nich.

Okazało się, że znów siedzi obok Toni, ale tym razem zaczął odwzajemniać jej zaloty.

— No więc — powiedziała, przesuwając swym wymanikiowanym paznokciem po

brzegu kieliszka. — Odchudzanie ci chyba dobrze robi.

— Co masz na myśli?

— Tylko tyle, że wydajesz się o wiele żywszy niż tydzień temu.

— Naprawdę?

— A tak. W zeszłym tygodniu cały czas miałam wrażenie, że coś cię martwi, że masz jakieś kłopoty. Ale dzisiaj jesteś taki... dynamiczny.

— Dynamiczny, co? No cóż, zdaje się, że po prostu mam dobry tydzień.

— To świetnie. Jakiś specjalny powód?

Przez chwilę się nad tym zastanawiał, a potem się uśmiechnął.

— Nie — odparł. — To tylko jeden z takich tygodni, kiedy nic nie wydaje się problemem. Wiesz, kiedy życie nagle zdaje ci się proste i nieskomplikowane.

— O Boże, przydało by mi się coś takiego — zaśmiała się Tonia. — Jaki masz sekret?

— Nie wiem — powiedział, myśląc równocześnie: *Trzeba powiedzieć bratu, co się do niego naprawdę czuje, całować się z jego narzeczoną, a potem odbyć najlepszy seks w życiu z własną dziewczyną, to wystarczy.* — Po prostu obudziłem się pewnego ranka i stwierdziłem, że wszystko mam w dupie.

Zaśmiała się i zajrzała mu w oczy, a on uciekł wzrokiem w swój kieliszek z winem. Może ją mieć, myślał tryumfalnie, może mieć Tonię. Ona już jest jego. Uważa, że on jest fantastyczny. Wystarczyło, żeby włączył swój urok, a mógł dostać wszystko, czego chciał. Gdyby weszła tu w tej chwili Kylie Minoque, ją też pewnie mógłby zdobyć. I Tamsin Outhwaite*. I wszystkie dziewczyny z S Club 7**. Był niepokonany.

* Tamsin Outhwaite — brytyjska aktorka telewizyjna, gwiazdka serialu *EastEnders*.

** S Club 7 — zespół muzyczny złożony z samych dziewcząt.

Tyle że on nie miał ochoty na Tonię. To było dziwne. Sam nie wiedział, na co ma ochotę. W jego zalanym serotoniną mózgu nie było już miejsca na myślenie o tym, czego naprawdę chce. Był zdolny jedynie do czynów — żadnego planowania, żadnego myślenia, tylko reagowanie.

Skończył swoje wino i pożegnał się ze wszystkimi. Kiedy mówił dobranoc Toni, złożył na jej policzku specjalnie przedłużonego całusa, choć sam nie był pewien, dlaczego w ogóle to zrobił. Wsiadł do samochodu i pojechał do domu z opuszczonym dachem, muzyką rozkręconą na cały regulator, śpiewając co sił w płucach. Nie obchodziło go, że wygląda jak skończony

palant, bo nawet sobie nie *zdawał sprawy* z tego, że tak wygląda.

Kiedy jechał, wydawało mu się, że wszędzie widzi kobiety, całe tabuny kobiet, wszystkie ubrane wiosennie, tak jak uwielbiał — tu i ówdzie błysnęło nagie ramię, blada kostka, kolano. Niedługo oficjalnie będzie lato, a wtedy pokażą się całe nogi, i plecy, i nawet brzuchy, ale Tony w perwersyjny sposób wołał takie wiosenne, wstydlive odkrycia.

Kiedy jechał, kobiety odwracały za nim głowy. Piękne kobiety. Młode kobiety. A on rzucał im spojrzenia, wyluzowany i zblazowany, pewny siebie, wiedzący, że i tak wszystkie są jego, że może je mieć, każdą z nich. Wystarczy, że zatrzyma samochód, otworzy drzwi po stronie pasażera, wpuści je do środka.

Zaparkował przed domem i pogwizdywał przez całą drogę do swojego mieszkania, zabierając ze skrzynki pocztę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył, że na kanapie siedzi Ness i czyta „Standard”. Miała na sobie naprawdę ładną sukienkę w kwiatki, z bufiastymi rękawkami i głębokim dekoltem. Na stoliku przed nią stała otwarta butelka wina.

— Cześć, piękny — rzuciła z uśmiechem i podskoczyła do niego, żeby się przywitać.

— Fantastyczna sukienka — skomentował, odsuwając ją na odległość ramienia, żeby się lepiej przyjrzeć. — Bardzo ci pasuje.

— Naprawdę? — spytała, dotykając materiału koniuszkami palców. — Podoba ci się?

— Aha. Wyglądasz w niej jak jurna, młoda pastreczka. Uśmiechnęła się zadowolona.

— No cóż — powiedziała. — To cała ja. Jurna, młoda i prawie pastreczka. — Wina?

Spojrzał na butelkę i pokręcił głową.

— Nie, dzięki. Już dziś wypilem kieliszek.

— Tak? A z kim?

— Tak tylko, po pracy. Wiesz, były czyjeś urodziny.

— No i proszę, zaczynasz na starość wychodzić do ludzi. Tylko jeden kieliszeczek. Jak chcesz, możemy sobie wyjść i posiedzieć na tarasie. Jest całkiem ciepło.

— Dobra. Ale taki malutki.

Ness wzięła butelkę, a Tony poszedł za nią przez salon do rozsuwanych, szklanych drzwi, które prowadziły na taras. Plastikowe krzeselka były pokryte liśćmi i miejskim kurzem, i Tony musiał je strzepnąć wierzchem dłoni, zanim usiadł. Ness wręczyła mu kieliszek i przez chwilę po prostu sobie siedział, ciesząc się ciepłym wieczorem i poczuciem absolutnego spokoju. Gdyby tylko życie zawsze mogło być takie jak teraz, myślał. Gdyby tak zawsze mógł się

unosić na swojej bezpiecznej, naładowanej energią chmurce, ślizgając się jedynie po powierzchni wszystkich spraw. Widzieć, wiedzieć, ale nie musieć niczego robić. Wyciągnął nogi, pociągnął łyk wina i westchnął z zadowolenia.

A potem Ness wzięła i wszystko zepsuła.

— Tony — powiedziała, przysuwając swoje krzesło blisko niego i z uczuciem ściskając jego udo.

— Ta-ak.

— Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu jechaliśmy do Trishy i Roba? Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

Tony poczuł, że jego chmurka lekko wyhamowuje, zaczyna się trochę chybotać i ocierać o ostre brzegi życia. Odstawił kieliszek.

— No więc tak sobie myślałam, czy może się nad tym zastanowiłeś?

Tony wziął głęboki oddech i policzył wstecz od trzech do zera.

— No... nie — powiedział w końcu, pocierając dłonią kark. — Nie miałem zupełnie czasu. Sama wiesz.

— Bo tylko... wiesz, nie chcę na ciebie naciskać ani nic takiego, tyle że w zeszłym tygodniu wyceniłam swoje mieszkanie no i zgadnij, ile jest warte?

— Nie wiem — powiedział Tony ciężko. — Ile jest warte?

— Sto dwadzieścia tysięcy funtów! Zarobiłam na nim pięćdziesiąt kawałków, Tony! Pięćdziesiąt tysięcy funtów. A agent powiedział, że teraz, kiedy zbliża się lato, może się uda za nie dostać jeszcze więcej. No i pomyślałam sobie, co moglibyśmy zrobić z taką forszą, gdybym ja się do ciebie wprowadziła. Mógłbyś wziąć sobie urlop albo nawet takie dłuższe wolne, moglibyśmy gdzieś pojechać na kilka tygodni, a nawet na kilka miesięcy. Bo popatrz, przecież ty całe życie pracujesz, Tony, nigdy nie miałeś wolnego. A uważam, że to by ci naprawdę dobrze zrobiło.

Wolne, myślał Tony. Przerwa. Co za kompletnie niedorzeczny pomysł.

— Mógłbyś może nawet wynająć to mieszkanie, a firma by się sama popilnowała przez jakiś czas, wiesz przecież, że to możliwe.

Akurat, myślał Tony. Wszystko by się rozsypało w drobny mak, zanim bym zdążył dojechać na lotnisko.

— A potem, jakbyśmy już wrócili, to może ty też mógłbyś sprzedać to mieszkanie i razem byśmy znaleźli coś większego, no wiesz, z ogrodem?

Chmura zaczęła się znów boleśnie ocierać o ostre brzegi.

— I może wiesz, troszkę dalej, w kierunku Bromley.

I wtedy miękka, bezpieczna chmurka Tony'ego zderzyła się z ogromną, strzępiastą skałą, a Tony poczuł, jak zostaje brutalnie wyrzucony z tego ciepłego gniazdka, w którym się bujał przez ostatnie kilka dni. Spojrzał na Ness, która patrzyła na niego wyczekująco swoimi wielkimi, zielonymi oczyma. Koronkowy biustonosz zalotnie wystawał zza dekoltu jej ślicznej kwiecistej sukienki, złote loczki opadały skrętami wokół twarzy, a Tony zrozumiał, że wywołano jego numer.

Koniec gry.

Nadszedł czas, by przejąć kontrolę.

Była to ostatnia rzecz, na którą Ness zasługiwała.

— Ness — powiedział. — Nie.

— Nie co?

— Nie. Nie chcę z tobą zamieszkać. Ness zamarła.

— Ale ja myślałam...

— Wiem, co myślałaś, Ness. Ale to... Słuchaj, strasznie mi przykro. Ale ja nie chcę spędzić z tobą reszty mojego życia, Ness. — Chwycił jej dłonie, które bezwładnie leżały na jego kolanach, i mocno je uściskał.

Jej oczy napełniły się łzami.

— Ale... Tony. Nie rozumiem. Przecież ostatnio tak świetnie nam się układało. Wydawałeś się taki szczęśliwy.

— Wiem. I byłem. Ale chodzi o to, Ness — znów ścisnął jej dłonie i czuł, że jemu też łzy podchodzą do gardła. — Ja nie jestem dla ciebie odpowiedni. Ty zasługujesz na kogoś o wiele lepszego ode mnie. Na kogoś, kto cię będzie naprawdę kochał...

— Ale przecież... wtedy w nocy. Powiedziałeś mi, że mnie kochasz. I płakałeś, Tony. Ty płakałeś. Więc ty mnie naprawdę kochasz... powiedziałeś mi...

Tony westchnął i spojrzał w niebo. Jak ma, do diabła, wytłumaczyć Ness ten przedziwny moment w swoim życiu, skoro sam go nie rozumie?

— Oczywiście, że cię kocham, Ness. *Wszyscy* cię kochają. Któż by cię nie kochał? Jesteś stworzona, by cię kochano. Ale nie jesteś... *tą jedyną*. Rozumiesz?

— Co chcesz przez to powiedzieć, Tony? Mówisz właśnie, że... między nami *koniec*?

Tony znów spojrzał na Ness i poczuł w piersiach fizyczny, przeszywający ból. Od dawna

niczego nie odczuwał tak realistycznie. Przez tak długi czas był sparaliżowany depresją i rozczarowaniem, że zupełnie zapomniał, jak to jest naprawdę coś odczuwać. A przez te ostatnie kilka dni został wessany głową w dół na drugą stronę owego spektrum i dopiero teraz znalazł się gdzieś pośrodku, gdzie nie było już miejsca na marzenia i fantazje, za to należało podejmować decyzje — nawet jeśli oznaczało to zranienie najmilszej osoby, jaką spotkał w swoim życiu.

— Tak — powiedział. — Skończone.

Ness wyrwała dłonie z jego uścisku i skoczyła na równe nogi.

— Ty skurwielu! — krzyknęła, krzyżując ramiona na piersiach. — Ty skończony skurwielu! Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, po tym całym *gównie*, które cierpliwie znosiłam! *Jezu!* Znosiłam twoje humory i twój egoizm, i twoje nieszczęście. Przeprowadziłam cię przez najgorsze chwile w twoim życiu, po tym, jak Jo cię zostawiła. Byłam taka cierpliwa i... i... kochająca. Tak bardzo cię kochałam. I trwałam przy tobie, chociaż każda kobieta *przy zdrowych zmysłach* już dawno by cię olała. A *teraz*, teraz, kiedy w końcu, nareszcie, wydawało się, że to wszystko do czegoś prowadzi, kiedy w końcu jesteś miły i szczęśliwy, kiedy fajnie jest z tobą być, to ty *rzucasz* mnie. Nawet mi powiedziałeś, że mnie kochasz, ty świniou. *Wiesz*, jak długo czekałam, żeby to usłyszeć? *Wiesz?* Masz w ogóle pojęcie, ile to dla mnie znaczyło? To była jedna z najpiękniejszych chwil mojego życia, Tony. Myślałam, *w końcu...* nareszcie... nareszcie się przebiłam przez ten mur, którym się otoczyłeś, kiedy odeszła Jo...

— Jaki mur?

— Och, daj spokój, Tony, doskonale wiesz, o czym mówię. Kiedy cię spotkałam, byłeś załamany facetem. Ale ja potrafiłam dostrzec prawdziwego ciebie, wyglądającego gdzieś zza tej powłoki. I chciałam tak bardzo naprawić twoje biedne, pęknięte serduszko, Tony, wszystko ci wynagrodzić. No i teraz faktycznie masz się lepiej, ale już mnie nie chcesz... nie chcesz...

Zaczęła szlochać, a Tony wyciągnął rękę, żeby ją pocieszyć. Odtrąciła ją.

— Nie, Tony — powiedziała, stając prosto i opierając się plecami o ścianę. — Nie. Nie dotykaj mnie. Nie odzywaj się do mnie. Po prostu zostaw mnie w spokoju. Dobrze?

Wyszła z tarasu i przemaszerowała przez salon. Tony podniósł się i ruszył za nią.

— Dokąd idziesz?

— Do domu. Idę do domu.

— Ale czy nie możemy pogadać?

— A o czym ty, kurwa, jeszcze chcesz gadać, Tony? Co? — Chwyciła swoją dzinsową

kurtkę i kluczyki do samochodu. — Po prostu pozwól mi odejść. I poskładać do kupy swoje życie. Nie chcę cię już nigdy, *przenigdy* widzieć.

Stanęła i wpatrywała się w niego, łzy spływały jej po twarzy, dłoń przyciskała do piersi.

— Złamałeś... mi... *serce*.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa, a potem Ness odwróciła się i powoli wyszła z mieszkania Tony'ego.

Tony stał w miejscu i słuchał dzwoniącej mu w uszach ciszy, aż doszedł go odgłos zapalnego silnika golfa Ness, automatycznie otwierającej się bramy i odjeżdżającego samochodu.

Bezwiednie chodził po mieszkaniu. W kuchni stały torby z zakupami z delikatesów Sainsbury. Zajrzał do środka. Dwa steaki z tuńczyka, główka sałaty, sos pesto, dwa niskokaloryczne musy czekoladowe, egzemplarz „OK!”, kupon na loterię. Już postawiła patelnię na kuchence, umyła kubki i kieliszki, które stały w zlewie od rana.

A teraz jej nie było.

Otworzył lodówkę i wyciągnął pudełko z sałatką ziemniaczaną i kilka zimnych parówek. Potem zabrał je ze sobą na taras i zjadł, oglądając zachód słońca. Do tego wypił prawie całą butelkę wina.

JEDNE DRZWI SIĘ ZAMYKAJĄ...

Tego wieczoru o dziewiątej Ned właśnie rozważał pomysł, czy by się nie onanizować, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Miał już rękę w spodniach i bezmyślnie bawił się napletkiem, co raczej go uspokajało, niż podniecało. Mama z Tatą poszli na obiad do Mickey's, a Gerwazy włóczył się gdzieś z Budem. Miał więc cały dom dla siebie i po prostu nie wypadało tracić takiej okazji.

Jego pierwszą reakcją na dźwięk dzwonka, oczywiście poza wyjęciem ręki z majtek, był pierwotny, zwierzęcy strach. Bo w Londynie o dziewiątej wieczorem do twoich drzwi nie mógł dzwonić nikt normalny. W Londynie o dziewiątej wieczorem do drzwi dzwonili tylko *włamawcze albo pomyleńcy*. Wstrzymał oddech, ale po chwili zdecydował, że to pewnie Gerwazy zapomniał swoich kluczy, więc ostrożnie wszedł do holu i przez zamknięte drzwi zawołał:

— Proszę?

— Ned. To ja. Ness.

Ness. Cholera. Ned rzucił okiem do lustra. Wyglądał okropnie. Włosy miał brudne, a

jeszcze wcześniej tego wieczoru zrobił sobie sesję wyciskania pryszczycy, więc jego twarz wyglądała teraz jak talerz z mieloną wołową.

— Ness — powiedział, zapinając rozporek, przeczesując palcami tłuste włosy i szybko ściągnając wyjątkowo odrażającą parę skarpetek, którą miał na nogach. Zwinął skarpetki w kulkę i wrzucił do jadalni. — Zaczekaj chwilkę... Ja... właśnie... Zaczekaj.

W końcu otworzył drzwi, w których powitała go Ness w lekkim nieładzie, aczkolwiek wciąż niezwykle pociągająca. Miała na sobie seksowną sukienkę w kwiatki i dżinsową kurtkę oraz dziwnie stoicki wyraz twarzy.

— Czy... Czy zastałam Bernie, Ned? — spytała ochryłym, opanowanym głosem.

— No... nie. Nie ma. Przykro mi. Wyszli z Tata.

— Och — pociągnęła nosem. — Czy niedługo wróci? Ned spojrzał na zegarek.

— Za jakieś pół godzinki, coś koło tego. Wszystko w porządku?

— Tak — powiedziała. — Wszystko dobrze.

— Chcesz może wejść i poczekać?

Ness przez chwilę rozglądała się wkoło, odwróciła głowę i spojrzała na swój samochód zaparkowany na ulicy, potem na zegarek, w końcu na korytarz za Nedom.

— Aha — rzuciła. — Dobra. Ale ci nie przeszkadzam, co?

— Nie, wcale. Ja właśnie... no... Wchodź, *wchodź*.

Wziął od niej dżinsową kurtkę, zaproponował coś do picia, usadził na kanapie w salonie.

— No to... — powiedział, wręczając jej zimne piwo, a sam sadowiąc się w fotelu obok.
— Co chcesz oglądać?

Wziął do ręki gazetę z programem i odczytał na głos możliwości.

— Wszystko mi jedno — powiedziała. — Cokolwiek.

Na ostatniej sylabie jej głos się załamał, a Ned spojrzał na nią czujnie.

— Ness, jesteś pewna, że nic ci nie jest?

Skinęła głową. Było to nieznaczne, wymuszone skinięcie. A potem zaczęła płakać.

Ned wstał z fotela i przysiadł obok niej na kanapie.

— Ness, cholera, co się dzieje? Czy coś się stało?

— Mhm — jęknęła i znów skinęła głową. — Tony właśnie mnie rzucił.

— *Co?! Cholera, chyba żartujesz. To znaczy... kiedy?*

— Właśnie przed chwilą. Dosłownie. Jadę prosto od niego.

— O kurwa. Kurwa. Ness. Tak mi cholernie przykro. To straszne. Ale co powiedział?

Podał ci jakiś powód?

— Powiedział mi, że nie jestem „tą jedyną”. — Zrobiła w powietrzu palcami znak cudysłowu i zaśmiała się sucho.

— Tą jedyną? — spytał z niedowierzaniem. — A co to, do diabła, ma niby znaczyć?

— Nie wiem — powiedziała. — Ale im więcej o tym myślę, tym bardziej się zastanawiam, czy on się z kimś nie spotyka.

— Nie.

— Mhm. Ostatnio był naprawdę wesolutki, stracił sporo na wadze. Ciągłe sobie pogwizdywał. I aż za bardzo się starał dobrze wyglądać.

— Nie — powiedział Ned, z przekonaniem potrząsając głową. — Nie Tony. Tony by nie oszukiwał. To jeden z tych porządnych facetów.

— Niby tak. Tak właśnie zawsze myślałam. To znaczy, jest marudny, ma wredny charakter, ale zawsze przymykałam na to oko, bo wiedziałam, że w gruncie rzeczy to porządny facet... że mnie nie skrzywdzi.

— I tylko tyle ci powiedział? Że nie jesteś tą jedyną?

— Dokładnie. Rozmawiałam z nim akurat o tym, żebyśmy razem zamieszkali...

— A, to co innego... — powiedział Ned, uderzając się dłońmi po kolanach. — To wszystko wyjaśnia. Przestraszyłaś go. I tyle. Tak samo było ze mną i z Carly: było nam razem wspaniale, naprawdę kapitalnie, a ja nigdy się tak naprawdę nie zastanawiałem, dokąd nasz związek prowadzi, zwyczajnie żyłem chwilą, wiesz, o co mi chodzi? Po prostu się nie przejmowałem. I nagle jednego wieczoru, ni z tego, ni z owego, ona mnie prosi, żebym się z nią ożenił. No i się spietrałem. Nawet nie pytaj dlaczego. Bo sam nie wiem dlaczego. I to wcale nie było tak, że nie chciałem z nią być. Ale było coś w tym... — Starał się znaleźć właściwe słowa, żeby opisać epizod swojego życia, którego sam jeszcze wciąż nie rozumiał. — No sam nie wiem, to było tak, że po prostu żyjesz sobie spokojnie, przez całe lata, robisz swoje, i nagle niespodziewanie ktoś próbuje ci wyrwać kierownicę, przejąć kontrolę nad twoim życiem. To mnie po prostu śmiertelnie przeraziło, naprawdę.

— Więc nawiałeś z tą dziewczyną ze sportowego baru?

— Wiesz o tym?

— Pewnie, że wiem. Bernie mi opowiedziała. Mówiła, że to było straszne.

— Bo było straszne. Najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

— No to o co chodzi? Jakiś gen fobii na związki w całej rodzinie Londonów?

— Nie! — zaprzeczył Ned z pasją. — Nie. Ja już nie. Ja jestem zresocjalizowanym przypadkiem. Zerwanie z Carly, mówię ci, to był największy błąd mojego życia. Z całą pewnością. No i dostałem za swoje. Tony się po prostu *boi*. Spietrał się. Daj mu trochę czasu. Przejdzie mu.

— Tak sądzisz?

— Pewnie. Stuprocentowo.

— No, sama nie wiem. Bo spytałam go o to wspólne zamieszkanie już dwa tygodnie temu i wtedy był zupełnie na luzie, powiedział, że się nad tym zastanowi. Wcale nie wyglądał na przestraszonego. A nawet zaczął być dla mnie miłszy, bardziej czuły, mówił mi komplementy. Którejś nocy to nawet... nawet mi powiedział, że mnie kocha. Dlaczego miałby mi mówić, że mnie kocha, gdyby się czuł osaczony i przerażony? Dlaczego byłby taki wyjątkowo czuły?

Ned westchnął i potarł dłońmi podbródek.

— Nie mam pojęcia, Ness. Ale jedno ci powiem, koleś powinien się leczyć na głowę.

— Dlaczego?

— No bo... jesteś... — Ned czuł, że jego własna głowa za chwilę wybuchnie, gorące płomienie paliły mu policzki. — Jesteś *cudowna*.

Wysiliła się na blady uśmiech.

— I jesteś urocza. Jego musiało całkiem pojechać, że cię rzucił.

— Och, Ned, to naprawdę słodkie, ale wcale nie musisz się starać mnie pocieszać...

— Wcale się nie staram cię pocieszać, Ness. Po prostu mówię... że jesteś przepiękna, dowcipna, jesteś słodka, jesteś seksowna... jesteś... jesteś... *kobietą idealną*.

Ned głośno przełknął ślinę. Jego twarz była teraz tak rozżarzona, że bał się, że dokona spontanicznego samozapalenia.

Ness rzuciła mu dziwne spojrzenie, a potem zaczęła chichotać. Niekontrolowanie. Jak dla Neda aż za bardzo niekontrolowanie. To wcale nie było takie śmieszne. W gruncie rzeczy to w ogóle nie było śmieszne.

— Och, Ned — powiedziała, ocierając łzy swoją wymięta chusteczką. — To takie słodkie. Ożenisz się ze mną?

— Tak — rzucił Ned. — No... to znaczy... nie. Może. Ja... — zacisnął szczęki, żeby z ust nie wydobyły mu się już żadne kompromitujące słowa.

Ness spojrzała na niego łagodnie.

— Widzę, że zgoliłeś bródkę.

— Ano tak — mruknął, dotykając gołej skóry koniuszkami palców. — Tak, robiła się już trochę... no wiesz...

Chciał, żeby już sobie poszła. To było zwyczajnie żenujące.

— Tak jest o wiele lepiej — powiedziała, kiwając głową z aprobatą. — Teraz widać twoją śliczną twarz.

No dobra, pomyślał. Może niech jeszcze zostanie.

I wtedy usłyszeli zgrzyt klucza we frontowych drzwiach i odgłos śmiechu jego rodziców, który przelatywał przez hol i docierał aż do salonu. Ness usiadła prosto i wyczekująco patrzyła na drzwi.

— Ness! — powitał ją Gerry, wchodząc do pokoju. — Co ty tu robisz, kochanie?

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

— Tony właśnie z nią zerwał — wyjaśnił skwapliwie Ned.

— Nie!

— Tak. Dosłownie przed chwilą — dodał.

— Ness. Biedactwo. Bern. Bern!

W drzwiach stanęła Bernie wciąż w płaszczu.

— Ness. Co się stało?

— Tony ją właśnie rzucił — powiedział znów Ned.

— Nie!

— Tak. Dosłownie przed chwilą — powtórzył.

Może powinien sobie wywiesić tekturki z napisami, zastanawiał się.

— Ale... ale... *dlaczego?*

— Nie wiem, Bernie — powiedziała Ness, która znów zaczęła pochlipywać. — Nie wiem.

— Och, chodź tu do mnie! — Bernie wyciągnęła ramiona, a Ness padła jej w objęcia i rozszlochała się pełną parą.

Ned i Gerry spojrzeli po sobie, wyszli z salonu i poszli posiedzieć w kuchni.

— No, no, no — powiedział Gerry, nalewając sobie szklankę wody i ciężko opadając na krzesło przy kuchennym stole. — No posuńże się trochę, ty stary śmierdzielu, jak Bożę kocham...

Goldie przez chwilę patrzył na niego z wyrzutem, zanim ciężko uniósł cielsko z podłogi i opadł z powrotem zaledwie kilka centymetrów dalej. Gerry przyglądał się jego wysiłkom.

— Chyba już długo nie pociągnie. Ned rzucił mu przerażone spojrzenie.

— Nie mów tak!

— Ale popatrz tylko na niego. Spojrzeli obaj.

— To okrutne.

— Wcale nie — powiedział Ned. — Nic mu nie jest. Patrz, jest szczęśliwy. Uśmiecha się.

— Uśmiecha? — spytał Gerry. Potrząsnął głową, wsypał trochę tytoniu do bibułki na skręta. — On się wcale nie uśmiecha, głupku. On już po prostu nie ma warg. Całe są zżarte. Tak jak jego krtań, i rogówki, i zęby. Biedne bydlę.

— Ty też taki będziesz pewnego dnia — powiedział Ned z wściekłością. — Będziesz cały zżarty, i śmierdzący, i bez warg. Podobałoby ci się, gdybyśmy siedzieli wkoło, mówiąc: „Chyba już nie długo pociągnie”? Co? Tak długo, jak biedny śmierdziel może machać ogonem, nic mu nie dam zrobić. Prawda, piesku? — Pochylił się, żeby poklepać Goldie po zadku, a pies posłusznie wykonał pojedyncze machnięcie swoim prawie łysym ogonem. — Widzisz? Szczęśliwy jest.

— Mhm. — Gerry polizał bibułkę.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał, a Ned zastanawiał się, co też się dzieje za drzwiami obok. Jak w ogóle Tony mógł zrobić Ness coś podobnego? Jak mógł patrzeć na tę słodką, radosną buzię, na to śliczne ciało wystające spod koronkowego biustonosza i ją rzucić? Zaraz jednak przypomniał sobie, że dokładnie to samo zrobił Carly.

— No i kolejny podwójny pokój się zmarnuje.

— Co?

— W Ritzu.

— Tato!

— No cóż. Są zajebiście drogie te dwuosobowe pokoje. Jak bym wiedział, że wy, chłopaki, wylądujecie solo, to moglibyście spać w jednym pokoju.

— Słuchaj — powiedział Ned. — Zostało jeszcze prawie dwa tygodnie. Jeszcze mnie nie spisuj na straty.

— Bern będzie taka zawiedziona, jak Ness nie przyjdzie. One są ze sobą o tak — splótł palec wskazujący i środkowy. — To jakoś nie w porządku.

— Ale przecież i tak może przyjść, nie? Dlatego, że jest przyjaciółką mamy. Co z tego, że już nie chodzi z Tonym.

— Niby tak — mruknął Gerry. — Pewnie. Słuchaj — nagle się ożywił. — Przecież może przyjść z tobą. Jako twoja osoba towarzysząca. Co ty na to? Ty i Ness — zachichotał i zapalił swojego skręta.

— Tata. Przestań.

— No ale czemu nie? Jest młoda, wolna i sama. Ty też. Podwójne łóżko zamówione. Grzech, żeby się zmarnowało.

— Tata! Przesadzasz. Boże, przecież oni zerwali ze sobą dopiero pięć minut temu.

— He, he, he. To by dopiero była historia, jak z filmu, no nie?

— I tak nie sędzę, żeby chciała przyjść. Skoro będzie tam Tony, no i w ogóle. Czują by się pewnie... *niezręcznie*. Rozumiesz.

— Co? Ness? W żadnym wypadku. Ta dziewczyna tak łatwo nie pęka. Ona ma jaja. Pozbiera się raz dwa trzy. Poza tym wyobrażasz sobie, że Ness odrzuca ofertę darmowego szampana? — znów zachichotał. — Przyjdzie. Zapamiętaj moje słowa. I uważam, że powinieneś ją zaprosić. To będzie ładnie z twojej strony.

— Do jasnej cholery, Tata! Ich związek jeszcze nawet nie trafił do kostnicy. Dajże spokój.

Gerry znowu zachichotał, a Ned zrobił do niego minę.

Ale gdzieś głęboko zaczęło już w nim kiełkować ziarenko. Ziarenko, które pewnego dnia mogło wyrosnąć w nieźle kwitnące zauroczenie. Albo nawet... Nie. Nawet nie powinien o tym myśleć. To szaleństwo. Czyste szaleństwo. Ale potem przypomniał sobie o tym kawałeczku koronkowego stanika, o kręconych włosach, iskrzących zielonych oczach, radosnym uśmiechu, zaraźliwym śmiechu.

— Ile lat... ile ona ma lat? Ness? — spytał tak niezobowiązująco, jak tylko mógł.

— Nie wiem — powiedział Gerry. — Dwadzieścia osiem. Dwadzieścia dziewięć.

— Aha. No tak. A co ona... gdzie ona pracuje?

— Jest prawnikiem.

Prawnikiem. Jasny gwint. Miał nadzieję, że Tato powie, że Ness jest kasjerką w Tesco, manikiurzystką, sekretarką, coś w tym rodzaju. Czymś, z czym mógłby się zmierzyć na równych zasadach. Czymś, co byłoby porównywalne z „dwudziestosiedmioletnim składaczem folderów mieszkającym z rodzicami”. Ale nie. Ona musi być pieprzoną prawniczką. Z własnym mieszkaniem. I nowiutkim volkswagenem golfem. Typowe, kurwa.

Tak już teraz będzie, pomyślał. Osiągnął taki właśnie wiek. Każda kobieta, którą teraz

spotka, będzie już miała jakąś pieprzoną odpowiedzialną pracę na wysokim stanowisku, albo jak ta Becky — będzie szukała kogoś z „bardziej ustabilizowanym życiem”. Będzie musiał zacząć kłamać, ile ma lat, podrywać jako chłopczyk na jedną noc. Albo przerzucić się na młodsze. Ale on nie lubił młodych dziewczyn. Lubiał kobiety w swoim wieku. Nie miał pojęcia, o czym można rozmawiać z dziewczyną na samym początku związku, jeśli odniesienia kulturowe i życiowe doświadczenie obojga są całkowicie z innych planet. Poza tym za kilka lat naprawdę chciał się ustatkować i założyć rodzinę, a nie włóczyć się po nocnych klubach i barach, ciągnięty tam przez jakąś dwudziestolatkę, która pewnie i tak w końcu by go rzuciła dla kogoś przystojniejszego, a on by się znowu znalazł w punkcie wyjścia. Chciał tego, co miał Sean. Co miał Bud. Co mieli Mama i Tata. Ale spierdolił sprawę, i to ostro. Teraz mógłby już być żonaty, myślał sobie, być ożeniony z Carly i stać wysoko na drabinie jakiejś zawodowej kariery.

Westchnął i przegonił z głowy te bezsensowne myśli. Powinien raczej kierować się radą, którą dał mu Gerwazy tamtej nocy w Wood Green, czyli zacząć odnosić się do życia trochę bardziej filozoficznie, czekać, co ono samo przyniesie, spodziewać się najlepszego. A może Ness potrafi spojrzeć na niego niezależnie od jego braku pozycji, dostrzec jego potencjał? Albo w najgorszym razie potraktować go jak kogoś miłego, z kim może pójść na imprezę rocznicową Mamy i Taty.

Tata miał rację. To będzie miłe z jego strony, jak ją poprosi. Wcale nie jakieś narzucające się. Raczej staroświeckie — on będzie jej towarzyszem na ten wieczór, jej męską eskortą. Będzie miała z kim wejść na salę, poczuć się ważna, poczuć się częścią rodziny, i to nie tylko jako była dziewczyna Tony'ego. Nie będzie jej tak niezręcznie. Tak, myślał. Zdecydowanie powinien to zrobić.

Najpierw trochę odczeka dla przyzwoitości, potem ją poprosi, żeby była jego partnerką, spędzi z nią miły wieczór, a potem postara się zaaplikować swojemu życiu odrobinę filozoficznego podejścia.

PRZEMOCZONY I PORZUCONY

— Ned. Tu Sean.

— Czołem. Jak leci?

— Właśnie skończyłem kolejny rozdział. Pomyślałem, że może wpadnę. Co dzisiaj robisz?

— No... mamy iść posłuchać, jak Mama śpiewa w Tavern.

— My?

— Tak, ja i Gerwazy.

— Aha — powiedział Sean, czując się trochę zawiedziony. — Rozumiem. Dobra. Nie przejmuj się.

— Nie, nie. Czemu byś nie miał iść z nami?

— Co? Z Tobą i Gerwazym?

— Pewno. Gerwazy jest w porządku, serio.

— Tak, jest w porządku, ale... nie wiem...

— Wiem, że ty i Tony za nim specjalnie nie przepadacie, ale jak się go pozna, to naprawdę fajny facet. Powinieneś z nami iść.

Sean się zastanowił. Pomysł pójścia do pubu z Gerwazym był bardzo nietypowy, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło między nimi przed domem tamtej nocy. Ale naprawdę miał ochotę spędzić trochę czasu z Nedom, a skoro dzielenie się nim z Gerwazym było jedyną opcją, to mógł się poświęcić. Poza tym dobrze będzie zobaczyć, jak Mama śpiewa — to jej sprawi radość. Sean nieczęsto miewał w życiu okazję uszczęśliwiania Mamy, więc choćby dla tego jednego było warto.

— Dobra — powiedział. — O której?

— Koło siódmej.

— Fajnie. To do zobaczenia.

Pół godziny później Sean pedałowal przez Crystal Palace w niespodziewanie ulewnym deszczu. Spodnie miał uwalane błotem, włosy przyklepione do czoła i zastanawiał się, czemu w ogóle nie został w domu i nie zabrał się dalej do pracy. Kiedy stanął na kolejnych światłach, poczuł wibracje w kieszeni spodni. Wyciągnął swój telefon komórkowy.

Millie.

Nie rozmawiali ze sobą od tamtego wieczoru u Tony'ego. Tak — zdawał sobie sprawę,

jakie to okropne i jak się powinien z tym czuć. Jednak szczerze mówiąc, raczej się cieszył ze swojej wolnej przestrzeni — niemal udało mu się udawać przed sobą samym, że wcale nie ma ciężarnej narzeczonej i że jest w dalszym ciągu wolnym młodym mężczyzną bez zobowiązań, którego jedynym problemem jest ukończenie najnowszej książki. Nie rozmawiał również z Tonym i nie był pewien, czy ma na to szczególną ochotę. W oczach został mu ostatni obrazek z tamtego wieczora — Millie stoi z dłońmi na ramionach Tony'ego i mówi, jaki to z niego „mężczyzna”. A Tony siedzi sobie z rękoma założonymi na piersiach i patrzy na Seana jak na zdechłego kota — jego własny brat.

Miał co prawda nikłą nadzieję, że następnego dnia Tony zadzwoni i go przeprosi, albo przynajmniej spróbuje się z nim dogadać. Sean też powiedział mu tego wieczoru kilka bolesnych rzeczy, ale nic nie zmieniało faktu, że to Tony był starszym bratem i że on się z nim liczył i szanował go, jak każdy młodszy brat. Teraz znajdował się w niemiłym stanie pomiędzy poczuciem wyższości a głębokim, głębokim smutkiem, że pomimo wszystkich swoich wysiłków, mimo sukcesu, który odniósł, jego straszy brat wciąż ma go za nic. Sean szedł do góry — jego życie dopiero się zaczynało. Życie Tony'ego zaczęło się i skończyło wiele lat temu. Teraz mógł się jedynie spodziewać nadejścia wieku średniego i jeszcze grubszej dupy. Sean w końcu zdał sobie sprawę z tego, że Tony był o niego najzwyczajniej zazdrosny.

A co tam, jebać Tony'ego. Jebać Millie. Takie było obecne nastawienie Seana. Wiedział, że takie podejście nie wytrzyma długo w zderzeniu z rzeczywistością, ale na chwilę obecną musiało wystarczyć. I właśnie teraz miało przejść swój pierwszy test. Rozmowę z Millie. Jego kciuk przez kilka sekund wędrował znad jednego klawisza nad drugi, wahając się, czy odebrać rozmowę. W końcu postanowił stawić temu czoło.

— Millie. — Ustawił sobie tembr głosu gdzieś pomiędzy „wyluzowany” a „wrażliwy”.

— Gdzie jesteś? — Głos Millie był ustawiony na „nieukrywane wkurwienie”.

— W drodze do mamy.

— Och — powiedziała tonem osoby, którą właśnie poinformowano, że jej lot został odwołany. Potem była długa pauza. — Dlaczego?

Sean nagle zdał sobie sprawę, że oto spaceruje po konwersacyjnym polu minowym, i szybko przebiegł w myślach cały zestaw powodów, dla których mógłby jechać do domu rodziców. Starał się znaleźć taki, który Millie mogłaby zaakceptować jako najmniej prowokujący do walki.

— Jadę się zobaczyć z Nedom — powiedział.

— To miłe — stwierdziła kwaśno. — A myślałam, że miałeś pisać.

— No właśnie skończyłem rozdział i to wyglądało na dobry moment, żeby...

— Żeby spędzić trochę czasu z kimś, kogo naprawdę lubisz.

— Millie...

— Słuchaj. Nie dzwonię, żeby się kłócić, Sean. Tak naprawdę to dzwonię, żeby cię przeprosić.

Sean wyteżył słuch. To była ostatnia rzecz, którą się spodziewał od niej usłyszeć.

— Myślałam o tym wszystkim, od środy wieczorem. Bardzo *dużo*. Oboje powiedzieliśmy straszne rzeczy. No, w każdym razie ja na pewno powiedziałam kilka strasznych rzeczy. Byłam pijana i rozdygotana i nie powinnam była porównywać cię z twoim bratem. To było bardzo nieładne. Wiem, jak sama bym się czuła, gdyby ktoś mnie tak porównywał z Heleną. To by mnie naprawdę wkurzyło...

Sean poczuł, jak ta lodowa kulka w jego wnętrzu zaczyna topnieć.

— Ale musimy sobie wiele wyjaśnić, Sean. Nie mogę tak żyć. Nie mam bladego pojęcia, jak wygląda sytuacja między nami, i nie potrafię tego znieść. I jedną z tych rzeczy, o których myślałam najwięcej przez te kilka dni, było to, że mogę jednak żyć bez ciebie. *My* możemy żyć bez ciebie. I naprawdę chciałam już żyć bez ciebie. W mojej głowie wszystko już było między nami skończone, to dlatego wcześniej nie dzwoniłam. Ale potem nagle zdałam sobie sprawę, jak niezrozumiała dla ciebie może być moja ciąża, że może po prostu masz wrażenie, że to się wydarza tylko mnie, a ty nie odczuwasz z tym żadnego związku...

Sean zjechał na chodnik i słuchał Millie z rosnącą nadzieją i uczuciem. Pojął nagle, że największy dar, jaki kobieta może dać mężczyźnie, to go zrozumieć.

— ... i podejrzewam, że może to jest trochę tak, jak z moim nastawieniem do twojej książki. Nie mam przecież pojęcia, przez co ty przechodzisz, to jest coś, co istnieje wyłącznie w twojej głowie, tak jak dziecko istnieje wyłącznie w moim ciele. I ja odpycham twoją książkę, tak jak ty odpychasz nasze dziecko. Bo stają między nami. I w pewien sposób my oboje jesteśmy w ciąży. Tylko akurat naprawdę fatalnie się złożyło, że jesteśmy w ciąży w tym samym czasie. No więc pomyślałam sobie... że musimy zrobić jakiś wysiłek, żeby się nawzajem *zrozumieć*...

O Boże, myślał, ona chce mnie zmusić, żebyśmy zaczął nosić taki sztuczny brzuch na szelkach.

— W przyszłym tygodniu mam pierwsze USG.

— USG?

— Aha. No wiesz, smarują brzuch taką galaretką, przykładają kamerkę ultrasonografu, a na ekranie pokazuje się zupełnie nierozpoznawalny obraz dziecka. Ponoć najbardziej ekscytująca sprawa w całym procesie ciąży dla wszystkich rodziców.

— A co ja... Czy ja będę musiał coś zrobić?

— Skąd. Ty tylko będziesz siedział i trzymał mnie za rękę, i bardzo się wzruszysz, kiedy pielęgniarka ci pokaże, gdzie nasze dziecko ma rączki, nóżki i paluszki. Możesz się rozplakać. Tego typu sprawy. W twoim stylu, naprawdę.

To brzmi całkiem sensownie, pomyślał Sean.

— Dobra — powiedział. — Powiedz mi tylko, kiedy i gdzie.

— Szczegóły już ci posłałam e-mailem. A w zamian, by dopełnić tego wzajemnego ćwiczenia na empatię, ja przeczytam twoją książkę.

Seanowi opadła szczęka.

— Nie! — krzyknął, zanim w ogóle pomyślał o konsekwencjach.

— Co?

— Nie! Nikt nie będzie czytał mojej książki. Zanim nie będzie skończona. Nie ma mowy.

— Sean, ale ja nie jestem kimś przypadkowym. Jestem twoją dziewczyną.

— Słuchaj, możesz przeczytać całość, po korekcie. Dostaniesz pierwszy wydruk, obiecuję. Ale nie możesz nic przeczytać, zanim nie skończę. Mówię poważnie.

— Sean, nie rozumiem, co to za... *przesady*, ale to jest w tej chwili ważniejsze niż twoje przesady. Tu chodzi o nas. O przejście przez ten kryzys. O wzajemne zrozumienie.

— I dokładnie o to chodzi, Millie, w tym właśnie cały problem. Ty mnie *nie* rozumiesz. Gdybyś naprawdę mnie rozumiała, to nigdy byś mnie o coś takiego nie poprosiła. Ponieważ jest ogromna różnica pomiędzy tym, że ja pójde i zobaczę obrazek wnętrza twojego brzucha, a twoim czytaniem mojej książki. To pierwsze jest fizyczne. To drugie umysłowe. Jak chcesz przyjść i popatrzeć na prześwietlenie mojego mózgu, proszę bardzo. To mi nie będzie przeszkadzało. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś zobaczyła mój mózg, ale nie chcę, żebyś widziała moje *myśli*...

— Rozumiem. Wystarczy...

O Boże, pomyślał Sean. Zaczyna się.

— Pierdolę cię. Pierdolę USG z tobą. Pierdolę twoją książkę. Pierdolę nas. Dosyć. Pró-

bowalam. Tak bardzo się starałam. Cały tydzień spędziłam, usiłując wymyślić, jak uratować nasz związek, żeby ta maleńka, bezbronna istotka rosnąca we mnie miała jakąś szansę na normalne dzieciństwo z obojgiem *rodziców* — wiesz, szansę, jaką my oboje mieliśmy. Ale teraz widzę, że tylko traciłam czas. Jesteś samolubem, Sean, egoistą do szpiku kości. Myślałam, że jest dla ciebie jeszcze jakaś nadzieja. Myślałam, że może cię nie doceniłam, że może gdzieś tam pod tym wiecznym ja-ja-ja jest ktoś, kto potrafi się troszczyć, ustępować. Ale Tony miał rację: ty nie masz pojęcia, jak się dzielić. Jesteś wrednym małym gówniarzem, który nie chce pożyczyc swoich zabawek, a ja nie chcę wrednego małego gówniarza. Chcę mężczyzny. A właściwie to nawet nie chcę mężczyzny. Nie chcę nikogo. Chcę być sama. Tylko ja i dziecko...

— Millie...

— Co?! Co, Sean?! Już mi się dłużej nie chce słuchać twojego pieprzenia. Zawsze myślałam, że się znam na ludziach, ale co do ciebie całkowicie się pomyliłam. Naprawdę uważałam, że jesteś kimś wyjątkowym. Autentycznie myślałam, że jesteś porządnym, dobrym człowiekiem. Ale nie jesteś. Jesteś zwykłym palantem. A ja idiotką. Żegnaj, Sean.

I wtedy się rozłączyła.

Sean stał jeszcze w miejscu przez kilka sekund, gapiąc się na swój telefon komórkowy, jakby oczekiwał od niego jakiegoś rozsądnego wyjaśnienia, co się przed chwilą stało. Millie właśnie z nim zerwała. Millie, która pojawiła się w jego życiu i wywróciła je go góry nogami, która uczyniła go szczęśliwszym, niż kiedykolwiek wydawało mu się to w ogóle możliwe; Millie, której piękno go oszalało, której ciało wielbił, z którą chciał spędzić resztę swojego życia. Millie magicznych, bachicznych nocy U Rajskiego Pawełka i pełnych narkotyków imprez, i weekendów na wsi, i sklepów ze starociami cuchnących kulkami na mole, i błyszczących włoskich restauracji pełnych zapachu trufli, Millie wykwintnej, ręcznie tkanej egipskiej pościeli. Millie z jej skórą i ustami, i oczyma. Millie, która sprawiała, że jego życie było jak jeden długi hollywoodzki film. Millie, w której był tak zakochany, że niemal przywodziło go to do szaleństwa. *Ta* Millie. Rzuciła go.

A najdziwniejsze było to, że Sean miał to gdzieś.

Nie czuł nic. Żadnego bólu serca, poczucia winy, smutku. Miał tylko taką odrętwiałą świadomość, że oto jego życie przechodzi do kolejnego etapu. Wsadził telefon z powrotem do kieszeni spodni, wsiadł na rower i powoli, systematycznie popedałował w kierunku Beulah Hill.

ROMANTYCZNA PIOSENKA

Ned spojrział na Seana z troską.

— Nic ci nie jest?

Sean kątem oka sprawdził Gerwazego.

— Nie, w porządku. A co?

— Nie wiem. Jakbyś był zdenerwowany, czy coś.

— Nic mi nie jest — stwierdził stanowczo i upił duży łyk piwa. Gerwazy ciągle się na niego gapił. Przyglądał mu się tak dziwnie od momentu, kiedy przyszedli do pubu i usiedli. Jeśli Sean wydawał się „zdenerwowany”, to pewnie dlatego, że jakiś koleżka z tatuażem pajęczej sieci na całej szyi właśnie wypalał mu oczyma dziurę w policzku.

Odwrócił się, żeby popatrzeć na scenę, gdzie Mama stała w świetle dwóch reflektorów i śpiewała *Do You Know The Way To San Jose?* Wyglądała świetnie i brzmiała niesamowicie, ale gdzieś głęboko Sean czuł zażenowanie. Jakby wciąż miał dwanaście lat i oglądał jej występ razem z kumplami z klasy.

— No więc, Sean — powiedział Gerwazy, którego twarz przez moment otaczało idealnie okrągłe kółko papierosowego dymu. — Jak tam leci?

— Spoko — odparł.

— A jak tam twoja uroczą przyszłą żona?

— W porządku. Ma się dobrze. Gerwazy zmrużył oczy i pokiwał głową.

— To fajnie. Miło to słyszeć — znów pokiwał głową.

Sean się odwrócił, ale Gerwazy dalej się w niego wgapiał i nie przestał aż do chwili, kiedy Mama skończyła piosenkę. Wtedy Gerwazy nagle poderwał się na równe nogi, z papierosem wciąż zwisającym z kącika ust, i zaczął klaskać, gwizdać i pokrzykiwać.

Sean rzucił Nedowi zdziwione spojrzenie, ale Ned tylko wzruszył ramionami.

— Zawsze tak robi — szepnął.

Oklaski przycichły, a Mama pochyliła się do mikrofonu.

— A teraz, panie i panowie, moja ulubiona piosenka — powiedziała. — Przy niej tańczyłam pierwszy taniec na moim ślubie, jakieś, ho, ho, sto lat temu. — Publiczność uprzejmie się zaśmiała. — To będzie *The Way You Look Tonight* — zapowiedziała, a po całym pubie przeszedł pomruk.

Gerwazy pochylił się do Seana i szepnął mu autorytatywnie do ucha:

— To jest najbardziej, kurwa, romantyczna piosenka, jaką napisano. Kiedykolwiek.

Reflektory przyciemniały do purpury i granatu, a Sean obrócił się całym ciałem, żeby lepiej widzieć. I kiedy słuchał słów piosenki, zdarzyło mu się coś nieoczekiwanego. Zaczął myśleć o Millie. Przed oczyma przesuwały mu się obrazy z ich pierwszych wspólnych dwóch miesięcy: Millie w restauracji wpycha sobie sałatę do ust — kiedy po raz pierwszy ją zobaczył; Millie stoi w drzwiach swojej kamienicy w haftowanej jedwabnej podomce i czeka, aż on wróci — kiedy po raz pierwszy wyszedł z jej mieszkania; leży skulona na swoim wielkim, antycznym łożu otoczona kotami; siedzi przy barze u Rajskiego Pawełka, pije piwo i mruga do niego przez salę; siedzi w salonie u jego rodziców i głaszcze Goldie; krzyczy na cały głos z jego balkonu, tego dnia, kiedy jej się oświadczył... A potem pojawił mu się jeszcze jeden obraz: jej twarz tego wieczoru w jego łazience, kiedy po raz pierwszy powiedziała mu o ciąży — zdenerwowana i niepewna, ale pełna nadziei. Nadziei, że Sean się ucieszy, że podniesie ją do góry i okręci dookoła. A zamiast tego on ją zgniótł, jak jakąś natrętną muchę.

I od tamtej chwili już nigdy nie zobaczył jej uśmiechu.

Przełknął ślinę i poczuł coś, co zastraszająco przypominało łyżę, a co niespodziewanie wybuchło gdzieś w jego wnętrzu. Było już jednak za późno, by temu zapobiec. Odwrócił się nieznacznie, kiedy poczuł, że łyżę zaczynają spływać z oczu i toczyć się w dół jego nosa. Wytarł je ukradkiem. I wtedy spostrzegł, że Gerwazy wciąż mu się przygląda. Gerwazy rzucił mu pytające spojrzenie, a Sean uciekł ze wzrokiem. Mama skończyła śpiewać i wszyscy zaczęli kłaskać. Gerwazy znowu pochylił się do jego ucha.

— Mówiłem ci — powiedział. — Najbardziej romantyczna pieprzona piosenka na świecie.

Kilka razy pociągnął nosem, a potem wstał i zaczął gromko wiwatować.

Sean podniósł się i poszedł do toalety. Ta cała nieproszona uwaga Gerwazego działała na niego klaustrofobicznie. Przeszedł szybko przez pub, pchnął drzwi toalety i ciężko oparł się o zlew. Przez chwilę przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. W ostrym jarzeniowym świetle padającym z góry wyglądał blado i staro. Pod oczami miał cienie, a w ciemnych włosach połyskiwały pasemka siwizny. Odkręcił kurek i polewał dłonie lodowatą wodą.

— Czyżbym właśnie zobaczył, jak kruszy się kawałek twojego muru?

Tuż obok niego stał Gerwazy i mówił do jego odbicia w lustrze.

Sean podskoczył i złapał się za serce.

— Jezu. Kurwa.

— Przepraszam, stary. Nie chciałem cię przestraszyć. Myślałem, że widzisz, jak wchodzi.

— Nie — syknął. — Nie widziałem.

— No przepraszam. Tyle że wiesz... trudno nie zauważyć, że wyglądałeś na zmartwionego. Trochę nie w sosie. Wiem, *The Way You Look Tonight* potrafi tak czasem na człowieka podziałać. I pomyślałem sobie, że może mur zaczął się sypać.

— Jaki mur?

— Ten, o którym mówiliśmy tamtej nocy. Ten, którym się szczelnie otoczyłeś. Pamiętasz?

— A tak, pamiętam. Ale dalej nie mam bladego pojęcia, o czym ty, kurwa, mówisz, stary. Przykro mi.

— Ależ tak, masz.

— Że jak?

— Wiesz, o czym mówię. W zeszłym tygodniu faktycznie nie wiedziałeś. Ale teraz już wiesz. Co się stało? Chcesz o tym pogadać?

— Nie. Nie chcę. — Wyciągnął z podajnika kilka papierowych ręczników i zaczął energicznie wycierać sobie dłonie.

I wtedy Gerwazy delikatnie odebrał mu te ręczniki, wrzucił je do kosza i chwycił jego ręce. Sean natychmiast poczuł to obezwładniające, miękkie ciepło w środku, jakby topiły się żelazne podpory, które utrzymywały go w pionie.

— Powinieneś z kimś pogadać, wiesz o tym. Lepiej byś się poczuł. Jesteś na złej drodze. — Gerwazy patrzył mu w oczy, a Sean był coraz bardziej bezwładny. — Mów do mnie, Sean. Potrzebujesz pomocy. Wiem, że o takich sprawach nie możesz pogadać z rodziną, wiem, jak to jest w rodzinie. Czujesz, że przed najbliższymi powinieneś trzymać twarz. Nie chcesz ich martwić. Więc użyj mnie, co? Powiedz to mnie. To nie wyjdzie nigdzie dalej. Jestem chodzącą dyskrecją.

Puścił jedną z dłoni Seana, natomiast swoją dłoń położył na jego sercu.

— I sam nie wiem, co to jest — mówił dalej — ale mam takie bardzo dziwne odczucie, że mogę ci pomóc.

Sean spojrział na Gerwazego, zajrzał w jego nieprzeniknione oczy i nagle poczuł, jakby umysł zaczął mu pracować w całkowitej synchronizacji z ustami. Wszystkie myśli, które całym tygodniami trzymał tylko dla siebie, zaczęły wypływać na powierzchnię jego świadomości,

a on zaczął mówić,

— Millie właśnie mnie rzuciła.

— Co?

— Tak... przed chwilą, jak tutaj jechałem. Przez telefon. Zerwała za mną.

— O żesz kurwa. Co się stało?

I wtedy Sean opowiedział mu o wszystkim, od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, przez ten wieczór, kiedy jej się oświadczył, jej nowinę o ciąży, i wszystko, co nastąpiło potem. Opowiedział mu o tym, jaki się czuł osaczony, jaki był przerażony, i jak ona chciała przeczytać jego książkę, a on się nie zgodził, bo było to dla niego zbyt intymne, i o tym, jak on nie rozumie jej ani ona jego.

Kiedy mówił, Gerwazy tylko słuchał i potakiwał. Nie przerywał mu żadnymi pytaniami, nawet nie patrzył Seanowi w oczy, po prostu pozwolił mu gadać bez końca. A dla Seana było to jedno z najbardziej oczyszczających doświadczeń w życiu. Nigdy szczególnie nie był otwarty do ludzi, lubił zatrzymywać swoje myśli i odczucia tylko dla siebie. Tak było bezpieczniej. Jednak w Gerwazym, w jego spojrzeniu, dotyku, obecności, było coś takiego, że czuł, jakby mógł mu powiedzieć dosłownie wszystko. I nie miał najmniejszego kłopotu ze znajdowaniem słów — był elokwentny i wymowny, wyrażał swoje myśli i emocje w taki sposób, o jakim tylko mógł marzyć, kiedy pisał.

Skończył mówić tak samo nagle, jak zaczął, i zdał sobie sprawę z dzwoniącej w toalecie ciszy. Tylko woda kapała z kranu, a śpiew Mamy dochodził dalekim, stłumionym echem, Gerwazy puścił jego dłoń i spojrzał mu w oczy.

— Ech, wy, chłopaki... — mruknął, powoli kręcąc głową.

— Co?

— A nic — powiedział. — Nic. Słuchaj. Sean. Nieczęsto daję rady. No, w każdym razie nie takie konkretne. Zwykle dlatego, że nie mogę się osobiście odnieść do problemów innych ludzi. Mogę je tylko *czuć*, mówiłem ci. Ale z tobą... Jeejku... Nawet nie wiem, co ci mam powiedzieć. A tak wiele chciałbym ci powiedzieć. Tyle że nie wiem, od czego zacząć. To po prostu... Słuchaj, z góry cię za to przepraszam, stary.

— Za co?

— Za to. — Gerwazy znów ujął dłoń Seana i nagle mocno ją przycisnął do swojej własnej piersi. Sean wyczuwał chude żebra Gerwazego, jego sutek, bicie jego serca. A potem ogarnął go najbardziej rozdzierający, najbardziej intensywny ból, jaki kiedykolwiek dane mu

było poznać. Nie był to ból fizyczny, ale takie odczucie, jakby cały smutek i nieszczęście tego świata zaległo w jego duszy, jakby usłyszał najgorsze z możliwych wieści, jakby utracił wszystkich, których kochał. To było jak czyste *piekło*.

Gerwazy patrzył mu w oczy i wciąż nieubłaganie przyciskał jego doń do swojej piersi, a Sean próbował wyrwać się z jego uścisku, ale był całkiem sparaliżowany.

— Przestań — udało mu się w końcu wycedzić przez zaciśnięte zęby. Gerwazy tylko dalej się w niego wpatrywał. I kiedy tak patrzył, Sean znów poczuł łzy. Tym razem nie były to jednak wstydlive, emocjonalne łezki wywołane piosenką, ale olbrzymie, bolesne łzy, które wstrząsnęły całym jego ciałem. I zaczął szlochać tak mocno, jak nie szlochał, odkąd skończył cztery latka.

Gerwazy w końcu oderwał jego dłoń od swojej piersi i cały ból natychmiast się rozplynęła, zostawiając Seana jedynie z tęnym uczuciem smutku i pustki.

Opadł na podłogę, plecami do ściany i objął rękami kolana.

— Kurwa.

— Tak, wiem, przepraszam. — Gerwazy wyjął z kieszeni dżinsów swoje chesterfieldy i zapalił.

— Coś ty mi, kurwa, zrobił?

— Dałem ci wgląd, stary.

— Wgląd? O czym ty, kurwa, w ogóle mówisz?

— Pozwoliłem ci właśnie zajrzeć do mojej duszy.

— Do twojej duszy? Ale to było... to było *piekło*!

— Aha.

— Jezu. — Sean wstał z trudem i podszedł do zlewu. Ochlapał załzawioną twarz zimną wodą.

— No, to nie była *cała* moja dusza. Nie musisz się nade mną za bardzo litować. To był tylko taki jeden mały zakamarek mojej duszy. — Głęboko zaciągnął się papierosem i spojrzał na Seana. — Miejsce, gdzie żyje mój syn.

— Ty masz syna? — Sean wyciągnął kolejny papierowy ręcznik z podajnika i wytarł sobie twarz.

— Tak. Na imię mu Charlie. Ma szesnaście lat.

— Całkiem się pogubiłem, stary. W jednej chwili mówisz o mnie, w następnej robisz... Jezu Chryste... to *coś*... a teraz mówisz mi o swoim synu. Co on ma tutaj do rzeczy?

— Wszystko, Sean. Wszystko. Słuchaj. Kiedy miałem osiemnaście lat, spotkałem tę dziewczuszkę, OK? Miała na imię Kim. Była śliczna. *Przepiękna*. Miała takie maleńkie rączki. Najśłodsza buzię na świecie, jak aniołek. Miała siedemnaście lat. I *naprawdę* mnie kochała, wiesz. Była pierwszą osobą w moim życiu, która naprawdę tak bardzo mnie kochała. Ale ja wtedy byłem taki luzak, podrywacz. Wiesz, zaliczałem panienki, byłem cały do przodu. Ona nie była moją jedyną dziewczyną. Miałem też kilka innych. Miałem osiemnaście lat, rozumiesz. Świat był pełen pięknych kobiet, myślałem sobie, że nie powinienem im siebie odmawiać... No i ta Kim oczywiście nie wiedziała o tych innych dziewczynach. Myślała, że należą tylko do niej. I jednego dnia przychodzi do mnie cała uśmiechnięta i mówi mi, że jest w ciąży. No i ja, kurwa, kompletnie spanikowałem. Totalnie. Nie wiedziałem, co mam robić. Nie było mowy, żebym został tatusiem. W żadnym wypadku. Widziałem zbyt wielu swoich kumpli, jak się wkopują w żonki i dzieciaki i starzeją przed czasem. Więc nawiałem. Po prostu sobie poszedłem. Nawet się wyprowadziłem z tamtej dzielnicy i w ogóle. No i potem któregoś dnia, trzy lata później, stoję sobie przed taką pralnią w Eltham i słyszę cichy głosik: „Gerwazy?” Patrzę, a to moja mała Kim. Pcha wózek z dzieciakiem. Najśłodszym dzieciakiem, jakiego widziałem w życiu. Kruczoczarne włoski, wielkie niebieskie oczy. I ten dzieciak się do mnie uśmiecha. Mój syn. „To jest Charlie”, mówi ona. „Powiedz Gerwazemu cześć, Charlie”. A ten maleńki dzieciaczek, który ledwo co mówił, otwiera buzię i mówi do mnie: „Seść, Hewase, seść”. — Gerwazy cicho zachichotał. — No i poczułem się, jakbym dostał kopa w jaja, wiesz? Ten maluch mnie całkiem oczarował. *Moje* dziecko. Ale Kim teraz była już wiesz... zimna. Nie taka jak kiedyś. Usteczka w ciup, bardzo zajęta, bardzo elegancka. I mówi mi, że już musi iść. Bo w domu *mąż* na nią czeka. Po prostu wzięła i wyszła za kogoś innego. I mojego dzieciaka, tego pięknego maleńkiego dzieciaczka, wychowuje już inny facet. *Mick*. Co to jest, kurwa, w ogóle za imię, *Mick*? To mnie dobiło. Więc jej mówię: „Słuchaj, Kim, jest jakaś możliwość, żebym cię mógł odwiedzać, no wiesz? Ciebie i dziecko?” A ona jeszcze mocniej zaciska te usteczka, wiesz, jak kocią dupkę. „Nie”, mówi do mnie. „To by było nie w porządku wobec dziecka. Teraz Mick jest jego tatusiem. Mick jest jego tatusiem, odkąd miał pół roczku. Ty już miałaś swoją szansę”. No i sobie poszła. A ja tam stoję jak palant i patrzę, jak moje dziecko odjeżdża w wózku w dół Eltham High Street. I kiedy tak patrzę, dzieciak się odwraca i się do mnie uśmiecha. Takim wielkim, pięknym, łamiącym mi, kurwa, serce, uśmiechem. I macha rączką. A potem skręcają za róg. I tyle. Ostatni raz, kiedy go widziałem... No i to jest ten ból, który przed chwilą czułeś. Ten ból ja czuję za każdym razem, kiedy myślę o tamtej chwili. Za każdym ra-

zem, kiedy pomyślę o Charliem. To jest tak, jakbym miał w sobie taką wielką dziurę, w którą wpada zimno, deszcz i wiatr. Rozumiesz... Kiedy się wtedy zdecydowałem olać Kim, to myślałem, że znam samego siebie. Wydawało mi się, że wiem, co jest dla mnie ważne, czego chcę. Ale gównu wiedziałem. Wtedy dziecko nie wydawało mi się realne. Widziałem tylko problem. Nigdy nie myślałem o tym, co to naprawdę znaczy mieć dziecko, wiesz, *pieprzone dziecko*. To się nie wydawało prawdziwe. Tak to czułem, jakby ona miała trypra, czy coś — jej problem. To nie ma nic wspólnego ze mną. Ona niech się tym martwi. Ale ja miałem wtedy osiemnaście lat. Za to ty, Sean, Jezu Chryste, nie chcę być niegrzeczny, ty masz trzydzieści lat. Masz od zabrania szmalu. Weź się pozbieraj, stary. Poważnie. Nie chcę, żebyś się kiedyś czuł, jak ja się czuję, żebyś chodził z tą wielką pustką w miejscu, gdzie powinien być twój dzieciak, twój dzieciak i twoja żona.

I wiedział, że twoje dziecko wychowuje inny facet. Bo inny mężczyzna *wychowa* twoje dziecko, zapamiętaj moje słowa. I ty będziesz na to zasługiwał... I na co ty właściwie czekasz, Sean? Na coś lepszego? Bo jeśli na coś takiego czekasz, to się kurwa mocno zdziwisz. To jest to. Millie. Twoje dziecko. Teraz. Weź się kurwa pozbieraj do kupy, stary. Weź kurwa idź na to kurwa USG, daj jej kurwa przeczytać tę swoją kurwa książkę, a potem się z nią kurwa ożeń. I przestań sobie życie spierdalać. OK?

Przez chwilę Sean i Gerwazy stali i wpatrywali się w siebie, nie oddychając. A potem drzwi się otworzyły i do środka wpadł Ned z przestraszoną miną.

— Gdzie wy się podziewacie?

— Cały czas tutaj — powiedział Gerwazy, spokojniutko pociągając swojego chesterfiel-
da. — Trochę sobie gawędzimy.

— Chryste, myślałem już, że coś się stało. Wieki całe was nie było. Wszystko w porządku?

Gerwazy spojrzał na Seana.

— Wszystko w porządku, Sean? — powtórzył pytanie Neda. Sean spojrzał na niego z ukosa.

— Taak — powiedział. — Wszystko gra.

— Świetnie — powiedział Gerwazy. Zgasił swojego papierosa pod zlewem i odwrócił się, żeby poprawić w lustrze fryzurę. — Dobra, no to teraz chodźmy zobaczyć do końca występ waszej mamy, co?

HERBATA I EMPATIA

Wspaniałe wyzwolenie z okopów własnego nieszczęścia trwało dla Tony'ego krócej niż tydzień. W tej samej sekundzie, w której Ness przeszła przez próg i usłyszał, jak zamyka się za nią elektroniczna brama, wszystko wróciło. Targające nim wątpliwości, niewiara w samego siebie, apatia, poczucie kompletnej i obezwładniającej niemożności. Tyle że teraz był ich świadomy. Wcześniej osiadało to na nim tak wolno, że nawet nie zwrócił na to uwagi, zanim nie było za późno. Tym razem jednak został wyrzucony z pierwszego rzędu radosnej harmonii do ciemnych lochów beznadziei z takim impetem, że aż mu dech zaparło.

Mama nie polepszyła sprawy. Zadzwoiła do niego już z samego rana we wtorek, żeby go opieprzyć za Ness.

— Najpierw Carly — powiedziała. — Teraz Ness. To jak utrata własnych dzieci, Tony. Co ty sobie wyobrażasz?

— Nie wiem, Mamo. W porządku? To po prostu nie było to.

— Ale ta dziewczyna cię *uwielbia*.

— Tak, Mamo, wiem. Ale ona ciebie też uwielbia. I Tatę. I kierowców taksówek. I dosłownie każdego, kto się nawinie. Uwielbianie ludzi to jej specjalność.

— Nie mam pojęcia, jak ci się to udało, że przedstawiłeś to jako *wadę*, Anthony. Większość mężczyzn lewe oko by oddało za taką kobietę jak Ness. Kogoś tak ciepłego, wiernego i do tego tak atrakcyjnego.

— Wiem, Mamo, ale najwyraźniej nie jestem taki jak większość mężczyzn. Słuchaj... Kocham Ness. Bardzo. Naprawdę. Ale ona nie była dla mnie odpowiednią dziewczyną. Mam trzydzieści pięć lat. Nie mam już czasu, żeby go marnować. I tak pozwoliłem, żeby to się ciągnęło o wiele dłużej, niż powinno, taka jest prawda.

— Och, Tony, ale ja nie rozumiem. Naprawdę nie rozumiem. Myślałam, że ty i Ness macie zamiar... no wiesz...

Tak, Tony doskonale wiedział, co miała na myśli. Myślała, że się pobiorą i dostarczą jej uroczych malutkich wnucząt z kręconymi włoskami.

— No cóż, tak, ale tego nie zrobimy, OK? To się nie stanie. Naprawdę mi przykro, że cię zawiodłem, ale tu chodzi o moją przyszłość i najwyższy czas, żebym przejął nad nią jakąś kontrolę.

— No cóż, jestem bardzo zawiedziona, kochanie. Bardzo. Nie chcę zabrzmieć samolub-

nie, ale... niestety...

Bez niespodzianek, pomyślał Tony. Wiedział od początku, jak matczyne ciasteczko się pokruszy, jeśli on i Ness kiedykolwiek się rozstaną.

W trakcie całego tygodnia było więcej podobnych telefonów. Od Roba, od Trishy, od jego kumpli. Dzwonili wszyscy po kolei, ale nikt z nich nie zapytał: „A jak ty się trzymasz, Tony? Wszystko gra?” Tylko powtarzali to samo: „Zwariowałeś? W co ty, kurwa, pogrywasz, stary? Myśleliśmy, że ty i Ness będziecie razem już *na zawsze*”.

Jedyną osobą, która zadzwoniła do niego z troski, był Ned. Stary dobry Ned — Boże, jak on kochał tego chłopaka, naprawdę kochał. Teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Oczywiście ani słowa od Seana. Choć nie było takiej możliwości, żeby o wszystkim nie wiedział. Przecież wiadomo, jak działa rodzinna sieć. Mama pewnie natychmiast do niego zadzwoniła i prosiła, żeby przyjechał i postarał się przemówić bratu do rozsądku. Ale Sean najwyraźniej ciągle się dąsał.

Tony nawet myślał o tym, żeby do niego zadzwonić i może przeprosić za to, co mu powiedział tamtego wieczoru, ale jakoś nie mógł z siebie wykrzesać odpowiedniej dawki entuzjazmu. I tak go przecież niedługo zobaczy, na imprezie Mamy.

Był to zatem paskudny tydzień — długi, pusty i samotny. Nie odczuwał żadnej euforii wyzwolenia po zerwaniu z Ness. Żadnej radości na temat przyszłości. Z jakiegoś idiotycznego powodu czuł się dobrze tylko wtedy, gdy jego życie zaczynało przypominać odcinek serialu *EastEnders*. Może jest uzależniony od dramatycznych wydarzeń, zastanawiał się. Bo ostatnim razem, kiedy czuł taką euforię jak w tym minionym tygodniu, to było wtedy, kiedy się dowiedział, że Jo go zdradza i się rozstali. A chciałby umieć znaleźć sobie jakieś miejsce pośrodku tych ekstremów — beznadziei i euforii. To by było miłe, myślał sobie.

W czwartek po południu był na jakimś spotkaniu na Bond Street i postanowił wpaść do Taty do pracy. Nie odwiedzał go tam od wieków i czuł się dziwnie podniecony tą perspektywą. Szedł przez South Molton Street wzdłuż modnych sklepów obuwniczych, obok pięknych dziewcząt w okularach przeciwsłonecznych, jedzących lody w blasku słońca. Tato nie będzie go osądzał ani brał żadnej ze stron. Tato zwyczajnie da mu kubek herbaty i pogada z nim o piłce.

Wszedł prosto z jasności wiosennego dnia w zacieniony mrok targu antyków Gray. I natychmiast przeniósł się w czasy dzieciństwa — zapach srebra, starego papieru, drewna, zakurzonego aksamitu, błysk kryształów i wypolerowanego mahoni i drzewa różanego, zapaszek

starej miedzi i cyny. Szedł wąskimi przejściami między stoiskami, na których sprzedawano stare, spłowiałe bilety teatralne, stuletnie koniki na biegunach i wyliniące pluszowe misie, militaria, pamiątki, rogi francuskie i saksofony, szkło art déco, srebro art nouveau, i sukienki balowe na sztywnych halkach.

Rozpoznał kilka starych twarzy z dzieciństwa: faceta w tweedowej marynarce, kobietę w swetrze ręcznie robionym na drutach, która była tu jeszcze przed jego urodzeniem. Wszystkich pokrywała jakby patyna czasu, od tego ciągłego siedzenia w zamknięciach swoich lisich nor od ponad czterdziestu lat.

Nikt z nich go jednak nie rozpoznał. Ostatnim razem, kiedy tu przyszedł, był jeszcze szczupły. Szczupły i elegancki, zapracowany mężczyzna interesów. A nie taki zagubiony, otyły smutas w przyciasnych spodniach i rozchodzącej się na brzuchu koszuli.

Kiedy Tony skręcił za róg, zobaczył Tatę w jego grocie Alladyna pełnej błyszczącego srebra. Gerry akurat skręcał sobie papierosa.

— Cześć, synu — powiedział, zrywając się ze swojego stolka i zamykając go w pachnącym tytoniem uścisku. — Co cię tu sprowadza?

— Miałem tu niedaleko spotkanie. I mam wolną godzinę. Pomyślałem, że... — I wtedy zauważył siedzącą w mrocznym kącie postać.

Gerwazy.

— W porządziu, Tone? — powitał go. — Jak leci?

Tony wybąkał jakąś odpowiedź, a Gerwazy wyszedł, żeby im wszystkim przynieść herbaty.

— A ten co tu robi? — syknął natychmiast Tony.

— Kto? Gerwazy? Akurat coś dla mnie dostarczał. Wpadł na coś w rodzaju lunchu.

Tony zamruczał pod nosem, jak wkurzony niedźwiedź.

— Powinieneś dać mu szansę, wiesz? No tak, na zewnątrz może i jest troszkę... odpychający. Ale w środku to złoty chłop, naprawdę dobry człowiek.

— Jak tam sobie chcesz — powiedział Tony. — Ale ja go nie lubię. Ciarki mnie przy nim przechodzą.

— A tam — Gerry pokręcił głową — to dobry człowiek. A wiesz, że Gerwazy jest tego... no... — Gerry przyłożył sobie dłonie do czoła i pomachał palcami.

Tony patrzył na niego nieporuszony.

— Co on jest?

Gerry pochylił się do niego bliżej i szepnął mu do ucha:

— On jest jasnowidzem.

— *Jasnowidzem?* — warknął Tony. — Nie bądź śmieszny.

— Nie. Serio. Naprawdę. On *widzi* różne rzeczy. *Czuje*.

— Jakie *rzeczy*?

— No na przykład, tak ze dwa miesiące temu zastanawiałem się, czy nie sprzedać domu...

— Domu?! Tato! Nie możesz sprzedać domu!

— Uspokój się. Nie wariuj. Już w porządku. Zmieniłem zdanie. Ale wtedy nikomu o tym nie mówiłem ani nawet twojej mamie, nikomu. Tak naprawdę to chodziło o forszę. No wiesz, taki duży dom jak ten w Londynie jest wart fortunę, a teraz przecież ja i mama nie potrzebujemy już tyle miejsca, a i tak w końcu całe mieszkanie tylko zapełnimy różnymi gratami i śmieciami. No to pomyślałem sobie, może sprzedać to w cholere, zgarnąć kasę, kupić gdzieś ładne mieszkanie. Ale od momentu, jak po raz pierwszy o tym pomyślałem, zacząłem się męczyć, byłem zdenerwowany, nie mogłem spać. I właśnie wtedy któregoś dnia siedzimy sobie z Gerwazym przy herbacie, a on nagle łapie mnie za rękę, o tak, patrzy mi w oczy i mówi: „Masz przed sobą ważną decyzję. Sprawia ci to ból. Ale przecież wcale nie musisz podejmować tej decyzji, prawda? Nikt na ciebie nie naciska, z wyjątkiem ciebie samego”. I dalej tak powiedział: „Cokolwiek to jest, może poczekać. Najwyraźniej jeszcze nie nadszedł dobry czas. Poczekaj, aż będziesz się z tym dobrze czuł”. I oczywiście, miał zupełną rację. Sam sobie znalazłem problem i się całkiem zaplątałem. Więc posłuchałem jego rady i zwyczajnie zarzuciłem ten pomysł. I od tego czasu chodzę szczęśliwy jak norka.

Tony słuchał ojca i starał się zrobić cyniczną i niedowierzającą minę, sam zaczął się jednak zastanawiać nad swoją przygodą z Gerwazym.

— Cholera — powiedział. — Nie wydaje ci się to trochę... *niesamowite!*

— No cóż, pewnie, wtedy sam się nieźle wystraszyłem, uważałem, że to kompletnie *dziwaczne*. Ale teraz, z perspektywy, widzę, że facet zwyczajnie zrobił mi przysługę, rozumiesz. Tak jakby na przykład zobaczył, że się męczę z jakimś ciężkim kredensem, i zwyczajnie pomógł mi go przesunąć.

Gerry zamilkł i spojrział na Tony'ego przez mgłę tytoniowego dymu.

— Wczoraj wieczorem poprosiłem go, żeby pogadał z twoją mamą.

— Ach tak? A o czym to?

— Żeby się postarał ją trochę uspokoić po tym... no, po tej historii z Ness. Strasznie to przeżywa.

— Tak — mruknął Tony. — Wiem.

— Nie wiem, czy mu się udało przemówić jej do rozsądku, ale pomyślałem, że warto spróbować. To mądry koleś, serio. Ma to, no, jakże to teraz nazywają? *Inteligencją emocjonalną*, wiesz. A mnie mama by i tak nie posłuchała.

Tony uśmiechnął się pod nosem. Wiedział aż za dobrze, że Tata podjąłby tylko najmniejsze z możliwych wysiłków rozmowy z Mamą na taki temat. Tata nie lubił się wtrącać ani mieszać w niezręczne sytuacje.

— A jak tam u ciebie? Wszystko w porządku?

— Tak, wszystko gra. — Tony wzruszył ramionami.

— Fajnie — powiedział Gerry, gasząc niedopałek w poplamionych nikotyną palcach. — To dobrze.

Wtedy wrócił Gerwazy z tacą, na której przyniósł trzy kubki herbaty i trzy ogromne kawałki ciasta.

— O, jak miło — powiedział Gerry, z radością patrząc na ciasto i zacierając dłonie.

No tak, świetnie, pomyślał Tony. Patrzył na obu naturalnie szczupłych mężczyzn, którzy bez problemu mogli sobie pozwolić na opychanie się kalorycznymi słodyczami między posiłkami. Pomyślał o poniedziałkowym wieczorze, o radości, jaką czuł, kiedy Jan powiedziała mu, że oto waży poniżej czternastu kamieni. Przypomniał mu się krąg dumnych z niego osób z grupy, i jego śliczne za ciasne spodnie marki French Connection, i zdjęcie „Bryana” zawzięcie surfującego w kwiecistych szortach.

A potem chwycił talerzyk z ciastem i pochłonął je za jednym zamachem, niemal nie czując smaku.

— Dobra — powiedział Gerwazy kilka minut później. Dopił herbatę i uderzył się dłońmi w kolana. — To ja spadam.

Gerry spojrzał najpierw na Gerwazego, potem na Tony'ego.

— Właściwie to ja... — powiedział — Ja też muszę na chwilę wyskoczyć.

— Och. — Rzucił Tony z nutką zawodu. Akurat się na dobre rozgościł.

— Tak, przykro mi. Ale wiesz, co ci powiem? Gerwazy, ty teraz będziesz jechał do Battersea, prawda?

— Zgadza się. Na Levender Hill.

— Miałbyś coś przeciwko, żeby podrzucić Tony'ego do Clapham? To tylko pięć minut w bok od twojej trasy.

— Pewnie. Nie ma sprawy.

— Nie, naprawdę. Dziękuję, dam sobie radę — zaproponował Tony. — Wezmę taryfę. Serio.

— A dlaczego chcesz tracić forszę na taksówkę? Gerwazy cię podrzuci.

Gerry posłał Tony'emu jedno ze swoich spojrzeń znaczących „koniec dyskusji”.

— Dobra — zgodził się Tony. — Niech będzie.

Tony z niesmakiem rozglądał się po furgonetce Taty. Stare kupony loterii, fragmenty opakowań, papierki po słodyczach, zwinięte w kulki chusteczki higieniczne, puste butelki i puszki. Tapicerka całkiem przetarta i wypłowiwała ze sterczącymi wszędzie drutami, z chodniczków dawno nic nie zostało, pod nogami straszyl goły metal. Gerwazy zakiepował papierosa w popielniczce pełnej niedopałków chesterfieldów i skrętów, a potem zatrzasnął drzwi.

— I jak tam, Tony? — zagadał Gerwazy. — Zdaje się, że miałeś ostry tydzień, co?

— A tak. Można tak powiedzieć.

— Może cię to nie obchodzi, ale ja uważam, że zrobiłeś właściwą rzecz.

Tony rzucił mu zdziwione spojrzenie.

— A tak, przecież to było ewidentne, że nie byłeś z nią szczęśliwy. Życie jest za krótkie na takie historie, Nie było sensu tego przeciągać.

— Dokładnie! — powiedział Tony i aż lekko zakręciło mu się w głowie, taką ulgę przyniosła mu ta empatia.

— A ona sobie da radę, ta Ness. Taka radosna dziewczyna jak ona odbije się od dna raz-dwa. Znajdzie kogoś, kto ją uszczęśliwi.

— Wiem, wiem. Dokładnie tak samo uważam. To właśnie staram się wszystkim wytłumaczyć. Jej będzie o wiele lepiej beze mnie. Ona była dla mnie za dobra.

— No, bez przesady, Tone. Tak też nie możesz mówić. Jesteś świetnym facetem. Tyle że Ness nie była dla ciebie odpowiednia. To wszystko. Może była za mało... *skomplikowana*?

— Tak! — Tony'ego zaskoczyło, jak precyzyjnie Gerwazy nazwał to, co nie grało w jego związku z Ness. — Dokładnie.

O to chodzi. Bo ja lubię, żeby w moim życiu był jakiś konflikt, wiesz, trochę dramatyizmu. Potrzebuję kogoś, przy kim muszę się ciągle starać, kogoś, kto by mi nie pozwolił zawsze mieć racji i zachowywać się jak rozpieszczony gnojek. Ness była zbyt *wyrozumiała*, wiesz?

Zbyt bezkonfliktowa.

Gerwazy zachichotał.

— No, każdy ma swoje gusta. Większość facetów może tylko marzyć o dziewczynie, która jest zbyt wyrozumiała.

— Wiem o tym. Ale ja jestem inny. Mam inne potrzeby. Przez te kilka ostatnich tygodni dużo się o sobie dowiedziałem, i jedną z rzeczy, z których sobie zdałem sprawę, jest to, że jestem zepsuty. Rozpieszczony. Myślę, że my wszyscy jesteśmy, cała nasza trójka, każdy na swój sposób. To nie jest wina Mamy ani Taty. Oni po prostu tak bardzo nas kochali, że nigdy nie negowali ani naszych decyzji, ani naszych życiowych wyborów. Najważniejsze dla nich było, żebyśmy byli zdrowi i zadowoleni. Nigdy nas nie zmuszali do robienia czegokolwiek, czego byśmy nie chcieli, i gdybym był z kimś takim jak Mama, czyli na przykład z *Ness*, to byłbym tylko coraz bardziej zepsuty i rozpuszczony. Potrzebuję kogoś, kto by mnie stawiał na baczność, kto by mi mówił, kiedy jestem samolubny czy głupi. Kogoś gotowego do noszenia spodni. Rozumiesz, nie?

Gerwazy kiwał głową w zamyśleniu. Wyjął ze schowka paczkę gumy do żucia.

— No i widzę, że wybiłeś sobie z głowy tamtą niezdrową obsesję...

— Co?

— Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy. Byłeś wtedy czymś lub kimś zauroczony. Powiedziałem ci, żebyś to sobie wybił z głowy. I tak zrobiłeś.

Tony z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Kim ty jesteś? — spytał. — Skąd ci się to wzięło? Gerwazy wzruszył ramionami.

— Sam nie wiem. Pewnikiem od mojej mamy. Ona miała dar. Ona umarła, i wtedy ja dostałem dar. To było jakby moje od niej dziedzictwo. No i fajno, bo mi nie zostawiła nic, kurwa, innego. — Znowu zachichotał. — I wiesz, co ci powiem? Że się to cholernie przydaje przy całej gromadce braci Londonów.

— Co? Chcesz powiedzieć, że widziałeś też różne rzeczy o moich braciach?

— O tak — rzucił spokojnie. — W ich życiu też się sporo dzieje. I raczej wolą o tym nie rozmawiać z nikim z rodziny. No to gadają ze mną. A ja im pomagam.

— Ale co się dzieje?

Gerwazy uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

— Nie — powiedział zdecydowanie. — Ode mnie nic nie wychodzi dalej. Nigdy. No i z tą obsesją co się w końcu stało?

— Chyba zobaczyłem „światło” — wzruszył ramionami. — Zrozumiałem, że chcę być jedynie jej przyjacielem, że wszystko mi się w głowie pomieszało. I zdałem sobie sprawę, że bardziej w tym chodziło o kogoś innego niż o tę kobietę, którą byłem zainteresowany. Po prostu w ten sposób wypierałem swoją prawdziwą frustrację i zazdrość.

Gerwazy pokiwał głową i wsunął sobie do ust złożony listek gumy.

— To dobrze. Cieszę się z tego. Wygląda na to, że przez te ostatnie tygodnie naprawdę dużo się nauczyłeś.

— Fakt — potaknął Tony. — Trochę się dowiedziałem o tym, co mnie dołuje. Wiesz?

Gerwazy spojrzał na niego z ukosa.

— Ale dalej nie jesteś szczęśliwy, co, Tone? Tony przełknął linę. Patrzył na swoje dłonie.

— Nie — powiedział cicho. — Nie jestem.

— Wiesz co, Tony? Może tobie wcale nie potrzeba innej dziewczyny. Co? Może ty potrzebujesz nowego życia?

— Co? Mam sobie wymoczyć linie papilarne w kwasie i zmienić tożsamość?

— Nie. Ale na przykład wyjechać na jakiś czas. Zobaczyć kawałek świata.

Tony się uśmiechnął i pokiwał głową.

— Dokładnie to samo mówiła mi Ness. Ale nie mogę. W żadnym wypadku. Muszę prowadzić firmę...

— Ale czy aby na pewno, Tone? Naprawdę musisz? A nie masz wspólników? Asystentów? Ludzi, którym możesz powierzyć obowiązki? Albo mógłbyś sprzedać interes.

— *Sprzedać?!*

— No. Czemu nie? Sprzedać swoje udziały. I zostać dyrektorem generalnym, wiesz, figurą w zarządzie? Ale sam byś nie musiał być w pracy codziennie.

— Niby tak, ale moja praca, moja firma... to moje życie.

— Dokładnie, Tone. Dokładnie. I jakie to jest życie? Co? Ty już się naharowałeś, teraz czas mieć z tego trochę przyjemności. Nie, mówię serio, Tone, ja bym właśnie tak zrobił, jakbym był na twoim miejscu. Wziąłbym sprzedać interes i pojechał sobie gdzieś na zajebiste wakacje. Przez te ostatnie lata dużo przeszedłeś. Należy ci się... — Gerwazy z przekonaniem kiwał głową, a potem nagle ostro zatrąbił, kiedy jakiś posłaniec na rowerze zajechał mu drogę na skrzyżowaniu.

Tony ukradkiem spoglądał na Gerwazego i starał się odczytać wyraz jego twarzy. Wy-

glądało na to, że mówi zupełnie szczerze, z serca, jakby chciał dla Tony'ego jak najlepiej. Wyglądał na kogoś, komu autentycznie zależy. Tak uczciwie. Tak jak ludziom w dzisiejszych czasach już nieczęsto zdarzało się troskać o innych.

— Kim ty *jesteś!* — Tony powiedział to na głos, zanim zdążył się powstrzymać.

— Kto? Ja? Jestem tylko przyjacielem. Przyjacielem rodziny. To wszystko.

Odwrócił się do Tony'ego i puścił oko. Tony uśmiechnął się, a potem odwrócił głowę i patrzył przez okno, zastanawiając się, jak to się, do diabła, stało, że Szkieletor okazał się jedyną osobą na całym świecie, która go naprawdę rozumie.

BARDZO WAŻNE SPOTKANIE

Sean usłyszał, że drukarka przestała pracować. Wyjął z niej ostatnie strony tekstu. Dołączył je do niewielkiej kupki na biurku. Przekartkował ją, ciesząc się jej masą. A potem wyszedł na balkon i raz jeszcze przeczytał pierwsze 150 stron swojej książki. Starał się je zobaczyć oczyma Millie. Zastanawiał się, jak ona zareaguje na jego dywagacje na temat niechcianego ojcostwa, miał nadzieję, że nie wyczyta zbyt wiele z rozdziału, w którym bohater ląduje w domu z osiemnastolatką. Chciał, żeby uznała książkę za pouczającą i ciekawą, a nie zagrażającą jej i denerwującą.

Spojrzał na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Czas się zbierać. Wsunął zadrukowane kartki do plastikowej koszulki, wrzucił do torby z Sainsbury's, włożył kurtkę i udał się na stację, by pojechać na spotkanie ze swym nie narodzonym dzieckiem, umówione na kwadrans po jedenastej.

Sean obserwował, jak pielęgniarka smaruje galaretką nagi brzuch Millie. Patrzył na to zaszokowany. Brzuch Millie, zwykle płaski jak deska do prasowania, był teraz wypukły. Miała *brzuszek*. Nie był jakiś ogromny, ale zdecydowany, widoczny. Taki brzuszek „Witaj, Tatusiu”. Kiedy to się, do diaska, zdążyło stać?

Sean przełknął ślinę i uśmiechnął się do Millie, która odpowiedziała jedynie minimalnym skrzywieniem samych kącików ust. Rozejrzał się po gabinecie, robiąc w myślach notatki. Do swojej książki. Bo to oczywiście musiało się w niej znaleźć. Chłonał atmosferę, szczegóły, nastroj. Głęboko wciągnął powietrze, by zarejestrować zapachy. Przejechał koniuszkiem palca po żelu na brzegu brzucha Millie, by poznać jego konsystencję.

A potem zatrzymał się na chwilę, wykasował w umyśle paplaninę pielęgniarki i wszelkie

odgłosy dochodzące z korytarza i zajrzał w głąb siebie, starając się wewnętrznym zwerbalizować to, jak się w tej chwili czuje, siedząc tu, w klinice położniczej z kobietą, która z trudem może na niego patrzeć, i mając za moment zobaczyć tę ledwo co ukształtowaną istotę, która zrujnowała jego związek, i nie wiedząc, co, do diabła, wydarzy się dalej.

W głowie układał po kolei słowa:

Przestraszony.

Głupi.

Niedoinformowany.

Żałosny.

Zagubiony.

Zły.

Podniecony...

To ostatecznie go zaskoczyło. Ale potem wsłuchał się w buzowanie adrenaliny w swoich uszach, w walenie serca w piersi, i wiedział, że to prawda. Był podniecony. Niecierpliwy. *Pospiesz się*, chciał powiedzieć do pielęgniarki. Włącz to wreszcie, no dalej, chcę to zobaczyć. To coś, co wydobyło ze mnie wszystko, co najgorsze, i zmieniło mnie w osobę, której naprawdę zbytnio nie lubię.

Spójrzmy sobie w twarz. Dawaj mi go.

Pielęgniarka włączyła aparat, który wydał z siebie wysoki dźwięk, a potem wzięła do ręki coś na kształt rewolweru i zaczęła tym jeździć po śliskim brzuchu Millie, cały czas patrząc na ekran. I kiedy tak przesuwała kamerę po brzuchu Millie, na monitorze zaczęły się pojawiać różne kształty. Monochromatyczne, prawie jak jakieś zjawy. Coś jak z filmów Frizta Langa.

Pielęgniarka wskazywała na ekran, rozpoznając poszczególne części ciała. I między tymi podobnymi do atramentowych plam kropkami i cieniami Sean zaczął widzieć dziecko. Naprawdę tam było. Normalne dziecko. Ręce, nogi, palce u rąk i nóg, oczy, usta. Wszystko. Sean gapił się na ekran jak oczarowany. To było takie nierzeczywiste, totalne science fiction. I miało nawet twarz. Miłą, delikatną twarzyczkę z cieniem uśmiechu. Jego lewa rączka była uniesiona do góry, do twarzy i ono... czy ono rzeczywiście...?

— Widzicie? — powiedziała pielęgniarka, pokazując na rączkę dziecka w miejscu, gdzie spotykała się z ustami. — Ssie sobie kciuk...

Jego dziecko ssało sobie kciuk.

Jak on, kiedy był mały.

Jak Ned, kiedy był niemowlakiem.

I nagle, zupełnie znikąd, pojawiło się wspomnienie — Mama leży w szpitalnym łóżku, jej jasne włosy w nieładzie, ma na sobie turkusowy, nylonowy peniuar. Tato stoi obok niej w swoim zielonym swetrze i niebieskiej koszuli. Tony podskakuje w nogach łóżka. A Mama patrzy na Seana i mówi: „Chcesz go potrzymać?” Na początku był zawstydzony, chował się za Tata, pokręcił głową, ale Mama go zachęcała, powiedziała mu, że może, więc skinął głową, a Mama podała mu to coś maleńkiego w żółtym kocyku. To było takie maciupkie, takie leciutkie, nawet w trzyletnich ramionach Seana. Odsunął róg żółtego kocyka i zajrzał w niewidzące oczy swojego nowego brata. A potem pocałował go w policzek, zachwycony odczuciem takiej zupełnie nowej skóry na swoich wargach. Wtedy Mama wzięła od niego zawiniątko i położyła w kołysce, a Sean pamiętał, że stał koło tej kołyski jakby przez całe godziny i tylko się wpatrywał w tę nową osobę — w tę nieprawdopodobną nową istotę. I już wtedy wiedział, że lubi to nowe dziecko, że ten nowy dzidzius będzie jego *przyjacielem*.

I nagle spadło na niego jak grom z jasnego nieba — to coś rosnące w brzuchu Millie — to jest malutki Ned. To jest niesamowita nowa istota. To jest ktoś, kto będzie jego *przyjacielem*.

To jest *jego dziecko*.

Sean wstrzymał oddech i uściśnął dłoń Millie tak mocno, się skrzywiła.

A potem zaczął płakać.

WYJŚCIE DO RITZA

Ned poprawił muszkę w lustrze i stwierdził, że ciągle jest totalnie spieprzona. Nie pomyślał o tym, by biorąc ubranie z wypożyczalni, sprawdzić, czy dają mu taką gotową muszkę na gumce czy jeden z tych upierdliwych antyków typu „zrób to sam”. Fantazjował sobie, że jest teraz w środku filmu i za chwilę wkroczy seksowna kobieta w wieczorowej sukni i pomoże mu toto zawiązać. Niestety jedyną osobą w całym domu był w tym momencie Gerwazy, i Ned nie wyobrażał sobie, by akurat w tej kwestii mógł mu być pomocny. Tata był w pracy, gdzie miał się spotkać z Mamą, a on i Gerwazy mieli pojechać taksówką razem z Ness, która właśnie była w drodze do nich.

W końcu ją zaprosił, dopiero w zeszłym tygodniu. Musiał zebrać całą swoją odwagę, żeby do niej zadzwonić. Ciągle to odkładał, ale Tato wiercił mu dziurę w brzuchu, a potem jeszcze Gerwazy zwęszył, co się święci, i dołożył swoje trzy grosze.

Najpierw jednak zatelefonował do Tony'ego, sprawdzić, czy nie ma nic przeciwko zaproszeniu przez niego Ness. Ale Tony przyjął to świetnie. Więc Ned w końcu zebrał się w sobie i wykręcił numer Ness. No i wszystko okazało się takie łatwe. Oczywiście, że nie zaprosił jej w stylu „czy uczynisz mi, pani, ten zaszczyt” i tak dalej. Powiedział po prostu: „Tata mówi, że musisz przyjść, to pomyślałem sobie, że będzie ci milej, gdybyś była z kimś, to może chciałabyś pójść ze mną?” Była przez telefon strasznie miła i wcale nie robiła wrażenia, jakby to jej się wydawało jakieś dziwne, że młodszy brat Tony'ego dzwoni do niej ni z tego, ni z owego i zaprasza ją na imprezę. Jedyne, czym się martwiła, to czy, broń Boże, nie zdenerwuje Tony'ego i nie zrobi niezdrowej atmosfery na imprezie Bernie. Ned pomyślał, że to właśnie klasycznie niesamolubna Ness, i był to dla niego kolejny dowód, jaka z niej absolutnie fantastyczna osoba. Powiedziała jeszcze, że jest naprawdę szczęśliwa, że Ned ją zaprosił, bo już wcześniej kupiła suknię na to wyjście i ta kiecka kosztowała ją fortunę.

Znów rozwiązał oba końce i zaczął od początku, uzyskując wreszcie konstrukcję, która była niemal symetryczna i z lekka przypominała muszkę. I na tym poprzestał. A pieprzyć to. I tak nie jest gładkim kolesiem od fraków i muszek. Nigdy nie będzie wyglądał wystrzałowo i elegancko, choćby nie wiem jak idealnie miał zawiązaną muszkę, więc równie dobrze może wystąpić w stylu „lekko-rozchełstany-acz-czarujący”.

W pokoju Gerwazego na całe gardło darł się Little Richard, więc Ned załomotał w jego drzwi pięścią.

— Hej tam, Elvis Pelvis. Taryfka podjeżdża za pięć minut.

— *No problemo* — krzyknął Gerwazy przez drzwi. — Już lecę.

Ned zbiegł na dół i sprawdził swoje odbicie w lustrze w holu. Oparł się pokusie kolejnych poprawek przy muszce. Chwycił prezent dla rodziców z miejsca, gdzie go ukrył w jadalni, i szybko napisał życzenia na karteczce. I wtedy usłyszał kroki za sobą na schodach, odwrócił się i zobaczył Gerwazego. Taszczył ogromniasty prezent zapakowany w srebrny papier, a na sobie miał jaskrawoniebieską, wieczorową koszulę z żabotami z przodu i satynową muszką w tym samym kolorze, błękitniutkie spodnie i odblaskowo-niebieskie buty na miękkiej podszwie. Ned gapił się na niego przez chwilę, nie mając pewności, jak ma zareagować na tę wizję.

— O zesz kurwa — wykrztusił w końcu. — Wyglądasz... *radikalnie*.

— Ależ bardzo ci dziękuję, Ned. Ty sam prezentujesz się niezgorzej. Tyle że ta muszka... całkiem krzywa... — Gerwazy zrobił krok w jego kierunku z wyciągniętą ręką, ale Ned go odepchnął.

— Nie — powiedział. — Próbuję od dwudziestu minut. Lepiej już nie będzie.

Gerwazy wzruszył ramionami i uklepał sobie płaski czubek fryzury przed lustrem, stając za Nedom. Wtedy rozległ się dzwonek u drzwi.

Ned poczuł nagły skurcz w żołądku i wziął głęboki oddech. Otworzył drzwi i musiał wziąć kolejny oddech.

— Ness! — sapnął. — Wyglądasz... Jezu... Wyglądasz *sensacyjnie!*

I tak właśnie było. Miała na sobie czarną, obcisłą jedwabną suknię bez pleców i ramiączek, sięgającą tuż przed kolano, z wielkim czarno-białym kwiatem przy gorsie. Włosy miała upięte do góry, z pobłyskującymi w nich diamentkami, a kilka jasnych loczków otaczało twarz. Ale Neda naprawdę załatwiły jej buty. Czarne szpilki ze srebrnymi paseczkami na cienkich dwunastocentymetrowych obcasach. Buty, przez które gotów był paść przed nią na czworaki i całować jej kostki, takie były seksowne. Ness ścisnęła małą czarną torebkę oraz paczuszkę z prezentem i karteczką w czerwonej kopercie. Była czystą, nie rozcieńczoną esencją wyrafinowania.

— Dziękuję — powiedziała, unosząc sukienkę o kilka cali, żeby przejść przez próg. — Ale to nie moja zasługa. Nie mam pojęcia o ciuchach, więc wynajęłam na jedno popołudnie osobistą konsultantkę. — Zmierzyła Neda z góry na dół z tajemniczym uśmiechem na ustach. — O rany, Ned, aleś ty przystojny.

Ned też się uśmiechnął i zignorował Gerwazego, który stukał go palcem w dół pleców.

— Tylko jedna rzecz — powiedziała, odkładając swoją torebkę i prezent. — Ta muszka. Źle zawiązana. Chodź tu, poprawię.

Ned zrobił krok do przodu i przestał oddychać. Rozwiązała jego żalną próbę i zaczęła wszystko od początku. Pachniała drogimi perfumami i Ned miał ochotę wtulić całą twarz w jej gładką, nagą skórę pomiędzy ramionami i biustem. Chciał przejechać dłońmi w górę i w dół lejącego się jedwabiu opinającego jej wąskie biodra, wyjąć te diamentowe ozdóbki z jej włosów, rozpuścić je, a potem owinać sobie jedną z tych jej długich, zgrabnych nóg wokół pasa. Chciał odwołać taksówkę, zapomnieć o imprezie i spędzić najbardziej perwersyjną noc swego życia.

— No i proszę bardzo — powiedziała, poklepując jego muszkę i cofając się o krok, żeby sprawdzić efekt. — O wiele lepiej.

— Dzięki — jęknął Ned wysokim głosem Lisy Simpson. — Bardzo ci dziękuję.

Wtedy znów odezwał się dzwonek u drzwi, bo przyjechała zamówiona taksówka, żeby

zabrać ich do Ritza. Ned patrzył, jak Ness sunie przez drzwi i spływa po frontowych schodkach w swojej czarnej, jedwabnej sukni, i stwierdził, że może właśnie mieć przed sobą najlepszy wieczór na świecie.

— Dzień dobry — powiedział Sean, starając się zabrzmieć swoim najlepszym, pięcogwiazdkowym akcentem. — Jestem z grupy państwa London. Powinien tu być pokój zarezerwowany dla mnie na nazwisko mego ojca?

Uśmiechnął się nerwowo do Millie, kiedy recepcjonista w liberii sprawdzał ich rezerwację na komputerze.

— Tak jest. Zarezerwowano cztery pokoje.

— Zgadza się. Czy ktoś już się zameldował?

— Nie, proszę pana. Jest pan pierwszy.

Zameldowali się, odmówili boyowi hotelowemu, który chciał nieść ich niewielki bagaż na jedną noc, a potem ruszyli po czerwonym dywanie, wzdłuż ścian pięknie udekorowanych malowidłami *trompe-l'oeil* do pokoju na pierwszym piętrze. Po drodze nie rozmawiali ze sobą, w milczeniu krocząc po miękkim dywanie. Sean przyglądał się Millie idącej o krok przed nim i uśmiechał się do siebie. Na biodrach miała już niewielką dodatkową warstewkę, ramiona były nieznacznie okrągłejsze, a jej włosy, nagle zauważył, bardzo urosły. Kiedy ją poznał, sięgały brody, a teraz były już za ramiona. Zaczynała wyglądać bardzo macierzyńsko. Zauważył, że Millie przekłada swoją torbę z rzeczami z ręki do ręki, i przypomniał sobie, że powinien w takich momentach coś zrobić.

— Proszę — powiedział, odbierając jej torbę. — Pozwól, że to wezmę.

Już się odwróciła, żeby zaproponować, ale zamknęła usta i tylko się uśmiechnęła.

— Dziękuję — powiedziała.

Sean zauważył, że odwracając się, delikatnie położyła dłoń na swoim brzuchu. Chroniła swoje dziecko. Ich dziecko. Poszukał w wewnętrznej kieszeni kurtki i znów wyciągnął to zdjęcie. Było już nieźle sfatygowane i poprzecierane na brzegach. Od chwili, kiedy pielęgniarka dała mu w zeszłym tygodniu odbitkę, ciągle się w nie wpatrywał. Kiedy pisał, stało oparte o monitor komputera.

Oszalałamiło go.

Obezwładniało jego umysł.

Całkowicie.

Sean już w tej chwili mógł stwierdzić, że to będzie grzeczne dziecko. Wiedział to po tym

spokojnym uśmiechu na jego twarzy. On sam był grzecznym dzieckiem, Millie podobno również. Powiedziała mu to jej matka, kiedy w miniony weekend wybrali się w końcu do Suffolk, by oznajmić nowiny. Poznanie rodziców Millie — to dopiero było przeżycie. Prywatna droga do ich posiadłości była tak długa, że trzeba było nią jechać dobre pięć minut. Był tam oczywiście żwirowy podjazd za bramą, i sad, i ogród pełen oryginalnych, tropikalnych drzew i kwiatów, i pokój bawialny, pokój przyjęć, salon, biblioteka. Pan i pani Buckleigh byli totalnie szaleńcy, w najmilszy możliwy sposób. Większe wrażenie zrobiło na nich to, że Sean jest publikowanym pisarzem, niż wielkość ich posiadłości zrobiła na nim. Byli też brat i siostra Millie, każde ze swoim współmałżonkiem, dziećmi i dokazującymi zwierzętami.

Przyjęli nowiny tak, jak Sean i Millie mieli nadzieję, że to uczynią. Żadnych uwag na temat dzieci urodzonych poza małżeńskim stadłem ani sugerowania pospiesznego ślubu. Byli po prostu uszczęśliwieni, że Millie zdążyła na ten pociąg z dzidziusiami, że nie skończy jako samotna ekscentryczka, jak legendarna siostra alkoholiczka pani Buckleigh, której barwne życie Millie zdawała się powtarzać, ku rozpaczce wszystkich.

Oni też cmokali i wzdychali nad zdjęciem USG, pokazując ledwie rozpoznawalne miejsca i komentując: „Wygląda na to, że będzie miało nos wujka Nathana, biedactwo” albo: „Patrz tylko na te kostki u nóżek — mocne i silne jak u Heleny”.

A najzabawniejsze podczas całego tego dnia było to, jak bardzo Sean poczuł się od razu częścią tej rodziny. Oni mówili o *ich* dziecku, to ich dziecko było w centrum zainteresowania, choć jeszcze nawet przecież niczego nie *zrobiło*. I wszyscy byli tak zachwyceni Seanem, że dostarczył im wnuka, siostrzeńca czy siostrzenicę, że sam Sean czuł się dumny i zaangażowany.

Nigdy tak naprawdę nie chciał się całkowicie odciąć od Millie i ich dziecka, ale dopiero Gerwazy uświadomił mu, że zmierza dokładnie w tym kierunku. Że wszedł na ścieżkę, która prawdopodobnie mogła go doprowadzić w to samo miejsce, które Gerwazy znał z własnego doświadczenia — miejsce, które mu pokazał. A tego Sean nie potrafiłby znieść.

Stosunki z samą Millie wciąż jeszcze były dosyć delikatne. Nie powrócili w pełni do swojego związku — nie spieszyli się z tym. Seana wciąż jeszcze pochłaniało kończenie książki, ale teraz, kiedy rzeczywiście wykonali owo „ćwiczenie na wzajemną empatię”, Millie miała większe zrozumienie dla faktu, że jeszcze przez kilka tygodni nie będzie dla niej w pełni dostępny. Mówiła zresztą, że i tak minęła już najgorsza faza jej ciąży. Nie była już taka zmęczona ani taka chora, w takiej depresji. Nawet zaczynało jej się to podobać, czuła przyływ energii, była mniej podatna na humory i rozzalona.

Podczas wizyty u jej rodziców spali co prawda w tym samym łóżku, ale nie posunęli się dalej niż przytulenie się przed zaśnięciem. Nie rozmawiali o planach ślubnych. Wszystko było jeszcze w zawieszeniu. Nie do końca zdecydowane. Millie była bardzo ostrożna, i Sean nie mógł jej za to winić. Skrzywdził ją nie do pomyślenia, sprawił, że zwątpiła w swoją miłość do niego i w swój wybór. Potrzebowała teraz czasu, by się upewnić, że po raz kolejny nie popełni tego samego błędu. I ta jego cała dramatyczna wolta w sprawie dziecka też pewnie była dla niej trudna do pojęcia. Nie, żeby Sean był choć trochę mniej przestraszony perspektywą posiadania w swoim życiu dziecka — nie znał żadnych malutkich dzieci; były dla niego istotami obcymi i dalekimi. Ale teraz był gotów spróbować. Absolutnie. Zaangażować się. Pół na pół. Nieprzespane noce. Brudne pampersy. Proszę bardzo...

Wsunął kartę do zamka w drzwiach i otworzył je na oścież.

— Och. Mój. Boże — powiedziała Millie, natychmiast podchodząc do okna i patrząc przez nie na Hyde Park. — To jest *fantastyczne!* — Odeszła od okna i wskoczyła na łóżko. — Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tutaj jesteśmy! Czuję się jak wielki dzieciak! — Zeskoczyła z łóżka i znalazła barek. — Oj — jęknęła, wyciągając z niego malutką buteleczkę szampana i patrząc na nią z tęsknotą. — Były czasy, że osuszyłabym ten minibarek w pięć sekund — westchnęła i uśmiechnęła się. Już miała odstawić szampana z powrotem do lodówki, ale Sean wyjął go z jej dłoni.

— Ale przecież malutki kieliszeczek możesz wypić, prawda? Wzruszyła ramionami.

— Sama nie wiem. Tak naprawdę to nie powinnam. Ciągłe się czuję taka winna za ten wieczór u Tony'ego.

— Ale taką symboliczną kropelkę? — kusił, obracając butelkę. — Założę się, że dzidzius będzie zachwycony kropelką szampana, prawda, moje maleństwo? — spytał, zwracając się do brzucha Millie.

— No dobra — zgodziła się z uśmiechem. — Ale tylko odrobinę.

Sean otworzył butelkę i rozlał szampana do kieliszków. Podał jeden Millie, a potem uniósł swój i zaproponował toast.

— Za co? — spytała Millie.

Sean wciągnął powietrze. Za co?

Za nasze spotkanie. Za to, że jesteś, kim jesteś. Za znalezienie się w tym jednym procencie ludzi zrobionych w konia przez prezerwatywę. Za nasze dziecko. Za miłość. Za sukces. Za Gerwazego. Za Charliego. Za popełnianie błędów i uczenie się na nich. Za moich rodziców. Za

twoich rodziców. Za ten pączek wszelkich możliwości rozwijający się w twoim pięknym ciele. Za dorastanie. Za bycie mężczyzną. Za wszystko...

— Za ciebie i dziecko! — powiedział w końcu na głos. — Za to, że zrobiliście ze mnie lepszego mnie.

Tony spojrział na zegarek. Kurwa. Był tak cholernie spóźniony. Zatrzasnął drzwi biura swojego księgowego i stał teraz na chodniku w smokingu i muszce, rozpaczliwie rozglądając się za wolną taksówką. Właśnie zakończył spotkanie z księgowym — o szóstej wieczorem w sobotni wieczór. Tak źle to zaplanował, tak idiotycznie się umówił. Ale chciał mieć to z głowy najszybciej, jak tylko to było możliwe; to nie mogło czekać. A księgowy bardzo uprzejmie zgodził się spotkać z nim w swoim biurze, bo akurat i tak zabierał żonę na obiad na West Endzie.

Przejechał dłonią po włosach i rozejrzał się bezradnie. Na widoku nie było nawet żadnego samochodu, a co dopiero mówić o taksówce. Cholera. Zaczął iść Great Portland Street w kierunku Oxford Circus, ignorując zdziwione spojrzenia obładowanych zakupami ludzi wracających z Oxford Street. Do chwili, kiedy w końcu złapał taksówkę, szedł już dobre dziesięć minut i zaczął się potwornie pocić. Był parny wieczór, zamglony i wilgotny, a on się dosłownie gotował.

Opadł ciężko na tylne siedzenie taksówki i otworzył szeroko okno, z radością witając podmuchy świeżego powietrza na spoconej skórze. Wsadził palce pod kołnierzyk wypożyczonej, wieczorowej koszuli, żeby trochę go poluzować. Ze swojej torby z rzeczami na noc wyjął papiery, które właśnie dostał od księgowego, i zaczął je przeglądać.

Wygląda to całkiem dobrze, pomyślał, kiwając głową. Do zrobienia. Zdecydowanie. Wcześniej w tym tygodniu odbył już spotkanie ze swoim prawnikiem i wyglądało na to, że wszystko się idealnie ułoży. Teraz musi już tylko porozmawiać z Nedom dziś wieczór i będzie mógł przejść do przyjemniejszej części — czyli zacząć robić plany na następny etap swojego życia.

NIESPODZIANKA

— Szampana? — Wysoki mężczyzna w czarno-białym uniformie zaatakował ich tacą z kieliszkami, kiedy tylko weszli do Sali Marii Antoniny, gdzie miało się odbyć przyjęcie Mamy. Ned naprawdę chciał się zameldować w tym wielkim, luksusowym podwójnym pokoju, kiedy tylko przyjadą, ale po drodze wpadli w wielki korek na Victoria, a Mama i Tato mieli się pojawić dosłownie za dwie minuty, więc już nie było na to czasu. Ned chwycił najpełniejszy kieliszek z tacy i rozejrzał się po sali. O kurwa, pomyślał. Tym razem Tata naprawdę się postawił. Był to ogromny, wysoki pokój z gipsowymi ornamentami na ścianach, ręcznie tkanym dywanem pod nogami i ogromnym kryształowym żyrandolem zwisającym nad głowami. Na wielgachnym kominku migotały świece w kandelabrach, a w kącie przygrywał kwartet smyczkowy.

Klasa najwyższej próby.

Ned rozpoznał osoby z rodziny Mamy i Taty, i ich kolegów z pracy. Stali nerwowo w grupkach pod ścianami wielkiej sali, wyglądali nieco dziwnie w swoich wypożyczonych smokingach i nie do końca pasujących do przepychu tego miejsca sukniach. Pomachał kilku osobom, które zawzięcie usiłowały napotkać jego wzrok, ale nie wyobrażał sobie, że może zacząć z kimkolwiek z nich rozmawiać, zanim nie wypije choćby jednej lampki szampana.

On, Ness i Gerwazy też przykleili się do jednej ze ścian i utworzyli swoją własną dziwną grupkę, ale najpierw z całym ceremoniałem ułożyli swoje prezenty na stole. Wszyscy rozglądali się po sali z podziwem i czuli się całkowicie nie na miejscu.

— Rany — powiedziała Ness, pijąc duży łyk szampana. — Tu jest odjazdowo. Musiało kosztować *fortuna*.

W ich kierunku już sunął kolejny mężczyzna w uniformie, proponując srebrną tacę pełną niezwykle interesująco wyglądających zakąsek.

— Co to jest? — spytał Ned, wskazując na coś idealnie symetrycznego w kolorze różowym z pomidorami na wierzchu.

— To mozaika pikantnych krabów i marynowanych pomidorów, sir.

— Pycha — westchnął Ned, chwytając jedno i ładując całe do ust.

— A to? — spytała Ness, której oczy dosłownie wychodziły z orbit na widok tartinek.

— Melba z foie gras parfait z czarnymi truflami.

— Ooooch — powiedziała, niemal widocznie się śliniąc, i delikatnie podniosła przekąskę do ust.

— Pan sobie życzy, sir? — kelner zwrócił się do Gerwazego, stoicko nie zwracając uwagi na jego strój.

Gerwazy ostrożnie przyjrzał się tacy.

— No... nie, dzięki, stary — powiedział. — Ale nie miałbym nic przeciwko miseczce orzeszków ziemnych, jeśli macie?

— Oczywiście, sir — powiedział kelner i odwrócił się, żeby odejść. Zanim poszedł, Ness zdążyła chwycić jeszcze dwie kanapeczki.

Ned poczuł kuksańca pod żebrami. To Gerwazy informował go w ten sposób, że pojawił się Tony.

— Ness — szepnął do udekorowanego brylancikami ucha. — Jest Tony. Czy ty... no wiesz?

— Mmm — powiedziała, kiwając zawzięcie głową i ładując sobie do ust kolejną przekąskę. — W porządku. Serio.

— Tone! — krzyknął Gerwazy przez całą salę, czym spowodował, że wszyscy się odwrócili i przez sekundę na niego patrzyli.

Tony zauważył ich i pomachał, a potem odruchowo zaczął iść w ich kierunku.

Był spocony i rozmamłany, brzuch trochę mu się wylewał ze źle dopasowanych spodni z wypożyczalni.

— Pieprzone korki — powitał ich. — Na Grosvenor Road zamknęli jeden pas. Koszmar. Ness. Cześć. — Pochylił się do swojej bylej dziewczyny i złożył serdecznego, ale niezręcznego całusa na jej policzku. — Świetnie wyglądasz — powiedział.

— Dzięki, Tony. Ty też.

— Dobre sobie — zaśmiał się Tony. Ewidentnie zdawał sobie sprawę, że do świetnego wyglądu bardzo mu daleko. — Mama i Tata już idą. Właśnie widziałem, jak podjeżdża ich samochód.

— A gdzie Sean i Millie?

— A cholera wie. Pewnie w korku na Grosvenor Road.

Ale precyzyjnie w tym właśnie momencie Sean i Millie weszli do sali. Wyglądali promiennie i z całą pewnością postcoitalnie. Sean był niesamowicie przystojny w swoim smokingu i czarnym krawacie, a Millie wyglądała rewelacyjnie w czerwonej, jedwabnej sukni w japońskim stylu, z szeroką czerwoną obrozą na szyi i na wysokich czerwonych obcasach.

— Bardzo à la James Bond — podsumowała Ness, kiedy podeszli się przywitać.

— Gdzie wyście się podziewali? — spytał Ned, patrząc z rozbawieniem na ich zaróżowione policzki i lekko rozwichrzone włosy.

— Byliśmy w pokoju — wyjaśnił Sean tajemniczo. — Testowaliśmy materac, wiesz?

Millie rzuciła mu karcące spojrzenie, a Ned nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć na Ness i pomyśleć o jakości materaca w ich pokoju. Rozmawiała właśnie z Tonym i Ned starał się ocenić chemię między nimi. Tony wyglądał na zdenerwowanego i wykończonego, a Ness była spokojna i opanowana. Język ich ciał wydawał się nie wskazywać żadnego skrywanego pożądanego, ale Ned nie mógł przecież nie pamiętać, że gdyby Tony jej nie rzucił, Ness na sto procent dalej by z nim była.

— Idą! Już idą! — krzyknął ktoś donośnym, scenicznym szeptem. Ktoś inny przyciemnił światła i zamknął drzwi, a wszyscy zbili się w grupkę i szeptali między sobą w podnieceniu.

— Panie i panowie! — zaanonsował srebrnowłosy mężczyzna z wręcz nieznośnie nobliwym brytyjskim akcentem. — Przedstawiam państwu naszych gości honorowych, Pana i Panią Geraldowstwo London.

Wtedy drzwi się otworzyły, a światła zapaliły. Wszyscy krzyknęli:

— Niespodzianka!

Mama i Tato weszli do środka oszołomieni i radośni, w swoich najlepszych ubraniach. Dłoń Mamy powędrowała prosto do jej policzka, a szeroko otwarte oczy lustrowały całą salę. Wskazywała kolejno na osoby, które rozpoznawała, aż do momentu, kiedy jej wzrok nie spoczął na jej trzech chłopcach stojących osobno, w samym rogu. Wtedy wybuchnęła płaczem.

— Och, Gerry! — powtarzała w kółko. — Coś ty narobił, ty niepoprawny pacanie? Coś ty narobił?

Ludzie ich natychmiast otoczyli, a Ned z braćmi czekali cierpliwie w kolejce, by w końcu zarzucić ręce na szyję, Mamie i Tacie i pogratulować, im rocznicy.

— Dobra robota, stare pierniki — powiedział Ned, zamykając Mamę w niedźwiedzim uścisku. — Czterdzieści pieprzonych lat.

— Gratulacje — powiedział Tony, obejmując Tatę i ściskając dłoń Mamy.

— Ness! — uradowała się Mama na widok swej byłej — potencjalnej — synowej. — Jesteś tutaj! — Przez sekundę spoglądała to na Ness, to na Tony'ego z iskierką nadziei w oczach.

— Oczywiście, że jestem — powiedziała Ness. — Za nic na świecie bym tego nie przepuściła. A twój najmłodszy syn był taki szarmancki, że zaproponował mi swoją eskortę — spojrzała na Neda i wsunęła rękę pod jego ramię, a on nadał się z dumy jak paw.

— Millie! — krzyknęła Mama, obejmując swoją przyszłą synową. — Wyglądasz niezmiernie! Gerwazy! O mój Boże! *Patrzcie tylko!* Co za koszula! Co za styl!

Tata stał za Mamą i dumnie się uśmiechał, i grzecznie rozmawiał z gadatliwym bratem Bernie, wujem Liamem. Neda porwał jakiś starszy facet, który ponoć znał go od chwili, kiedy Ned miał trzy latka, i kiedyś dał mu torbę cytrynowych cukierków. Ned uśmiechał się uprzejmie i szczerze żałował, że do diabła nie pamięta żadnych pieprzonych cytrynowych cukierków, bo wtedy mieliby o czym rozmawiać. Wypił jeszcze szampana, zjadł trochę więcej tych tartinek, pogadał z różnymi starymi ramolami i w końcu doszedł do momentu, kiedy chciał już od nich uciec. I wtedy poczuł, że ktoś ciągnie go za łokieć.

To był Tony.

— Ned — powiedział. — Możemy porozmawiać? Ned rzucił mu niepewne spojrzenie.

— No... pewnie, że tak. Coś poważnego?

— Tak. Cóż. Nie. To coś dobrego. Tak myślę. Mam nadzieję. Słuchaj, chodźmy może na górę do mojego pokoju i utniemy sobie pogawędkę, dobrze?

WIELKI BRAT CZUWA

Ned szedł za swoim starszym bratem aż na trzecie piętro i czuł, jak narasta w nim coraz większy niepokój. Co Tony ma mu zamiar powiedzieć? Czy jest chory? Czy może Mama albo Tato są chorzy? A może mu powie, żeby się odczepił od Ness, bo chce do niej wrócić? Może zobaczył, jak bardzo Nedowi na niej zależy, i teraz zmienił zdanie? Cholera. Wcale mu się to wszystko nie podobało.

Tony wpuścił go do swojego pokoju, a Ned szybko otaksował wszystko wzrokiem. Kurwa, coś *fantastycznego*.

— O zesz — jęknął. — Czy wszyscy mamy takie pokoje?

— Tak — powiedział Tony, poluzowując sobie krawat i siadając przy biurku. — Z tego, co mi wiadomo.

— Fajnie — stwierdził Ned, przysiadając na brzegu wielkiego łóża.

— Słuchaj — zaczął Tony, wyjmując jakieś papiery ze swojej torby. — Będę się streszczał. Mam dla ciebie propozycję.

Zamilkł i patrzył na Neda w taki sposób, że Ned poczuł jeszcze większe zdenerwowanie.

— Wyjeżdżam — powiedział.

O Jezus, pomyślał Ned. Tony umiera! Tony umiera i chce mi przekazać swoją ostatnią wolę.

— Jak wiesz, w tej chwili niespecjalnie mi się w życiu układa. Jestem trochę zagubiony i nie za bardzo wiem, co dalej. Zawsze myślałem, że jak dojdę do tego wieku, to już będę żonaty, dzieciaty i tak dalej. No ale wcale tak nie wyszło. Więc chcę na jakiś czas wyjechać z kraju, trochę popodróżować...

Ned aż parsknął, częściowo z ulgi, że Tony nie ma zamiaru umierać, a częściowo dlatego, że wizja Tony'ego, który „trochę podróżuje” była kompletnie absurdalna.

— Co masz na myśli przez pojęcie *podróży*? — spytał z niedowierzaniem.

— Mam na myśli, że wsiądę do samolotu i gdzieś polecę, i spędzę tam jakiś czas, a potem wsiądę do innego samolotu i polecę gdzie indziej.

— No dobra, ale z kim?

— Zupełnie sam. — Tony spojrział na niego i Ned dostrzegł w jego oczach cień niepewności i braku zaufania do siebie samego. I zdał sobie sprawę, że Tony potrzebuje jego wsparcia, chce, żeby Ned go zachęcił, a nie żartował sobie.

— Zupełnie sam. Kurwa. Tę, to jest... no... Jezus. To super. Naprawdę. Świetny pomysł. No, ale co z firmą?

— Cóż — powiedział Tony, powoli zakładając nogę na nogę. — Tu właśnie do akcji wkraczasz ty.

— Ja?

— Aha. Posłuchaj. Dużo nad tym myślałem i dużo myślałem nad tobą. To musi być ciężko, zrobić to, co ty zrobiłeś, to znaczy wyjechać, zatrzymać na jakiś czas swoje życie, no a potem wrócisz i stwierdzisz, że wkoło wszystko się zmieniło, oprócz ciebie. Mama mi mówiła, że pracujesz dorywczo i że nie za bardzo ci się to podoba. A ja sprzedaję London Cards. To znaczy sprzedaję udziały, a sam zajmę pozycję w zarządzie. Wciąż będę zaangażowany, ale nie bezpośrednio i nie na co dzień. No i przez te kilka tygodni, zanim ją sprzedam, chcę jeszcze zrobić w firmie kilka istotnych zmian. Trochę ją poszerzyć, odmłodzić, wprowadzić kilka nowych pomysłów, wpuścić trochę świeżej krwi. A jest jedna dziedzina, której nigdy porządnie nie rozwinęliśmy w London Cards. Sztuki piękne. No więc pomyślałem sobie, jak byś się zapatrywał na to, żeby wejść do interesu i założyć ten nowy dział?

— Co?! — Ned poczuł, że lekko kręci mu się w głowie. — Mówisz poważnie?

— Śmiertelnie. Myślałem o całej nowej serii, powiedzmy po dziesięć wzorów naraz. Ty

byś musiał je wynaleźć, kupić prawa autorskie, zaprojektować kartki. Oczywiście są inni ludzie od martwienia się o szczegóły typu marketing, budżet, finanse. Ty byłbyś moim kupcem sztuki.

— Cholera. — Ned opuścił głowę na dłonie, przejechał palcami po włosach. — Chryste. To ogromna odpowiedzialność... to tak jak...

— Jak porządna praca, Ned. Z całą odpowiedzialnością i stresem.

— Tak. Faktycznie. Rozumiem. O kurwa. Czy mogę to przemyśleć?

— Oczywiście, że możesz. Pracujesz w poniedziałek?

— Nie.

— To przyjdź do mnie do biura. O dziewiątej. Pogadamy bardziej konkretnie. Teraz tylko chciałem ci ten pomysł podrzucić, dać ci szansę, żebyś sobie to przemyślał, zastanowił się, jakie byś mógł mieć pytania. Wiesz, oswoił się z tematem.

— Boże. Tony. Nie mogę uwierzyć. Myślałem, że uważasz mnie za przypadek beznadziejny.

— Cóż, taki byłeś.

— Och, *wielkie dzięki*.

— Nie. Mówię poważnie. Byłeś beznadziejny. Obaj byliście, ty i Sean. Ale teraz patrzę na to, co Sean zrobił, co osiągnął, i tak sobie myślę, że wy obaj to w sobie macie, tylko ty potrzebujesz znaleźć swoją działkę. Sean znalazł swoją. A teraz tobie jest coś takiego potrzebne. Masz kwalifikacje, wykształcenie. Doświadczenie. Jesteś zdolny. I wyobrażam sobie, że potrafisz ciężko pracować.

— O tak — potaknął Ned. — Absolutnie.

— Ale nie jestem w tym taki zupełnie altruistyczny. Wiesz doskonale, jaki ze mnie maniak kontroli. No i byłoby mi naprawdę ciężko tak zupełnie zostawić firmę. Ale już sama świadomość, że na pokładzie jest moja krew, że jest tam London, ktoś, kto nosi nazwisko będące nazwą firmy, będzie dla mnie miała ogromne znaczenie. I dla mojej załogi. — Uśmiechnął się. — Trzymaj ich na wysokich obrotach. Ufam ci, Ned. Jesteś moim bratem, jesteś rodziną i wiem, że naprawdę mogę na tobie polegać. Jednak kiedy już wyjadę, to będzie zależało tylko od ciebie, czy utrzymasz tę posadę. Nie będę mógł pociągać dla ciebie za żadne sznurki. Jak będziesz do dupy, to cię wywalą, jak każdego innego. Ale jeśli nie, będziesz dostawał uczciwą pensję...

Ned musiał się ugryźć w język, żeby się powstrzymać od zapytania, *ile* dokładnie.

— ... a, i jest jeszcze jedna sprawa. Moje mieszkanie. Co byś powiedział, żeby się tam

wprowadzić, kiedy mnie nie będzie?

— Co? Poważnie?

— Tak. Oczywiście, że tak. Nie mam ochoty wynajmować tego komuś obcemu, nie chcę też, żeby chata stała pusta. Wiem, że uwielbiasz mieszkać z Mamą i Tata, ale w końcu masz już dwadzieścia siedem lat i może chciałbyś mieć trochę więcej swobody? A poza tym nie mogę pozwolić, żeby mój szef działu sztuk pięknych wracał po pracy do domu do mamusi i tatusia, prawda? — uśmiechnął się szeroko. — No, to co o tym myślisz?

Ned kilka razy otwierał i zamykał usta, starając się znaleźć odpowiednie słowa.

— Co ja *myślę*? — zaśmiał się w końcu. — Myślę, że jestem zaszczycony, i zaskoczony, i podniecony, i przerażony, i... *Boże!* Nie mogę w to wszystko uwierzyć!

— Po prostu sobie to przemyśl. Pomyśl o tym wszystkim, a potem porządnie sobie pogadamy w poniedziałek, dobra?

— Dobra! — powiedział Ned. Podszedł do Tony'ego i serdecznie go objął. — Dzięki, Tone! — powiedział, ściskając jego wielkie, mięsiste ramiona. — Dzięki, że o mnie pomyślałeś. Dziękuję, że we mnie wierzysz. Kocham cię, stary.

— Ja ciebie też kocham, Ned — powiedział Tony. — Jesteś super facetem. Najlepszym.

Wtedy zadzwonił telefon.

— To był Sean — powiedział Tony, odkładając słuchawkę. — Mamy zejść na dół. Zdaje się, że Tata zabiera się do wygłoszenia mowy.

GERRY W WERSJI SENTYMENTALNEJ

— Cóż — zaczął Gerry, rozglądając się po morzu wyczekujących twarzy i nerwowo bawiąc się kartką papieru trzymaną w dłoni. — Po pierwsze, pozwólcie, że bardzo podziękuję wszystkim, którzy się postarali tu dzisiaj przyjść. Wiem, że niektórzy z was musieli przebyć kawał drogi. Niektórzy przyjechali nawet aż ze wschodniego Londynu. I kiedy tak teraz na was patrzę, to widzę, że Bracia Moss* też się nieźle spisali, więc za to również dzięki... Po raz pierwszy zobaczyłem Bernie właśnie tutaj, czterdzieści lat temu, na wiosnę 1961 roku. Miała szesnaście lat i sprzedawała biżuterię w sklepie Simpsona na Piccadilly. Dosłownie w tej samej chwili, gdy na nią spojrzałem, pomyślałem, że ożenię się z tą dziewczyną. Na moje szczęście okazało się to nie takie trudne. Powiedziałem jej, że szukam ładnego prezentu dla mojej dziewczyny, ale nie wiem, co kupić, więc poprosiłem, żeby coś za mnie wybrała. No i wybrała parę koralowych kolczyków. Oczekałem, aż je ładnie zapakuje, i wtedy jej je podarowałem. Potem zaprosiłem ją do kina, a ona się zgodziła, mówię wam, do dzisiejszego dnia nie wiem, co przeżyło szalę: te kolczyki czy moja czarująca osobowość. Wiem tylko, że jesteśmy razem od tamtej pierwszej randki i że uwielbiam każdą sekundę swojego życia spędzonego przy niej.

* Moss Bros — największa firma w Londynie wynajmująca wieczorowe stroje.

Niektórzy z was, co tu stoją, jak słyszą, że ludzie są ze sobą czterdzieści lat, mogą myśleć, no cóż pewnie mieli swoje wzloty i upadki. Ale nie my. Nie mieliśmy żadnych dołków. Kiedy dzisiaj patrzę na Bernie, to ciągle widzę tę młodziutką sprzedawczynię u Simpsona, wciąż widzę dziewczynę o złotych włosach i niebieskich oczach, po którą przyszedłem na pierwszą randkę na Piccadilly. I na jej widok wciąż mnie ściska w dołku. Bernie jest centrum mojego świata, powodem, dla którego istnieję. Jest uczciwa, utalentowana i rozsądna. Jest dobra i kochająca. Jest też wesoła i radosna i dosłownie każdego dnia mnie rozśmiesza. Nigdy nie starała się mnie zmienić ani sprawić, że mogłem się nie czuć prawdziwym mężczyzną. Kiedy jestem z moją żoną, lubię osobę, którą jestem. Nie ma na świecie nikogo, czyje towarzystwo sprawiałoby mi więcej radości, niż jej. I kiedy jestem z Bernie, czuję się smutny wyłącznie wtedy, kiedy sobie pomyślę, jak moje życie mogłoby wyglądać bez niej.

Nie wiem, gdzie leży sekret naszego szczęśliwego małżeństwa. Czasami myślę, że się nam po prostu strasznie udało. Ale myślę też sobie, że ja i Bern, że my się ze sobą *bawimy* o

wiele lepiej niż większość par. Nic nie czyni mnie szczęśliwszym, niż kiedy widzę uśmiech Bernie, i myślę, że z nią jest podobnie. Wielu ludzi zapomina o tym, żeby się wspólnie cieszyć, wygłupiać, razem się śmiać. Ale największą radość w naszym małżeństwie sprawiło nam wychowywanie tej oto trójki. — Wskazał na swoich synów, stojących z przodu zgromadzonych gości. — Od chwili, kiedy buziak Anthony'ego ujrzał światło dzienne trzydzieści pięć lat temu, odnalazłem tysiąc zupełnie nowych powodów, żeby się czuć jak najszczęśliwszy facet pod słońcem. Dzisiaj ludzie robią z posiadania dzieci takie wielkie halo. Robią z nich kolejny powód do martwienia się na swoich długasných listach zmartwień i problemów. Ale my tak nigdy nie czuliśmy przy naszej trojce. Po prostu żeśmy się z nich cieszyli. Oczywiście były siniaki i wypadki, i wizyty na pogotowiu. Mieli swoje bójkę w szkole i straszne świadectwa. Ale my nigdy nie pozwoliliśmy, żeby nas to denerwowało, bo wiedzieliśmy, że mamy trzech dobrych chłopców i cokolwiek by się stało w przyszłości, oni dadzą sobie radę. I tak długo, jak my ich kochamy, popieramy i dajemy im dom, w którym lubią być, to wszystko będzie z nimi w porządku. I patrzę na nich dzisiaj, i wiem, że mieliśmy rację. Jestem z was taki dumny, chłopaki — powiedział do nich z oczyma lśnącymi od łez. — Taki dumny ze wszystkiego, co już zrobiliście, i co jeszcze zrobicie, i jestem taki dumny z całej mojej rodziny. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, a wszystko to zawdzięczam mojej ukochanej Bernie — zwrócił się do swojej szlochającej żony. — Uściskaj mnie!

Bernie padła w ramiona Gerry'ego, zalewając się łzami, ale promieniując dumą i szczęściem, a cała sala dosłownie wybuchła wiwatami i oklaskami.

Sean wytarł łzę z kącika oka. Przytłaczały go emocje, przepełniała radość i euforia. To była najwspanialsza mowa, jaką w życiu słyszał. I kiedy teraz słuchał szczerego wiwatowania i patrzył, jak jego rodzice czule się obejmują na oczach wszystkich, zrozumiał, że nadszedł czas. Pocałował Millie w usta i wyszedł przed zebranych.

— Panie i panowie — powiedział, uderzając łyżeczką w swój kieliszek. — Panie i panowie. Chciałbym coś ogłosić.

Thumek ucichł. Wszyscy się odwrócili, żeby go widzieć.

— Po pierwsze, chciałbym powtórzyć to wszystko, co Tato właśnie powiedział o naszej Matce. Ona jest naprawdę wspaniałą kobietą i chcę jej z głębi serca podziękować za wszystko, co dla nas zrobiła, za to, że zawsze czuliśmy, że możemy robić i osiągnąć wszystko, czego zapagniemy. Nie byłbym dziś tym, kim jestem, gdyby nie bezwarunkowe wsparcie mojej Mamy. Chciałbym też powiedzieć, że mam nadzieję, że w całej tej astrologii naprawdę coś jest i że ra-

dosna i hojna osobowość mojej Mamy ma coś wspólnego z dniem, w którym się urodziła. Ponieważ właśnie pierwszego grudnia tego roku urodzi się kolejna osoba. I moi rodzice zostaną dziadkami. Dlatego, że ja i Millie — *jesteśmy w ciąży!*

Na ułamek sekundy zapadła absolutna cisza, a potem oczy Bernie zmieniły się w dwa ogromne spodki, dłońmi dotknęła policzków, otworzyła usta i wrzasnęła jak siedmiolatka na koncercie Beatlesów.

— I jeśli ktoś kiedykolwiek zasługiwał na wnuki, to właśnie tych dwoje — mówił dalej Sean. — Kocham was. Za Bernie i Gerry'ego! — skończył, unosząc do góry swój kieliszek, zanim rzucili się na niego oboje rodzice z uściskami i pocałunkami.

Sean odnalazł dłoń Millie i uściśnął ją. Odwróciła głowę od rozmowy, którą prowadziła z Bernie i Gerrym, i uśmiechnęła się do niego. A Sean poczuł, jak w środku puchnie z dumy i spełnienia. To jest to, pomyślał. To właśnie jest miłość. Miłość to nie modne kluby, nieprzewidywalność i seks każdej nocy. To nie zawieszenie w próżni i udawanie, że świat dokoła nie istnieje. Miłość to on i Millie wzrastający razem, dzielący się ze sobą, śmiejący i bawiący się. To rodzina. Właśnie to.

Kilka godzin później, Tony, Sean i Ned znaleźli się przy pisuarach. Ustawieni w rzędzie według wieku od lewej do prawej, siusiali unisono.

Wszyscy byli bardzo pijani.

— Cholera, Sean! — powiedział Ned, zapinając rozporek i opierając się o ścianę. — Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Będiesz pieprzonym tatusiem! Od jak dawna wiedziałeś?

— Od sześciu tygodni.

— I nic mi nie powiedziałeś?! Ty dupku.

— Przepraszam, brachu — powiedział Sean, chwiejąc się trochę z boku na bok. — Nawet przed sobą trudno mi się było przyznać, co się dzieje, a co dopiero komuś o tym mówić.

— Więc w końcu się poddałeś, co? — spytał Tony, odwracając się, żeby umyć ręce.

— Tak — powiedział Sean, patrząc w podłogę. — A właściwie to nie. Nie *poddałem się*. Ja naprawdę w to *wierzę*. To jest ta różnica. Przedtem to mi się wydawało nierealne. Teraz tak. I to jest, kurwa, *wspaniale!* Słuchaj, Tone... to wszystko, co nagadałem wtedy u ciebie. Naprawdę mi, kurwa, przykro, dobra? Miałeś rację. Ja się myliłem. Nie mam ci za złe, że wzięłeś stronę Millie...

— Co? — wtrącił Ned. — O co tu chodzi?

— ... a powiedziałem to wszystko tylko dlatego, że wiedziałem, że to ty masz rację, ale

nie chciałem się do tego przyznać...

— O czym wy mówicie? — nalegał Ned.

— I chciałem tylko powiedzieć, że dziękuję ci za to, że się opiekowałeś Millie, kiedy ja tego nie robiłem. Nigdy ci tego nie zapomnę, szczerze. I ona też nie. Przez te ostatnie tygodnie byłeś bratem dla nas obojga. Takim prawdziwym, autentycznym bratem. A ja tego nie doceniałem. I tak bardzo cię za wszystko przepraszam, Tone, tak cię przepraszam...

— Ja też, brachu — powiedział Tony. — Ja też przepraszam. Za daleko się posunąłem. Wcale nie myślałem tego, co ci powiedziałem. Sam akurat miałem wtedy różne przeboje, wiesz. Czuję się niepewny, zagubiony. I po prostu byłem o ciebie zazdrosny. Ale tak się fantastycznie zachowałeś, i jestem z ciebie taki dumny, naprawdę jestem.

Sean patrzył przez chwilę na Tony'ego. Ned zobaczył w jego oczach łzy.

— Jak ja cię, kurwa, kocham, Tone. Tak naprawdę, naprawdę... — Sean walnął się pięścią w piersi. — *Kocham cię*. — A potem objął Tony'ego ramionami, ścisnął go i poklepywał po plecach.

— Co jest?! — powtórzył Ned, gapiąc się na nich i czując się wepchnięty na bok.

— Nic! — wrzasnął radośnie Sean. — Absolutnie, kurwa, nic! Wszystko jest *idealne*! Chodź do nas! — Otworzył ramiona, żeby zaprosić Neda do grupy, i przez minutę czy dwie stali tak wszyscy we trójkę w ciepłym, pijanym kręgu braterskiej miłości.

I wtedy w drzwiach toalety pojawiła się chuda postać.

— Gerwazy! — krzyknął Ned, szczerząc się do swojego nowego przyjaciela.

— Wszystko gra? — spytali razem Sean i Tony, którzy wciąż stali, obejmując się ramionami.

— Jak tam leci, Gerwazy? — spytał teraz Sean. Podszedł do niego i objął go ramieniem.

— Wspaniale — powiedział Gerwazy, zacierając dłonie i patrząc po kolei na wszystkich trzech braci. — Wyglądacie, chłopaki, na szczęśliwych. Dobrze się bawicie?

— Zajebicie — powiedział Ned.

— Dobrze — stwierdził Gerwazy poważnie, kiwając głową.

— To dobrze. No więc, wszyscy są szczęśliwi, zgadza się? Bracia spojrzeli po sobie nawzajem.

— Tak — odezwał się Ned. — Na to wygląda. Słuchajcie. Chcę zaproponować toast. Chcę wnieść toast za Gerwazego. Najbardziej zajebistego koleśka, jakiego znam, i prawdziwego przyjaciela.

— O tak — poparł go Sean, a Tony zawzięcie potakiwał, ku wielkiemu zdziwieniu Neda.
— Za Gerwazego. Zdrowie!

Wszyscy czterej podnieśli butelki piwa, które przynieśli ze sobą z baru, i stuknęli się nimi. A potem Sean odstawił swoje piwo, przyglądał się chwilę Gerwazemu i nagle rzucił się na niego i zaczął go ścisnąć.

— Jesteś najlepszy, Gerwazy — powiedział. — Absolutnie najlepszy. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś! Nigdy!

Ned patrzył na to zaszokowany. Sean musiał być ewidentnie bardziej zalany, niż na to wyglądał. Gerwazy natomiast wydawał się zadowolony, choć trochę zażenowany. Delikatnie wysunął się z niedźwiedziego uścisku Seana.

— Ech, wy, chłopaki — powiedział, patrząc na całą trójkę.

— Macie, kurwa, takie szczęście w życiu, wiecie o tym, no nie? Potaknęli.

— Sean, ty masz Millie i maleństwo w drodze. Tone, ty masz na nowo swoją wolność. Ned, ty masz przed sobą całe życie i wszystkich tych ludzi, którzy za tobą stoją. Ale co najważniejsze, to że macie siebie nawzajem. To jest dopiero dar, co? Doceniajcie to, każdego dnia. Opiekujcie się sobą. Dobra?

Wszyscy kiwali z entuzjazmem głowami i poklepywali się po plecach.

— W każdym razie — powiedział Gerwazy, sprawdzając swoje odbicie w lustrze — przyszedłem tu tylko po to, żeby wam powiedzieć, że po pierwsze, wasze laseczki was szukają — spojrzał na Seana i Neda. — Po drugie, wasza Mama i Tato was szukają. A po trzecie, ja już spadam, więc chcę się pożegnać.

— Już *idziesz*? — spytał Ned, patrząc z niedowierzaniem na zegarek.

— No. Jestem padnięty. I chyba cholernie głodny. Nie mogłem tknąć tych małych dupe-reli na tacach. Idę do KFC.

— Daj spokój, Gerwazy, zostań. Pójdziemy na górę do pokoju, zamówimy coś z kuchni.

— Nie, serio, chłopaki. Spadam. Muszę wprowadzić w organizm trochę mięsa — poklepał się po brzuchu. — Ale wy tam wróćcie, co? Przecież tu nie chodzi tylko o Mamę i Tatę. O was też. Powinniście z nimi być. Dobra?

Wsadził sobie ręce do kieszeni i spojrzał na nich wszystkich. Ned patrzył na swojego przyjaciela, który tak stał w swoim niesamowitym stroju, i poczuł rozlewające się w całym ciele ciepło.

— No to dobranoc, Gerwazy — powiedział, wyciągając dłoń na pożegnanie. — I dzięki

za wszystko.

— *Pas de probleme* — odparł Gerwazy, potrząsając kolejno dłońmi wszystkich. — Miło się z panami robiło interesy.

A potem przesunął dłonią po czubku swojej płaskiej fryzury i wyszedł. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Sean poczuł, że po plecach przebiegł mu dreszcz.

CZEGOŚ BRAKUJE

Śniadanie następnego ranka było przedsięwzięciem delikatnej i wyrafinowanej natury. Brały w nim udział: herbata w srebrnych dzbankach, pełny angielski zestaw śniadaniowy, trzy różne rodzaje tostów, cztery różne gatunki dżemu, ogromne lniane serwetki i niezbyt wiele rozmów. Ned spoglądał przez stół na bladziutką, wymizerowaną Ness i jej widok dawał mu poczucie pewności i spokoju. Chciał, żeby już zawsze przy nim była. Wszędzie.

Przyjęcie potrwało do północy, a potem duża ich grupa przeniosła się do baru, żeby dalej pić. Mama i Tato dali radę dociągnąć do heroicznej godziny trzeciej nad ranem. Tony, Sean, Ned i Ness balowali i pili do piątej. Oczywiście pomiędzy nim i Ness do niczego minionej nocy nie doszło — nawet nie spędzili ani chwili razem w jednym pokoju — ale naprawdę świetnie się ze sobą bawili. Przez całą noc razem się śmiali, a Ness bardzo często chwyciła go za ramię albo ścisnęła za kolano, kiedy rozmawiali. Pod koniec, kiedy wszyscy już byli zieloni z przepicia i zmęczenia, Ness powiedziała, że zawoła sobie taksówkę, ale Nedowi udało się ją przekonać, żeby została. Zaoferował jej swoje łóżko. Oczywiście nie razem z nim. On poszedł do pokoju Tony'ego i spał z poduszką na głowie, żeby zagłuszyć potężne chrapanie brata.

— Co za noc! — powiedziała Bernie, wysiadając tego popołudnia z samochodu na Beulah Hill. — Co za fantastyczna noc!

— I najgorszy kac w moim życiu — jęknęła Ness, z trudem gramoląc się z samochodu i przez chwilę trzymając się dachu, żeby stanąć prosto.

— Musisz się napić kawy, kochanie — stwierdziła Bernie.

— Nie możesz sama prowadzić samochodu w tym stanie.

— Nie — zgodziła się Ness. — Masz rację. Zostanę u was chwilę.

Ned uśmiechnął się do siebie. Gerry otworzył frontowe drzwi, a potem nagle odwrócił się, porwał Bernie na ręce i usiłował przenieść ją przez próg.

— Puść mnie! — zaprotestowała Bernie, waląc go torebką. — Postaw mnie na ziemi, pa-

canie. Co ty wyprawiasz?

— Och, zamknij się, *babciu* — powiedział Gerry, całując ją zamasyście w policzek.

— Babciu! — powtórzyła Bernie, wsłuchując się w to słowo. Uśmiechnęła się, kiedy Gerry postawił ją na ziemi w połowie holu. — O mój Boże! Będę babcią!

Goldie przyczłapał z kuchni, by powitać swoją nieobecną rodzinę, a wyraz jego pyska mówił, że po prostu nie może uwierzyć, że tak sobie poszli i zostawili go samego na całą noc.

Mama i Ness poszły do kuchni zrobić kawę, a Ned rozejrzał się po domu. Coś było nie tak, ale nie był pewien co. W atmosferze domu było coś dziwnego. Czegoś tu brakowało. Przeszedł przez salon i przez jadalnię, a potem poszedł na górę. Już wiedział, co to jest, ale nie chciał w to uwierzyć.

Drzwi pokoju Gerwazego były zamknięte. Zapukał. Żadnej odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz.

— Gerwazy? Jesteś tam?

W dalszym ciągu cisza. Powoli otworzył drzwi i stanął przed pustym pokojem. I brakowało w nim nie tylko Gerwazego, ale nie było też jego rzeczy. Jego gitary. Adapteru. Kolekcji płyt. Skórzanej kurtki. Szafa też była pusta. Jego buty nie stały w posłusznym rzędku pod lustrem. Flaga konfederatów zniknęła z okna, a na ścianie brakowało zdjęcia Elvisa. Pościel była zdjęta z łóżka, a na zlewie w rogu brakowało jego pasty i szczoteczki do zębów.

Gerwazy odszedł.

Jego przyjaciel Gerwazy.

Zniknął.

Nedowi zadrżała broda. Jak on mógł to zrobić? Jak mógł się tak po prostu zabrać i ich zostawić? Przecież był częścią rodziny. Był jednym z nich. *Należał* tutaj.

Poczłapał do swojego pokoju. Otworzył drzwi. Na jego łóżku coś leżało. Album Roberta Gordona, prawdziwy winylowy, czarny album. Na nim koperta. Ned ciężko usiadł na łóżku i otworzył ją.

W środku była kartka ze zdjęciem Elvisa na pierwszej stronie. Otworzył i przeczytał:

Ned — to nic osobistego, stary, ale na mnie już czas, żeby ruszyć dalej. To był prawdziwy zaszczyt mieszkać z Londonami przez te ostatnie kilka miesięcy, ale ja po prostu zawsze idę tam, gdzie wieje wiatr, a teraz czuję, jak on zmienia kierunek i zabiera mnie gdzie indziej. Osobno napisałem też do Twojej Mamy i Twojego Taty, a ten list jest dla Ciebie i Twoich braci. Wasza Mama naprawdę wspaniale Was wychowała i wydaje mi się, że nigdy nie spotkałem

takiej mamy jak ona, z taką ogromną miłością w sercu. Ale starając się Was wszystkich kochać nad życie, zrobiła Wam trochę krzywdy — nigdy Was nie nauczyła odpowiedzialności ani jak przedkładać innych ludzi nad siebie samych. Ludzie są jak ciasto, Ned — trzeba ich pociąć na kawałki i dzielić się nimi ze wszystkimi w koło. Bo inaczej zje się samemu wszystko i można się tylko porzygać. No, może nie tyle się to tyczy Ciebie. Ty masz większe serce niż Twoi bracia, ale i tak ciągle potrafisz być trochę dupkiem. Myślę, że przez te ostatnie tygodnie Wy wszyscy, chłopaki, nauczyliście się dużo o tym, jak dzielić się sobą z innymi. Trzymajcie tak dalej, dobra? Im więcej się dzielisz, tym bardziej lubisz samego siebie.

Nie wiem, czy się jeszcze kiedyś spotkamy — mam taką nadzieję. Jak się mieszka w Londynie dostatecznie długo, to choć raz się wpadnie na każdego, kogo się zna, no nie? Więc miej oczy otwarte, Ned, nigdy nie wiadomo!

Żyj długo, żyj dobrze, dużo kochaj i trzymaj się ziemi.

Twój przyjaciel Gerwazy McGregor

RS

EPILOG

Od: Anthony London [SMTP: tonylondon@hotmail.com]

Wysłane: wtorek, 4 grudnia 2001 23.14

Do: Sean London [SMTP: sean@seanlondon.co.uk]

Temat: Moja bratanica

No i co, kochani moi! Udało się! I to dziewczynka — najwyższy czas, żeby się taka znalazła w rodzinie! Dzięki za zdjęcie — czy wolno mi zauważyć, że wygląda na nim jak dziadek Seamus, kiedy był zalany? Ale dla mnie wszystkie noworodki wyglądają jak dziadek Seamus! Tak serio — to jestem pewien, że jak będzie starsza, to będzie z niej taka laska jak jej mama. A jak tam Mille? Napisała do mnie w zeszłym tygodniu, że czuje się, jakby miała urodzić wieloryba. I miała rację. Dziewięć funtów i dwie uncje — to cholernie dużo, nie? Mam nadzieję, że moja bratanica nie odziedziczy po mnie tuszy, biedne maleństwo. Chociaż teraz to byś mnie pewnie nie poznał — to całe słońce i zdrowe żarcie — straciłem na wadze całe tony. Znowu noszę spodnie rozmiar 36" w pasie!

Piszę do ciebie z kafejki internetowej w centrum San Francisco. Jest prawie północ, a na dworze ciągle ciepło. Tu jest rewelacyjnie. Nigdy nie myślałem, że będę taki zakochany w jakimś innym mieście poza Londynem, ale mówię ci — to miejsce, ono ma wszystko. Oboje musicie koniecznie przywieźć tu małą Evę, jak tylko będziecie mogli z nią podróżować, W moim domu mam wolny pokój, a mieszkam pięć minut od plaży. Jak tylko skończę do ciebie pisać, zarezerwuję sobie lot do domu. Powinienem przylecieć w przyszłą środę — tylko na taką krótką wizytę, niestety. Tak, dobrze zgadłeś, oczywiście chodzi o interesy. Spotkałem się tu w zeszłym tygodniu z jednym facetem, ilustratorem... oczywiście zaczęliśmy gadać, no i myślimy, żeby coś wspólnie założyć — firmę z kartkami. Trzeba się trzymać tego, co się zna! Po prostu nie umiem inaczej, nie potrafię siedzieć bezczynnie. Już sobie zrobiłem wielkie wakacje, teraz czas znowu wziąć się do roboty.

Nedowi idzie naprawdę świetnie w London Cards. Dostaję ciągle e-maile od moich (byłych) pracowników, którzy go wychwalają pod niebiosa. Mam tylko nadzieję, że dobrze się opiekuje moim mieszkaniem i nie zamienił go w kopię domu Mamusi i Tatusia! A ten numer z nim i Ness? Ale jaja, zupełnie jak z filmu! Naprawdę się denerwował, jak mi o tym powiedzieć, jakbym miał być jakiś zazdrosny czy rościć sobie do niej prawa! A ja nie mógłbym być szczę-

śliwszy! Wiedziałem, że się bardzo przyjaźnią i że spędzają razem dużo czasu, ale nigdy się nie spodziewałem, że to się przerodzi w coś więcej. Naprawdę, naprawdę się cieszę za nich oboje — są fantastyczni i zasługują na szczęście.

Mama mówiła, że wydawca jest zachwycony twoją nową książką i że podpisał już z tobą kolejną umowę — to rewelacyjnie. Kiedy książka wychodzi? Będę musiał przyjechać na premierę. No i prześlij mi wcześniej egzemplarz, ty draniu! Mam teraz trochę więcej czasu, żeby sobie po prostu siedzieć i czytać!

W każdym razie tak strasznie się cieszę, Sean, że wszystko tak świetnie z twoją książką, i Millie (kiedy masz zamiar zrobić z niej uczciwą kobietę, co?!), a teraz jeszcze jest malutka Eva. To czysta ironia — ty wylądowałeś dokładnie w takim miejscu, w jakim ja miałem nadzieję być w twoim wieku, a tymczasem ja siedzę sobie w kafejce w San Francisco ubrany w szorty i sandały i zachowuję się jak przerośnięty student. Życie jest dziwne. Dobrze, ale dziwne.

Ucałowania dla was wszystkich, Sean — dla ciebie, Millie i dzidziusia. I gratulacje! Nie mogę się doczekać, żeby ją zobaczyć w przyszłym tygodniu!

Twój starszy brat
wujek Tony (!)

Od: Ned London [SMTP: londonned@londoncards.co.uk]

Wysłane: wtorek, 4 grudnia 2001. 18.15

Do: Tony London [SMTP: tonylondon@hotmail.com]

Temat: Maleńka Eva!

Kurwa, stary — nie do wiary! Dziewczynka! To takie dziwne! Wczoraj wieczorem poszedłem ją po raz pierwszy zobaczyć — miała dokładnie dwadzieścia cztery godziny! To duża dziewczynka, mówię ci. Wygląda, jakby miała już z tydzień! I jest dokładnie taka jak Millie (dzięki Bogu). Powinieneś zobaczyć Seana — to nie do wiary — nie wierzyłem, że to ciągle ten sam facet. Po prostu siedział tam i gapił się, i gapił na dziecko, jakby to był jakiś cud, czy coś. Wszedłem do mieszkania Millie (Boże, Tone, powinieneś też zobaczyć jej mieszkanie, jest niesamowite), a tam cała ich trójka siedziała na kanapie, jak jakaś święta rodzina. Nawet przez moment byłem zazdrosny — tylko przez moment, słowo! Mama całkiem ocipiała, i nawet Tata miał wilgotne oczy. Myślałbyś, że ten dzieciak to nowy mesjasz, czy coś, tak się wszyscy zachowują!

Życie jest dla mnie teraz naprawdę dobre — z Ness układa nam się coraz lepiej i nawet zaczęliśmy już rozmawiać, czy by nie poszukać razem jakiegoś mieszkania. Kurwa! Co za rok! Ale nie mów na razie Mamie, zanim się nie zdecydujemy na sto procent. Mama i Tato mają się świetnie. W domu co prawda ciągle jeszcze jest dziwnie, odkąd odszedł Gerwazy. Ciągle jeszcze od czasu do czasu wchodzę do jego pokoju, wiesz, żeby go powspominać. I oczywiście jest naprawdę nieswojo bez Goldie. Ale poszedł do lepszego miejsca. No i poczekaj tylko, aż zobaczysz tego nowego szczeniaczka! Jest już teraz całkiem duży i to prawdziwy horror. Przeżuł na kawałki połowę mebli i wszystkie buty Mamy. Ale tyle jest z niej śmiechu (bo to suczka), a dla Mamy i Taty jest nawet lepiej, że mają się czym martwić, kiedy ja już nie mieszkam z nimi.

Nie mogę się doczekać, żeby cię zobaczyć w przyszłym tygodniu. Mam ci tyle do opowiedzenia — głównie sprawy z roboty — ale to będzie tak fantastycznie mieć cię znów tutaj chociaż na parę dni. Naprawdę się za tobą stęskniłem, Tone. Ale uważam, że z tym wyjazdem miałaś rację. Już choćby z samych twoich maili widać, że jesteś teraz o wiele szczęśliwszy — może teraz zrozumiesz, dlaczego ja wtedy wyjechałem. Czasami po prostu przychodzi czas na zmiany. Trzeba iść za swoim przeczuciem, no nie? I nawet nie ma sensu się zastanawiać, dlaczego niektóre rzeczy się w życiu nie udają — to wszystko jest częścią podróży i liczy się tylko to, gdzie się na końcu wyląduje, a nie jak się tam dotarło. Wygląda na to, że masz się naprawdę dobrze. Bo ja tak — lepiej niż kiedykolwiek w życiu.

Pa, pa, na razie, wujku Tony — do zobaczenia w przyszłym tygodniu. I czy mógłbyś ze sobą przywieźć trochę tego kalifornijskiego słońca?

Buziaki

Twój młodszy brat Ned London

Szef Oddziału Sztuk Pięknych London Cards Spółka z o.o.
